



Agata Harrison



Aby do peřni

TWR

*Rodzicom, Maćkowi i panu Ryszardowi
– za to, że pomogli mi uwierzyć w siebie*

*Życie Berlioza tak się układało,
że nie był przyzwyczajony do nadprzyrodzonych zjawisk.
Pobladł więc jeszcze bardziej,
wytrzeszczył oczy i pomyślał w popłochu:
Nic takiego istnieć nie może...*

MICHAŁ BUŁHAKOW

Prolog

Całkiem niedaleko stąd, bo zaledwie kilka przecznic i jeden most, w dość dużym mieszkaniu pełnym rozbawionych ludzi dwie osoby zupełnie nieświadomie odmieniały sobie życie. Gdyby wyrzeć przez okno pokoju, w którym siedziały, można by ujrzeć księżyc w pełni, który tamtej nocy przypominał rzuconą do stawu pięcioletówkę: na brzegach srebrzysty, pośrodku zaś jaskrawożółty i poorany ciemniejszymi bruzdami. Ulice, skwery, budynki taplały się w jego miękkim, mlecznym świetle, przecinająca miasto rzeka aksamitnie połyskiwała, a przerzucone nad nią mosty przypominały fosforyzujące różańce. W powietrzu smużyło się wspomnienie burzy, która po południu przetoczyła się przez centrum, na chodnikach wciąż stała woda, a trawniki pełne były śmieci, które nie wiadomo skąd przywłókł ze sobą silny, chłodny wiatr. Wraz z nadejściem wieczora co prawda przestało padać, ale jakiś niepokój, jakaś zapowiedź czegoś, co jeszcze miało się wydarzyć, nadal kołysały miastem.

Powietrze stanęło niecałe pięć minut przed północą i znów wyraźnie zanosilo się na deszcz. Kiedy po chwili zza granic miasta zaczęły dobiegać ciche pomruki ścierających się chmur, a na niebie pojawiły się błyski, dwie siedzące w pokoju osoby zareagowały całkowicie odmiennie. Mężczyzna trochę się zaniepokoił i odruchowo omiół wzrokiem mroczny pokój, w którym razem z kobietą siedział na podłodze, na poduszkach. Kobieta natomiast na odgłos nacierającej burzy nagle zdenerwowała się i zaczęła śpieszyć. Z wciąż przewieszanej przez ramię torebki wyjęła dwie świece, zapalki, kartkę papieru, szpulkę czerwonych nici i coś do pisania. Wszystkie

te rzeczy położyła na szklanej tacy leżącej między nią a siedzącym naprzeciwko mężczyzną.

– To co, mamy zaczynać? – zapytał mężczyzna.

Choć trzymał pion, był lekko wstawiony. Podczas imprezy, która wciąż toczyła się w pozostałej części mieszkania, wypił kilka drinków w towarzystwie pewnej bardzo atrakcyjnej kobiety, którą z całą pewnością nie była ta wystraszona mysz, siedząca przed nim w kucki. Myszy obiecał, że zrobią jakiś tam magiczny rytuał, więc słowa dotrzyma. Z pewnych względów musiał się na to zgodzić.

Kobieta kiwnęła głową i przesunęła w jego stronę jedną ze świec.

– Ta jest twoja.

Następnie wzięła do ręki kartkę i przedarła ją na pół, po czym jedną część podała mężczyźnie.

– Napisz tu swoje największe marzenie. Coś, czego najbardziej pragniesz... – Kobieta nieznacznie się zaróżowiła. – Tylko nie mów tego na głos, nie wolno, bo się nie spełni. Potem przymocuj kartkę do świeczki, tu są nici, i zapal.

Mężczyzna uśmiechnął się. Mysz w sumie budziła w nim ciepłe uczucia. Może nie te bardzo ciepłe, ale w każdym razie kojarzyła mu się z kimś w rodzaju siostry. Takiej nie za ładnej.

– I to się niby spełni?

Kobieta wyglądała na bardzo przejętą.

– Tak, bo dziś jest ta noc, taka specjalna, wiesz. Księżyc w pełni i w znaku Wodnika. Ale jeszcze Mars i Pluton w moim horoskopie muszą ustawić się dokładnie naprzeciw siebie, więc z zapalaniem poczekajmy do dwunastej.

Mężczyzna wzruszył ramionami i ziewnął. W szczękach chrupnęło mu tak, jakby przy okazji miażdżył sobie stawy.

Tymczasem za oknem burza rozszalała się na dobre. Żarówki syknęły, strzeliły i po chwili pokój ogarnęła okropna ciemność, dzięki czemu niepewny uśmiech, jaki w tym samym momencie przykleił się do twarzy mężczyzny, na zawsze pozostał jego tajemnicą. Tuż po tym, jak szyby w oknach zatrzęsły się, a niebo rozpruła świetlista gałąź, kobieta (nieświadoma owego uśmiechu i w ogóle nieprzytomna jakaś), przymknąwszy powieki, wyszeptała:

– Trzy...

Mężczyzna, któremu nagle wydało się, że w powietrzu brakuje tlenu, wyprostował się i badawczo spojrzął na skuloną przed nim postać, która jeszcze przed chwilą, oświetlona sinawym światłem kinkietowych żarówek, z całą pewnością była Lenką Lipowską, nauczycielką matematyki z gimnazjum jego siostry, ale teraz, kiedy lampa zgasła, nie zaryzykowałby własnej głowy, żeby bronić tej myśli.

– Dwa...

Ale ze mnie idiota, pomyślał mężczyzna. Co ja tu w ogóle robię, do cholery? Rytuał magiczny, tak, jasne.

– Jeden.

Chociaż z drugiej strony, myślał dalej, mysz jest mi potrzebna. Więc nie miałem wyjścia.

– Okej, teraz piszemy marzenie.

Mężczyzna zastanowił się, po czym uśmiechnął się pod nosem i na swojej kartce, bez przeżywania, czy wyjdzie krzywo czy prosto, napisał:

Kariera w telewizji

Następnie złożył kartkę we czworo i nieco nieudolnie przywiązał ją nitką do świecy.

W tym samym czasie kobieta z przejęciem czytelowała kolejne literki. Po chwili na jej kartce pojawiło się zwięzłe hasło:

Zdobyć Oskara

Chciała już złożyć kartkę, ale w ostatniej chwili zatrzymała się, zastanowiła i dopisała:

oraz wydać książkę

Dopiero wtedy poskładała kartkę i przywiązała do swojej świecy. Nieśmiało spojrzała na mężczyznę, oczekując... czegokolwiek. Ale nie wydarzyło się nic, co warto by było przekazać potomnym.

– A teraz... – zaczęła.

Zachłanny jęzor deszczu trzepnął o szyby, a na parkingu przed blokiem w jakimś samochodzie włączył się alarm. Mężczyzna machinalnie odwrócił głowę w stronę okna i przez chwilę miał wrażenie, że na tarasie dostrzegł poruszający się cień. Po raz drugi w ciągu kilku minut wydało mu się, że w pokoju brakuje tlenu, i na moment dopadł go irracjonalny lęk.

– Zapalamy.

I wtedy usłyszał odgłos podobny do szmeru rozchylanych koralików. Serce na moment mu stanęło. Jakkolwiek banalnie by to zabrzmiało, faktycznie był to szmer rozchylanych koralików – w zasłonce wiszącej w drzwiach.

– Szukałam cię – powiedział zmysłowy kobiecy głos. Mężczyzna spojrzał w stronę drzwi, odetchnął z ulgą i rozpromienił się. Siedząca naprzeciwko niego kobieta momentalnie straciła humor.

– Chciałam pogadać – dodał głos i cofnął się do korytarza. Mężczyzna poderwał się.

– Zaraz wrócę i dokończymy – poinformował siedzącą naprzeciw kobietę i szybko wyszedł z pokoju.

Kobieta podniosła się i ostrożnie podeszła do koralikowej zasłony. Gdyby w ogóle obchodziło ją w tej chwili to, co działo się za oknem,

zauważyłaby, że deszcz zelżał, wiatr przestał trząść szybami, chmury na niebie przerzedziły się, a elektryczne światło księżyca w pełni nagle zakłóciło panujące w pokoju ciemności. Przez taras przesunął się niespokojny cień.

Kobieta ostrożnie rozchyliła koraliki. Gdy z niepokojem patrzyła na mężczyznę, rozmawiającego z właścicielką zmysłowego głosu, za jej plecami coś się poruszyło. Jakaś postać, zgasiwszy uprzednio niedopałek w popielniczce stojącej na tarasie, bezszelestnie wślizgnęła się do pokoju przez niedomknięte drzwi balkonowe. Podeszła do świec stojących na szklanej tacy, po czym szybkim ruchem zamieniła je miejscami. Tłumiła śmiech. Sekundę później już jej nie było. Ponieważ taras ciągnął się wzdłuż całego mieszkania, mogła po chwili wślizgnąć się do kolejnego pokoju. Z czego, ma się rozumieć, chętnie skorzystała – zwłaszcza że znów zaczęło solidnie padać.

Gdy mężczyzna cofnął się w stronę pokoju, kobieta śmignęła do pozostawionych na podłodze świec i wróciła na swoje miejsce. Mężczyzna wszedł do środka i usiadł naprzeciwko niej.

– To co, zapalamy? Kobieta skinęła głową.

Po chwili każde z nich zapaliło swoją świecę. To znaczy – nie swoją. Pogoda za oknem zdawała się przeczuwać nadchodzące kłopoty, bo w tym samym momencie na dworze świetlno-wodny cyrk rozhasał się znów bez opamiętania...

CZĘŚĆ PIERWSZA

TTLR

Żadna z krajowych telewizji nie zapowiadała takiej zmiany pogody. Miało być ładnie, ciepło, duszno i czerwcowo. I tak było, tyle że kilka dni wcześniej, a dokładnie w dniu, w którym Lenka Lipowska po raz sto któryś zasnęła.

Budzik dzwonił bez sensu kilka razy. Nie dodzwonił się. Lenka spałaby dalej, gdyby nie mały ryży kotek, którego kilka dni wcześniej znalazła przed kamienicą. Ryży wlaź na łóżko, drapnął Lenkę w twarz, po czym z filozoficznym wyrazem pyska spokojnie nasiusił na kołdrę.

Lenka usiadła na łóżku i rozejrzała się nieprzytomnie. Do pokoju leniwie wpadało ciepłe słońce. Jej pokój niechętnie odsłaniał swoje wdzięki – nadprute tureckie dywany, nie pierwszej młodości meble, na których wały się jakieś talerze, kubki, szklanki, słomki do napojów, ubrania, niezwinęte kable, stare rachunki, rozmaite kartki, długopisy, książki i, co warto odnotować (choć nie wiadomo po co), papierowe gwizdki z sylwestra sprzed trzech lat. Na ścianach wisiały tablice matematyczne. Jak można się domyślić, pokój nie był specjalnym fanem włączania światła ani wpuszczania słońca i coraz częściej dochodził do wniosku, że pożar lub zalanie wcale nie wydawały się takie straszne, jak mu mówiono, gdy był jeszcze małą cegłą.

Lenka zasnęła siedziała na łóżku, mrugając nieprzytomnie. Prawie już zapomniała, co jej się śniło tej nocy. Gdzieś z tyłu głowy jeszcze migotały senne scenki, ale z każdą minutą wspomnienie to zacierało się, ustępując miejsca bardziej sensownym myślom. Na przykład takim: o, spałam w dresie i kapciach. Nie rozplotłam włosów! Nie zdjęłam soczewek! Zwłaszcza to ostatnie nieco ją zaniepokoiło.

Po kilku minutach kontemplacji Lenka podniosła się i wpadając na rozmaite sprzęty domowe, z pewnym trudem dotarła do łazienki. Z lustra

spojrzała na nią potargana dziewczyna z czymś, co jeszcze poprzedniego dnia było oczami, a dziś jedynie mgliście je przypominało. Oczy Lenki były opuchnięte, szczypały i raczej odmawiały współpracy.

– Krople – podpowiedziała sobie Lenka i po omacku otworzyła szafkę wiszącą nad umywalką.

Buteleczka z kroplami do oczu stała na wprost jej twarzy, ale w tych okolicznościach równie dobrze mogłaby desperacko machać do niej dozownikiem, a ona i tak sięgnęłaby po stojące wyżej krople do nosa. Po prostu, mając tak zapuchnięte oczy, niewiele widziała. Co ciekawe, po chwili, w wyniku nietypowego zastosowania kropli na katar, widziała jeszcze mniej.

Ryży, który z perspektywy podłogi przyglądał się swojej jęczącej i syczącej z bólu pani, wyraził swoje współczucie, pieszczotliwie tępiąc sobie pazury o jej gołą nogę.

Godzinę później Lenka w ostatniej chwili wskoczyła do odjeżdżającego tramwaju, po czym – wciśnięta w tłum – odjechała w stronę centrum. Na nosie miała swoje stare okulary z nadpękniętym szkłem, w których chodziła po domu, gdy soczewki za bardzo wysuszały jej oczy. Nie trzeba dodawać, że te wielkie, niemodne okulary w czerwonych oprawkach skutecznie oszpeciłyby nawet największą piękność. Na twarzy Lenki nie siały jednak większego spustoszenia, bo tam niewiele już można było popsuć. Lenka raczej nie interesowała się swoim wyglądem, bardziej skupiona na innych sprawach. Takich jak uczenie matematyki, pisanie opowiadań do szuflady oraz absolutne, całkowite, ogromne zadurzenie w super przystojnym mężczyźnie, który w tym samym czasie, ale kilka ulic dalej szedł korytarzem budynku lokalnej gazety. Miał prawie trzydzieści lat, metr osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu oraz całą resztę tych cech, które sprawiają, że facet nie ma trudności ze znalezieniem dziewczyny, chyba że szuka w ośrodku dla

niewidomych. Choć pracę dziennikarza zaczął zaledwie kilka miesięcy wcześniej, Oskar Brzóska już był typowany na kolejną gwiazdę mediów – i to być może nie tylko polskich (ściśle mówiąc, sam siebie na tę gwiazdę typował i był w takim przeświadczeniu raczej osamotniony, ale kto powiedział, że w tym miejscu mamy mówić ściśle).

Oskar w każdym razie szedł właśnie na kolegium, które codziennie rano rozpoczynało pracę redakcji. Skończył swoją poranną porcję rukoli z orzeszkami piniowymi, którą kupował w barze sałatkowym na rogu. Puste opakowanie po sałacie rzucił w stronę kosza, niechcący trafiając prawie w grupkę stażystek, które wynurzyły się zza rogu. Na jego widok dziewczyny nagle umilkły. Potem nerwowo zachichotały. Oskar udał, że niczego nie dostrzega. Przyzwyczał się już, że kobiety w jego obecności ogarnia histeryczna głupawka. Właściwie nigdy mu się nie zdarzyło, żeby jakaś dziewczyna odrzuciła jego względy. Nie żeby się też o jakąkolwiek dziewczynę specjalnie starał – to one zawsze robiły ten pierwszy krok, on nie musiał.

No, może z jednym wyjątkiem.

Stażystki powiodły za Oskarem rozmarzonym wzrokiem i pomknęły do sali, w której w wydzielonych boksach pracowali dziennikarze gazety. W drzwiach minęły wychodzącą na korytarz Julię Rembiewską, również stażystkę, ale z nieco innego nadania. Julia była córką znanego pisarza, z którym przyjaźniły się (lub chciały przyjaźnić) tuzy polskiej kultury i mediów. Senior Rembiewski dostał kiedyś ważną nagrodę międzynarodową i to właśnie czyniło go w oczach innych osobą wyjątkowego czaru, z którą świetnie wychodzi się na wspólnych zdjęciach. Abstrahując od tego, iż Rembiewski miał lekkiego zęza, opadającą szczękę i mocno przerzedzone żółtawe włosy.

Julia wyminęła stażystki i podbiegła do Oskara, który na jej widok zatrzymał się gwałtownie i równie gwałtownie uśmiechnął. Piękna stażystka była właśnie owym wyjątkiem, owym jedynym w prywatnej historii Oskara króliczkiem, którego po prostu trzeba było gonić i to nie tylko ze względu na urodę króliczka (prawdę mówiąc, uroda króliczka grała tu rolę absolutnie drugorzędną).

Oskar strasznie się ucieszył na widok Julii, czemu bezzwłocznie dał wyraz.

– Cześć, maleńka – zagaił, patrząc na nią wymownie. Julia odpowiedziała uśmiechem.

– Możemy pogadać?

Oskar uwodzicielsko uniósł jedną z brwi. Zwykle działało to na kobiety powalająco, Julię natomiast jedynie zastanowiło (Tak chyba robił Kevin z „Cudownych lat“?)

– Stało się coś?

– Rozmawiałam z Rossem.

Oskar odruchowo się rozejrzył. W promieniu kilku metrów nie było nikogo, jedynie paru dziennikarzy stało obok otwartych drzwi do sali konferencyjnej, gdzie odbywały się poranne kolegia. Zbyt daleko, żeby słyszeć rozmowę Rembiewskiej z Brzósłkim.

– Spodobało mu się?

Julia wyjęła z torebki płytę DVD i podała Oskarowi.

– Szczerze mówiąc... powiedział, że to chłam. *Sorry*. Oskar wziął płytę do ręki i spojrzał na Julię nierozumiejącym wzrokiem.

– Ale jak... chłam? Przecież to mój... no ja to... wiesz, reportaż...

– Po prostu się nie podoba. Z czymś takim na casting cię nie wezmą, musisz przynieść coś innego.

Oskar zachmurzył się. Na płycie nagrał kilkunastominutowy reportaż o warszawskich bezdomnych. Z materiału był bardzo dumny. Wydawało mu się, że go nieźle zmontował. Komentarze też były niegłupie. On sam przed kamerą prezentował się przecież idealnie. Dlaczego więc Iwo Ross, znany producent i telewizyjna szych, prywatnie ojciec chrzestny Julii, to odrzucił?

Oskar popatrzył na Julię tak, jakby chciał powiedzieć, że jutro będzie sobota.

– Jutro sobota – zaczął. – To znaczy weekend. Mam czas, mógłbym mu nagrać coś nowego.

Julia wzruszyła ramionami.

– Okej. Tylko ja nie wiem, czy będzie mu się chciało oglądać. Zazwyczaj daje ludziom tylko jedną szansę.

– Cholera.

Oskar posmutniał i odchylił głowę, zagryzając wargi. Z jakichś względów był to jego firmowy gest, prawdziwy piorun. Na kobiety działał zazwyczaj mniej więcej tak, jakby to sam Apollo zszedł w tym momencie z postumentu, stanął obok, odchylił głowę, zagryzł wargi, po czym seksownie marmurowym tonem rzekł, że ostatnio chyba schudła.

O dziwo, Julia też zagapiła się na Oskara, pochłaniając go wzrokiem. Oskar uśmiechnął się w duszy, czując rosnącą przewagę. Zamrowiło go w okolicach splotu słonecznego.

– Zawsze mogę... wiesz... z nim pogadać – zaczęła Julia.

Oskarowe sidła pomału zatrzaśkiwały się nad jej głową.

– Nie chciałbym cię znów fatygować...

Julia ponownie wzruszyła ramionami. To musiał być jeden z jej ulubionych gestów.

– Jak uważasz.

Sidla najwyraźniej zacięły się na czymś.

– To znaczy, jeśli chcesz i jeśli możesz...

Julia wyjęła telefon i szybko wystukała coś na klawiaturze.

– Dobra, przypominacz ustawiony. Zadzwonię tam po pracy.

Oskar przybrał minę zbitego pieska, którego nagle ktoś czule pogłaskał.

– Jak ja ci się odwdzięczę, dziewczyno... Julia uśmiechnęła się figlarnie.

– Wymyślimy coś.

Rzuciła całusa i odeszła w swoją stronę. Oskar patrzył chwilę za nią, nie mogąc opanować wstępującego na twarz triumfalnego uśmiechu. Dosłownie usłyszał szcęk zatrzaszkujących się sideł.

Po czym zorientował się, że za drzwiami do sali konferencyjnej, które ktoś właśnie z hukiem zamknął, rozpoczyna się poranne kolegium, na które nie wolno się było spóźniać. Ruszył więc pędem w stronę drzwi.

W tym samym czasie w jednym z warszawskich gimnazjów trwała lekcja matematyki. Jedna z ostatnich w tym roku szkolnym, który kończył się za niecały tydzień. Drugoklasiści mieli lepsze zajęcia niż wysłuchiwanie wykładu, który, jak szybko wydedukowali z zachowania nauczycielki, do niczego sensownego nie mógł im się przydać. Część osób grała więc w karty, inni esemesowali, a najbardziej ambitna grupka rozpoczęła sesję RPG. Druid spojrział zaczepnie na Włóczęgę, który dał się przez to okraść zakamufłowanemu Złodziejowi.

Tymczasem Lenka stała przed tablicą, próbując skupić na sobie uwagę uczniów. Bez większego powodzenia. Dzieci niespecjalnie przejmowały się gderaniem nauczycielki, która już przecież wystawiła im oceny. Cholera, pomyślała Lenka.

– Cholera – powiedziała szeptem do siebie. Usiadła za biurkiem i zrezygnowana rzuciła bez nadziei na jakiegokolwiek sprzężenie zwrotne: – Po wakacjach będzie rachunek prawdopodobieństwa. Kto chce, niech o tym poczyta przed wrześniem.

Dzieci nie zareagowały. Kilka dziewczynek wymieniało się wrażeniami z czytanej właśnie sagi miłosnej. Lenka popatrzyła smutno na klasę. W takim razie ona też sobie poczyta. A właściwie popisz. Wyjęła z torebki wydrukowane opowiadanie, które napisała poprzedniej nocy (przez to zasnęła później w pełnym rynsztunku i soczewkach) i zaczęła wnikliwie czytać, dopisując na marginesie uwagi i pomysły.

– Proszę pani.

Podniosła oczy znad swojego opowiadania. Jedyny rozsądny dzieciak w tej klasie, Basia Brzóska, trzymała podniesioną rękę.

– Tak?

– A czy to prawda, że można wyliczyć prawdopodobieństwo dla każdego zdarzenia?

Lenka uśmiechnęła się; ta dziewczyna była naprawdę fajna. Właśnie dla takich uczniów jeszcze nie rzuciła tej pracy. Baśka miała głowę na karku i była dobrze wychowana, a do tego jako jedna z niewielu znała swoje miejsce w szeregu.

– Jeśli jest dobrze opisane... tak.

Basia rozsypała twarz, rozciągając ją w triumfującym uśmiechu. Lenka znała ten grymas – dziewczynka zawsze tak się uśmiechała, gdy przymierzała się do rzucenia swojej ulubionej nauczycielce jakiegoś podchwytliwego pytania („Na co komu w ogóle taka wstęga Mobiusa, proszę pani?"). Dobrze ją znała – w końcu od kilku miesięcy wieczorami przygotowywała ją u siebie w domu do olimpiady matematycznej.

– A można wyliczyć jakoś prawdopodobieństwo, kiedy się spotka prawdziwą miłość?

Gdyby Lenka widziała siebie z boku, prawdopodobnie od razu przestałaby się przyznawać do własnej twarzy. Była czerwona jak burak.

– Basiu, nie rozumiem, ja...

– Albo że już się spotkało, ale nie umie się zrobić pierwszego kroku?

Basia przenikliwie spojrzała na Lenkę, która właśnie dryfowała z Krainy Wielkiej Czerwieni do nie mniej krępującego Łądu Chorobliwej Bładości. Miała nadzieję, że Baśka niczego nie zauważyła. Przecież nigdy nie pytała ją o brata. Próbowала nawet na niego nie patrzeć, kiedy wchodził na górę, żeby odebrać siostrę z korepetycji. Robiła wszystko, by się nie czerwienić, włączając w to zakup scenicznego pudru do twarzy, za który dała tyle, co za dobrej jakości buty. Okej, poprosiła ją o zdjęcie Oskara. Ale przecież podała oczywisty powód! Rocznica szkoły, okolicznościowa książka, a ona, Helena, znaczy Lenka Lipowska, miała zebrać zdjęcia absolwentów z rocznika 1979... To nie jej wina... (Chryste, czemu się tak czerwienię?!)... że Oskar Brzóska, tak, ten absolutny ideał męskiej urody, był właśnie z rocznika siedem dziewięć.

Cholera jasna. Zauważyła!

Uczennica patrzyła wyczekująco, a Lenka coraz poważniej zastanawiała się, którym z okien powinna wyskoczyć. Rozważania przerwał dzwonek. Klasa runęła w stronę drzwi, prawie zabijając dyrektora, który zniemacka pojawił się na progu. Baśka uśmiechnęła się chytrze, puściła do Lenki oko, po czym szybko spakowała plecak i wyszła z klasy.

– Czy to u pani zawsze tak wygląda, pani Lipowska? – zapytał dyrektor, wchodząc do sali i oglądając się niepewnie za odbiegającymi dziećmi.

– Nie zawsze. Jak ich nie ma, jest spokojniej – próbowała żartować Lenka, ale całkiem szybko się zorientowała, że jej nie wyszło.

Dyrektor spojrzał na nią z niesmakiem.

– Z panią to same problemy.

– Dlaczego? – zapytała Lenka, tak naprawdę średnio zainteresowana odpowiedzią. W tej chwili najbardziej obchodziło ją, czy Oskar Brzóska też zauważył te jej maślane oczy.

– Dodatkowe dyżury: nie, wychowawstwo: nie, opieka na wycieczkach: nie – skrupulatnie wyliczał dyrektor. – Na nic się pani nie zgadza, bo rzekomo na nic nie ma czasu – prychnął.

– Co mi po takim nauczycielu, no?

Lenka spokojnie pakowała torebkę.

– Przecież przygotowuję dzieci do konkursów. Mam kilku olimpijczyków – oznajmiła, nie doceniając irytacji dyrektora.

– Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi.

Dyrektor zamrugał oczami i spojrzał na nią, zdumiony. Nie przyzwyczał się, że ktoś podejmuje z nim dialog. Od lat najlepszy był w monologach.

– Jak to, o co!?! – Dał sobie chwilę na zebranie myśli. – Klasa wchodzi pani na głowę, a pani nie reaguje – podjął, opierając ręce na blacie biurka. – Myśli pani, że tego nie widzę? Widzę, pani Lipowska, i zamierzam wyciągnąć konsekwencje. Od nowego roku muszę zlikwidować jeden etat i chciałbym, żeby pani o tym wiedziała.

Dyrektor oderwał ręce od blatu i wyprostował się. Miał już wychodzić z klasy, gdy jego wzrok nagle wyłowił leżące na stoliku opowiadanie. Lenka dostrzegła jego spojrzenie i próbowała szybko schować kartki do torby, ale dyrektor był szybszy. Złapał górną kartkę i przebiegł po niej oczami.

– „*De gustibus*, czyli opowiadanie magiczne” – przeczytał, po czym, nie kryjąc rozbawienia, dokończył: – „Napisane przez Helenę Lipowską”. Ja bardzo przepraszam, to jakiś żart? Chce pani robić konkurencję temu, no, Grimmowi?

Zdenerwowana Lenka wyrwała mu domniemany dowód przestępstwa.

– Nie pana sprawa – odparła, chowając kartki do torby, którą następnie zamknęła zdecydowanym ruchem. Suwak świsnął jak gilotyna. – A w ogóle, jeśli już, to braciom Grimm – dodała, wychodząc z klasy.

Dyrektor wyszedł również, odprowadzając zdziwionym wzrokiem Lenkę, która szybko oddalała się korytarzem. Czyli mam szukać nowej pracy?, pomyślała z furją. Niewykluczone.

Cholera.

Inaczej wyobrażała sobie te wakacje.

Gdy Lenka w samotności trawiła słowa dyrektora, w redakcji gazety dobiegało końca poranne kolegium. Redaktor naczelny wysłuchał wszystkich propozycji tematów, rozdał polecenia i po raz setny przypomniał dziennikarzom, że internet wypiera gazety, więc muszą się sprężyć, żeby nie stracić pracy, bo redukcje nieuniknione. Dziennikarze zanotowali na karteluszkach polecenia naczelnego oraz po raz setny wysłuchali jego zarządzenia, że internet wypiera gazety i że muszą spinać cztery litery, żeby dociągnąć w tej robocie do Gwiazdki i darmowych bonów na zakupy. Część z nich zamierzała zestarzeć się w redakcji, więc słowa naczelnego traktowała bardzo serio. Młodszy stażem podśmiewali się w duchu, obiecując sobie, że od pierwszego w tajemnicy przed kolegami złączą szukać nowej pracy, więc niech internet wypiera gazety, trudno, nie ich broszka. Pójdą do pracy w jakimś portalu, najwyżej.

Oskar Brzóska zaliczał się raczej do tej drugiej grupy. Raczej – bo on już szukał nowej pracy. I to nie w portalach ani innych tego typu wynalazkach. Jemu chodziło o pracę w telewizji. Dlatego, odkąd do grona stażystów dołączyła Julia, kręcił się intensywnie wokół niej, mając nadzieję, że wyniknie z tego zawodowa korzyść. O jej telewizyjnych koneksjach już wspomnieliśmy. Rembiewska głupia nie była – zdawała sobie sprawę, że Brzóska próbuje ją wykorzystać do swoich celów, ale że ślepa także nie była, niespecjalnie jej to przeszkadzało.

Facet był jak marzenie, miała na niego jakąś tam ochotę, choć (podobnie jak Oskar) nie zamierzała wiązać się na długo. No, chyba że w tej telewizji Brzóska zrobi wielką karierę – wtedy spróbowałyby może zająć z nim w ciążę i zaciągnąć przed ołtarz. O ile nie trafiłby się ktoś lepszy.

Gdy naczelny suchym tonem ogłaszał koniec zebrania, dziennikarze rzucili się do wyjścia. Nikt nie lubił zostawać sam na sam z naczelnym – facet był namolny, miał jakieś natręctwa myślowe i niestwierdzoną przez lekarza (ale dowiedzioną życiowo) manię prześladowczą. Wydawało mu się, że wszyscy go śledzą, przyklejają mu pluskwy pod stołem i generalnie szpiegują na rzecz bliżej nieokreślonych osób trzecich. Rozmowa z nim nie należała do najprzyjemniejszych i zazwyczaj skutkowałą bólem głowy i ogólną depresją.

Oskar stał przy drzwiach, więc na korytarzu znalazł się jako jeden z pierwszych. Nie przewidział tylko jednego: że naczelny wykrzyknie jego nazwisko. Dziennikarze czmychnęli do swoich biur, patrząc z satysfakcją, ale i pewną dozą współczucia, jak Oskar dynda na zębie rekina.

Naczelny uśmiechnął się kwaśno.

– Panie redaktorze, mamy do pogadania.

Oskar westchnął w duchu i spróbował odpowiedzieć uśmiechem. Tylko spokojnie. Naczelny nie wiedział przecież o jego próbach przeniesienia się do telewizji, trzeba więc robić dobrą minę do złej gry i udawać, że redakcję gazety kocha się jak ojca, matkę i darmowy internet. Nie, zaraz, internet nie, przecież tego naczelny nie znosił.

– Tak? – zapytał Oskar, uśmiechając się niewinnie. Naczelny złapał go za łokieć i rozejrzał się podejrzliwie. – Widział pan takich trzech mężczyzn w czerni może...? – zaczął niepewnie.

Naczelny zawsze i wszędzie widział ludzi w czerni, w ciemnych okularach i ze słuchawkami w uszach. Nie wiadomo, czy wśród nich widywał Willa Smitha, o Tommym Lee Jonesie nie wspominając.

Oskar spróbował wyglądać na bardzo przejętego.

– Dzisiaj nie widziałem... To znaczy nigdy nie widziałem – poprawił się szybko w obawie, że zaraz nastąpi seria pytań, kiedy tych w czerni widział ostatnio.

Naczelny uśmiechnął się krzywo, uspokojony.

– No to możemy porozmawiać – powiedział, wypuszczając powietrze przez nos. Taki tik nerwowy. – Chciałem panu pogratulować.

Oskar spojrzał zdziwiony.

– Mnie? Czego?

– Ostatniego artykułu. Bardzo dobry. Zwłaszcza ten fragment o specśłużbach.

Oskar machnął ręką.

– A, ten. Nic wielkiego. Taka w gruncie rzeczy zwykła relacja z komisji sejmowej.

Naczelny poklepał go po ramieniu.

– Może i tak, ale rzuciła nowe światło na problem szpiegostwa w wolnej Polsce – podkreślił. – Ma pan u mnie plusa. Tak trzymać. Wydawca przewiduje możliwość podwyżek. Może pana zgłoszę.

Brzóska uśmiechnął się kwaśno. „Wydawca przewiduje możliwość podwyżek”. Czyli po rozważeniu za i przeciw jak zwykle dojdzie do wniosku, że na przewidywaniach powinno się skończyć, bo przecież są jeszcze na świecie takie grupy zawodowe, które zarabiają gorzej od dziennikarzy, a nie zgłaszają sprzeciwu i pracują dalej. Na przykład pracownicy sekstelefonów, ale tylko te zatrudnione na ćwierć etatu.

– Najpierw miałbym jednak do pana małą prośbę – dokończył sucho naczelny.

Oskar nastroszył się. Cholera.

– Chciałbym, żeby napisał pan artykuł o moim bliskim przyjacielu – tu naczelny wyjął coś z teczki i podał Oskarowi.

Była to średniej grubości książka, ambitnie zatytułowana „Matematyka tajemnicą jest”.

– To jest jego najśłynniejsze dzieło – kontynuował naczelny. – Proszę przeczytać i omówić w artykule najważniejsze teorie. Henryk to taki sympatyczny człowiek. Dwa razy solidnie zlustrowany, więc nie ma obawy, że... No, nieważne. Na pewno będzie się panu dobrze pracowało.

Oskar wziął książkę do ręki i spojrzał na obwolutę, z trudem kryjąc rosnące przerażenie. Wyższa matematyka? Profesor uniwersytecki? Przecież to nie jego działka... mać!!!

– Ale, jak by to powiedzieć, panie redaktorze, matematyka nie jest do końca moim polem zainteresowań – ostrożnie odpowiedział Brzóska.

Naczelny machnął ręką.

– Najważniejsze, że umie pan czytać. Chcę to mieć na sobotę.

Następnie pokazał Oskarowi triumfujący kciuk i odszedł do swoich spraw. Oskar westchnął i ruszył w kierunku biurka.

Dziennikarze wszystkich działów pracowali we wspólnej sali. Każdy miał swój boks, w którym zamykał się jego mikroświat (komputer, kubek z kawą, stos papierów i całe zwały kurzu). Nietrudno sobie wyobrazić, jaki zgiełk czasem panował na sali, zwłaszcza gdy coś ważnego działo się w polityce, ogłaszano laureatów Nagrody Nobla albo gdy umierał ktoś ważny.

Boks Oskara sąsiadował z biurkiem, które przydzielono Julii. Jakże pięknie wyglądałoby w tym miejscu stwierdzenie, że sąsiedztwo to było dziełem przypadku, że Los sam, osobiście, przejął się interesami Oskara, sadzając obok niego dziewczynę z tak rozległymi koneksjami! Niestety, prawda była mniej romantyczna.

Szczerze mówiąc, była romantyczna jak zimny kisiel podany na zaręczynach zamiast pierścionka.

Gdy Oskar wszedł do swojego boksu, Julia wstała zza biurka i oparła się o ściankę działową, przegradzającą ich stanowiska pracy. Przez przeszkloną ścianę obserwowała wcześniej rozmowę Brzóskego z naczelnym.

– Opieprzył cię za coś? – zagadnęła słodko. Oskar przeciągnął się.

– Przeciwnie. Gratulował artykułu.

– Wow. Uważaj, to szuja.

Oskar wzruszył ramionami i włączył komputer.

– Bez różnicy. I tak już niedługo... – Zerknął badawczo na Julię. – Chyba niedługo tu zabawię.

Julia zapatrzyła się w przestrzeń, niespiesznie oblizując wargi, co wywołało u Oskara nagły skurcz żołądka.

– Kto wie... Nie obiecuj sobie za dużo, mówiłam ci, że Ross zazwyczaj daje ludziom tylko jedną szansę.

Oskar nerwowo potarł podbródek. Kariera w telewizji pokazywała mu aktualnie środkowy palec, odjeżdżając ścigaczem w bliżej nieokreślonej dal.

– Pamiętam – podkreślił. – Ale może jak mu nagram coś przełomowego...

– To się okaże – ucięła Julia. – Co to jest? – zapytała, wskazując na książkę, którą Brzóska przyniósł ze spotkania z naczelnym.

– Zlecenie. Mam napisać o książce jakiegoś zdiadziałego matematyka, wyobrażasz sobie? I to na sobotę! – zdenerwował się Brzóska.

Może to jednak lesbijka? – pomyślał, ponuro zerkając na kompletnie niezainteresowaną nim Julię.

– Ciekawe. – Julia wzięła książkę do ręki i szybko przekartkowała. Zatrzymała się na jednym z rozdziałów. – „Matematyka a magia, czyli o wszystkim, co niematerialne, a da się opisać równaniem” – przeczytała. – No to rzeczywiście. Współczuję.

Oskar nerwowo zatłukł palcem w klawisz spacji. Komputer ostatnio notorycznie mu się zawieszał.

– Nie wiem, co z tym zrobić. Przecież to jakieś brednie.

Komputer odwiesił się i Oskar uruchomił program pocztowy. W skrzynce miał kilka nowych mejli, w tym świeży list od siostry, Baśki.

– A nie znasz kogoś, kto jest dobry w te klocki? Co się będziesz sam męczył.

Oskar otworzył list od Basi. Julia łypnęła na ekran jego komputera i coś sobie przypomniała.

– To chyba ty mówiłeś, że masz siostrę, która jest matematycznym geniuszem? Bo czekaj, już mi się mylicie...

Oskar skinął głową, próbując jednocześnie zlekceważyć zgrzytnięcie zębami, jakiego dopuścił się właśnie jego męski honor. „Bo mi się mylicie”.
Jezu.

– No to luz. Pomoże ci – podsumowała Julia. Oskar zaśmiał się. •' –

– Ona? Ten dzieciak? Mowy nie ma. Julia wróciła do swoich zajęć.

– W takim razie masz pecha. Bo ja nie wiem, jak ty chcesz napisać ten artykuł i jeszcze zdążyć z materiałem dla Rossa. Bo drugiego chłamu nie będę zanosić, jeszcze by poszło na moje konto.

Oskar ponuro utkwiał wzrok w monitorze.

Inaczej wyobrażał sobie ten weekend.

Przebiegł wzrokiem treść mejla. Baśka pisała, że chce pożyczyć na jeden dzień laptopa i że mógłby jej go podrzucić za pół godziny do szkoły, że ma wieczorem korki, a ojciec znów nie może po nią pojechać, więc jakby Oskar mógł ten ostatni raz... Brzóska westchnął. Kochał tę małą, ale powoli zaczynał mieć jej dosyć. Za bardzo wchodziła mu na głowę. Laptop, podwożenie, kasa na kosmetyki – pewnie! On tak nie miał w jej wieku. Zaczął więc odpisywać, że tym razem nie ma czasu, więc niech starzy zafundują jej taksówkę, skoro Baśka nie może jak wszyscy normalni nastoletni ludzie choć raz przejechać się metrem. Poza tym on, Oskar, musi usiąść do bardzo trudnego artykułu i ma jeszcze jakieś sprawy dla te—le—wi—zji, więc...

I tu się zawiesił. Nie komputer, Oskar. Jakaś bardzo odkrywcza myśl błysnęła mu w przestrzeni między uszami. Wstał, złapał marynarkę i biorąc łyk kawy, poinformował Julię:

– Nie bój się, nagram świetny materiał. A z artykułem masz rację. Baśka mi pomoże.

Lenka skończyła przedwakacyjne uzupełnianie dzienników i wyszła z pokoju nauczycielskiego. Powinna mieć jeszcze jedną lekcję, ale klasa poszła

do kina na maraton filmów z Harrisonem Fordem. Mmmhmm. Też by poszła, ale nikt jej nie zaproponował.

No tak, pomyślała kwaśno. Przecież ja się nigdy nie zgadzam na takie rzeczy.

Dyrektor nie miał racji. Lenka uwielbiała pracę z dziećmi i chętnie spędzała z nimi wolny czas. Wielokrotnie nieśmiało podpowiadała koleżankom, że gdyby organizowały jakąś wycieczkę albo gdyby z jakichś względów nie mogły wziąć wychowawstwa, to ona chętnie, bardzo chętnie. Ale nikt nigdy o nic takiego jej nie poprosił. Bo za wszystkie te dodatkowe atrakcje inni dostawali dodatki do pensji. Nikt natomiast nie płacił Lence za wieczorne przygotowywanie uczniów do olimpiady – pieniędzy na kółko matematyczne nie było, ale presja, by dzieciaki robiły furorę na olimpiadzie, i owszem. Dyrektor pozwolił sobie jednak na przemilczenie tej kwestii.

Lenka włożyła sweter i zeszła schodami na najniższe piętro. W lustrze zawieszonym na ścianie mignęła jej sylwetka: przygarbionej chudziny z niedbale zaczesanymi włosami i w szarawym ubraniu, które byłoby świetnym okryciem maskującym na wypadek cichociemnego przedzierania się przez las, najlepiej o zmroku. Niestety, Lenka nie doceniła wyjątkowych walorów swojej garderoby i wszystkie te szare bluzeczki, spódniczki, sweterki po prostu nosiła na co dzień. Prawdopodobnie dlatego uczniowie mówili na nią Mysz. Już na boisku dogoniła ją Basia.

– Myślałam, że pani nie złapię – wydyszała. – A mam sprawę. Chciałam pożyczyć tę książkę z zadaniami. Porobiłabym sobie w wakacje.

Lenka w odpowiedzi potknęła się o wystającą płytę chodnikową. Przechodziły właśnie przez bramę wyjściową, która w wakacje miała być remontowana.

– Jasne – odparła. – Przyniosę ci w poniedziałek.

– Wolałabym dziś. Wpadnę po nią. Baśka lubiła postawić na swoim.

– Dobrze, tylko że ja mogę być zajęta, więc powiedz, o której godzinie, to...

– Brat po mnie przyjedzie – wypaliła Basia.

Lenka w pierwszym odruchu zaczerwieniła się, ale po chwili posłała emocjom solidnego kopniaka, intensywnie biorąc się w garść. Zatrzymała się nagle.

– Okej – odparła spokojnie. – Słuchaj, zapomniałam czegoś, muszę wrócić do szkoły. To do zoba...

I tu urwał jej się wątek. Po drugiej stronie wąskiej uliczki, przy której znajdowała się szkoła, stał sportowy czerwony samochód. O maskę nonszalancko opierał się jego właściciel, Oskar Brzóska, brat Baśki.

– Jestem – powiedział, nie bardzo wiadomo do kogo.

Potem nastąpiło kilka wieków ciszy (wersja Lenki). Basia oceniła tę ciszę na jakieś półtorej sekundy.

– Super – odpowiedziała, bezsensownie przyjmując, że brat zwrócił się do niej. – Laptopa masz?

Brzóska nie zwrócił jednak na siostrę większej uwagi.

– Możemy panią gdzieś podwieźć? – zagaił w stronę Lenki.

Basia filmowo zamrugała oczami. Lenka natomiast uznała, że budzik najwyraźniej wciąż nie zadzwonił.

Tymczasem kilka przecnic dalej wróżka i czarownica w jednej osobie, Ada Lipowska, ciotka Lenki, zatrzaszkiwała właśnie ostatnie z siedmiu okien swojego przedwojennego mieszkania, by następnie usiąść za okrągłym stołem. Po raz kolejny przeliczyła dzienny utarg: równo dwadzieścia pięć złotych. I to tylko dlatego, że pewna dawna klientka odkupiła od niej książkę o tym, jak

lokować pieniądze. Nie o magii, stawianiu tarota, wyginaniu łyżeczek. Odkupiła książkę o jakichś cholernych inwestycjach kapitałowych w długim i krótkim okresie! Szlag by to trafił.

– Szlag by to trafił – powiedziała Ada.

W odpowiedzi wiatr bezceremonialnie otworzył okno, które chwilę wcześniej zamknęła.

Ada zapaliła papierosa i popadła w ponurą zadumę. Nie miała wyjścia. Trzeba będzie zamknąć interes i wrócić do wyuczonego zawodu. Jeśli tego nie zrobi, banki jej wszystko zajmą, bo właściwie wszystko, co miała, kupiła na kredyt. Wstała od stołu, podeszła do komody i zaczęła szukać czegoś w kolejnych szufladach. Wreszcie ze sterty głupawych prospektów wyłuskała swój dyplom. Miał pomięte rogi i plamę z czegoś tłustego na jej nazwisku.

Magister ekonomii, specjalność: ubezpieczenia.

Ada położyła dyplom na stole. W tym samym momencie podmuch wiatru poderwał kartkę i zatrzepotał nią przed jej nosem. Złapała dyplom i odłożyła na stół, na wierzchu kładąc swoją wróżbiarską szklaną kulę.

– Będzie świetny przycisk do papieru – zawyrokowała, po czym zamknęła okno.

Świat na zewnątrz łypnął do niej wietrznym okiem. Ada zapatrzyła się w wielkomięjską przestrzeń.

Nie tak wyobrażała sobie swoje dalsze życie. To wcielenie miało być przecież zupełnie inne.

Mijały kolejne minuty, minęła godzina, a Ada wciąż stała przy oknie, myśląc nad swoim życiem.

Miała czterdzieści cztery lata, w tym od dwudziestu zarabiała na życie jako wróżka, homeopatka, hipnotyzerka, czarodziejka, medium. Od dziecka wierzyła w rzeczy nadprzyrodzone, do których wywoływania miała duży

talent. Lenka niespecjalnie chciała słuchać historii, jakimi zasypywała ją Ada, traktując ciotkę raczej jako żywy dowód na to, że twórcy „Z Archiwum X” mieli podobnych szaleńców w rodzinie i dlatego, w ramach jakiejś pionierskiej autoterapii, stworzyli swój serial. Ada często opowiadała Lence o swoich przeżyciach. Widywała ponoć rozmaite myślokształty, kilka razy wpadła przypadkowo do sąsiadujących z naszym światów alternatywnych, przeżyła najazd pożeraczy myśli i odbyła inspirującą pogawędkę z Kantem. Oczywiście można by ją posądzać o zbyt częste uzupełnianie diety gloryfikowanymi w piosenkach roślinami paralelnymi i chociaż nie jest to prawdą, nie można tego zabronić czytelnikowi.

Rzecz w tym, że Ada nie stosowała żadnych używek, bo i bez nich jej świat był wyjątkowo bogaty w rozmaite doświadczenia, obce przeciętnym śmiertelnikom oraz niektórym nieśmiertelnikom z owych światów alternatywnych, ale o tym innym razem. Ada Lipowska byłaby medium doskonałym, gdyby nie jeden szkopuł: z niewiadomych przyczyn nigdy nie udało jej się zrobić niczego magicznego w towarzystwie drugiej osoby. Magia po prostu wtedy nie działała. Ada napinała się, próbowała, koncentrowała, ale nie działało się nic. Gdyby chociaż wygięła się jakaś łyżeczka albo książka sama spadła z półki – ale nie, nic! Wystarczyło natomiast, żeby Ada została sama, a zaraz działy się rzeczy niezwykle, takie, których określenie zabrałoby autorce z całą pewnością więcej niż pół strony, a w które nikt poza Adą nie wierzył.

Bo jak mógł uwierzyć, skoro ich nigdy nie widział? I właśnie dlatego Ada postanowiła zamknąć swój salon wróżb i magii. Co zamiast?

– Ubezpieczenia – powiedziała do siebie, wciąż wpatrzona w przestrzeń za oknem.

Z kronikarskiej przyzwoitości należy wspomnieć, że przez jej głowę przemknęła również myśl o daniu nura z okna na chodnik, ale przed zrealizowaniem tego jakże ekscytującego manewru powstrzymała ją miłość do Lenki, której od śmierci siostry trochę matkowała.

– Ubezpieczenia są fajne – wytłumaczyła samej sobie, jednak bez większego przekonania. – A Lenka jest już dorosła –dodała po chwili, otwierając na oścież okno i stawiając nogę na parapecie.

Gdy po krótkim okresie stękania, wspinania się i narzekania na parapety niedostosowane do potrzeb samobójczych Ada podjęła decyzję o skoku, ktoś zadzwonił do drzwi.

Postanowiła go olać.

Ktoś zadzwonił jeszcze raz. I jeszcze raz. Musiało mu strasznie zależeć.

Ada zdenerwowała się.

– Cholera jasna! – krzyknęła. – Dajcie człowiekowi spokojnie się zabić, cholera!

Drzwi jakby zawstydziły się i na chwilę zapadła cisza. Gdy Ada wróciła do swoich zajęć, dzwonek plus łomotanie dosłownie zatrzęsły mieszkaniem.

– Ada, otwieraaaaaj! – wydarły się drzwi. Ada zawahała się z jedną nogą na zewnątrz.

– Lenka? – zapytała.

– Taaak!!! – wrzasnęło zza drzwi. – Co tam robisz, kurczę?!

Ada szybko rozważyła możliwość szczegółowego poinformowania siostrzenicy w tej sprawie, po chwili uznając to jednak za kiepski pomysł.

– Nic – skłamała. – Idę już, nie wal tak.

Po chwili Lenka siedziała przy okrągłym stole w mieszkaniu ciotki, oglądając jej dyplom magistra.

– Ubezpieczenia, mówisz. – Zamyśliła się. – Może wreszcie staniesz na nogi.

Ada krzątała się obok, przygotowując kawę.

– To się okaże. W każdym razie nie mam wyjścia. Jaką chcesz?

Lenka zdrapywała właśnie z kartki coś dziwnego, co zatłuściło dyplom Ady.

– Z kardamonem. To chyba jakieś ciastko – poinformowała, oglądając zdrapany okruszek.

Ada otworzyła szafkę. Kardamon się skończył. Postanowiła jednak poradzić sobie bez niego. Wsypała do rondelka szczyptę sproszkowanej wanilii i zaczęła przeplatać palcami nad gotującą się kawą.

Lenka ze zdziwieniem spojrzała na Adę.

– Co robisz?

Ada szybko zabrała rękę. Postanowiła nie przyznawać się siostrzenicy, że skomplikowany ruch jej dłoni był starożytnym czarem, który miał podnosić walory smakowe potraw. W tym wypadku miał zamienić wanilię w kardamon.

– Ogrzewałam... te... palce.

Ada postawiła filiżanki na stole i naląła doń zawiesistego płynu. Lenka wzięła łyk kawy i skrzywiła się.

– Na pewno dodałaś kardamon? Bo smakuje jak wanilia.

Ada westchnęła. Mogła się spodziewać, że czar nie wyjdzie; w końcu nie była sama.

– Musiałam się pomylić. – Siorbnęła kawy. – Powiesz wreszcie, czemu tak waliłaś?

Lenka poprawiła się na krześle. Dopiero teraz zajęta swoimi egzystencjalnymi problemami Ada zauważyła, że jej siostrzenica jest dziwnie czymś podekscytowana.

– Oskar Brzóska zaprosił mnie na kawę.

Ada zamarła. Słyszała o tym Brzósce już parę razy i wcale jej się nie podobał. Lenka kochała się w nim jak nastolatka, a zdaniem Ady facet w ogóle nie był tego wart. Za ładny, zbyt pewny siebie, za bardzo rozpuszczony przez kobiety.

Ada dolała sobie kawy, chrząknęła dla kurażu i spróbowała przyjąć matczyne ton. Niespecjalnie jej się to zazwyczaj udawało. Jej siostra zmarła niedługo po narodzinach Lenki, gdy Ada była głupawym, nastoletnim podlotkiem, średnio zainteresowanym wychowywaniem ryczącego niemowlęcia. Na szczęście w pierwszych latach życia Lenki jej ojciec, profesor socjologii, zajmował się nią w miarę regularnie, o ile nie miał właśnie jakiegoś ważnego odczytu za granicą. Gdy Lenka skończyła dziesięć lat, tatuś profesor dał nogę z kraju i zaszył się gdzieś nad Amazonką, w pełni poświęcając się poważnym studiom nad naturą dzikich, półnagich kobiet. Lenka została więc z Adą, która chcąc nie chcąc od tego czasu zaczęła jej nieporadnie matkować. Mniej więcej w tym czasie ojciec Lenki zgodził się, żeby nosiła nazwisko swojej matki – Ada przyjęła tę decyzję z ogromną satysfakcją.

– A czego od ciebie chce? – zapytała. Lenka zdenerwowała się.

– Ale o co ci chodzi? To już facet nie może mnie tak po prostu zaprosić na kawę?

Ada wzruszyła ramionami.

– Jasne, że może. Ale nie ten facet.

Lenka posmutniała.

– Bo co? Jestem dla niego za brzydka?

Ada podniosła filiżankę, udając, że dopija resztki. W rzeczywistości grała na zwłokę, bo nie bardzo wiedziała, co w takiej sytuacji jako prawie matka powinna odpowiedzieć.

– Jesteś piękna, tylko tacy jak on tego nie dostrzegają. Przynajmniej większość z nich – oznajmiła po chwili.

Zamilkły. Lenka wstała od stołu i odwróciła się w stronę okna.

– Poprosił mnie o pomoc. Pisze artykuł o Henryku Frycu. To ten matematyk, co miał z nami wykłady na studiach. I Oskar zapytał, czy z nim trochę nad tym dziś nie posiedzę. Przy kawie – dokończyła, zgaszonym głosem.

Ada westchnęła. Gdyby dorwała tego Wierzbę czy jak mu tam, raczej nie zachowywałaby się jak dama. A to palant!

– A... to miłe – wydukała. W oczach Lenki (która nagle odwróciła się w jej stronę) zobaczyła wdzięczność, więc, wściekła na samą siebie, brnęła dalej: – Czasami mężczyźni szukają wymówek, żeby się spotkać z kobietą, która... – tu Lenka dosłownie pojaśniała – im się podoba – dokończyła z bólem.

Przeczuwała, że w wypadku Brzóska chodziło tylko i wyłącznie o skorzystanie z wiedzy Lenki, ale nie miała serca odbierać jej słodkich złudzeń.

Lenka okręciła się. Jej szara spódniczka zatoczyła nieporadne koło. Ada popatrzyła na nią ze smutkiem. Przydałby się jej porządny facet, a nie taki cwaniaczek od siedmiu boleści.

– Siadaj, bo się przewrócisz – poprosiła, ale Lenka tylko klasnęła w dłonie i jak strzała wybiegła do sąsiedniego pokoju.

– Pożyczę tę zieloną sukienkę! – krzyknęła po chwili podekscytowanym głosem.

Ada nie miała zielonego pojęcia, o jaką sukienkę chodzi.

Gdy Lenka wyszła do siebie, przyszykować się na spotkanie z Oskarem, Ada zamknęła się w pokoju, który dotąd służył jej za gabinet wróżbiarski. Było to bardzo ciekawe wnętrze. Ściany białe, gdzieniegdzie pokryte malowanymi przez Adę inskrypcjami w dziwnych językach. Kiedyś jedna z klientek zapytała o znaczenie tych napisów. Ada naprędce zełgała, że to magiczne hasła i ich wypowiedzenie o niewłaściwej porze oraz w niewłaściwej intonacji mogło spowodować wieczne kłopoty na wszystkich, którzy je usłyszeli. Na przykład niekończące się zaparcia. Albo wręcz odwrotnie: biegunki o objętości... no cóż, starczy powiedzieć, że znacznej. Ale jeśli klientka bardzo nalega, to Ada chętnie przeczyta, a więc... Klientka nie była zainteresowana. Odechciało jej się też dalszej wróżby, za którą zresztą z góry zapłaciła. Ada oddała jej pieniądze, bo nie uznawała zarobku niepodpartego odpowiednim wysiłkiem.

Co do inskrypcji pokrywających ściany pokoju, do którego Ada właśnie weszła, były to w istocie nic nieznaczące teksty z gazety, którą kiedyś niechcący zabrała z jednego ze światów alternatywnych. W naszym świecie gazeta wytrwała kilka godzin (co i tak stanowiło rekord w prywatnym rankingu Ady), by później z hukiem się zdekwantyzować. Oczywiście nikt nie uwierzyłby w jej opowieść, więc na wszelki wypadek zepchnęła tę historię do tylnej szuflady w swojej głowie.

Poza białymi ścianami pokój wyróżniał pewien dość niezwykły detal: otóż jego całe wyposażenie – to jest stół, krzesła, komódka i szafa – znajdowało się na suficie. Urządzając mieszkanie, Ada poprosiła o pomoc syna sąsiadów, który za opłatą przytwierdził meble do sufitu. Nawet obrus na stole był przyczepiony do blatu kilkunastoma pinezkami. Co ciekawe, z szafy i komódki można było korzystać – jedynie szuflady trzeba było odwrócić do góry nogami. Żeby zajrzeć do najniższych półek, Ada wdrapywała się na

rozkładaną drabinkę (trzymała ją w kuchni) albo używała parasolki na długim kijku. Najniższe półki – jak można to sobie łatwo wyobrazić – znajdowały się bowiem najwyżej, tuż przy dawnym suficie.

Problemu nie stanowiła też szklana kula – ją Ada po prostu za każdym razem przynosiła z kuchni.

Najciekawsza była jednak podłoga pokoju. Jak przystało na porządny sufit, jedyną rzeczą, jaka się tam znajdowała, był żyrandol. Ada zrezygnowała z wiszącego, bo ten, leżąc, grzał się potwornie i kiedyś prawie spowodował pożar. Kupiła więc żyrandol na sztywnej rączce, z trzema kulami przytwierdzonymi do niej. Ostрым nożykiem odtworzyła nawet na dawnej podłodze charakterystyczne pęknięcia, jakie czasem tworzą się na sufitach pod wpływem nacisku wyższych kondygnacji. Trzeba przyznać, że wyglądało to niesamowicie.

Gdy przychodzili klienci, Ada siadała z nimi na podłodze, czyli suficie, i zaczynała wróżbę lub czarowanie. Nikt nigdy nie skarżył się na takie nietypowe warunki – ludzie zazwyczaj byli zbyt oszołomieni wyglądem pokoju i zapominali języka w gębie. Jedyną osobą, która zadała magiczne pytanie: – Czy ci, Ada, już do końca odbiło? – była Lenka. Ada nawet nie poczuła się urażona.

– Być może – odparła, prawdopodobnie zgodnie z prawdą.

– Po prostu kiedyś przyśniło mi się, że pokój do wróżb ma właśnie tak wyglądać. Wydaje mi się, że to ma jakiś sens, ale na razie nie wiem jaki. Może się kiedyś dowiem.

Tyle o wyglądzie pokoju, w którym Ada właśnie zamykała żaluzje w oknach, zapalała świece i kadzidełka o zapachu paczuli. Następnie, wspiawszy się po rozkładanej drabince, zajrzała do jednej z szuflad komody i wyjęła z niej karty tarota. Zlazła z drabinki, usiadła na suficie i rozpoczęła wróżbę.

Tarot na początku odmawiał współpracy. Było to prawdopodobnie związane z pogorszeniem pogody i szalejącym ciśnieniem, a może karty zrozumiały, że Ada zwija wróżbiarski interes i poczuły się w związku z tym porzucone, zaniedbane i ogólnie bez prawa do zasiłku. Ada miała jednak swoje sposoby. Przemówiła do nich czułym głosem, pogładziła je i obiecała, że nigdy ich nie opuści.

– Gdziekolwiek ja, tam wy – zapowiedziała. – Dlatego proszę się już nie dąsać, bo mam sprawę.

Udobruchany tarot zaczął wreszcie gadać. Ada spojrzała na układ, który wypłynął spod jej palców. I momentalnie się zdenerwowała.

– Przestań się ze mną zabawiać! – krzyknęła, zirytowana. – Myślisz, że to śmieszne?

Karty mówiły bowiem rzeczy, które nie miały sensu. Rozłożyła je jeszcze raz.

To samo. Najpierw zdenerwowała się i chciała nawet cisnąć kartami o ścianę, ale po chwili zamarła. A co, jeśli...?

– A może to prawda? – powiedziała i jeszcze raz spojrzała na układ kart. Wyglądało na to, że Lenka i Brzóska... Aż zabrakło jej tchu. – Dobry Boże – powiedziała. – Nie wierzę.

Następnie wyszła z pokoju i w kuchni wypła duszkiem pół litra mleka.

Do kawiarni, w której umówił się z Lenką, Oskar Brzóska dotarł spóźniony. Miał taki zwyczaj, że na spotkanie z kobietą nigdy nie przychodził na czas. I nie zdarzyło mu się jeszcze, żeby jakaś dziewczyna zgłosiła sprzeciw. Czekwały, pełne rosnącego napięcia i lęku, czy przypadkiem w międzyczasie z nich nie zrezygnował. Gdy się wreszcie pojawiał, zazwyczaj piętnaście, dwadzieścia minut po czasie, kobiety drżały i trzepotały rękami,

czując się wyróżnione jego obecnością. Można nawet powiedzieć, że je w ten sposób w jakimś sensie dowartościowywał .

Lenka przyszła przed czasem. Usiadła przy zarezerwowanym stoliku, ubrana w zieloną sukienkę Ady, pamiętającą erę hipisów. Sukienka była rozkloszowana na dole, a dekolot miała przyozdobiony kwiatami z tkaniny. Do rękawków z niewiadomych przyczyn przszyto frędzle. Gdyby Ada zorientowała się zawczasu, o którą sukienkę Lence chodziło, nigdy nie pozwoliłaby jej włożyć czegoś takiego na spotkanie z Oskarem. Lenka, niestety, nie miała gustu.

Gdy Oskar wszedł do kawiarni, mężczyźni, nie uświadamiając sobie tego, bardzo się zdenerwowali. Ich towarzyszki natomiast nagle wyprostowały się, wypięły biusty i ukradkiem zerknęły w stronę przechodzącego bożka. Bożek oczywiście nie zwrócił na nie żadnej uwagi, bo playboyem nie był – chyba że mu się to akurat bardzo opłacało. Gdy dostrzegł siedzącą w rogu sali Lenkę, nieco się zmieszał. Spodziewał się, że nie będzie wyglądała zbyt pociągająco i, szczerze mówiąc, nawet mu to odpowiadało. Ale Lenka wyglądała fatalnie. Potwornie. Komicznie. Niezgrabnie. Jakoś tak... żabio. Spróbował się jednak uśmiechnąć.

– Cześć – powiedział, podchodząc do stolika. Następnie nachylił się i cmoknął Lenkę w policzek. Norma.

Nic nieznaczący gest. Przecież w jego środowisku wszyscy się tak witali, niestety, ostatnio coraz częściej również mężczyźni.

Lence odjęło mowę. Oskar pachniał niesamowicie. Zakręciło się jej w głowie, świat na chwilę przestał istnieć, wszystko straciło sens poza tym jednym facetem, stojącym tu, przed nią.

Oskar usiadł przy stoliku.

– Zamówiłaś już coś? – zapytał.

Lenka nie rozumiała. Zamówić coś – zaniemówić coś – namówić coś – omówić...

– Pytałem, czy coś zamówiłaś? – powtórzył Oskar. – Chcę zawołać kelnera.

Lenka kiwnęła głową. Jakimś cudem wreszcie do niej dotarło, co mówił.

– Wodę.

Oskar uśmiechnął się grzecznie.

– Super. Przepraszam! – krzyknął do kelnera. – Espresso z rumem, jeśli można.

Lenka patrzyła jak zaczarowana. Wow. Espresso z rumem. Esss–prre–ssso. Zzz. Rrrummmemmm.

Oskar odchrząknął.

– Nie wiem, zaczynamy teraz, czy za chwilę?

Lenka z trudem ocknęła się.

– Dobrze, możemy teraz, tak.

Oskar skinął głową i wyjął z torby książkę Fryca. Lenka zachowywała się jego zdaniem tak dziwacznie, że zaczął się zastanawiać, czy to na pewno ta sama – ponoć genialna – nauczycielka Baśki, którą widywał, odbierając siostrę z korepetycji. Przyjrzał się jej twarzy.

Ta sama. Nigdy nie widział drugiej równie myszowatej kobiety.

– To jest właśnie ta książka – zaczął. – „Matematyka jest magią” by Henryk Fryc – próbował zażartować. – Jak mówiłem, mam w skrócie omówić najważniejsze teorie, tylko za cholerę nie wiem, które to.

Lenka z trudem oderwała wzrok od boskiego Oskara. Wzięła książkę do ręki.

– On właściwie ma jedną teorię, którą po prostu udowadnia na różne sposoby w kolejnych podrozdziałach – powiedziała, kartkując książkę. – Dla

kogoś, kto się na tym nie zna, to rzeczywiście może wyglądać jak zbiór kilkudziesięciu teorii, ale w rzeczywistości to jedna, tylko taka rozciągnięta.

Oskar położył na stoliku dyktafon. Włączył nagrywanie.

– Możesz to powtórzyć? Ja sobie wszystko nagram, a potem spiszę. Tak chyba będzie szybciej.

Lenka uśmiechnęła się, zachwycona.

– Oczywiście, świetny pomysł.

I zaczęła wykład. Trwało to niespełna godzinę. Oskar podziękował sobie w duchu, że wziął cyfrowy dyktafon, kasetę musiałby przekładać.

Kilka kobiet, siedzących przy dalszych stolikach, co chwila zawistnie zerkało w ich stronę. Ta scenka nie mieściła im się w głowach: oto cudnej urody facet siedzi przy stole z wybitnie przeciętną, ba! nieco koszmarną dziewczyną, i od godziny cierpliwie słucha jej niekończącego się paplania. Dokonawszy tego spostrzeżenia, panie następnie spojrzały z wyrzutem na swoich partnerów, którym w podobnej sytuacji już po dziesięciu minutach przecież zwiędłyby uszy.

A Oskar słuchał. Gdy Lenka wreszcie skończyła swój pasjonujący wykład, w duszy odetchnął z ulgą. Niestety, trzeba to jeszcze spisać z dyktafonu, ale i tak zaoszczędził dużo czasu. Będzie mógł spokojnie zająć się reportażem dla Rossa.

– To co, idziemy? – zapytał bez ogródek.

Lenka spojrzała na niego, niemile otrzeźwiona.

– Ale to... już?

Oskar wymownie postukał palcem w cyferblat zegarka.

– No tak, zobacz, jest już ósma, późno się zrobiło.

Lenka zmarkotniała. Ada miała rację, pomyślała i po chwili całkowicie straciła humor. Oskar spojrzał na nią badawczo.

– Mam nadzieję, że się na mnie nie obrazisz? – zapytał. – Odwiozę cię. Miałem ciężki tydzień i chyba nie jestem dobrym kompanem do rozmowy.

Lenka kiwnęła głową.

– Jasne.

Wstali od stolika. Kobiety odprowadziły ich dziwnym wzrokiem.

Gdy wyszli z kawiarni, Oskar westchnął ciężko. Przypomnił sobie, co o Rossie mówiła Julia. Że zazwyczaj daje tylko jedną szansę... Lenka zastrzygła uszami – wzdycha! Kochany! Momentalnie odzyskała humor. Rzeczywiście jest zmęczony! – pomyślała. Biedaczek, zapracowuje się. A ja, głupia, myślałam, że mnie olewa.

Oskar otworzył jej drzwi do samochodu, co dodatkowo podniosło ją na duchu. Dżentelmen – oceniła z dumą.

Z kawiarni do mieszkania Lenki było dość daleko. Na dodatek piątkowy wieczór nie należał do spokojnych. Samochodów było sporo, jakby po spędzeniu pięciu dni non stop w pracy ludzie po raz pierwszy od tygodnia wracali do swoich domów. Mimo wieczornej godziny stanęli więc w korku na jednym z mostów.

– Długo pracujesz w szkole? – zagał Oskar.

Lenka uśmiechnęła się nieśmiało.

– Od studiów. Prawie pięć lat.

– To sporo – ocenił Oskar. – Mam na myśli, że nie jesteś już jakimś żółtodziobem.

Lenka westchnęła. .

– Niby nie jestem, ale... .

–Ale...?

– Niektórzy wciąż tak mnie traktują. Nie wiem, skąd się to bierze.

Oskar zerknął na Lenkę. Idź do fryzjera, to im przejdzie, pomyślał, rozbawiony.

– A ty... – ostrożnie zaczęła Lenka. – Długo pracujesz w redakcji?

– Trzy lata. Wcześniej byłem w Stanach.

– Na stypendium? – zainteresowała się. – Mnie też proponowali, ale dostałam tę pracę w szkole i tak jakoś zostałam.

– Och, to fajnie – powiedział bez przekonania, postanawiając zmienić temat. Jemu stypendium nie proponowano, po obronie dorabiał sobie w Miami na zmywaku. – Długo chcesz tam jeszcze pracować? Teraz ludzie często zmieniają pracę. W Stanach nawet dziewięć razy w trakcie kariery.

Lenka westchnęła.

– Chyba niedługo. Są jakieś redukcje. Nie wiem, może po prostu będę już tylko... – urwała nagle, zawstydzona.

Oskar zerknął na nią, zaintrygowany.

– Co?

– No... pisała opowiadania – dokończyła Lenka, rumieniąc się. – Takie magiczne. Na razie dla dorosłych, ale chcę też zacząć pisać dla dzieci.

Oskar pokiwał głową z uznaniem.

– Nie taki zły pomysł. To się dobrze sprzedaje. Wiesz, te wszystkie akcje „Czytajmy dzieciom”, ludzie to kupują. W Stanach na pisaniu można się dorobić. Cały czas kombinuję, żeby tam kiedyś wrócić. Gdyby pojawiła się jakaś oferta...

Lenka nie wiedziała, co powiedzieć. Właściwie nigdy nie zastanawiała się, czy można żyć z pisania. A nawet podejrzewała, że nie można. Po prostu była to jej wielka pasja i niespełnione marzenie, które chciała jednak kiedyś zrealizować. Jedna ze szkolnych koleżanek uważała, że książki może pisać

tylko kobieta utrzymywana przez męża. W przeciwnym razie jeśli kiedykolwiek uda jej się zapełnić lodówkę, to chyba tylko kornikami.

„No cóż, radzę... zmień marzenie” – radziła koleżanka, za grosz nie wyobrażając sobie Lenki na ślubnym kobiercu. Oskar wciąż zastanawiał się nad tym, co powiedziała Lenka.

– Gdyby się dobrze sprzedawały, mogłabyś je potem zacząć wydawać. To chyba jeszcze lepszy biznes niż samo pisanie – powiedział tonem znawcy.

Lenka nie miała pojęcia, co jest lepszym biznesem. Zauważyła natomiast, że Oskar minął skrzyżowanie, na którym powinni byli skręcić.

– Cholera – zdenerwował się, gdy mu nieśmiało o tym powiedziała. – To teraz postoiemy w korku w drugą stronę, bo tam dalej nie ma przejazdu.

Jechali jeszcze kilkanaście minut. Niewiele rozmawiając. Gdy podjechali pod dom Lenki, Oskar wyjął telefon.

– To co, dzięki, zadzwonię jakoś – powiedział. To była jego wizytówka. „Dzięki, zadzwonię jakoś” słyszała większość kobiet, z którymi kiedykolwiek się umawiał. A dzwonić i tak zamierzał tylko do Julii Rembiewskiej.

Lenka czekała na coś. Nie bardzo wiedziała na co, ale nie chciała tak po prostu wychodzić już z samochodu. Czuła przez skórę, że jeśli teraz wyjdzie, nie będzie jej dane wrócić.

– Może zajrzysz... na kawę? – rzuciła desperacko, po chwili przypominając sobie ze smutkiem, że Oskar był przecież bardzo zmęczony.

– Nie, dzięki, ja... – zaczął.

Zadzwonił jego telefon. Oskar zerknął na ekranik i się rozpromienił.

– Muszę odebrać, przepraszam.

– Okej – Lenka zrozumiała aluzję. Otworzyła drzwi i wysiadła.

Julia Rembiewska nie lubiła nudy. Nie była do niej zresztą przyzwyczajona. Jej życie było wesołe, urozmaicone i tak płytkie, że szkoda się o nim rozpisywać. Ważne, że lubiła imprezy, które bardzo chętnie urządzała w domu. Ponieważ zwykle balangi szybko jej się przejadły, zaczęła gustować w przyjęciach tematycznych.

„Wszyscy na biało”.

„Panie topless, panowie w stroju nurka”. „Średniowiecze kontra Gwiazdne Wojny”. Etc.

Ostatni weekend czerwca też trzeba było uczcić. Imprezą. A że sama była zapamiętałą gadzeciara, uznała, że tym razem właśnie osobliwe gadzety powinny być tematem przewodnim.

Dzwoniąc tego dnia do Oskara, wszystko miała już obmyślane.

– Każdy z gości ma przynieść coś, co mu się wydaje najbrzydsze, najmniej gustowne, najbardziej kiczowate. Jakąś ohydę przynieś. Będzie loteria. Zagłosujemy na najbardziej oryginalny gadżet. Wygrana może być bardzo słodka – dodała zmysłowym głosem.

Uznała bowiem, że koleżanki zzielenieją z zazdrości, gdy zobaczą u jej boku takiego faceta jak Oskar. Musiała więc mieć pewność, że Brzóska przyjdzie i że się postara.

– Zaprosiłam Iwo Rossa – rzuciła na koniec, wytaczając tym samym najcięższe działo.

Oskar wsunął słuchawkę do kieszeni marynarki. Zamyślił się. Nagle przypomniał sobie twarz Lenki, gdy bez słowa odjeżdżał spod jej bloku. W jakimś sensie zrobiło mu się jej żal. Zastanowił się. Po chwili wiedział, co zrobi. Zahamował, wrzucił wsteczny i wrócił na parking przed jej domem. Przecież obecność takiej dziewczyny mu nie przeszkodzi, a Lenka?

W porządku, należało jej się coś więcej, w końcu mu pomogła, nie powinien być aż takim chamem. Ta dziewczyna na to nie zasługiwała.

Gdy późnym wieczorem podekscytowana Lenka wpadła do mieszkania Ady, ciotka testowała właśnie nową figurę jogi. Nie wychodziło jej, ponieważ nie potrafiła się uspokoić i wyciszyć myśli. Wciąż miała w głowie to, co powiedział jej tarot. Uznała zresztą ten dzień za przełomowy – po raz drugi w życiu karty doradziły jej coś takiego.

Lenka właściwie nie musiała mówić, z czym przyszła.

– Zaprosił cię na imprezę – wyjęła jej z ust Ada.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się Lenka.

– Stawiałam karty. – Ada skończyła ćwiczyć, wytarła ściereczką spocone czoło i napiła się wody. – Jutro, wieczorem, w jakieś eleganckie miejsce.

– Do apartamentu jego koleżanki. Córki Lwa Rembiewskiego, tego pisarza – wyjaśniła Lenka, naprawdę zdumiona wiedzą ciotki. – Czeka, to niesamowite, jak te twoje karty...

– To będzie wasza przełomowa noc – ciągnęła Ada. – Jeśli jutro się nie postarasz, ucieknę ci. Wyjedzie gdzieś.

– Do Stanów! – krzyknęła zaaferowana Lenka. – Przecież mówił, że gdyby tylko nadarzyła się okazja... Niesamowite.

Ada wyglądała na niewzruszoną.

– Tego nie wiem, być może do Stanów. W każdym razie będzie krucho, jeśli nic nie zrobimy.

Lenka z wrażenia usiadła na krześle. Właściwie nie wierzyła w te wszystkie magiczne brednie, światy alternatywne i inne idiotyzmy. W jej matematycznym umyśle jak dotąd nie było miejsca ani zapotrzebowania na

ten rodzaj wiedzy. Dziwne, że przy takiej konstrukcji intelektualnej pisała te swoje opowiadania.

– No to przypadło – powiedziała.

Ada chciała potwierdzić, zgodzić się, wybić Lence Oskara z głowy, ale nie mogła zapomnieć o tym, co przekazały jej karty.

Jeśli jej nie pomożesz, Lenka odwróci się od ciebie. Na zawsze.

Mogła nie wierzyć. Tarot czasem kłamał. Ale tym razem miała dziwne przeczucie, że mówi prawdę. I nieuzasadniony strach przed tym, co w związku z tym miało nadejść.

– Nic nie przypadło, kotku. – Ada pogładziła Lenkę po włosach. – Karty podpowiedziały, co zrobić, żeby ci nie uciekł.

– Tak?! Co?! – Lenka poderwała się z krzesła.

Ada spojrzała na nią z niepokojem. Siostrzenica nigdy się tak nie zachowywała. Powinna teraz wyśmiać Adę, nastawić czajnik i zrobić kawę. A potem w spokoju przekartkować jakąś gazetę, zaczytując się w tych wszystkich najnudniejszych działach, do których Ada nie miała cierpliwości. Taka zawsze była Lenka – mogłaby zderzyć się czołowo z Obcym, a i tak doszłaby do wniosku, że gość się po prostu tylko zabawnie przebrał. Ale teraz Lenka zachowywała się inaczej, była jak w amoku.

No tak, miłość – pomyślała Ada i dodała na głos:

– Posłuchaj uważnie...

– Najważniejsza jest dokładność. Czasowa precyzja. Wielkie zdyscyplinowanie. Rytuałowi do anioła Asyriela, który według tarota powinniście razem przeprowadzić, towarzyszą trzy założenia. Żadnego nie wolno zlekceważyć. To bardzo ważne. Po pierwsze, rzecz ma się wydarzyć podczas pełni księżyca, w dniu, w którym ustawi się on dokładnie w znaku Wodnika. To oczywiście nie wszystko. Pod uwagę trzeba też wziąć

koniunkcję planet w horoskopie osoby, która ten rytuał zainicjowała (a rytuał zawsze przeprowadza się we dwoje). Czyli w tym wypadku twoim horoskopie. Powinnaś mieć ustawione w opozycji do siebie dwie planety, które są kluczowe dla rytuału. Czyli Marsa i Plutona. Mam książkę, w której są specjalne tablice, można to wszystko wyliczyć. – I co?

– Już ci wyliczyłam. To trochę dziwne... no, nawet ja nie mogłam uwierzyć, ale...

– Ale?...

– Jutro o północy Mars i Pluton w twoim horoskopie ustawią się w idealnej opozycji do siebie nawzajem. Poza tym będzie pełnia i księżyc w znaku Wodnika.

– Wow.

– Właśnie.

– A trzecie założenie?

– Chwilę, zaraz. Najpierw dokończę o rytuale.

– Okej.

– Musisz wziąć ze sobą dwie woskowe świece, kartkę, coś do pisania, czerwoną nitkę. I zapałki. Potem, tuż przed północą, usiąść z Oskarem w jakimś zacisznym miejscu, żeby nikt wam nie przeszkadzał.

– Mhmm.

– Na kartce musicie napisać swoje największe marzenie.

– Zdobyć Oskara. A co on napisze, nie wiem...

– Nieważne. Tarot sugerował, że będzie to coś związanego z pracą.

– W Stanach?

– Raczej w Polsce. W każdym razie, jak już napiszecie te marzenia, składacie kartki i przyczepiacie je do świec.

– Ale chyba... nie trzeba ich mówić na głos? No, tych marzeń?

– Nawet nie wolno. Bo się nie spełnią.

– Uff.

– Przywiążecie czerwoną nitką, potem zapalacie swoje świece. Muszą się spalić doszczętnie, całe, z kartką. Te cienkie woskowe na szczęście szybko się palą.

–I?...

– I już. Wszystko się spełni. Najpierw będzie się działa powoli, przyspieszy w okolicy nowiu, żeby potem, przed kolejną pełnią, spełnić się w stu procentach, tak jak sobie zażyczysz. A teraz najważniejsze. Trzecie założenie mówi, że po przeprowadzeniu rytuału nie wolno przeszkadzać w realizacji marzeń, które zapisało się na kartce.

– Bo co?

– Bo wkurzony Asyriel, moja droga, na zawsze rozdzieli drogi osób, które przeprowadzały razem rytuał. Czyli jeśli potem na chwilę coś ci się odwidzi w związku z Oskarem, Asyriel wyśle go gdzie pieprz rośnie i w życiu już się nie spotkacie, nawet jeśli będziesz tego pragnęła najbardziej na świecie!

– Okej, rozumiem, nie złość się.

– Przepraszam.

– Ale... wiesz co... Ten rytuał, nie obraż się, to jakieś brednie. Ada spoważniała.

– Nie, Helenko. Żadne brednie. Ja już go kiedyś przeprowadziłam.

– Spełniło się?

Ada zagryzła wargi. Oczy jej jakby zawilgotniały.

– Aż za bardzo.

– Okej – powiedziała Lenka, odwracając się do Ady. – Zrobię to.

Do imprezy zostało kilka godzin. Lenka wpadła w istny szal. Postanowiła dopilnować każdego szczegółu związanego ze swoim wyglądem. Ada miała jej towarzyszyć, ale z samego rana poczuła się źle, dopadły ją dziwne bóle głowy i musiała to w spokoju odleżeć. Lenka uspokoiła ją, podkreślając, że sobie poradzi, że najwyżej poprosi w sklepie o coś najmodniejszego. I okej, pójdzie wreszcie do tego piekielnego fryzjera. Ada, z niewiadomych przyczyn, wcale jej nie uwierzyła.

Gdy Lenka ruszyła do sklepów, Oskar usiadł na tarasie swojego mieszkania z laptopem na kolanach. Odebrał go rano od Baśki. Pisał scenariusz nowego reportażu. Nie szło mu. Cały czas coś go rozpraszało: piosenka w radiu, płacz dziecka w sąsiednim mieszkaniu, ochota na kawę. Z tego wszystkiego zapalił. Z błogością zaciągnął się słodkawym dymem. Okej, tylko spokojnie, stary, przemówił w myślach sam do siebie. Zaraz coś wymyślisz. Zaraz musisz coś wymyślić. Bo, jakby, nie masz wyjścia.

Podumał tak jeszcze, po czym pstryknął niedopałkiem i wystukał na klawiaturze trzy wyrazy, za które Arystoteles klepnąłby go z uznaniem po łopacie.

1. *Wstęp.*
2. *Rozwinięcie.*
3. *Zakończenie.*

Pomyślał, że tak będzie mu łatwiej zebrać myśli. Podpisuje sobie do tych punktów wszystkie swoje genialne pomysły, a potem po prostu skróci je, no i otrzyma skondensowany produkt takiej jakości, że nic, tylko iść i nagrywać.

Następnie siedział tak przez kolejną godzinę.

Dwie.

Dwie trzydzieści sześć.

Wreszcie, zdruzgotany, wstał, wrócił do salonu, ze stolika wziął kamerę i na głos postanowił:

– O Jezu, nagram cokolwiek, później będę rzeźbić.

Ubrany w stylu zblazowanego gwiazdora wyszedł z mieszkania i zdecydowanym krokiem udał się na reporterskie łowy.

Tymczasem Lenka łowiła coś innego: ciuchy. Krążyła z szaleństwem w oku po centrum handlowym, desperacko próbując połapać się w tych wszystkich niezliczonych sklepach, sklepikach, butikach, salonach ekspresowej odnowy i Bóg jeden wie czego jeszcze. W życiu nie czuła się tak skołowana. Tu nic do siebie nie pasowało. W jednym sklepie na wystawie królowały groszki, w innym natrętnie promowali ultramarynę. Oczywiście najbardziej przypadła jej do gustu witryna prezentująca ubrania w odcieniach szaroburoczarnych. Z zapalem weszła więc do sklepu, oczyma wyobraźni widząc już siebie otuloną w te wszystkie pyszne angory koloru króliczego, welwety aksamitne jak futerko myszy oraz kaszmiry cudne niczym łebek podgrzybka. Dziwnie się poczuła, gdy profesjonalnie smutna ekspedientka zapytała ją, kim był dla niej zmarły i czy chodzi o strój na pogrzeb, czy również na konsolację. Jak się okazało, sklep specjalizował się w ubraniach dla żałobników.

Lenka, na Boga, wyjdź już stamtąd! Znajdź ruchome schody i wjedź na drugie piętro. Po prawej będzie duży sklep. Tak, ten. Wejdź tam i wybierz cokolwiek. Możesz na chybił trafił. Tam mają same ładne rzeczy. Czekaj. Nie. Nie wychodź. O, do diabła.

I tak Lenka błąkała się po centrum, nie mając kompletnie pojęcia, co kupić. Pomyślała nawet, że może w takim razie najpierw pójdzie do fryzjera,

ale gdy zobaczyła ceny, zrezygnowała. Znalazła drogerię, kupiła nożyczki i farbę do włosów, i postanowiła, że poradzi sobie sama. Przecież to nie mogło być takie znowu trudne.

Wychodząc z centrum, spostrzegła jeszcze jedną szaroburą witrynę. Ci nie sprzedawali na szczęście ubrań żałobnych, ale takie zwyczajne, na ulicę. Lenka sprawiła sobie ładną jej zdaniem sukienkę i gustowne pantofelki, nie oszczędzając również na rajstopach. Co z tego, że czerwiec, lato! Nogi łatwo marzną i można się przeziębic. Adę już coś złapało, więc lepiej było chuchać na zimne. Po czym, zapłaciwszy, zadowolona wyszła ze sklepu. Nawiasem mówiąc, kilka dni później właściciele sklepu zwinęli interes, bo po podsumowaniu miesiąca okazało się, że ich osobliwy gust podzieliła właściwie tylko Lenka, nie licząc kilku ślepych chyba emerytek.

W domu Lenka wsadziła głowę pod kran, a następnie z wielką precyzją odmierzyła przedziałek, zaprojektowała grzywkę i dokonała pierwszego cięcia. Wyszło jej w miarę prosto. Pomanewrowała jeszcze chwilę nożyczkami, modelując po bokach twarzy coś na kształt pejsów. Potem przejrzała się krytycznie w lustrze, dochodząc do wniosku, że z tyłu włosy to chyba ma już za długie, nachyliła się więc i ciachnęła, skracając końcówki o jakieś dziesięć centymetrów. Następnie przejrzała się jeszcze raz. Tak, generalnie o to chodziło.

Po trwającym jakieś dziesięć minut zabiegu modelowania włosów przyszedł czas na ich farbowanie. Lenka miała to robić pierwszy raz w życiu.

– Do odważnych świat należy – powiedziała pod nosem.

Świat, informowany o tej zasadzie od wieków, po raz kolejny się zdenerwował, nie czując się jakoś specjalnie przynależny do kogokolwiek. „Wysiadam”, oznajmił, po czym spróbował wyjść z walizką i złapać okazję.

Niestety, jego tragedia polegała właśnie na tym, że nie miał dokąd pójść, ba! on nawet nie miał skąd wyjść.

Lenka tymczasem rozpakowała pudełko z farbą. W środku była jakaś ogromna ulotka w kilku językach. Przeleciała po niej wzrokiem. Same głupoty. Najważniejsze: farbę zmyć po trzydziestu minutach. Wspaniale. W takim razie nałoży ją sobie i pójdzie skończyć opowiadanie, które zaczęła pisać poprzedniego dnia. Wzięła miseczkę i pędzelek, nałożyła rękawiczki i zmieszała emulsję aktywującą z tym czymś w drugiej tubce. Otrzymała fioletową maz, którą następnie z pewnym trudem i ochlapując pół łazienki, nałożyła na włosy. Spojrzała w lustro. Chyba równo nałożyła. Następnie spojrzała na zegarek, odliczyła trzydzieści minut i poszła do pokoju. Usiadła przed komputerem i zajęła się swoją literaturą.

Godzinę później wciąż pisała „De gustibus”. Wciągnęło ją bez reszty. Dusze dorwały się właśnie do uszpiętego ciała, próbując wejść do środka przez oko. Może to właśnie przez te dusze, a może z jakiegoś innego powodu, Ryży nagle wskoczył Lence na kolana i żałośnie zamiauczał, oświadczając, że od tego pisania zrobił się głodny. Lenka machinalnie pogłaskała kota. Po chwili kichnęła, obryzgując farbą klawiaturę komputera. Wtedy na szczęście przypomniała sobie, co ma na włosach.

Ryży próbował przytrzymać się pazurami tego uciekającego czegoś, ale był bez szans. Spadł na dywan, pisnął i obrażony odmaszerował w stronę balkonu, oddając się po chwili pasjonującej wspinaczce po zasłonie. Tymczasem Lenka dopadła do kranu w łazience, wsadziła głowę pod wodę i zaczęła splukiwać farbę. Trwało to kilka minut. Gdy wreszcie pozbyła się resztek fioletowej mazi, rozczesała włosy i zerknęła w lustro. Jakoś... nie zauważyła różnicy, za to przy nasadzie włosów dostrzegła różowe kropki.

Przyjrzała im się. Coś podobnego wykwiatało jej na skórze, gdy przesadzała ze słońcem.

– Uczulenie jakieś – zawyrokowała. – Przypudruje się.

Zaczesała włosy, wysuszyła, nałożyła puder na uczulenie. Następnie zapaliła więcej świateł w łazience i z zainteresowaniem spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Jej nowo obcięta grzywka i skrócone pejsy były koloru oberżynowego, całkiem ładnego swoją drogą. Włosy za uszami i na czubku głowy właściwie też. Niestety, tył włosów, to jest ich znakomita większość, pozostał koloru mysiego. Naturalnego. Najwyraźniej

– Świetnie – podsumowała, z niewiadomych przyczyn zadowolona z osiągniętego efektu. – W sumie tak... oryginalnie.

Innego zdania był Oskar, który dwie godziny później przyjechał po Lenkę. Gdy otworzyła mu drzwi, podekscytowana i zaróżowiona (uczulenie tymczasem zeszło trochę pod ucho), w tych swoich babcinych paskudnych szarościach i czymś bardzo dziwnym na głowie, chciał zwać, uciec, schować się gdzieś, zmienić tożsamość, obywatelstwo, płeć, a może nawet i stan skupienia. To, co zobaczył, było straszne. Po prostu ohyda.

Ohyda?

I wtedy sobie przypomniał.

„Każdy z gości ma przynieść coś, co mu się wydaje najbrzydsze, najmniej gustowne, najbardziej kiczowate. Jakąś ohydę przynieś. Będzie loteria. Zagłosujemy na najbardziej oryginalny gadżet. Wygrana może być bardzo słodka”.

Pomyślał o leżącym na tylnym siedzeniu auta ogrodowym krasnoludku z czerwonym nosem i sprośnymi oczami, którego chciał zgłosić na konkurs. Też ohyda, ale przecież nie tak oryginalna.

Lenka zaprosiła go do środka. Mieszkanie było, trzeba to uczciwie przyznać, równie straszne jak jego właścicielka.

– To ja tylko umaluję usta i możemy iść.

Oskar spojrzał na nią, zachwycony. Nie Lenką; swoim pomysłem.

– Super. Nawet nie wiesz, jak się cieszę.

Lenka zawstydzona, po czym podbiegła do lustra i trzęsącymi się rękoma zaczęła szukać pomadki w torebce. Nie znalazłszy jej, wytrząsnęła zawartość torby na stół. Po okolicy rozprysnęły się jakieś osobiste drobiazgi, w tym poszukiwana szminka. Lenka, zażenowana, rzuciła się na kolana, zbierając rzeczy. Oskar patrzył na nią zafascynowany. Coś niesamowitego, upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu... Tylko czy tak wypada?

Och, pewnie, że wypada. Nie powie jej przecież ani słowa o konkursie. Dziewczyna nigdy się nie dowie, w jakim charakterze tak naprawdę wystąpi na tej imprezie.

Tymczasem Lenka zaczęła malować usta. Ohydna strażacka czerwień zaczęła wykwitać na jej ustach. Podekscytowana, niechcący wyjechała poza obręb warg. Zauważywszy to, nerwowo starła palcem nadwyżkę koloru. Zniesmaczony Oskar odwrócił wzrok, rozglądając się po pokoju.

– Ładnie mieszkasz – skłamał. Z pewnym trudem mu to przyszło. – Dużo czytasz, widzę.

Podszedł do jednej z szafek i wziął do ręki pierwszą z brzegu książkę.

– Isaac Bashevis Singer – przeczytał. – Lubisz takie rzeczy?

– Trochę – skłamała Lenka. Jej również przyszło to z trudem, bo w rzeczywistości Singera ubóstwiała. – Czasem czytam... dla relaksu.

Oskar uśmiechnął się przyjaźnie i usiadł na kanapie, niechcący przygniatając rozłożone tam kartki. Zerwał się szybko i wziął je do ręki.

– Przepraszam, cholera, chyba nie zgmiotłem za bardzo... „*De gustibus, czyli opowiadanie magiczne*”? – przeczytał z kartki. – A, to te twoje opowiadania, tak?

Lenka, nagle zawstydzona, sięgnęła po nie.

– Tak. Słuchaj, schowam je.

Oskar cofnął rękę. Lenka spojrzała na niego pytająco.

Boże, jaki on idealny! Na ułamek sekundy poszybowała gdzieś wysoko. Jakie szczęście, kurczę! Znalazła mężczyznę swojego życia, co do tego miała pewność... Rozmarzona, wróciła na ziemię.

Oskar uśmiechnął się zawadiacko.

– Daj mi do poczytania – powiedział. – Jestem polonistą, znam się na tym.

Lenka zawahała się.

–Ale...

– No daj. Jak będą dobre, wyślę koledze ze studiów. Jest wydawcą, wiesz – powiedział, podnosząc brew.

Zrobił to nieświadomie. Lenka poczuła natychmiast, że uginają się pod nią nogi.

W tym samym czasie Ada zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, przekazując Lence treść tarotowej wróżby. Krążyła bez sensu po mieszkaniu, próbując znaleźć sobie jakieś miejsce. Gdyby mogła przyspieszyć czas, zrobić coś, żeby było już po tej piekielnej imprezie! Miała szczerą nadzieję, że Brzóska jednak wyśmieje Lenkę i nie zgodzi się na żaden rytuał. Tak by było najlepiej. Asyriel, jak dane jej było sprawdzić na własnej skórze, nie był wcale tak dobrodusznym aniołem, za jakiego niektórzy go brali. Że niby ktoś, kto spełnia marzenia, nie może przecież być zły? A jednak.

Ada położyła się na tapczanie. Za oknem wciąż szalała burza, która po południu naciągnęła nad miasto. Kołysana przez kolejne grzmoty, Ada przykryła się pledem i zamknęła oczy. Miała nadzieję, że zaśnie.

Zasnęła. Sen pojawił się błyskawicznie. Zobaczyła siebie samą, tylko dokładnie jedenaście lat młodszą. Siedziała po turecku na podłodze, a przed nią, w identycznej pozycji, Marcel Rawicz. Jej wielka, szalona, płomienna miłość. Na kartkach pisali właśnie swoje największe marzenia. Śmiali się, żartowali. Ada kochała się w Marcelu na zabój. Często się spotykali, odprawiali rozmaite czary, z których nic nie wychodziło, ale które bardzo ich bawiły, gadali o wszystkim i o niczym, pili kawę z whisky, jedli czereśnie, plując pestkami na balkon sąsiadów. Jak dzieciaki.

Na swojej kartce Ada napisała, że chce założyć rodzinę z Marcelem.

On napisał, że chce wyjechać do Tybetu.

Kilka dni po rytuale, mimo iż Marcel faktycznie zaczął wreszcie patrzeć na Adę jak na atrakcyjną kobietę, strasznie się pokłócili. On dostał szansę wyjazdu na Daleki Wschód, ona chciała, by nie wyjeżdżał. Marcel prosił: uspokój się, przecież wrócę, zawsze marzyłem o Tybecie, nareszcie się spełnia. Ale Ada nie słuchała. Doszła do wniosku, że rytuał to bagno i gnój, a Asyriel to jeszcze większa ścierna niż kremy powiększające biust. Założy rodzinę z Marcelem, jasne. A niby jaką, korespondencyjną?!

Trzasnęła więc drzwiami, wyrzucając Marcela ze swojego życia. Miała dość i nie zamierzała płaszczyć się przed facetem, czekając nie wiadomo ile. Już jej siostra była wystarczająco naiwna, rodzinny limit wyczerpany. Marcel, który był bardzo podobny do Ady, również poczuł się urażony, bo naprawdę zamierzał do niej wrócić i planował już nawet, jak będzie wyglądała ceremonia ich zaślubin. Ale skoro ona nie chciała – w porządku. Narzucanie

się nie było w jego stylu. Zebrał więc manatki, spakował plecak i razem z grupą naukowców wyjechał na rok do Tybetu.

Jakiś czas później w salonie wróżbiarskim Ady pojawiła się pewna kobieta. Dość młoda, kulturalna i bardzo czymś przejęta. Okazało się, że to siostra Marcela. Po jej bracie słuch zagałał. Odłączył się od ludzi, z którymi wyjechał, nie dawał znaku życia. Gdy próbowała znaleźć w jego domowych rzeczach cokolwiek, co mogłoby jakoś naprowadzić ją na jego trop, znalazła ten list. Adresowany do Adelajdy Lipowskiej.

Ada obudziła się, przejęta. Zerwała się z tapczanu i pobiegła do pokoiku wróżb. Z najwyższej, to jest najniższej szuflady komódki wyjęła list. Usiadła obok żyrandola i przeczytała go po raz milion któryś. List był krótki, ale treściwy. Marcel chciał go chyba wysłać, ale z jakichś przyczyn zrezygnował.

Najdroższa!

Jutro wyjeżdżam. To postanowione. Tybet był moim marzeniem od dawna. Zresztą, to o niego poprosiłem tego twojego Asyriela. Widzisz? Wysłuchał. Nie wiem, co Ty napisałaś na swojej kartce, ale życzę Ci z całego serca, żeby i Tobie się spełniło. To śmieszne, wiem, nie wierzyłem w Twoje czary, ale może jednak coś w nich jest.

Nigdy Ci tego nie powiedziałem, ale chyba Cię kocham. Nawet na pewno. Mam nadzieję, że na mnie poczekaasz. Może kiedyś spróbujemy od nowa – jeśli tylko będziesz chciała.

Twój Marcel

Ada wytarła oczy. Znow jej się zaszkliły. Jakiś czas po wizycie siostry ukochanego przeczytała w gazecie, że w jednej z tybetańskich przepaści znaleziono szczątki ciała poszukiwanego od dawna Marcela Rawicza. Zidentyfikowali go po paszporcie, który na szczęście miał przy sobie. Od razu

wiedziała, że to przez nią. Sprzeciwiła się Asyrielowi, to jej odpłacił. Aż za bardzo.

Złożyła ostrożnie list i schowała go do szuflady. Mogła mieć tylko nadzieję, że z Lenką będzie inaczej.

Impreza rozkręcała się w najlepsze. Apartament drżał od muzyki, puszczonej przez wysokiej klasy sprzęt grający, rozmieszczony nie wiadomo gdzie, a według Lenki prawdopodobnie wszędzie. Piękni, zgrabni, kolorowi ludzie wypełniali każdy zakątek mieszkania. Na stole tańczyły dwie modelki, mizdrząc się do jakiegoś gościa, rozpartego na fotelu obok. Piski, wrzaski, dzikie śmiechy. Ktoś schlapał szampanem kilka osób siedzących na kanapie.

Lenka stała samotnie przy stole barowym. Rozglądała się niepewnie. Oskar odszedł na chwilę jakieś trzy godziny temu, skutecznie znikając w przepastnych czeluściach tego pięknego mieszkania. Raz mignął jej w tłumie, ale znów przepadł, zanim zdążyła krzyknąć jego imię. No cóż, miał tu pewnie dużo spraw do załatwienia, przecież jeszcze w samochodzie ją uprzedził, że na imprezie będzie wiele osób z telewizji, w tym pewien bardzo ważny producent, a on właśnie zamierzał się tam przenieść, więc będzie musiał pogadać z nim o tym i owym. Lenka nie zgłosiła sprzeciwu.

Teraz, stojąc samotnie przy barze i sącząc rozwodnioną margeritę, zastanawiała się, czy nie powinna go jakoś intensywniej poszukać. Może przejść się po mieszkaniu? Może zadzwonić do niego? Wszystko, byle już tak nie tkwić tu samotnie jak...

– ... palec – powiedział ktoś za jej plecami.

Odwróciła się. Przy barku stał mężczyzna, do którego wcześniej mizdrzyły się tańczące modelki. Był wysokim, w jakimś sensie przystojnym brunetem, ale raczej nie w jej typie.

– Też tak czasem lubię sobie postać w samotności – dodał. Lenka uśmiechnęła się niepewnie.

– Sama tu jesteś? – zapytał mężczyzna.

– Z kolegą. Ale gdzieś zniknął – wyjaśniła.

Facet przyjął zdziwiony wyraz twarzy. Nic dziwnego, pomyślał.

– Serio? A to palant. Oskar jestem – wyciągnął rękę. – Choć pewnie już wiesz.

Lenka popatrzyła na niego niepewnie.

– Co wiem?

– No, że jestem Oskar – wyjaśnił facet, nagle bardzo czymś zirytowany.

– Oskar Guttman, no.

Lenka nic nie odpowiedziała. Szybko przeczesała pamięć w poszukiwaniu jakichś Guttmanów. Zong.

– Z telewizji – wycedził wreszcie facet, wściekły na siebie, że w ogóle tłumaczy się przed tym potworkiem.

Lenka przyjrzała mu się uważniej. A, to może stąd go kojarzyła... Ale nie, raczej nie. Musiało jej się przywidzieć.

– No tak – powiedziała, nie bardzo wiedząc, jak zareagować w takiej sytuacji.

Guttman wychylił do dna drinka, którego właśnie sobie zrobił.

– A ty skąd jesteś?

– Jak to, skąd? – Zbaraniała. Po chwili doszła jednak do wniosku, że albo ten facet wypił za dużo, albo ona za mało.

– No, w sensie, z radia, prasy, polityki...

– Aaa, o to pytasz – ucieszyła się, rozumiejąc wreszcie jego bełkot. – Ze szkoły.

Tym razem to on spojrział na nią nieprzytomnie. Lenka, na szczęście, szybko kontynuowała:

– Uczę matematyki w gimnazjum.

– Aaa – inteligentnie zareagował Guttman. – A wiesz, to się świetnie składa. Bo my akurat szukamy kogoś, kto by poprowadził nowy program o nauce. Kupiliśmy format – dodał.

Lenka co prawda nie orientowała się w zawiłościach telewizyjnych produkcji, ale w obawie, że będzie musiała dłużej męczyć się rozmową z Guttmanem, wołała się do tego nie przyznawać.

– Może są tam u was jakieś ładne nauczycielki? – zapytał wreszcie. – Masz, to jest moja wizytówka. Dałabyś znać, jakby ci ktoś przyszedł do głowy, niedługo robimy casting – wyjaśnił i odszedł, zwabiony na parkiet przez jedną z modelek.

Lenka schowała wizytówkę do kieszeni i rozejrzała się. Nagle zauważyła coś, co ją momentalnie zmroziło. Otóż wielkimi krokami zbliżała się północ.

W jednym z wielu pokoi mieszkania Oskar Brzóska całował właśnie efektowną córkę literata Rembiewskiego. Julia nie opierała się, choć niespecjalnie też zabiegała o dalszy ciąg. Oskar zauważył jej obojętność i odsunął się na chwilę.

– Coś nie tak, skarbie? – zapytał. Julia wzruszyła ramionami.

– Pić mi się chce – powiedziała takim tonem, jakby przed chwilą, zamiast namiętnego pocałunku, wcieli we dwoje po wielkim kawałku pepperoni.

Oskar zdębiał. Jeszcze przed chwilą był święcie przekonany że właśnie zaklepuje sobie karierę w telewizji, ale teraz, szczerze mówiąc, jakby trochę

zgubił wątek i nie bardzo wiedział, co w ogóle jest grane. Wyglądało na to, że Julia całowała się z nim... z nudów?

– Przynieść ci coś? – zapytał słabym głosem. Nigdy nie był w podobnej sytuacji, więc nie miał w zapasie żadnych awaryjnych scenariuszy; musiał improwizować. – To poczekaj tu, może ci jakąś muzykę włączę i zaraz będę z powrotem.

Z punktu widzenia Oskara Julia zareagowała nieprawidłowo – mianowicie podniosła się i skierowała w stronę drzwi.

– Dzięki, sama pójdę – oświadczyła, podchodząc do wyjścia. W progu zatrzymała się na chwilę. – Za niedługo będzie prezentacja gadżetów – oznajmiła dziwną polszczyzną. – Mam nadzieję, że mnie czymś zaskoczysz – dodała, puszczając do Oskara oko.

Jeszcze kilka minut temu uznałby ten gest za rodzaj flirtu, ale teraz z niemiłym ukłuciem w sercu doszedł do wniosku, że była to tylko kumplowska zaczepka. Niedobrze.

Julia rozchyliła koralikową zasłonę wiszącą w drzwiach, po czym zniknęła w korytarzu. Oskar w pierwszej chwili chciał iść za nią, ale się powstrzymał.

Może to właśnie obojętność na nią zadziałała? – zastanawiał się w duchu. Może ona woli, jak się facet trochę mniej angażuje? Nie potrafił zdecydować. Wyjął więc z kieszeni papierosa, otworzył drzwi tarasowe i, stojąc na progu, zapalił. Spojrzał w przestrzeń rozciągającą się przed nim. Apartament położony był na jedenastym piętrze, więc widoki miał imponujące.

Poza księżycem w pełni, który tamtej nocy przypominał rzuconą do stawu pięcioletówkę (na brzegach srebrzysty, pośrodku jaskrawożółty i poorany ciemniejszymi bruzdami), Oskar ujrzał płataninę ulic, zarysy skwerów i bryły budynków taplających się w miękkim, mlecznym

księżycowym świetle. Po lewej dostrzegł przecinającą miasto rzekę, która aksamitnie połyskiwała, a przerzucone nad nią mosty skojarzyły mu się z fosforyzującymi różańcami. Wciągnął nosem zapach miasta. W powietrzu czuć było wilgoć po burzy, która kilka godzin wcześniej przetoczyła się przez centrum. Padać przestało wczesnym wieczorem, gdy razem z Lenką docierali na imprezę u Julii. Teraz jednak odniósł wrażenie, że znów zbiera się na burzę, bo jakiś niepokój, jakaś zapowiedź czegoś, co jeszcze miało się wydarzyć, tak jakby zaczęły kołysać miastem.

Gdy zza granic miasta dobiegły go pomruki ścierających się chmur, a na niebie pojawiły się pierwsze błyski, za swoimi plecami usłyszał nieśmiało chrząknięcie, po którym nastąpił cichutki kaszelek. Odwrócił się. Na progu stała Lenka Lipowska.

– Szukałam cię – powiedziała, próbując stłumić kolejne kasznięcie.

Oskar uśmiechnął się.

– Właśnie miałem do ciebie wracać – skłamał. – Chyba się zagapiłem, długo mnie nie było?

Lenka wykonała szereg gestów, próbując pokazać mu, że nie, nie ma sprawy, naprawdę nic się nie stało. Gołym okiem było jednak widać, że myśli inaczej.

– Och, przepraszam. – Oskar podrapał się w kark. – No tak, fatalny ze mnie partner.

Lenka chciała się roześmiać, ale zamiast tego dostała ataku kaszlu. Oskar spojrzał na nią niepewnie. Powinien wezwać karetkę czy co? Lenka machnęła ręką w jego stronę.

– Pa... papieros – wydukała. – Mam jakieś... u... uczulenie.

Oskar szybko wyrzucił niedopałek i pomachał rękami, próbując przepędzić na dwór resztki dymu.

– Przepraszam – powiedział. Wziął ją delikatnie pod rękę i posadził na jednej z poduszek, i leżących na podłodze. Pokój urządzone bowiem w stylu chilloutowym (takiego określenia używała Julia), to jest żadnych krzeseł, kanap etc, tylko wszelakich rozmiarów poduszki na podłodze, dobrze zaopatrzone barek i zawsze gotowa do odpalenia shisha.

Lenka ostrożnie usiadła na poduszce, posyłając Oskarowi spojrzenie pełne wdzięczności i zachwytu. Oskar nagle zawstydził się. Niby przyzwyczajony do adoracji ze strony kobiet, tym razem poczuł się zmieszany. W oczach Lenki po prostu zobaczył coś innego. Nie pożądanie i nie chęć imponowania koleżankom, nie zwierzęce pragnienie ani powierzchowny zachwyty.

Jak by to ująć.

Nie tak znów łatwo to ująć.

Może lepiej nie próbować.

Spojrzał jeszcze raz. Lenka uśmiechała się, wyraźnie oszołomiona jego tak bliską obecnością. Miłość. Cholera jasna.

Westchnął. Nie miała baba kłopotu... tak? Niech ona się w nim lepiej nie kocha, dla własnego dobra. Nic z tego przecież nie wyjdzie, a on... dziwne, bardzo dziwne... z jakichś przyczyn nie chciał jej skrzywdzić. Czuł gdzieś w środku, że akurat tej dziewczynie nie powinien mieszać w głowie.

Po chwili przywołał się do porządku, strzelając się w duszy po pysku. Ej, co jest? Gdzie twoja siła, moc, estyma, chłopie? Postanowił zebrać się do kupy i wrócić do starego, dobrego, egoistycznego Ja.

Usiadł naprzeciwko Lenki.

– Już okej? – rzucił.

Lenka skinęła głową.

– Tak, dziękuję. Mam tak od dziecka. Dym z papierosów jakoś mnie tak dusi. Nie wiem, co by się stało, gdybym sama zapaliła.

– Lepiej nawet nie myśleć.

– Tak.

Zapadła cisza. Oskar zauważył, że Lenka nerwowo gmera palcami przy zapięciu swojej torebki. Robiła to odruchowo.

– No więc, powiedz mi, skarbie... – zaczął, ale Lenka nagle weszła mu w słowo.

– Chciałabym zrobić z tobą rytuał magiczny.

Oskar zamarł z jakimś słowem na końcu języka.

– Przepraszam, co? – zdziwił się.

– Rytuał... na spełnienie marzeń – wyjaśniła Lenka. Odwagi, dziewczyno. Teraz albo nigdy, bo ci ucieknie, przypominała sobie w duszy.

Oskar roześmiał się.

– Poważnie mówisz? – Lenka kiwnęła głową. – Bo to nawet zabawne, wiesz. Ciemny pokój, obce mieszkanie i magia, uuu!!! – próbował zażartować, ale po chwili stracił koncept.

Zza okien dobiegł właśnie głośny, złowróżbny pomruk.

– Chyba będzie burza – powiedział niepewnie. – Zamawiałaś ją, czarownico? – zagaił, niespecjalnie jednak przekonany do tego żartu.

Lenka zerknęła w stronę okna. Niech pada, niech się burzy, co tam. Ważne, żeby zrobili już ten piekielny rytuał. Rozejrzała się. Podłoga wyściełana była miękkim dywanem o wysokim włosiu, na którym raczej wolałaby nie stawiać płonących świec. Obok zauważyła na szczęście szklaną tacę, na której stały niedopite drinki. Szybko zestawiała szklanki, umieszczając tacę na dywanie między sobą a Oskarem.

– To jakiś element...?

– Ciii – położyła mu palec na ustach, zaskoczona własną odwagą. –
Zaraz wszystkiego się dowiesz, okej?

Zaintrygowany Oskar pokiwał głową. Posiedzi tu trochę z tą małą
myszą, nie ma sprawy. Może tymczasem Julia zauważy jego nieobecność i
zrobi się zazdrosna? Niewykluczone, że właśnie to był sposób na
Rembiewską.

Tymczasem Lenka z wciąż przewieszanej przez ramię torebki wyjęła
dwie świece, zapalki, kartkę papieru, szpulkę czerwonych nici i coś do
pisania. Wszystkie te rzeczy położyła na szklanej tacy.

– To co, mamy zaczynać? – zapytał Oskar.

Lenka potaknęła i przesunęła w jego stronę jedną ze świec.

– Ta jest twoja.

Następnie wzięła do ręki kartkę i przedarła ją na pół, po czym jedną
część podała Brzóskiemu.

– Napisz tu swoje największe marzenie. Coś, czego najbardziej
pragniesz...

Potem wyjaśniła Oskarowi, na czym polega rytuał, kiedy należy go robić
(że właśnie teraz) i odliczyła do trzech, wspierana niepokojącymi odgłosami
rozpoczynającej się za oknami burzy.

– Okej, teraz piszemy marzenie. Oskar napisał:

Kariera w telewizji

Następnie złożył kartkę we czworo i nieco nieudolnie przywiązał ją
nitką do świecy.

Lenka z wielkim przejęciem cyzelowała kolejne literki:

Zdobyć Oskara

Chciała już złożyć kartkę, ale w ostatniej chwili zatrzymała się i
zastanowiła. W jej życiu było przecież jeszcze coś poza Oskarem. Uczniowie i

matematyka. Zamyśliła się. No przecież. Była tam jeszcze ta jedna, ważna, wymarzona rzecz. Dopisała:

oraz wydać książkę

Dopiero wtedy poskładała kartkę i przywiązała ją do swojej świecy. – A teraz... – zaczęła.

Zachłanny jęzor deszczu trzepnął o szyby, a na parkingu przed blokiem w jakimś samochodzie włączył się alarm. Oskar machinalnie odwrócił głowę w stronę okna i przez chwilę miał wrażenie, że na tarasie widzi poruszający się cień.

– Zapalamy.

I wtedy usłyszał odgłos podobny do szmeru rozchylanych koralików.

– Szukałam cię.

W drzwiach stała Julia Rembiewska. Koraliki z zasłony leżały na jej ramionach. Oskar rozpromienił się. Czyżby zadziało? Zaczęła go szukać, to znaczy, że jej na nim jednak zależało.

– Chciałam pogadać – dodała Julia, cofając się do korytarza. Oskar poderwał się.

– Zaraz wrócę i dokończymy – poinformował Lenkę i szybko wyszedł z pokoju.

Lenka podniosła się i ostrożnie podeszła do koralikowej zasłony. Gdyby w ogóle obchodziło ją w tej chwili to, co działo się za oknem, zauważyłaby, że przez taras przesunął się jakiś niespokojny cień.

Zasmucona, ostrożnie rozchyliła koraliki. Na korytarzu Oskar rozmawiał z Julią. Dotykał jej pleców i patrzył w ten charakterystyczny sposób, który sprawił, że Lenkę coś ukłuło w serce. Julia natomiast ewidentnie kokietowała Brzóskiego. Kręciła palcem loczek, zerknęła zaczepnie. Jakieś napięcie wisiało w powietrzu, coś kroilo się między tą parą. W pewnym momencie Oskar

wyjął z kieszeni jakąś kartkę i podał Julii, która – przeczytawszy zapisany na niej tekst – zaśmiała się złośliwie. Lenka nie mogła oderwać od nich wzroku, choć samo patrzenie sprawiało jej dużo bólu. Desperacko pomyślała, że gdyby on, Oskar, pocałował teraz tę dziewczynę, to ona, Lenka, chyba rzuciłaby się w ich stronę i odciągnęłaby tę ślicznotkę za włosy. Bardzo zdrowa reakcja.

Tymczasem tajemniczy cień łażący po tarasie wkroczył do pokoju. Choć wkroczył to za dużo powiedziane – cień, a właściwie młoda, niewysoka kobieta o charakterystycznym orlim nosie, bezszelestnie wślizgnęła się do pokoju przez niedomknięte drzwi balkonowe. Podeszła do szklanej tacy, po czym, tłumiąc śmiech, szybkim ruchem przestawiła miejscami stojące na niej świece. Kontrolnie zerknęła na niczego nieświadomą Lenkę, wciąż patrzącą poprzez koralikową zasłonę, po czym na palcach wróciła na taras. Lało jak z cebra. Orlonosa przemknęła wzdłuż ściany, docierając do drzwi kolejnego pokoju. Weszła do środka i zlała się z imprezowym tłumem.

Orlonosa? Jaka... eee... orlonosa? Ciii. Cierpliwości. Będzie o tym później.

Oskar cmoknął Julię w policzek i cofnął się w stronę pokoju. Julia odbiegła, bawiąc się otrzymaną od niego kartką. Lenka tymczasem wyprysnęła w stronę świec i usiadła na swoim miejscu. Oskar wszedł do pokoju.

– To co, zapalamy? – zagaił, moszcząc się naprzeciwko Lenki.

Skinęła głową.

Po chwili każde z nich zapaliło swoją świecę. To znaczy – nie swoją. Nieświadoma niczego Lenka patrzyła, jak kartka, przyczepiona do zapalanej przez nią świecy, zajmuje się poszarpanym płomieniem. Kartka z marzeniem o karierze w telewizji.

Oskar zaś, równie zauroczony magnetycznym światłem płomienia, patrzył w zadumie, jak zapala się kartka na jego świecy. Kartka z dwoma marzeniami...

Po chwili otrząsnął się z myśli, które zaczęły zalepiać go od środka. Cienkie woskowe świece właśnie się dopalały.

– Słuchaj, musisz już iść – powiedział do Lenki, podnosząc się z poduszki.

Z sobie tylko znanych powodów nagle nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

Lenka, ucieszona, że rytuał w końcu udało się przeprowadzić, nie miała nic przeciwko.

– Jasne, oczywiście, chodźmy...

– Nie my, ty... – Oskar wszedł jej w słowo, natychmiast obrywając rykoszetem:

– Zwłaszcza, Oskar, że tam się chyba fajnie bawią.

I wtedy to usłyszał. Z głębi mieszkania dobiegały szaleńcze śmiechy imprezowiczów. Od razu skojarzył, co się tam właśnie dzieje. I zupełnie stracił ochotę na opuszczanie pokoju w sposób przewidziany przez architekta.

Lenka tymczasem ruszyła już w stronę koralikowej zasłony.

– Czekaj! – krzyknął, chwytając ją za przedramię. Spojrzała na niego nic nierozumiejącym wzrokiem. – Może najpierw wyjdziemy na taras, co?

Lenka zmarszczyła czoło.

– Deszcz pada.

Oskar nie mógł się nie zgodzić.

– No to może, Chryste, sam nie wiem, ale nie idźmy na razie do salonu...

Lenka spojrzała na niego badawczo. Czy to Asyriel... już? Ale tak szybko?! Tylko że ona miała ochotę na tę imprezę, przecież jak dotąd w ogóle

nie miała okazji się na niej pobawić! A teraz, po rytuale, z pomocą Asyriela wszystko mogło wyglądać inaczej.

Wśród koralików na progu znów pojawiła się Rembiewska. Spojrzała na Lenkę, wyraźnie tłumiąc śmiech.

– No, Oskar, chodź już. Kończymy konkurs i chyba wygrasz – rzuciła.

Lenka popatrzyła na Oskara pytająco.

– Konkurs...?

Brzóska wyglądał na człowieka, który nie bardzo wiedział, co robić. I rzeczywiście tak było.

– Julia, słuchaj, zostaw nas na chwilę – powiedział w końcu. Rembiewska wzruszyła ramionami.

– Dobra, masz minutę. Czytałam już na głos twoją kartkę i Ross był zachwycony – powiedziała dobitnie. – Takemu kreatywnemu facetowi to może nawet da więcej czasu, nie musiałbyś dziś zostawiać kasety.

Wyszła. Brzóska chwycił Lenkę za rękę i pociągnął w stronę tarasu.

– Chodź, wyjdziemy przez ten drugi pokój. Stamtąd będzie bliżej do wyjścia.

– Do wyjścia gdzie? – chciała wiedzieć Lenka, oszołomiona całym zajściem.

– Na klatkę schodową – wyjaśnił Brzóska takim tonem, jakby ich aktualne zachowanie było czymś najnormalniejszym na świecie. Lenka wstydziła się pytać dalej, ale szczerze mówiąc, jej się to najnormalniejsze nie wydawało.

Przeszli szybkim krokiem przez sąsiedni pokój, odprowadzeni uważnym wzrokiem dziewczyny o orlim nosie, która z jakimś gościem leżała na jednym z szezlongów, pijąc prosto z butelki. Gdy dotarli do drzwi wyjściowych, Oskar chwycił z wieszaka kurtkę Lenki, szybko narzucając ją jej na ramiona.

– Zjedź na dół, zamówię ci taksówkę – powiedział nagłym tonem, wyprowadzając Lenkę z mieszkania. – Wracaj do domu, okej? To nie jest impreza dla ciebie, to są beznadziejni ludzie, źle byś się bawiła.

–Ale...

– Jedź! – nalegał, wciskając guzik przyzywający windę. – Przepraszam, Lena, nie gniewaj się. Jutro zadzwonię, okej? Znaczy, naprawdę zadzwonię – dodał po chwili, zmieszany.

– Ale Oskar, ja chcę zostać, mi nie przeszkadza, że ci ludzie...

Oskar westchnął i pocałował Lenkę. Tak po prostu. W usta.

Nie jak kolega. Jak mężczyzna.

Gdy po chwili oderwał się od niej, świat Lenki wciąż nie wrócił do swoich normalnych kształtów i zachowań. Kręcił się, jakby ktoś włączył przycisk szybkiego przewijania. Oskar, znacznie mniej skołowany, ba! nieskołowany w ogóle (pocałunek, niestety, nie był romantyczną potrzebą jego organizmu; po prostu chciał w ten sposób zamknąć jej usta i odesłać do domu z przeświadczeniem, że impreza się udała), wepchnął Lenkę do windy. Nawet jej pomachał, zanim zamknęły się drzwi.

Chwilę później Lenka, wciąż nie bardzo świadoma swoich praw i obowiązków, szła przez parking w jakąś stronę. Ociekała deszczem. Było jej obojętne, gdzie dojdzie oraz w jakim stanie się tam stawi. Przecież Oskar ją pocałował!!! Coś zatrąbiło za jej plecami – taksówka. Kierowca wyjrzał przez okno i wykrzyczał jej nazwisko ze znakiem zapytania na końcu. Przemoczona Lenka machinalnie zawróciła i wsiadła do auta. Na szczęście jeszcze pamiętała swój adres.

Ada obudziła się w środku nocy, zlana potem. Jakaś szklistoświelna postać stała u wezłowania jej łóżka, a może tak jej się tylko wydawało. W

każdym razie postanowiła się nią nie przejmować i poleżała jeszcze przez chwilę w ciszy, wsłuchana we własne rozbiegane myśli.

Lenka i Oskar przeprowadzili rytuał. Tego była pewna. Tylko dlaczego tak się nagle zaczęła bać? Dlaczego coś jej się w tym wszystkim coraz mniej podobało?

Mniej więcej w tym czasie ostatni goście opuszczali gościnne progi Lwa Rembiewskiego. Po ich wyjściu Oskar i Julia zakwaterowali się na środku pokoju, na całkiem kosztownym dywanie z miękkiej owczej wełny, oddając się przyjemnościom zarezerwowanym dla widzów dorosłych.

Gdy skończyli, Brzóska, męskim zwyczajem, sięgnął po papierosy i nie do końca ubrany, stanął w otwartych drzwiach tarasowych. Julia przyglądała mu się w zachwycie. Cudny facet. Piękne ramiona. Genialna szyja. Świetne włosy. Doskonały profil. Głębokie spojrzenie. Uśmiech wokalisty rockowego. Pełne wyposażenie, by rozżłościć nawet najmniej zazdrosne koleżanki. Mhm, idealnie.

Oskar, jakby usłyszawszy jej myśli, odwrócił się na chwilę, posyłając Julii ten swój piękny uśmiech, po czym wrócił do przerwanej czynności. Wysupłał z paczki papierosa, włożył do ust i zapalił.

Następnie bardzo się zdziwił.

Ręka, nie konsultując tego z mózgiem, wyjęła mu papierosa z ust i wyrzuciła przez balustradę. Oskar zamarł.

No, jakby, ręce nie powinny robić żadnych rzeczy... same. Przecież, jakby, są do człowieka przyszyte na stałe i na stałe od niego zależne.

Wyjął kolejnego papierosa. Sytuacja się powtórzyła. Niezależna ręka wywalila peta w ciemność nocy, oświetlanej jedynie tłusciutkim księżycem w pełni.

– Co jest, do cholery?! – zdenerwował się Oskar.

– Mówiłeś coś? – wymamrotała z łóżka Julia. Zasnęła już.

Eee?

– Nic, nic – szybko uspokoił ją Oskar. Nie bardzo wiedział, co innego mógłby powiedzieć jej w tej chwili. Że ręka go nie słucha?!

Julia zasnęła, a Brzóska kontynuował starcie z własnym ciałem. Stracił dwanaście papierosów, żadnego nie udało mu się zapalić.

– Upiłem się – poinformował samego siebie i trochę uspokojony tym spostrzeżeniem, skierował się w stronę łóżka, mylnie zakładając, że do niego dotrze. Ciało miało bowiem inny pomysł.

– Do jasnej!... – syknął, gdy z jakichś powodów jego nogi i tułów wykonały w tył zwrot, sadzając go nagle przed komputerem.

Oskar poszamotał się jeszcze chwilę sam z sobą, by wreszcie złożyć broń i pozwolić prowadzić się tej wyższej sile. Jego ręce z wdzięcznością włączyły komputer i wystukały coś na klawiaturze. Po chwili przed zdumionym Oskarem ukazała się strona internetowa. Z ekranu popatrzył na Brzóska pewien całkiem znany prezenter telewizyjny i początkujący producent w jednej osobie. Oskar Guttman. Brzóska, znów jakby wbrew samemu sobie, zagapił się na niego jak sroka w gnat.

Następny dzień rozpoczął się w miarę zwyczajnie. Przynajmniej jeśli idzie o świat. Na chodnikach i ulicach stało może trochę więcej wody niż zwykle, a trawniki były nieco bardziej zaśmiecone, ale poza tym całe to trójwymiarowe uniwersum prezentowało się aż do znudzenia normalnie.

W odróżnieniu od niego mieszkanie pisarza Rembiewskiego przypominało legowisko kociąt, zaskoczonych przez srokę. Butelki, brudne talerze, skopane meble, porzucane płyty i leżąca na dywanie półnaga para. Julia – piękna, długowłosa, długonoga i niezbyt ubrana – obudziła się ze zwiędniętą ręką. Z trudem rozchyliła powieki. Obok niej leżał superprzystojny

Oskar Brzóska. Przypomniała sobie, co wydarzyło się między nimi już po zakończeniu imprezy. Bajka! Momentalnie zdecydowała, że mu pomoże. Przekona Rossa, żeby go zatrudnił. Może da mu na początek jakiś blok w porannej telewizji? Krótkie reportaże, dzięki którym wypłynie na wielkie wody? Przysunęła się do Oskara i objęła jego twarde tors.

– Mhmmm – zamruczała zmysłowo, pozwalając, by jej palce, niczym mały ludzik, przemaszerowały od jego pępka w górę, pokonując splot słoneczny, zarost, grdykę, aż do... I tu Julia znieruchomiała. Palcowy ludzik popatrzył na nią pytająco i z nudów zaczął się bawić własną nogą, zdrapując Oskarowi z brody jakiś pieprzyk.

Otóż Brzóska miał na nosie jej okulary od Dolce & Gabbana. Przeciwsłoneczne.

Julia zamruwała oczami. He? To na kaca tak? Czy o co chodziło, bo ona nie rozumiała.

Oskar obudził się i przez chwilę trawił rzeczywistość. Z trudem przypomniał sobie nocne zmagania z ręką i ciałem, po chwili dochodząc do rozsądnego wniosku, że wszystko po prostu mu się śniło. Pod ręką poczuł coś miękkiego; Julia! Spojrzał na nią, rozmarzony. Julia „Ciało” Rembiewska patrzyła jednak na niego potwornie czymś zdziwiona.

– Czemu się tak... patrzysz? – zapytał, czując bliżej nieokreślony niepokój.

– No bo... te... okulary masz – wyjaśniła.

– Gdzie? – chciał wiedzieć Oskar.

Julia z wrażenia aż usiadła. Nagle zawstydzona, podciągnęła pled, zakrywając nagi biust.

– No... na nosie.

Brzóska też usiadł. Przesunął dłonią po twarzy, zdejmując z niej efektowne Dolce & Gabbany.

– A rzeczywiście – powiedział. – Coś w tym... eee... dziwnego?

Intelekt Rembiewskiej nie przewidywał odpowiedzi na takie pytania w niedzielę o godzinie dziesiątej rano, po średnio przespanej nocy. Spięła się jednak w sobie i odparła:

– No trochę.

– Dlaczego? – zapytał, mając nadzieję, że może nie pamięta jakichś szczegółów ich upojonej nocy, do których należało na przykład zakładanie damskich okularów.

– Bo się zazwyczaj nie śpi w okularach! – zdenerwowała się nagle. – A poza tym, jak się kładliśmy, to ich nie miałeś.

– Nie miałem? – zapytał, trochę bez sensu. – Zabawne, wiesz, ale czuję się tak, jakbym w nich chodził od lat – wyznał szczerze, po chwili żałując tej szczerości. Julia spojrzała na niego bowiem w bardzo dziwny sposób.

Zakłopotany, przeczesał palcami włosy i wstał z łóżka. Rembiewska odprowadziła go wzrokiem. Ten nagi facet był jednak tak idealny, że w gruncie rzeczy mógł sobie rano zakładać na głowę pokrowiec od laptopa, a ona chyba i tak nie byłaby w stanie się do niego zniechęcić.

Oskar włożył spodnie i poszedł do kuchni. Trudno mu było do niej trafić, bo chyba od tego niedospania miał jakieś problemy ze wzrokiem. Mówiąc krótko, krótko widział. Jak przez mgłę. Udało mu się na szczęście dotrzeć do wiszących na kuchennej ścianie szafek i otworzyć jedną z nich. Zaczął czegoś szukać. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę czego: szukał kad... zaraz... kanda... no, tego... egzotycznego, o którym pierwsze słyszał.

Dziwne, pomyślał. Skąd ja w ogóle znam tę nazwę?

Włosy w odpowiedzi stanęły mu dęba. Wbrew samemu sobie i po raz pierwszy w życiu Oskar czuł bowiem, że chyba umrze, jeśli za chwilę nie weźmie solidnego łyka świeżo zaparzonej kawy z kardamonem.

Lenka obudziła się w miarę szybko. Miała dziwny sen. Śniło jej się, że biega z kamerą po okolicy, szukając bezdomnych. Gdy żadnego nie znalazła, zapłaciła jakiemuś mężczyźnie, żeby przebrał się w łachmany i udawał, że żyje na ulicy. Facet okazał się emerytowanym aktorem, więc w swoją rolę wcielił się aż za dobrze. Ślepy by zauważył, że gość udaje. Lenka natomiast skrupulatnie wszystko kręciła.

Obudziła się z dziwnym przeświadczeniem, że musi zanieść do telewizji jakieś DVD. Inne, nie to z bezdomnym.

– Do telewizji? Po co? – powiedziała sama do siebie, strasznie się dziwiąc.

Wstała z łóżka i poszła do łazienki. Nie patrząc w lustro, włożyła głowę pod kran. Umyła dokładnie twarz. Wytarła w ręcznik. Podniosła głowę. Spojrzała na swoje odbicie.

– Chryste Panie! – krzyknęła, krzywiąc się tak, jakby zobaczyła upióra.

Spojrzała jeszcze raz. Co to jest, do cholery? Co to za tapir jakiś, nie obrażając tych uroczych zwierząt? Odgarnęła włosy z twarzy. Uff. Na szczęście rosły tam, gdzie natura przewidziała. Z lustra wciąż patrzyła na nią jednak jakaś bardzo nefajna twarz. Lenka zastanowiła się. Gdzieś w apteczce miała przecież pęsetę. Po chwili, o dziwo całkiem wprawnie, usunęła sobie większość meszku znad linii ust oraz wymodelowała brwi. Spojrzała krytycznie w lustro. Trochę lepiej, ale to jeszcze nie było to, o co jej chodziło. Wróciła do sypialni i na jakiejś znalezionej tam kartce napisała:

– *fryzjer*

– *kosmetyczka*

– *jakieś ćwiczenia, kretynko!*

Po czym, nagle, usiadła tak, jak stała. Zamrugwała oczami. Niemożliwe.

Rozejrzała się. Na stole leżały jej okulary. Wada wzroku: minus trzy i minus cztery plus astygmatyzm. Ale ona widziała te cholerne okulary z odległości kilku metrów! Szybko je założyła. Aaaargh, choleeeera! Zdjęła je jeszcze szybciej. Spojrzała przez nie tylko raz, a głowa już zaczęła ją boleć.

– Niemożliwe – wyszeptała.

A jednak. Krótkowzroczna od dziecka Lenka Lipowska od kilku minut widziała idealnie.

Ada tym razem w ogóle się nie zastanawiała, kto tak wali. Gdy otworzyła drzwi, do mieszkania wpadła Lenka.

– Zrobiliście rytuał, bardzo się cieszę, tylko następnym razem nie wal tak, bo, widzisz, klientów mi straszysz – powiedziała Ada ściszym głosem.

Lenka zamrugwała oczami i wyciągnęła szyję w stronę pokoju wróżb. Był pusty.

– Nie, nie wróżę – odpowiedziała Ada Lence na jej niezadane pytanie i ciągnęła ściszym głosem: – Wysłałam mejla klientom, że zmieniam branżę i jedna właśnie przyszła po doradztwo w sprawie polisy na życie. A dokładnie mąż ją przysłał, żeby nie polazła znów do centrum handlowego. No co, nie patrz tak – obruszyła się, widząc bardzo zdziwione spojrzenie Lenki. – Przecież pokazywałam ci dyplom.

Lenka wzruszyła ramionami.

– No i bardzo dobrze. Zarabiam. Ja sobie poczekam w kuchni.

Ada skinęła głową i wróciła do klientki. Usiadła przed komputerem, kończąc zestawianie najlepszych ofert. Klientka nie zwróciła na nią uwagi, uważnie lustrując swoje długie paznokcie, pokryte gwiazdkami i inną tandetą.

– Najniższa składka mogłaby wynieść trzysta pięć złotych miesięcznie – oznajmiła Ada, drukując przygotowany dokument.

– Aha – odpowiedziała klientka, wciąż wpatrzona w swoje paznokcie.

– To bardzo dobra oferta, moim zdaniem.

– Aha.

– Proszę spokojnie przedyskutować z mężem.

– Aha.

Ada spojrzała ponuro na wyfiokowaną klientkę, która zachowywała się tak, jakby to jej kolorowe pazury informowały ją o szczegółach prezentowanych polis.

– Jestem pingwinem – zaryzykowała Ada, oczekując kolejnego „aha”.

– Aha – poinformowała ją klientka.

Synapsy w jej mózgu podjęły się jednak wyzwania.

– Znaczy, to byłoby tajne hasło do polisy?

Ada poczuła, że zaraz na własnej skórze pozna sens powiedzenia „umrzeć ze śmiechu”.

– Ta polisa nie ma hasła, proszę pani. Polisy nie mają haseł.

– Aha.

Klientka wyjęła pieniądze, zapłaciła za doradztwo i wyszła razem ze swoimi paznokciami i synapsami, które znów układały się do długiego snu, kompletnie nieprzejęte informacją o pingwinie.

Rozbawiona Ada wstała od komputera i poszła do kuchni, gdzie Lenka częstowała się właśnie sałatką z rukoli. Zajadała z takim apetytem, jakby od tygodnia niczego nie miała w ustach.

– Bardzo dobra ta sałatka – powiedziała Lenka. – Czemu jej nigdy u ciebie nie jadłam?

Ada szybkim ruchem zabrała Lence salaterkę.

– Bo jesteś uczulona na orzeszki piniowe. Lepiej wypluj, jeśli jeszcze nie połknęłaś.

Lenka zdumiona spojrzała na sałatkę.

– Tu nie ma orzeszków. Gdyby były, podniebienie by mnie drapało, zawsze tak mam.

Ada pogrzebała w salaterce, wyjmując zeń całkiem sporego orzeszka piniowego. Lenka zastanowiła się chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

– No to najwyraźniej się odczuiliłam.

Napiła się wody. Ada popatrzyła na nią czujnie. Coś było nie tak. Uczulenia nie kończą się z dnia na dzień, a poza tym Lenka... wyglądała inaczej. Ada nie umiała jednak zdecydować, co się zmieniło.

– Robiłaś coś z twarzą? – zapytała ostrożnie.

Lenka kiwnęła głową.

– Trochę brwi i usunęłam wąsik – wyjaśniła spokojnym tonem, co Ada uznała za powód do niepokoju.

– Coś się wydarzyło między tobą a tym Brzóskim?

– Oskarem – dobitnie powiedziała Lenka. – On ma imię wiesz.

Ada naląła sobie kawy i usiadła przy stole, bacznie wpatrzona w Lenkę. Nie potrafiła tego określić wprost, ale instynkt czarownicy mówił jej, że coś tu nie gra, że coś jest nie tak. Poczowała mrowienie w lewej stopie, które zawsze występowało wtedy, gdy znienacka przenosiła się do jednego ze światów alternatywnych.

– Asyriel chyba zadziałał – powiedziała Lenka. – Oskar mnie, wiesz, pocałował. To znaczy, tylko pocałował, nic więcej – dodała, nieco zawstydzona.

Adę замуrowało. Jak to, pocałował?

–I co dalej?

– Ma zadzwonić – szczebiotała Lenka. – Może gdzieś razem wyjdziemy, nie wiem jeszcze.

Ada zamyśliła się. Miłość? To ona ją jakimś cudem tak... odmieniła? Niewykluczone, że w takim razie myliła się jednak co do tego Brzóskego.

– Masz się w co ubrać? – zapytała retorycznie.

Lenka wstała od stołu.

– Miałam nadzieję, że o to zapytasz.

Jakiś czas później rozpoczęły przemarsz przez centrum, zaglądając do ciekawszych sklepów. Ada z zadowoleniem zanotowała, że Lenka, pewnie również pod wpływem zakochania, przestała interesować się szaroburymi ciuchami i zwracała uwagę na rzeczy modne i podkreślające sylwetkę. W pewnym momencie zapytała nawet:

– Nie znasz jakiegoś dobrego fryzjera?

Ada wykonała jeden telefon i godzinę później Lenka siedziała na fotelu fryzjerskim u byłego klienta Ady, Hugo Nowackiego, mistrza nożyczek, posiadającego wadę wymowy i narzeczonego w Niemczech.

– Heleny Chhistensen to ja z ciebie nie zhobię – bezlitośnie poinformował Lenkę. – Ale Ghace Kelly mogą sphóbować.

Sphóbował. Nie wyszło.

– A kto powiedział, że Ghace Kelly jest thendy? – bronił się, gdy Ada zagroziła, że jeśli szybko nie poprawi tego, co spartolił, to ona rzuci na niego taki czar, że... – Dobha, choćę ciehpliwości. Wiem. Kate Moss, ta anohektyczka. Hyzykujesz?

Zahzykowała, nie mając najmniejszego pojęcia, kim jest rzeczona Moss. Tym razem na swoje szczęście. Gdy zadowolony Hugo zawołał Adę, która w tym czasie na stanowisku obok robiła sobie manicure, wszystko było jasne. Lenka znalazła najlepszą dla siebie fryzurę.

– Skarbie, pięknie! – zawołała Ada, ze wzruszeniem ściskając swoją małą dziewczynkę.

– Hównież tak myślę – pochwalił się Hugo, nawet zadowolony, że jego nikt nie ściska. – Tylko że w jej wypadku to dopieho początek. Schodek numeh jeden.

Lenka spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Może i pierwszy schodek, ale jej już zaczynało się podobać.

Tymczasem Oskar, mimo niedzieli, jechał do redakcji. Wychodząc, przyciągnął do siebie Julię stanowczym, męskim ruchem i namiętnie pocałował na pożegnanie. W efekcie Rembiewska poczuła nagle olbrzymią chęć powiedzenia Oskarowi czegoś, co jak dotąd znała tylko z filmów i kanału Discovery.

– Ja cię chyba kocham – wyjawiała, smakując z zainteresowaniem nowe dla niej słowo. Obracała je językiem, badając skomplikowaną strukturę. – Kocham! – powtórzyła, już z większym zdecydowaniem.

Brzóski co prawda zrezygnował z werbalnej reakcji na jej słowa, ale za to pocałował ją jeszcze raz, jak najbardziej rasowy z rasowych kochanków. Gdy odjeżdżał spod jej ultranowoczesnego apartamentowca, Julia wiedziała już, że znalazła mężczyznę swojego życia.

Oskar tego dnia miał dyżur w newsroomie. Monitorował doniesienia agencyjne, oglądał telewizyjne dzienniki, wertował weekendową prasę, nudził się i niemrawo zarządzał równie znużonymi stażystami. Gdy wczesnym popołudniem próbował ratować się przed zaśnięciem kolejną kawą, do redakcji niespodziewanie wpadł naczelny. Przeleciał jak torpeda przez korytarz i zasięgając języka u struchlałych stażystów, odnalazł Brzóskego w kuchni. Ostrożnie zamknął za sobą drzwi, rozejrzał się podejrzliwie, po czym

rozciągnął twarz w niepokojąco promiennym uśmiechu, który sprawił, że Oskarowi nagle z nerwów zaczął drgać mięsień pod okiem.

– Przyjechałem, jak tylko skończyłem – powiedział naczelny, przenikliwie patrząc na Brzóskego.

– To wspaniale – bez sensu odpowiedział Oskar. Zaczął mu drgać drugi mięsień.

Naczelny usiadł przy stole i zabębnił palcami o blat. Oskarowi powoli kończyły się na twarzy niedrgające mięśnie.

– Pan... pan jest... – zaczął naczelny, przesywając Brzóskego stalowym spojrzeniem topielca. – Jak by to powiedzieć... wielki – dokończył, zrzucając bombę na Hiroszimę. – Artykuł o teoriach Henia Fryca to... majstersztyk.

Oskar obejrzał z każdej strony słowo „majstersztyk”, nie znajdując nigdzie niczego odbiegającego od normy.

– Hm, dziękuję – odparł, trochę bez przekonania.

Naczelny znów się uśmiechnął. Tym razem przypominało to grymas ryby serwowanej na wigilijnym stole. Oskar spróbował odpowiedzieć uśmiechem; nie bardzo mu wyszło.

– Nie ma sprawy. Ale nie przyjeżdżałem tu po to, żeby panu słodzić, panie redaktorze – uzupełnił naczelny.

Brzóske nie poczuł się tym ani trochę zdziwiony.

– Ach tak? – powiedział, raczej bez sensu.

– Przefaksowałem artykuł Heniowi. Chce się z panem spotkać. Jak najszybciej, bo wraca do Stanów. Mieszka tam od jakiegoś czasu – wyczerpująco informował naczelny.

Oskar spojrział na naczelnego z pewnym niezrozumieniem faktów. Jak to, najwyższy z najwyższych, wielki naczelny, postrach okolicy i nie tylko,

zjawił się w redakcji w niedzielę tylko po to, żeby zlecić mu wywiad? To nie mógł z tym poczekać do poniedziałku? Albo zadzwonić, na przykład?

– Nie chciałem z tym czekać, bo wyobrażam sobie, że zrobi pan wywiad–rzekę, pełny i wyczerpujący, a do tego trzeba się będzie solidnie przygotować – wyjaśnił naczelny. – Proszę mnie nie zawieść, panie redaktorze. Dowiedziałem się z pewnego źródła, że Henio ma za dwa tygodnie odebrać ważną nagrodę. Międzynarodową! – podkreślił ściszym głosem, uważnie rozglądając się wokół w poszukiwaniu ukrytych kamer i ludzi w czerni. Nie znalazłszy niczego podejrzanego, kontynuował: – Henio obiecał, że nasza gazeta będzie wiedziała o tym pierwsza, ale chce, żeby to zostało powiedziane właśnie w wywiadzie.

Oskar kiwnął głową.

– I zażyczył sobie rozmowy z panem, redaktorze – dokończył naczelny, z niejasnych powodów nagle zdenerwowany własnymi słowami. – I to już w środę.

Brzóska spojrział na naczelnego. Czuł, że za chwilę po prostu zrobi mu

– ...jakąś bardzo bolesną krzywdę! – podkreślił nerwowo.

Siedział w modnej kawiarni w centrum. Julia Rembiewska słuchała go, spokojnie sącząc latte.

– Co się denerwujesz. – Wzruszyła ramionami. – Przecież Baśka ci pomoże. Tak jak ci pomogła przy artykule.

Oskar westchnął. Baśka, to jest Lenka, już mu nie pomoże, bo on nie zamierzał jej o to prosić. Postanowił ostatecznie zerwać z nią kontakt, nie wyobrażał sobie bowiem, jak mógłby spojrzeć jej w oczy po tym, co...

– Zwłaszcza że – ciągnęła Julia z diabelskim ognikiem w oczach – mógłbyś przy tym ugrać coś dla siebie. Skoro naczelny twierdzi, że koleś zaraz zgarnie jakąś ważną nagrodę, nagraj ten wywiad na kamerę. Zaniesiemy

kasetę do Rossa. Wtedy nic od ciebie nie wziął, ale to nie znaczy, że nie można mu jednak czegoś podesłać. Będzie sikał z radości i zobaczysz, od ręki weźmie cię do pracy. A naczelny niech się odpieprzy, jak chciał mieć tajemnicę, mógł sam robić ten wywiad.

Brzóska zamarł. Chciał się oburzyć, nawtykać Julii, że tak nie wypada, że to chamstwo i ogólnie niemoralne podejście, i że kto jak kto, ale on na coś takiego na pewno by się nie zdecydował. Miał przecież swoje zasady, których się trzymał.

Po chwili jednak głębiej przemyślał sprawę, rozważył obecność Rossa w sprawie i w efekcie zmienił zdanie.

Siedzieli w tej samej kawiarni, ale dwie godziny później. Oskar bawił się zapalniczką, Lenka kręciła słomką w szklance wody z cytryną.

– Nie ma sprawy – powiedziała. – Przygotuję ci pytania.

Oskar uśmiechnął się, po czym wyjął z kieszeni paczkę papierosów i odruchowo zważył ją w dłoni. Była prawie pusta.

– A może... – zaczął ostrożnie. – Poszłabyś tam ze mną? Fryc nie musi wiedzieć, że nie jesteś dziennikarką. Powiemy mu, że mi pomagasz jako... asystentka.

Lenka nagle zagapiła się na Oskara. Nie tylko dlatego, że jej się podobał. Po prostu akurat na to nie mogła się zgodzić.

– Tylko że ja...

Oskar dotknął jej dłoni. Lenka nieśmiało spojrzała na niego.

Jest jakaś inna, pomyślał nagle, zaskoczony tym spostrzeżeniem. Świetnie się obcięła, chociaż... jest coś jeszcze.

– Jesteś niezastąpiona – oznajmił. – Bez ciebie mi nie wyjdzie. Od razu tam polegnę. A ty się przecież na tym znasz – dodał z naciskiem.

– Tylko że ja... – zaczęła niepewnie. – To znaczy my, na studiach, mieliśmy z nim wykład. I egzamin...

Oskar wszedł jej w słowo.

– ...pewnie zdałaś na pięć. Widzisz, to nawet lepiej, jak cię rozpozna, zrobimy jeszcze lepszy materiał. – Spojrzał jej prosto w oczy, intensywnie. – Proszę, nie odmawiaj mi – dokończył, ostatecznie wytrącając jej z ręki jakiegokolwiek argumenty przeciw.

Lenka westchnęła.

– Dobrze, pójdę – powiedziała z bólem.

Poczuła, że się denerwuje i że w tej sytuacji po prostu udusi się, jeśli nie... (Nie! Nie wolno!)

...zapali. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, a raczej zastanawiając się, czemu ręka nagle przestała słuchać spanikowanego mózgu, wyjęła Oskarowi paczkę papierosów z ręki. Wysunęła jednego. Trzasnął płomień zapalniczki.

– Lena, czekaj, co ty, przecież mówiłaś, że uczulenie i... – zdenerwował się Oskar.

Urwał, bo Lenka szybko i głęboko zaciągnęła się papierosem, wypuszczając po chwili z ust obłoczek dymu. Oskar kaszlnął. Zasmerzało go w gardle.

Tymczasem Lenka paliła jak zaprogramowana, zupełnie nie umierając od tego.

Oskar kasłał, łzawiąc niczym panna na wydaniu.

Gdy Lenka skończyła, Oskar też przestał. Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa.

– Ja... nie rozumiem – zaczęła Lenka. – Musiałam zapalić. Ale przecież...

– Poszłaś na całość – powiedział Oskar, wypijając po chwili duszkiem swoją porcję wody. – Najwyraźniej już cię nie uczulają.

– A ty...

– A ja paliłem za dużo i widzisz – uciał Brzóska, zde gustowany nieapetycznym zachowaniem własnego organizmu. – Chyba przerzucę się na fajkę, podobno... – nagle znów kaszlnął – mniej szkodzi.

Z kawiarni wyszli jakiś kwadrans później. Brzóska chciał odwiedzić Lenkę do domu, ale ona poprosiła, żeby podrzucił ją w inne miejsce.

Zatrzymali się pod drogerią. Tak jak prosiła. Gdy odjeżdżał, zerknął przez lusterko wsteczne na oddalającą się sylwetkę Lenki i po raz pierwszy pomyślał o niej w kategoriach nie koleżanki, nie mniej udanej siostry, ale kobiety. Takiej przez wielkie K. Gdy szła w stronę sklepu, zamyślona, wydała mu się całkiem intrygująca. Może nie zaraz interesująca, ale z całą pewnością inna, nieprzeciętna, warta chwili.

Zastanowił się.

Mimo że – jak mogło się wydawać – pod wieloma względami dzieliły ich lata świetlne, byli do siebie w jakimś sensie bardzo podobni. Na razie nie potrafił tego zdefiniować. Może było to coś na kształt podobieństwa, jakie się ma z własnym odbiciem lustrzanym? Czyli wszystko jest niby to samo, ale uparcie po przeciwnej stronie? Ciężko powiedzieć.

Skręcił na najbliższym skrzyżowaniu i zagwizdał motyw przewodni z piosenki, która od rana chodziła mu po głowie, a którą właśnie puścili w radiu.

Gitara. I dalej:

I picture your face in the back of my eyes, a fire in the at-tic, a proof of the price, Anna Molly, Anna Molly, anomalyyy

Cholera, skąd on to w ogóle zna? Nigdy nie lubił takiego grania, ale teraz...

No one of the others could ever compare, anomalyyy...

Świetny męski wokół, mhmhm, taki seksow... Momencik, hej, chwila! Szybko wyłączył radio, przerażony uczuciem, które zakiełkowało mu w okolicach splotu słonecznego. Dodał gazu, zapiszczały opony. Postanowił, że tę noc znów spędzi z Rembiewską.

Lenka tymczasem zza wystawy bacznie obserwowała odjeżdżającego Oskara. Gdy jego samochód znikł za rogiem, wyszła z drogerii, w której tak naprawdę nie miała nic do załatwienia. Głośniki sklepowe pomachały jej na pożegnanie do niedawna ulubioną piosenką:

Anna Molly, anomalyyy...

Boże, miała już dość tego kawałka.

Przebiegła przez ulicę i po chwili zniknęła w bramie, nad którą wisiał sporych rozmiarów szyld BWM, to jest Biblioteki Wydziału Matematyki. Na szczęście wciąż miała tu kartę, jako nauczycielce przedmiotu zezwolili jej na przedłużenie ważności. Mimo niedzieli biblioteka była czynna, kończyła się właśnie sesja egzaminacyjna i władze poszły na rękę studentom, którzy w ostatniej chwili chcieli się jeszcze czegoś nauczyć. Zerknęła na zegarek – miała trzy godziny do zamknięcia. W tym czasie powinna znaleźć wszystko, co tylko się da, na temat Henryka Fryca i jego wywrotowych teorii. Obiecała Oskarowi, że pójdzie na ten cholerny wywiad, więc pójdzie, choćby świat miał się zawalić. Wszystko dla dobra... no... miłości.

Trzy godziny później bibliotekarka ze zdumieniem odkryła, że między półkami, na podłodze, siedzi jakaś zmartwiona osoba, obłożona tuzinami książek. Lenka miała błędny wzrok i bardziej niż zwykle zmierzwiłone włosy. Nawet fryzura na Kate Moss nie udźwignęła ciężaru tego wyzwania. Lenka

była załamana. Nic nie miało sensu. Fryc bredził jak nakręcony. Pożyczyła kilka z tych jego mądrych książek i, zdołowana, wyszła z biblioteki.

Przeceniła swoje siły.

Nie da rady z tym wywiadem. Przy artykule pomogła, bo to była pestka, wystarczyło tylko streścić kolejne podrozdziały i zebrać wszystko jakoś zgrabnie w jedną całość. Ale teraz polegnie. Było jeszcze gorzej niż na studiach, kiedy to do egzaminu u Fryca podchodziła pięć razy, zdając w końcu tylko dzięki ściadze. Profesor jej nie cierpiał – miała bowiem czelność publicznie wątpić w sens jego przełomowych teorii.

Musi to jakoś powiedzieć Oskarowi.

– Musisz to jakoś powiedzieć Oskarowi – oznajmiła Ada, stojąc na głowie pod ścianą.

Od tamtego dnia, kiedy postawiła tarota w sprawie Lenki, czuła ogromną potrzebę wykonywania ćwiczeń. Jakichkolwiek, byle wyrównywały energię. Joga, tai-chi, ryty tybetańskie. Przypomniała sobie nawet kilka figur tańca hula. Mimo to cały czas miała wrażenie, że gdzieś coś nie grało, że nastąpiło jakieś zawirowanie na którymś z wyższych poziomów i że to jej strasznie szkodziło. Na dodatek ciągle chciało jej się... precli. To ją chyba najbardziej przerażało. Nie potrafiła tego w żaden sposób wytłumaczyć. Preclle? Ale że co z nimi? Może ją jakoś dodatkowo harmonizowały, bo okrągłe? I z dziurką? A może chodziło o sezam i jego nieznaną jej bliżej właściwość leczniczą? Nie miała pojęcia.

Lenka, zmartwiona, usiadła na podłodze obok głowy Ady.

– Dla ciebie to takie łatwe... – burknęła.

Przez twarz Ady przebiegł bolesny skurcz.

– Cholera, łatwe, tak? To stań se, dziecię, na głowie, zobaczysz, że to wcale nie jest takie proste.

Lenka uśmiechnęła się blado.

– Bardzo śmieszne. Wiesz, że nie o to mi chodziło.

Ada opadła na kolana. Zdyszana, położyła się po chwili na wznak na podłodze.

– Wiem. Ale nie masz wyjścia. Jak pójdziesz, Fryc cię rozpozna i dopiero będzie problem. Lepiej odmówić Oskarowi teraz, niż później żałować, że się tego nie zrobiło we właściwym czasie.

Lenka gorączkowo szukała jakiegoś wyjścia.

– Ale może Fryc już zapomniał? Przecież od tamtego czasu miał tylu studentów.

Ada popatrzyła na nią z politowaniem.

– No dobrze, ale co z tego? Jak chcesz się przygotować do wywiadu, jeśli wolno spytać, skoro za Chiny nie wchodzi ci to do głowy?

Lenka podniosła się.

– Będę ostro zakuwała. Zdążę, mam trzy dni.

– Dwa. Wywiad jest w środę.

– Ale wieczorem.

Ada podniosła się i rozmasowała napięte mięśnie. Miała z tym problem – kark często jej sztywniał, być może brakowało jej jakichś witamin, a może to taka osobnicza skłonność. Nasiliło się, jak skończyła trzydzieści lat. Zaczęła nawet chodzić do masażysty. Na początku zajmowała się nią Nadia, stara Ukrainka. Anioł nie człowiek, miała w rękach jakąś moc. Niestety, musiała wyjechać z Polski. Wtedy na jej miejsce zatrudnili nowego masażystę, miłego chłopaka, tuż po studiach, kilka lat młodszego od Ady. Cichy, spokojny, bardzo opanowany, o silnych, zdecydowanych dłoniach i aurze, z której bił ogromny spokój. Zakochała się w nim właściwie od pierwszego... dotknięcia. Marcel Rawicz, bo tak się nazywał, był jednak bardzo

powściągliwy, nie okazywał Adzie większego zainteresowania poza tym, jakiego wymagała jego praca masażysty. Masował, gładził, rozgrzewał, uciskał i nic więcej. Na jej rozmaite pytania zazwyczaj odpowiadał półsłówkami i prawie rok zajęło mu zadanie własnego pytania. Od tamtego dnia zbliżyli się, zaprzyjaźnili i zaczęli spędzać ze sobą znacznie więcej czasu, niż przewidywał harmonogram salonu terapeutycznego. Ada pokazała Marcelowi swój pokój wróżb, a on, mimo swojej wrodzonej powściągliwości, zachwycił się i zaczął regularnie przychodzić po rozmaite wróżby lub czarowanie. Kompletnie nie przeszkadzało mu przy okazji, że zazwyczaj nic się nie sprawdzało, a magia nie działała, najwyraźniej chodziło o samo przebywanie w towarzystwie Ady.

Ale to już przeszłość, Marcel nie żył, trzeba iść dalej. Westchnęła.

– Poradzę sobie, zobaczysz. – Lenka wzięła westchnięcie za objaw troski, której Ada miała dla niej zawsze pod dostatkiem.

– Niczego nie zobaczę, bo mu odmówisz – stwierdziła Ada. – Tak będzie najlepiej.

Lenka skrzywiła się. Chciała powiedzieć Adzie, żeby się nie wtrącała, że to jej życie, jej decyzje, jej ryzyko... i w ogóle. Zamiast tego tylko wzruszyła ramionami i naląła sobie kawy z dzbanka stojącego na wyszukanym na targu staroci hebanowym stoliku. Zupełnie nie miała ochoty na kardamon.

Następnego dnia Lenka, na szczęście, miała tylko trzy lekcje. Po pracy jak szalona pogoniła do domu, by zaszyć się w świecie obłąkanych teorii profesora Fryca. Postanowiła otworzyć jakoś głowę i wlać do środka wszystko to, co powinno złożyć się później na taki porządny, wyczerpujący wywiad, na jakim zależało Oskarowi. Ślęczała tak do późnego wieczora. Następnego dnia scenariusz powtórzył się – z tą różnicą, że po kilku godzinach poczuła

straszny ból *głowy*. Nauka w ogóle jej nie szła, o tych cholernych teoriach wiedziała właściwie jeszcze mniej niż wtedy, gdy zasiadała do książek.

– Szlag by trafił – przeklęła i, wkurzona, wstała od stołu. Ada miała rację, pomyślała, maksymalnie zirytowana. Lepiej było mu odmówić. Wciąż mogę to zrobić, zresztą.

Napiła się wody, wróciła do biurka i z hukiem zatrzaskała po kolei wszystkie książki.

Jutro rano zadzwonię, zdecydowała. Jakiś drugi głos w jej głowie próbował nieśmiało sugerować, że może za szybko się poddaje, że może mogłaby jeszcze nie składać broni, ale ona nie słuchała tych idiotycznych podszeptów. Rzuciła się na łóżko i po kilku minutach spała kamiennym snem.

Obudziła się chwilę później. Coś ją strasznie oślepiało. Zmrużyła oczy – ktoś zapalił światło czy co, do cholery?

– Kochana.

Zamrugła. Powoli przyzwyczajała się do tego wielkiego światła. Obrazy wokół niej wyostrzyły się, by wreszcie znieruchomieć. Nie była w swoim mieszkaniu, siedziała na jakimś wzgórzu, może skarpie, oszołomiona nie tyle nagłą zmianą miejsca, ile faktem, iż po jej obu stronach najspokojniej na świecie siedziały dwie staruszki. Były identyczne, ale w dziwny sposób. To znaczy, jak po chwili zauważyła Lenka, były dla siebie czymś w rodzaju lustrzanego odbicia.

– Gdzie jestem? – zapytała. Słowa zachowały się nagle nieco nieodpowiedzialnie, uderzając o niewidzialną bandę i wracając z powrotem. – Jestem gdzie? – usłyszała odpowiedź echa.

Jedna ze staruszek, ta po lewej, machnęła ręką, wyraźnie zniecierpliwiona.

– Och tam, do diabła, co za różnica. Pogadamy, wypijemy, a później wrócisz do siebie.

Następnie nachyliła się w stronę Lenki, wyjmując z kieszeni jej bluzki metalową piersiówkę.

– Ale, skąd?!...!? Skąd, ale... – zachnęli się Lenka i echo.

– Szszsz, kochana, szszsz... – powiedziała z uśmiechem ta z prawej. – Gigi już taka jest. Nie mogę jej oduczyć tych okropnych nawyków. Nie zwracaj na nią uwagi, taki piękny dzień, porozmawiaj ze mną.

W powietrzu uniósł się zapach koniaku.

– Courvoisier, he, he. – Gigi ciągnęła właśnie w najlepsze z piersiówki.

– Świetne – oznajmiła, wyciągając znów rękę w stronę Lenki. – Łyka?

– Daj spokój! – warknęła druga.

– Eee, Nora, żałujesz jej? Zapomniałaś, że w życiu trzeba się też porządnie zabawić?

Staruszka siedząca po prawej wzruszyła ramionami. Lenka powoli zapominała, że powinna się dziwić czemukolwiek. Szczerze mówiąc, przemknęło jej przez głowę, że prawdopodobnie zesła, ucząc się tych idiotycznych teorii i właśnie jest w czymś w rodzaju czyścica, bo nieba to sobie akurat tak nie wyobrażała. Nie wiedząc, co się robi w tego rodzaju miejscach, na chwilę zamknęła oczy w nadziei, że coś mądrego przyjdzie jej do głowy. Staruszki tymczasem, niezrażone, kontynuowały dialog.

NORA: To nie jest zabawa.

GIGI: A co niby? Menelowi wolno, a porządnej dziewczynie już nie?

NORA: Powinnaś się leczyć. Miażdżycy cię bierze. GIGI: Za to ty uwielbiasz udawać kogoś, kim nie jesteś. Zakładasz maskę, żeby pod nią do woli wykrzywiać twarz. NORA: Alkohol ci szkodzi.

GIGI: A nawet gdyby szkodził, po co się wtrącasz? To jest mój organizm, wynocha. Ale wiem, wiem. Prawienie morałów świetnie pasuje do wizerunku nobliwej staruszki. Moje gratulacje.

NORA: Odłóż tę piersiówkę. Nie chcę z tobą rozmawiać w ten sposób.

GIGI: Nie? W porządku, odłożę, jeśli zagrasz ze mną w skojarzenia.

NORA: Dobrze, Gigi. Tylko przestań pić.

GIGI: Szczęście?

NORA: Nie wiem... Może... zdrowie?

GIGI: Wyświechtane. Szczęście to wolność... Wolność umysłu. Jesteś szczęśliwa, jeśli masz nieskrępowaną głowę. Jeśli pozwalasz mózgowi wychodzić poza powszechnie eksplorowane granice. (*chwila ciszy*) Elokwentne, co?

NORA: Gratulacje, jestem pod wrażeniem.

GIGI: Nie szydź ze mnie, starucho. (*cisza*) Wolność. Czym w takim razie jest wolność, twoim zdaniem?

NORA: Jakimś rodzajem autonomii... Nie wiem, kochana.

GIGI: Wolność to uczciwość wobec siebie. Jesteś wolna, gdy pozwalasz samej sobie... żyć pełnią życia. Zdajesz sobie sprawę, jak wielu ludzi tego nie potrafi?

NORA: Nie wiem, kochana, nie wiem...

GIGI: A co powiesz o miłości?

NORA: Spełnienie.

GIGI: Tak myślisz? A moim zdaniem miłość to cholernie egoistyczna świnka. Trzeba odejść od siebie, żeby zadowolić tę drugą osobę. Swoją drogą, że też ludziom chce się tak cierpieć z miłości! Jakby mało im było innych problemów.

NORA: Miłość potrafi dokuczyć. Zgoda. Tylko że, moim zdaniem, lepiej pocierpieć trochę, niż nigdy niczego nie zaznać i żyć w pustce. W pustce, słyszysz?

GIGI: Frazesy, fraze...

NORA: Trzeba pomagać miłości. Może raz na jakiś czas zdobyć się na coś innego niż zwykle? I nie rezygnować z wywiadu?

(chwila ciszy)

Czyjeś stanowcze palce walnęły Lenkę w twarz. Któraś ze staruszek bardzo chciała ją dobudzić. Tak bardzo, że nagle użyła paznokci...

– Ryży, do diabła! – wrzasnęła Lenka, zrywając się na równe nogi i zrzucając z siebie kota, który pazurem wypisywał jej właśnie na twarzy jakąś kocią maksymę.

Rozejrzała się. Wszystko po staremu, staruszki tylko jej się śniły.

Staruszki.

Gra w skojarzenia.

Miłość? Oskar.

Oskar? Wywiad.

Wywiad? Poradzi sobie, Nagle doskonale wiedziała jak.

Oskar po raz kolejny obudził się w ramionach pięknej Julii. Z niewiadomych powodów czuł niesmak, że jednak znów znalazł się z nią w łóżku. Z każdą chwilą mniej go interesowała, mniej pociągała i nawet... coraz mniej go obchodziło, czy pomoże mu w tej jego telewizyjnej karierze. Zaczął się nawet zastanawiać, czy to miało sens, czy on naprawdę wciąż chciał się wynosić z redakcji.

– Poznajesz? – zapytała Julia kilkanaście minut później, ze smakiem popijając sok.

Siedziała przed włączonym telewizorem, prezentując światu apetyczny negliż. Oskar oderwał się na chwilę od lodówki, z której wyjmował rzeczy na śniadanie. Zerknął na ekran.

Jakiś niemrawy reporter telewizji śniadaniowej rozmawiał właśnie z kędzierzawym szatynem. Chodziło o przygotowania do nowego programu o nauce, który miał wejść do jesiennej ramówki.

– Był u mnie na imprezie.

Oskar nagle usiadł na stołku, bez reszty zagapiony w ekran telewizora. Z jakichś przyczyn nie mógł oderwać wzroku od tego faceta.

– Oskar Guttman – poinformowała Julia. – Pozer jak cholera, ale ludzie go lubią – dokończyła z wyraźnym przekąsem.

Brzóska poczuł dziwne mrowienie w żołądku. Głowa zaczęła go boleć.

– Robi ten swój nowy program o nauce. Może, słuchaj – ożywiła się nagle – to jemu pokazałbyś tę kasetę z wywiadu, co? Jeśli Guttmanowi się spodoba, Ross cię zatrudni, choćby miał wbić zęby w ścianę. Zawsze mu wchodził w tyłek.

Brzóska uśmiechnął się blado. Słowa Julii co prawda do niego docierały, ale z dziwnym opóźnieniem, jakby szły przez grubą filtr.

Julia wyłączyła telewizor.

– Nudy – oznajmiła stanowczo. – Zrobisz mi wreszcie tego tosta czy nie?

Oskar podniósł się ze stołka i wrócił do przerwanej zajęcia. Nagle cholernie zachciało mu się nagrywania wywiadu na kamerę. Bardziej niż kiedykolwiek zachciało mu się też starać o pracę w telewizji. Zerknął na zegarek. Śro. Jak środa. Dziś wieczorem spotkanie z Frycem. Odczyta pytania, które przygotuje mu Lipowska. Będzie świetny, elokwentny odczyta-

ny, światły, wyjątkowy. Potem zmontuje jedyny w swoim rodzaju materiał i zanieśie... Przełknął ślinę. Zanieśie temu fajnemu Oskarowi Gie.

Środa była również, swoją drogą, ostatnim dniem roku szkolnego. Lenka nie przepadała za tymi wszystkimi sztucznymi, jakie serwowano sobie wzajemnie podczas takich imprez. Wszyscy się żegnali, ze wzruszeniem klepali się po plecach i wyrażali głośny zachwyt nad planami wakacyjnymi kolegów. A tak naprawdę mieli się nawzajem głęboko gdzieś, kompletnie nie obchodziło ich też, kto i gdzie jedzie, no chyba że było to jakieś egzotyczne miejsce, wtedy przynajmniej życzyli mu w duchu, żeby złamał sobie nogę, żeby odwołali mu lot albo żeby ugryzła go jakaś jadowita żaba. Brzydząc się sztucznymi, Lenka zawsze przynosiła na takie imprezy coś do czytania albo właśnie pisane opowiadanie i zaszywała się w kącie, niewzruszona serwowanymi jej z lewa i prawa litościwymi spojrzeniami. W nosie to miała po prostu.

Tym razem za lekturę posłużyła jej książka Fryca. Za skarby wciąż nie rozumiała, o co dokładnie chodziło temu rąbniętemu profesorkowi, ale postanowiła się tym specjalnie nie przejmować. Wynotowywała co ważniejsze fragmenty, zmieniając tylko szyk zdania w taki sposób, żeby przypominały pytania. Po pewnym czasie, gdy dyrektor rozpoczynał właśnie ostatnią, przedwakacyjną radę pedagogiczną, miała kilkanaście punktów i wciąż planowała dodawać kolejne. Teraz musiała tylko załatwić sprawę niechęci Fryca do niej. Sprawdziła godzinę. Jeśli dyrektor nie skończy za pół godziny, wyjdzie w trakcie, tłumacząc się bólem głowy albo czymkolwiek w tym rodzaju. Musiała mieć czas, żeby zdążyć. Rozejrzała się. Nikt na nią nie patrzył, wszyscy albo przysypiali, albo pisali eseme-sy, albo w udawanym natchnieniu i zachwycie słuchali przemowy dyrektora. Wyjęła telefon i

znalazła w książce numer do fryzjera Hugo. Fhyzjeha Hugo. Szybko wystukała do niego krótką wiadomość.

Trzy godziny później Hugo kończył swoje dzieło. Krytycznie spojrzął na Lenkę.

– Uhocz – oznajmił, odruchowo czesząc sobie bródkę grzebieniem, którym jeszcze chwilę wcześniej traktował włosy Lenki. – Gdybym nie był zajęty, chyba bym się w tobie zakochał, skahbuniu.

Wywiad zaplanowany był na dwudziestą. Ścisłe centrum, znana restauracja. Oskar Brzóska dotarł jako pierwszy, a przynajmniej tak mu się zdawało. Rozejrzał się. Nigdzie nie dostrzegł ani Lenki, ani leciwego profesora, którego zdjęcie ściągnął sobie z netu. Zostawił lekką kurtkę w szatni (jedyna szarobura rzecz w jego szafie, a ostatnio w takich zaczął gustować) i zgłosił się do kelnera. Miał zamówiony stolik dla trzech osób w strefie dla niepalących. Ostatnio już sama myśl o papierosach wywoływała w nim odruch wymiotny.

Kelner zaprowadził go stolika. Położony był w rogu sali, na małym podwyższeniu. Doskonałe miejsce – ciche, ale dające widok na prawie całą restaurację. Brzóska usiadł, kładąc na stoliku małą kamerę cyfrową. Odruchowo pogładził ją dłonią. Rozejrzał się, sprawdził godzinę. Jakiś młody mężczyzna zatrzymał się kilka metrów dalej, patrząc na niego przenikliwie. Oskar poczuł się nieswojo – znali się skądś? Na wszelki wypadek postanowił zlekceważyć gościa. Facet ruszył jednak wolno w jego stronę.

Miał na sobie modne buty, garniturowe spodnie, pasiastą koszulę z rozpiętym włoskim kołnierzykiem, przez który wyłaziły mu pierścionki zarostu na torsie. Modną, ale nieco chyba za dużą marynarkę. Patrząc wyżej: krótka bródka a la Johnny Depp, dobrze przystrzyżone włosy z dość długą

grzywką opadającą na oczy. Do tego okulary korekcyjne w grubych, chyba szylkretowych oprawkach, staroświeckie nieco.

Brzóska z jakiegoś powodu nie potrafił oderwać wzroku od młodego przystojniaka, który cały czas zbliżał się do jego stolika. Wreszcie, nie pytając o zgodę, usiadł naprzeciwko i uchylając okulary, powiedział cicho:

– Jestem.

Oskar spojrzał pytająco.

– My się znamy?

Facet uśmiechnął się, nagle wydając się Oskarowi bardzo do kogoś podobny.

– To ja, Oskar. Lenka.

Brzóska zamrugał filmowo. Świat też się jakby filmowo zatrzymał w kadrze, nie bardzo rozumiejąc, o co tej dziewczynie chodziło.

– Ale... nie, czekaj, co jest grane? Po co się przebrałaś?!

Lenka rozejrzała się podejrzliwie i nachyliła do Oskara.

– Nie krzycz tak. Jestem Tomasz Boniecki, rozumiesz? Tego się trzymajmy.

Oskar poczuł, że zaraz zrobi coś, czego potem może bardzo żałować.

– Przecież on tu zaraz będzie! Co ja mam mu powiedzieć, cholera, że moim asystentem jest jakiś cholerny... transwestyta?!

Lenka poprawiła wąsik, który pod wpływem potu zaczął odklejać się z jednej strony, i wyjęła z teczki zapisaną kartkę.

– Tu masz pytania. Poza tym ja będę mówić. A ty wtedy notuj i... – zauważyła leżącą na stoliku kamerę. – Będziesz to nagrywał?

– Nie, ty będziesz nagrywała mnie. Przypadkowo wziąłem zamiast dyktafonu – skłamał.

Lenka nagle poderwała się z krzesła i zamachała do kogoś ręką.

– Panie profesorze, tutaj! – krzyknęła nie swoim głosem. Trzeba przyznać, że udawanie mężczyzny wychodziło jej bardzo dobrze.

Oskar powiódł wzrokiem za jej ręką. W drzwiach stał profesor Henryk Fryc. Zauważywszy machającą Lenkę, ruszył w ich stronę. Oskar nagle strasznie się zdenerwował i spocił jak mysz.

No to poległem, pomyślał z goryczą.

Fryc tymczasem dotarł do ich stolika.

– Uszanowanie, panie profesorze kochany! – zawołała Lenka, podsuwając Frycowi krzesło. – Jak zdrówko, że się ośmielę pytać?

Naukowiec nie od razu skorzystał z krzesła. Przez chwilę patrzył na Lenkę z rezerwą, w związku z czym Oskar zdenerwował się jeszcze bardziej.

To się skończy kryminałem, pomyślał przerażony.

– Nie poznaje mnie pan? – zapytała grubym głosem Lenka, nieco mniej pewna siebie niż przed chwilą. – To... khem khem... ja, Tomasz. Tomasz Boniecki – dodała z desperacją w głosie.

Fryc przetarł palcem szkła w okularach. Były grube jak denka od słoika.

– Tomek?... Tomek? – zapytał bez przekonania.

Oskar zdenerwował się.

– Dobrze, skończmy z tą komedią, przecież...

– Tomasz! – zawył nagle profesor, wymierzając Lence silnego kuksańca w nerkę. – Oczywiście, że poznaję! Tak cię chciałem nabrać, nicponiu!

Lenka odetchnęła z ulgą (może trochę za głośno odetchnęła) i zapraszającym gestem znów wskazała Frycowi krzesło, które ten ochoczo zajął.

– To co, winko na początek? – wesoło zagaił siwiutki profesorek, pstrykając na kelnera. – Trzeba coś wypić przed wywiadem.

– A jak! – zakrzyknęła Lenka.

Fryc popatrzył na nią z sympatią.

– Nic się nie zmieniłeś, Tomasz. Poznałbym cię nawet na końcu świata.

A pan – zwrócił się nagle do wciąż skonsternowanego Oskara – mógł mi powiedzieć przez telefon, że przyprowadzi najzdolniejszego studenta, jakiego kiedykolwiek miałem. Zaprosiłbym was do siebie, gołąbki.

Profesor poklepał Lenkę po ramieniu. Uśmiechnęła się do niego. Brzóska poczuł, jak po plecach spływa mu mała strużka zimnego potu. Sięgnął po kamerę. Wcisnął REC i podał ją Lence. Trzeba zacząć nagrywać, zanim coś się wyda. Bo nie wiedział, co się zdarzy pierwsze: Fryc zorientuje się w tej ich maskaradzie czy on, Oskar, straci przytomność. Gdyby miał się zakładać, postawiłby chyba na to drugie.

Było kilka minut po dwudziestej trzeciej, gdy na parking wyszły z restauracji trzy osoby: rezolutny staruszek HF, napięty jak struna OB oraz młody hermafrodyta LL vel TB. Na podjeździe parkowała właśnie taksówka zamówiona dla Fryca.

– To wielka radość, że mogłem cię znów spotkać, chłopcze – powiedział profesor, ściskając Lence dłoń.

Nagle coś go zastanowiło. Przytrzymał rękę Lenki.

– Zmizerniałeś, Tomek. Masz takie... chude dłonie – stwierdził niepewnie, intensywnie miętosząc jej rękę.

Lenka wyszarpnęła dłoń i szybko doskoczyła do taksówki, otwierając drzwi.

– Taka dieta, profesorze. Proszę, dziękujemy, do zobaczenia – wyliczyła jednym tchem, prawie wpychając Fryca do środka.

Taksówka ruszyła. Przez otwarte okno profesor zdążył jeszcze krzyknąć:

– Dzwon do mnie chłopcze, jak będziesz w Stanach!

Po czym odjechał, zatapiając się w wieczornych ciemnościach. Oskar głośno wypuścił powietrze.

– Chryste, ty jesteś kopnięta, wiesz?! – powiedział, patrząc na Lenkę z rosnącym podziwem. – Kurde, byłem pewien, że się zorientuje. Rany, Lenka, czemu mnie wcześniej nie uprzedziłaś? Strzeliłbym sobie setkę albo coś takiego.

Lenka ściągnęła marynarkę.

– Nie mogłam ci powiedzieć. Przecież byś się nie zgodził.

– Racja.

– Ale przyznasz, że wyszło świetnie.

Oskar odetchnął głęboko.

– Co to za jeden, ten Boniecki? Jakiś klasowy lizus?

– Powiedzmy. Fryc, cóż, miał pewne... inklinacje. Boniecki mu się podobał.

Oskar roześmiał się.

– Ty wariatko, a jakby cię rozpoznał?

Lenka wzruszyła ramionami.

– To by było kiepsko, bo mnie akurat średnio lubił. – Wyszarpnęła spod rozpiętej koszuli treskę, udającą zarost na torsie. – Boże, modliłam się, żeby nadal nosił te swoje okulary, żeby sobie operacji jakiejś nie zrobił. On jest ślepy jak kret.

Usiedli na murku. Oskar spojrział na Lenkę, zauroczony. Nie podejrzewał jej o taką kreatywność i szaleństwo. Poszła dalej, niż mógłby przewidzieć w najśmielszych snach. Puściła wodze fantazji. I to z powodzeniem.

– Brawo. A tam pod spodem masz jeszcze kombinezon Supermana, co?

– zagał z uśmiechem.

Lenka skrzywiła się, po czym wyciągnęła koszulę ze spodni i zaczęła z trudem sięgać ręką do czegoś na swoich plecach.

– Tam pod spodem mam sportowy stanik, który jest tak ciasny, że zaraz zemdleję.

Oskar uśmiechnął się.

– Czekaj, pomogę ci – powiedział rozbawiony, wkładając jej ręce pod bluzkę.

Lenka wstrzymała oddech. Poczuł, że drży.

– Niczego nie dotknę, nie bój się – uspokoił ją, szybkim ruchem rozpinając haftkę stanika. Miał wprawę w tej kwestii.

Lenka zaczerwieniła się. Jego dotyk był tak... elektryzujący. Oskar odchrząknął. Nagle zażenowany, wziął do ręki kamerę, po czym, żeby się czymś zająć, przewinął kawałek nagrania w przyspieszonym tempie. Wyszło świetnie. Pytania, jakie Lenka przygotowała mu na kartce, były może nieco dziwnie sformułowane, ale zachwycony spotkaniem Fryc i tak paplał jak najęty, chyba nawet nie zwracając większej uwagi na to, co mówił do niego Oskar. Oczywiście wyczerpująco opowiedział też o nagrodzie, jaką miał wkrótce odebrać, sprzedając im prawdziwego, mięsistego, pierwszej klasy newsa. Naczelny zje własne oczy, gdy zobaczy ten materiał na wizji. Sprawa załatwiona, zadanie wykonane. Teraz trzeba wszystko pięknie zmontować i...

Nagle Oskar zatrzymał własne myśli. Zamarł, zniecała zachwycony widokiem. Machinalnie uniósł kamerę i zaczął nagrywać.

Lenka zdejmowała właśnie perukę, którą w południe z pietyzmem uczesał na niej Hugo. Jej ładne włosy rozsypały się po ramionach. Zauważyła, że ją nagrywa. Odruchowo odwróciła twarz.

– Nie uciekaj, Lena. Jesteś fotogeniczna.

Uśmiechnęła się blado.

– No tak, kobieta z brodą, rozumiem.

Wolałaby, żeby nagrywał ją, a nie jakąś pseudocyrkową atrakcję. Oskar uniósł brew.

– Możesz ją odkleić.

Spojrzała na niego. Jakiś diabelski ogień zatańczył w jej oczach. Wyjęła puderniczkę i, przeglądając się w lusterku, zaczęła pomału odklejać sztuczny zarost. Oskar wciąż filmował.

– Oglądacie państwo najszybszą na świecie operację zmiany płci – zaczęła, z każdą chwilą coraz bardziej zachwycona zabawą. – Oto pewien brodaty pan przeistacza się w Lenkę Lipowską, matematyczkę z gimnazjum numer siedem...

Lenka kontynuowała, Oskar nagrywał. Oko jego kamery z zapalem chłonęło ten widok.

Następnego dnia Oskar obudził się w świetnym nastroju. Życie było takie... fajne. („Dzięki”, odpowiedziało). Wszystko się tak pięknie ułożyło. Zrobił wywiad, o którym jeszcze tydzień temu nawet nie śmiałyby marzyć. Miał wspaniałego newsa i doskonale zmontowany materiał, nad którym spędził pół nocy. Nagranie podzielił na dwie części. Tę z wywiadu zgrał na jednej płycie, wygłupy Lenki – na drugiej. Obie podpisał (*Oskar Brzóska, casting i Lenka Lipowska, performance*). Długo się zastanawiał nad drugim podpisem, wreszcie doszedł do wniosku, że wygłupy Lenki były trochę takim teatrem jednego aktora. Performance'em, fajnym spontanem.

Zadowolony, wstał i napił się wody. Połaził trochę po mieszkaniu, ogolił się, wypił kawę. Odrabiał niedzielny dyżur, miał wolne, mógł wreszcie odpocząć po rewelacjach ostatnich dni. Zrelaksowany, usiadł przed komputerem. Chciał odpowiedzieć na kilka zaległych mejli, przejrzeć kilka stron w sieci... Nagle coś huknęło. Brzóska zerwał się na równe nogi i

zaplątany w kable skoczył w stronę okna, które nagle otworzyło się na oścież, wyszarpując firankę z karnisza. Skrzydło okna z hukiem rąbało o ścianę, napierane przez silny wiatr, który nie wiadomo skąd się pojawił. Do mieszkania wpadły pierwsze krople deszczu. Oskar zatrzasnął okno i ocenił straty: zerwana firanka, ubytek w tynku na ścianie, w którą uderzyło skrzydło. Jakieś zamoczone kartki, leżące na podłodze obok. Podniósł je i zamierzał odnieść na stół, gdy nagle coś go zaintrygowało.

– „*De gustibus*, czyli opowiadanie magiczne” – przeczytał i uśmiechnął się pod nosem.

Przecież! Radosna twórczość Lenki. Miał to przeczytać, ale... Nie, nie teraz, nie miał ochoty. Odłożył je na stolik i wrócił do komputera.

I wtedy huknęło jeszcze raz. Drugie okno, kolejna firanka, znów wicher i silniejszy tym razem deszcz. Podbiegł do okna, zamknął je. W żołądku coś nieprzyjemnie zagilgotało. Nie lubił takich parzyście otwierających się okien, było w tym coś surrealistycznego, a na pewno przywodzącego na myśl rozmaite horrory, z „Koszmarem z ulicy Wiązów” na niechlubnym czele.

Odwrócił się w stronę komputera. Opowiadania Lenki leżały na podłodze przed nim. Zagryzł wargi.

– Okej, przeczytam, skoro tak wam zależy – zakomunikował kartkom, biorąc je do ręki, po czym zdenerwował się sam na siebie, że rozmawia z kawałkiem papieru.

Wiatr tymczasem ustał równie nagle, jak się pojawił. Tylko deszcz nie przestawał padać, odbierając Oskarowi (jakby co) potencjalną ochotę na spacer. Siedź w domu, zdawał się sugerować, i czytaj.

Oskar położył się na kanapie i rozpoczął lekturę. Na początku średnio mu się podobało, ale po kilku akapitach doszedł do wniosku, że to przecież wcale nie jest takie głupie, by na koniec stwierdzić, że opowiadanie jest

genialne. Wziął do ręki telefon (w nocy padła bateria, musiał podłączyć go do ładowania) i, odszukawszy numer znajomego wydawcy, zadzwonił z propozycją spotkania. Kolega, plażujący aktualnie gdzieś na drugim końcu świata, słyszał Oskara jak przez mgłę i jedyne, co mógł zaproponować, to kontakt z asystentką i przesłanie jej wszystkiego, co tam Oskar „ma do przesłania”. Kończąc rozmowę, wydawca nie był do końca pewny, czy na pewno dobrze zrobił, przyjmując w imieniu asystentki ten... jakiś... poster ruski (bo chyba o tym mówił ten facet przez telefon?).

Oskar (nie poster) Brzóska (nie ruski) odłożył komórkę z poczuciem dobrze odrobionej lekcji i wrócił do przeglądania mejli. Wtedy zadzwonił jego telefon.

Julia Rembiewska była bardzo zdenerwowana. Przeskakując nad kolejnymi kałużami, w złości informowała Brzóska, że na pewno przyszli za późno, Guttman wybrał prowadzącego i nie będzie zainteresowany jego materiałem. Julia, jak się bowiem okazało, próbowała dodzwonić się do Brzóska od samego rana.

Cofnijmy się o kilkanaście godzin. Poprzedniego dnia, bardzo późnym wieczorem, Julia dowiedziała się od koleżanki, która pracowała jako asystentka przy castingach, że Oskar Guttman planuje ostatnie przesłuchanie kandydatów do jego nowego programu o nauce. Julia zastrzygła uszami – aha, szansa dla Brzóska. Od razu więc do niego zadzwoniła, prosząc, żeby się pospieszył z montażem wywiadu.

Brzóska podjeżdżał właśnie pod blok Lenki. Ten wieczór tak dobrze się rozwinął, że gdyby zaproponowała mu kawę, chybaby skorzystał. Lenka wyczuła zresztą, że ze strony Oskara pojawiła się jakaś forma przyzwolenia na

kontynuowanie wieczoru. Nie bardzo wiedząc, jak się do tego zabrać, zapytała po prostu:

– Wejdiesz na górę?

I z drzeniem czekała na to, co w jej odczuciu mogło nastąpić. Do Brzóskego zadzwonił niestety telefon. Rozmawiał półsłówkami, ale z jego mimiki, z rozpalenia oczu szybko wywnioskowała, że w tym biegu wciąż pozostawała w tyle. Po skończeniu rozmowy Oskar podziękował jej grzecznie, odprowadził pod klatkę, potem wskoczył do auta i z piskiem opon odjechał do domu. Tam przez pół nocy, jak wcześniej wspomniano, montował materiał z wywiadu.

Nie zauważył, że przez ten czas wyczerpała się bateria w jego komórce i telefon przestał działać. Gdyby zawczasu zerknął na ekranik i podłączył sprzęt do ładowania, Julia nie dałaby się właśnie na niego (wróciliśmy do teraźniejszości), wypominając nieodpowiedzialność.

– Cholera, no! – pomstowała, przypadkiem ochlapując się wodą z kałuży. – Letycja zadzwoniła rano, że casting zaczyna się wcześniej, żeby szybko jechać, bo jak Guttman kogoś wybierze, to już nie będzie zmieniał. A ty nie odbierałaś, bo ci komórka padła, profesjonalista, cholera – narzekała, poirytowana.

– Mówiłaś już – przypomniał Oskar, któremu powoli kończyła się cierpliwość. Julia powtarzała się jakiś siedemnasty raz.

– Jeśli kogoś wybierze, nie miej do mnie pretensji. Przynajmniej ja robiłam, co mogłam – podsumowała, zezłoszczona tak bardzo, jakby chodziło co najmniej o fotel prezydenta USA.

Oskar westchnął. To też mówiła. Zerknął na jej wykrzywiony złością profil i pomyślał, że w gruncie rzeczy wcale nie była taka piękna, jak do tej pory myślał. Ot, zwykła dziewczyna, w trochę lepszych ciuchach, z fryzurą od

trochę lepszego fryzjera, z kosmetykami za grube setki. Tylko pewność siebie miała stanowczo ponadprzeciętną.

Gdy Oskar i Julia zmierzali w stronę miejsca castingu (imponujący ogród przy hali Expo), kilkadziesiąt metrów dalej orlonosa dziewczyna, to jest znajoma Julii, która dała jej cynk o castingu, wskakiwała właśnie na stolik, po czym, nabrawszy powietrza w płuca, wyryczała przez megafon:

– Koniec imprezy! Nie wyłazić za taśmę!

Następnie zeskoczyła na trawę i nadwreżywszy sobie przy okazji staw skokowy, pokuśtykała w stronę kamer, rozstawionych kilka metrów dalej.

Tłum stojący nieopodal z pewnym ociąganiem wrócił za taśmę, wygradzającą na trawniku sporych rozmiarów kwadrat, i zaczął się rozchodzić. Orlonosa, a dokładnie Letycja Metz, zajmowała się organizacją castingu. Była kimś w rodzaju asystentki od wszystkiego, współpracującej z rozmawiającym właśnie przez komórkę Oskarem Guttmanem. Zakłęła pod nosem. Z nim to same problemy. Ludzie dwoili się i troili przed kamerą, a jemu nikt się nie spodobał. Zainteresował się tylko jedną z ostatnich kandydatek, złotowłosą Miss, która pochwaliła się komisji swoim całkiem nieimponującym talentem wokalnym. Zdaniem panny Metz, Guttman wziął od Miss numer telefonu tylko po to, żeby ją później przelecieć.

Guttman tymczasem skończył rozmowę, schował komórkę i podszedł do Letycji.

– Udupiliście mnie – oznajmił oschle. – Drugi dzień w plecy przez tych waszych zasranych kandydatów. A ja muszę na dniach zacząć zdjęcia, rozumiesz? Inaczej wywalą mnie z ramówki. A ciebie z roboty – dodał z czymś bardzo zimnym w oku.

Próbowała się bronić.

– Ale Oskar, wakacje są, ludzie powyjeżdżali, nie ma jakiegoś wielkiego wyboru, no...

Guttman poważnie się zdenerwował.

– Co to, cholera, Szwajcaria jakaś? Polacy na czynsz nie mają, a w pierwszy dzień wakacji wszyscy na urlopie niby, tak? – Złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie. – Myślisz, że jestem idiotą?

Letycja wyrwała się z jego uścisku. Czerwone paski po palcach Guttmana zniknęły pomalą.

– Ja się naprawdę staram...

– Najwyraźniej za mało – odpalił wściekły, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł w stronę parkingu.

Letycja pokazała mu gest Kozakiewicza i wróciła do powarkiowania na tłum kandydatów, z których nie wszyscy zrozumieli chyba sens słów „koniec castingu”.

Mniej więcej w tym czasie Brzóska i Rembiewska dotarli wreszcie na miejsce. Placyk konsekwentnie pustoszał, ludzie rozchodzili się, technicy zwijali sprzęt i składali kamery. Wciąż zirytowana Letycja wsiadała właśnie do zaparkowanego na trawie samochodu, nie zauważywszy Julii, która zaczęła do niej desperacko machać. Oskarowi Letycja wydała się dziwnie znajoma, ale że wiele kobiet budziło w nim zazwyczaj takie uczucie (i to nie bez powodu), postanowił specjalnie się tym nie przejmować. Tymczasem Letycja włączyła silnik i odjechała, wyrywając kołami kawał darni, którym spokojnie możnaby wyłożyć trawnik przed Pałacem Prezydenckim. Julia opuściła rękę, tupnęła nogą i prawie rozpłakała się z bezsilności.

– Widzisz? Widzisz, cholera?! – syknęła z sobie właściwą subtelnością.

– No to po krzyku, płyta do wywalenia! – podsumowała, po czym znienacka

wyrwała Brzóskiemu plecak z ręki, wytrząsając zawartość do pobliskiego kosza.

– Co robisz, oszalałaś?! – krzyknął, rzucając się na ratunek sponiewieranym rzeczom.

– Cześć – usłyszeli nagle.

Obydwoje odwrócili się w tym samym momencie: prawie ugotowana ze złości Julia i Brzóska, nerwowo gmerający w koszu. Kilka kroków dalej stał Oskar Guttman we własnej, dość przystojnej, kędzierzawej osobie. Spojrzał przeciągle na Julię, która, co rzadko jej się zdarzało, nagle nieśmiało opuściła wzrok.

– Letycja mówiła, że przyjedziesz. Myślałem, że zmieniłaś zdanie – powiedział.

Julia uśmiechnęła się.

– Nie zmieniłam, tylko... – zawahała się. – Nieważne. – Przyciągnęła Brzóskego za rękę. – To jest Oskar Brzóska, bardzo utalentowany dziennikarz, który ma dla ciebie megaciekawy materiał.

Guttman obrzucił Brzóskego spojrzeniem samca alfa, któremu inny wszedł w drogę.

– Oskar Guttman – przedstawił się takim tonem, jakby w ogóle nie musiał się przedstawiać.

– Wiem – odpowiedział Brzóska. – Oskar. Brzóska – uzupełnił, ściskając dłoń z Guttmanem.

Nagle poczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego. Ręka mu się spociła, oddech stał się płytszy.

– Ja... bardzo... chciałem cię... – wydukał, nagle wpatrzony w Guttmana jak w obrazek. – Zdobyć – dokończył, nie wierząc własnym słowom. –

Znaczy zdobyć. Znaczy poznać, do diabła – dopowiedział szybko, strasznie nagle czymś zdenerwowany.

Wyszarpnął rękę. Guttman i Julia patrzyli na niego, zdrowo zaskoczeni.

– Fajnie – niepewnie odparł Guttman, szybko wkładając ręce do kieszeni spodni. – To gdzie ten materiał, bo się śpieszę?

Julia spojrzała na Oskara B., który powoli zaczął przypominać siebie.

– To... eee... zaraz, najpierw chciałam krótko pogadać – powiedziała, odciągając Guttmana na bok. Zerknęła nad jego ramieniem, dając Brzóskiemu do zrozumienia, żeby szybko wyjął płytę z kosza.

Chwilę później Guttman odbierał nagranie, ładnie zapakowane w pomarańczową kopertę. Na szczęście w koszu nie było nic, co mogłoby ją utłuścić.

Julia pomachała Guttmanowi, gdy ten odjeżdżał z parkingu.

– Niepotrzebnie się tak denerwowałaś, to normalny facet – wyjaśniła, bacznie zerkając na Brzóskego. Oskar chciał coś powiedzieć, ale położyła mu palec na ustach. – Ty to masz szczęście – dodała słodkim głosem, tuląc się do niego. – Guttman jeszcze nikogo nie znalazł, więc jest szansa. Telewizja chyba jednak jest ci przeznaczona. Podobnie jak ja – zamruczała zmysłowo.

Oskar nie był zbyt entuzjastyczny, jeśli chodzi o to ostatnie.

Lenka prawie cały dzień przesiedziała przy oknie, z telefonem w dłoni. Z jakichś względów wyobraziła sobie, że Oskar do niej zadzwoni. Była pewna, że tak się stanie. Mijały godziny, a on się nie odzywał. Kilka razy wybrała nawet jego numer, prawie naciskając zielony guzik, ale powstrzymywała się w ostatniej chwili. Bo co mu niby miała powiedzieć? Że się w nim kochała jak szalona? Że nie mogła przestać o nim myśleć? Przecież to on powinien teraz do niej wzdychać, stać pod oknem i śpiewać serenady... Jeśli, oczywiście, wierzyć w moc rytuału i siłę sprawczą Asyriela.

Jej podły nastrój potęgowało jeszcze jedno zdarzenie: Ryży, wieczny uciekinier, który co jakiś czas dawał dyla, wracając często dopiero po miesiącu, właśnie poczuł zew i zwał po parapetach, nie oglądając się na pokrzykującą za nim Lenkę. Nie dość, że ukochany mężczyzna o niej nagle zapomniał, to jeszcze własny kot również postanowił dać do zrozumienia, że aktualnie były na świecie ciekawsze miejsca od jej ciepłych kolan.

– Nic się nie układa i ta twoja magia wcale nie działa – poinformowała Adę, do której zajrzała w okolicach kolacji. – Na zdobycie Oskara na razie średnio się zanosi – dodała kwaśno.

Ada podliczała właśnie dzienny dochód. Rachunki wypadły zdumiewająco dobrze. Nigdy tyle nie zarobiła. Jako wróżce udawało się jej na szczęście opłacać rachunki, ale na większe szaleństwa musiała pożyczać. Dlatego decydowała się na kredyty, które potem zaczęły spędzać jej sen z powiek. Tego dnia po raz pierwszy pomyślała, że może uda się jej wreszcie wyjść na prostą. Wspaniale.

– Na co się zanosi? – zapytała nieprzytomnie.

Lenka posłała jej zniecierpliwione spojrzenie.

– Nie zanosi. Na zdobycie Oskara, przecież mówiłam.

Ada machnęła ręką.

– Bo ty chcesz wszystko mieć od razu. Ech, to młode pokolenie – westchnęła. – Na nic nie macie cierpliwości, wszystko już, zaraz, bo jak nie, to zwijacie manatki i w drogę.

Lenka obraziła się w imieniu całego pokolenia.

– Jak Marcel – rzuciła, bardzo szybko żałując tych słów. Ada posmutniała, jej jasna twarz zrobiła się szarawa.

– Tak, jak Marcel – zgodziła się półgłosem.

Lenka przytuliła ją.

– Adusiu, przepraszam. Głupia jestem.

Ada uśmiechnęła się blado.

– Za co przepraszasz. Taki właśnie... był Marcel. Natomiast jeśli chodzi o Oskara – Ada postanowiła podjąć przerwany wątek – to wszystko się pomału poukłada, wspomnisz moje słowa. Przecież ci mówiłam, że na początku, po rytuale, wszystko dzieje się powoli, krok za krokiem. Przyspiesza dopiero w okolicach nowiu, czyli – spojrzała na wiszącą na ścianie kalendarz faz księżyca – za kilka dni. Patrz, jak ten czas mija – dodała, zamyślając się.

Dopiero co, jak siedziała tu z Marcelem, robiąc rytuał do Asyriela. Świece tak szybko się spaliły. Wszystko cudnie się układało. Tylko że przez tę jej cholerną skazę do niczego nie doszło! Co to za wróżka, do diabła, która nic nie wyczaruje, gdy obok siedzi druga osoba! To już, proszę, nawet świeckim rytuał się udał, a jej...

Nagle zamarła. Dopadła do kalendarza, trzęsącymi się rękoma zrzucając go na podłogę.

– Co jest? – zapytała zaniepokojona Lenka.

Ale Ada nie odpowiadała. Kartkowała kalendarz, cofając się w czasie o kilka lat. Miała tu wyliczone wszystkie fazy księżyca od 1955 roku aż do 2075... Odnalazła czerwiec 1999. Dokładnie pamięta, kiedy robili z Marcelem rytuał. Szóstego czerwca. To była pełnia. Nów przypadł wtedy... dwudziestego pierwszego. Gorączkowo porządkowała myśli. Czyli przed nowiem miało się spełniać powoli, krok za krokiem, a dopiero po nowiu szybciej... Wyprysnęła z kuchni, wpadając po chwili do pokoju wróżb. Lenka wbiegła za nią, nie mając pojęcia, o co chodzi. Tymczasem Ada szybkim ruchem parasolki wyrwała z komody najwyższą (to jest najniższą) szufladę, wyrzucając razem z nią całą jej zawartość. W tym jedną bardzo ważną rzecz

– list od Marcela. Sprawdziła datę, którą zapisał w nagłówku.

Dwudziesty pierwszy czerwca. To znaczy nów.

– Dobry Boże – wyszeptała, opadając na kolana.

Dlaczego wtedy tego nie zauważyła? Nów... miało zadziałać, zintensyfikować się, gdyby tylko wysłał ten list... Już wiedziała, czemu tego nie zrobił, a dokładnie – kto mu przeszkodził. Asyriel. Przecież ona, z jakichś względów zapominając o tym, w jakim tempie spełniają się marzenia, oczekiwała, że Marcel zakocha się w niej od razu! Tuż po rytuale! Ponieważ nic takiego się nie wydarzyło, a on na dodatek postanowił wyjechać do Tybetu, obraziła się, zezłościła i wyrzuciła go ze swojego życia, rozwścieczając Asyriela.

– I kto tu był niecierpliwy – powiedziała cicho, praktycznie nie mogąc złapać oddechu.

Lenka spojrzała na nią nieprzytomnie. Ada podniosła wzrok, wstała i chwyciła w ramiona swoją zdumioną prawie córkę.

– Będzie dobrze, kochanie. Musisz tylko poczekać. Od nowiu wszystko przyspieszy, zobaczysz.

Mijały kolejne godziny, nastał wieczór. W dwóch mieszkaniach – Oskara Brzóskego i Oskara Guttmana, mogło się dziać zaskakująco podobnie. Ale się nie działo. Brzóske nie był bowiem zainteresowany spędzeniem kolejnej nocy u boku Julii, co ta przyjęła z wielkim rozczarowaniem. Guttman natomiast nie kaprysił, jeśli chodzi o wdzięki złotowłosej Miss, poznanej tego dnia na castingu.

Zaskoczona nagłym oportunizmem Oskara Julia zamówiła taksówkę i wróciła do siebie. Nie bardzo wiedziała, co o tym myśleć – to znaczy, była pewna, że nie chodziło o nią, przecież nie odrzuca się ot tak jej zaproszenia.

Być może Brzóskiemu zrobił się jakiś pryszcz w miejscu intymnym i wstydził się rozebrać?

Tak, to pewnie to – uspokoiła się w myślach, przeczesując dłonią włosy na swojej arcygustej główce. Zachwycone spojrzenie taksówkarza dodatkowo ją udobruchało.

Oskar Brzóski odetchnął z ulgą, gdy Julia wyjechała. Wziął prysznic i usiadł na tarasie ze szklaneczką courvoisiera w dłoni. Pomyślał o Lence. Uśmiechnął się. Postanowił zadzwonić do niej następnego dnia, bo tak jakoś... stęsknił się za tą jej naturalnością i fantazją, której – w gruncie rzeczy – mógłby jej pozazdrościć niejeden copywriter. Napił się. Dziwne. Do niedawna kręciły go tylko kobiety idealne. Takie z okładek. Zgrabne, gładkie, smukłe. Nie łamał sobie głowy nad poziomem ich inteligencji, bo po co. Miały dobrze z nim wyglądać, do niego po prostu inne nie pasowały. Ale... chyba z tego wyrósł. Zaśmiał się cicho. W ciągu kilku dni? Niemożliwe. A jednak. Julia go irytowała. Nie mógł już słuchać jej idiotycznej paplaniny. Poza tym, im częściej na nią patrzył, tym mniej fascynowała go jej uroda. Co z tego, że w gruncie rzeczy nie było się do czego przyczepić? Może właśnie to zaczęło mu przeszkadzać? Po co mu taka lalka? Dmuchane można kupić w każdym seks-shopie. Myślące – już nie. Oparł nogi na balustradzie i dolał sobie koniaku. Lenka była wyjątkowa. Całkiem niepowtarzalna. Jeśli chodzi o urodę... Zamyślił się. Ale że co jest z nią niby nie tak? Policzki – okej, nos – bardzo zgrabny, usta – hm, powabne, oczy...

– Piękne – powiedział na głos, wznosząc toast nie wiadomo za co.

Wypił do dna i wrócił do mieszkania. Po chwili spał.

W odróżnieniu od Brzóskiego Guttman nie zamierzał zasypiać. Brał właśnie prysznic i pogwizdywał, bardzo zadowolony z tego, co chwilę

wcześniej robił z blondwłosą Miss, która, apetycznie rozciągnięta, leżała teraz na brzuchu na jego łóżku, trochę się nudząc.

A Guttman kąpał się już ponad godzinę.

Miss rozglądała się po pokoju. Phi. Jak na gwiazdorski apartament to marnie coś. Bez polotu, rzekłaby. Łóżko, szafa wnękowa, barek na kółkach. No dobrze, zdjęcia na ścianie robiły wrażenie, ale wściekłego koloru dywan już niespecjalnie.

Podniosła się i podeszła do telewizora. Może coś sobie poogląda, bo ten cwaniaczek to się chyba postanowił rozpuścić tam w łazience. Wzięła z komódki pilota i już miała włączać telewizor, gdy jej wzrok padł na pomarańczową kopertę, leżącą na rzuconej na podłogę kurtce Guttmana. Wzięła kopertę do ręki. Zbadała palcami. Kwadratowe, twarde, cienkie. Pomyślała chwilę. Phi. Przecież się nie obrazi. Po tym wszystkim, do czego tej nocy doszło między nimi, to już chyba są parą, nie? A pary wszystko robią razem i wszystko mają wspólne. Przynajmniej w świecie Miss, bo jak było u Guttmana, nie wiedziała. Ale założyła, że tak samo.

Rozerwała kopertę. W środku była płyta DVD.

Filmik! ucieszyła się. Będzie co oglądać. Nudo, zegnaj.

Włożyła płytę do stojącego na podłodze odtwarzacza DVD i rzuciła się na łóżko.

Chwilę później ociekający wodą Oskar Guttman wrócił do pokoju. Już w łazience zaniepokoiły go jakieś dziwne dźwięki. Miss siedziała w kucki na łóżku, bardzo czymś zdenerwowana.

– Kto to jest? – rzuciła, wskazując głową na telewizor.

Guttman spojrzał na ekran.

– Ty, mała, kto ci pozwolił ruszać moje rzeczy?! – krzyknął, podchodząc do telewizora. – Skąd to wzięłaś?

Miss wstała z łóżka i skierowała się do łazienki.

– Z koperty. Będę się myła – oznajmiła, wciąż bardzo obrażona.

Guttman zamierzał wyłączyć telewizor, gdy nagle... Rany boskie.

Jak zaczarowany zagapił się w ekran telewizora. Nagranie skończyło się, więc ponownie wcisnął PLAY.

Z ekranu spojrzała na niego filuternie Lenka Lipowska. Patrząc w lusterko puderniczki, odklejała właśnie z twarzy sztuczną bródkę i wąsik.

– „Oglądacie państwo najszybszą na świecie operację zmiany płci. Oto pewien brodaty pan przeistacza się w Lenkę Lipowską, matematyczkę z gimnazjum numer siedem...”.

To jest to – pomyślał, siadając z wrażenia na skraju łóżka. Musiał przenieść się trochę głębiej, żeby nie zsunąć się na podłogę.

Ta dziewczyna była tym, kogo szukał.

Zapauzował nagranie. Twarz Lenki zatrzymała się w kadrze. Skądś ją chyba znał... Szybko przeczesał myśli w poszukiwaniu śladów podobnej twarzy. Może pracowała już w telewizji? Albo chodzili razem do szkoły?

Nie, to nie to.

Myślał dalej. Sąsiadka? Nie. Ktoś z rodziny? Chyba nie...

– Pewnie modelka – zawyrokował wreszcie, uspokajając się trochę.

Obejrzał do końca nagranie i wyjął płytę z odtwarzacza. Na jej wierzchu ktoś zdecydowanymi literami napisał: *Lenka Lipowska performance*

Aktorka! Uśmiechnął się. Wyśmienicie. Będzie umiała współpracować z kamerą. Wrzucił płytę do rozerwanej przez Miss pomarańczowej koperty i pomyślał, że powinien podziękować Rembiewskiej i temu, jak mu tam, Oskarowi Topoli, że podesłali mu taki diament. Chyba że zapomni. A jutro, z samego rana, zleci Letycji, żeby skontaktowała go z tą Lipowską. O tym będzie pamiętał na pewno.

Zadowolony, klapnął na łóżko i podobnie do wyzwanego od Topól Brzóskego zasnął głębokim snem.

Parę ulic dalej Oskar Brzóske poruszył się niespokojnie, ale się nie obudził. Nie zdawał sobie sprawy, że wyjmując w zaaferowaniu kopertę z kosza, omyłkowo sięgnął po tę, która zawierała nagranie Lenki. Właściwa płyta (*Oskar Brzóske, casting*) wciąż leżała w koszu, nawiązując właśnie bliższą przyjaźń z w ogóle niezaspaną ćmą.

Lenka niepewnie rozglądała się po osłonecznionym tarasie restauracji, do której właśnie weszła. Jakieś to wszystko dziwne było. Rano – telefon. Ktoś – kobieta – nosowym głosem poinformował ją, że najlepiej by było, żeby usiadła. Lenka rozważyła szybko tę propozycję, ale z niej nie skorzystała, bo właśnie stała na szafce, ścierając kurz z górnej półki. Od kilku dni maniakalnie sprzątała mieszkanie, bo nagle bałagan, nazywany do tej pory artystycznym nieładem, zaczął się jej wydawać zwykłym chlewem.

Telefon odebrała tylko dlatego, że wisiał na ścianie obok. Stała więc tak niewygodnie na tej szafce, gdy kobiecy głos kontynuował instruktaż:

– Proszę wziąć kartkę i zapisać. Restauracja taka a taka, godzina – za godzinę. Oskar Guttman chce porozmawiać o prowadzeniu programu o nauce. To wielki sukces, prawda? – chciała wiedzieć słuchawka.

Lenka kilka razy upewniła się, że głos wie, do kogo mówi, bo z całą pewnością nastąpiła jakaś pomyłka. Słuchawka nie zamierzała ustępować:

– Pani Lenka Lipowska? Nauczycielka? Z gimnazjum numer siedem? Pani numer był w książce telefonicznej.

Lenka nie mogła się nie zgodzić. I właśnie dlatego siedziała teraz na tarasie restauracji, której kelnerzy wybierani byli chyba według jakiegoś

dziwnego klucza – wszyscy cierpieli na osobliwy tik nerwowy, bowiem przechodząc obok Lenki, nerwowo mrugali jednym okiem.

W rzeczy samej – mrugali. Podrywając ją. Ale Lenka, wizytująca Ziemię dopiero od paru dni, nie znała się na takich gestach. Kojarzyły jej się tylko z jakimś schorzeniem, które powinno się leczyć.

– Hello – usłyszała nagle.

Odwróciła się. Do jej stolika podchodził wysoki, kędzierzawy facet. Odetchnęła w duchu – tak, to właśnie jego typowała, gdy słuchawka informowała ją o spotkaniu z Oskarem Guttmanem. Przypomniała sobie, że człowieka o tym nazwisku poznała na imprezie w mieszkaniu pisarza Rembiewskiego. Mówił coś o jakimś programie, dał jej przecież swoją wizytówkę. Pewnie bardzo go przycisnęło z tą prowadzącą, prosił ją przecież, żeby poleciła mu ładniejsze koleżanki. Lenka skrupulatnie spisała więc nazwiska kilku znajomych, które – w jej odczuciu – dobrze prezentowałyby się na wizji; kartka ta leżała właśnie na stoliku, przyciśnięta szklanką z sokiem wiśniowym.

– Mmm, na żywo jesteś jeszcze piękniejsza – wymruczał Guttman, cmokając Lenkę w policzek.

– Na żywo? – zdziwiła się Lenka, sadzając wzrokiem siadającego Guttmana. W sensie... że martwa byłaby mniej atrakcyjna? No i nic dziwnego, tylko czemu o tym gadać?

Guttman uśmiechnął się, jakby właśnie usłyszał dobry żart. Zdjął okulary przeciwsłoneczne i zmierzwił palcami czuprynę. Kilka osób przy sąsiednich stolikach zaszemrało coś do siebie, wymieniając się spojrzeniami; Guttmana rozpoznano.

– Cha, cha, przecież że nie na martwo.

Lenka postanowiła wyjść. I to jak najszybciej. Gdyby tylko zjawił się wreszcie jeden z tych cholernych fikających kelnerów, musiała zapłacić za sok.

– Kiedy możesz przyjść na zdjęcia próbne? Bo ja bym proponował za dwa, najdalej trzy dni – poinformował Guttman, przebiegając wzrokiem po karcie menu. – O, sok z arbuza – ucieszył się.

Lenka poczuła, że za chwilę zrobi coś bardzo, ale to bardzo dziwnego. Na przykład wyjdzie oknem, nie zważając na szybę. Co byłoby tym dziwniejsze, że na tarasie nie było okien.

– Jakie zdjęcia? – powiedziała słabym głosem.

– No, próbne – powtórzył się Guttman. – Do programu, w sensie. Pokazałem cię reszcie ludzi, wszystkim się podobasz. Jeśli zaliczysz test kamerowy, dostaniesz umowę.

Lenka odruchowo rozejrzała się.

– Jakim ludziom?

Guttman z westchnieniem odłożył menu.

– Oj, Lena, Lena, ale obiecaj, że jak zaczniesz u nas pracować, nie będziesz tyle balowała. No chyba że ze mną i tylko ze mną – dokończył, patrząc na nią głodnym wzrokiem.

Lenka nic nie odpowiedziała. Najpierw musiała strawić słowa, które zabrzmiały w jej uszach jak bełkot pijanego szczura.

– Doszliśmy do wniosku, że jesteś naprawdę świetna. Taka... naturalna. Jakby ci w ogóle nie zależało. Cała reszta, ci na castingu, byli beznadziejni. Odstawiłaś ich o całe lata świetlne. Kelner! – krzyknął, dając Lence chwilę do namysłu.

Zastanowiła się. Rzeczywiście, na imprezie u Lwa Rembiewskiego ktoś kręcił się z kamerą. Myślała wtedy, że to takie zwykłe, amatorskie nagrywanie przyjęcia. Ale najwyraźniej był to ktoś z telewizji.

– Odważni jesteście – powiedziała wreszcie.

Kelner tymczasem przyjął zamówienie od Guttmana, przestał tikać i oddalił się krokiem japońskiej żony. Najwyraźniej uznał wyższość telewizyjnej szychy i zrezygnował z podrywania mu dziewczyny.

– Czemu? – zainteresował się Guttman.

– Bo to trochę bezprawne. Przecież nikt mi wtedy nie powiedział, że jestem nagrywana. Nie jestem wcale pewna, czy mi na tym zależało.

Guttman wyglądał tak, jakby z mózgu wypadła mu bardzo ważna bateryjka.

– Eee... nie rozumiem.

Lenka machnęła ręką.

– Nieważne. – Kelner przyniósł sok. – Myślałam, że jesteś zainteresowany moimi koleżankami, a tobie chodzi o mnie. Zabawne, ale mów, w czym rzecz.

Guttman spojrział bezradnie na sok, po czym wypił go duszkiem. Nie tak wyobrażał sobie to spotkanie. Ktoś tu za szybko przejął pałeczkę gwiazdy.

– O prowadzenie programu o nauce – wyjaśnił inteligentnie. – Ludzie mają dość tych wszystkich rzeczy z gwiazdami – kontynuował, nagle nieco zmartwiony. – Więc kupiliśmy format programu, w którym nie ma nic o gwiazdach, chyba że o tych na niebie. – Uśmiechnął się blado. – Generalnie takie naukowe newsy. Prowadzilibyśmy na zmianę. Miałabyś więc co drugi odcinek.

Lenka, której nagle nie wiedzieć czemu przypomniał się Asyriel, pokiwała głową.

– Rozumiem. Tylko że ja się do tego nie nadaję, przepraszam. Ale mam tu kilka nazwisk...

– Co ty opowiadasz! – zdenerwował się Guttman, który naprawdę nie mógł dłużej zwlekać z rozpoczęciem zdjęć.

Jakaś młoda dziewczyna podeszła do ich stolika. Oczy jej błyszczały, oddychała płytko. Patrzyła na Guttmana wzrokiem głodnego psa, któremu właśnie wsypują do miski.

– Czy mogę zrobić sobie z panem zdjęcie? – powiedziała, prawie mdlejąc przy okazji.

Guttman obdarzył dziewczynę wystudiowanym uśmiechem i wstał od stolika.

– Poczekaj chwilę – powiedział do Lenki i ustawił się obok dziewczyny. Jej nie mniej zestresowana koleżanka zrobiła zdjęcie, po czym przekazała pierwszej aparat i sama ustawiła się obok Guttmana.

Lenka obserwowała tę scenę ze skrajną obojętnością. Chwilę później Guttman znów siedział przy stoliku.

– Widzisz? Jak zaczniesz u nas pracować, ludzie też cię tak pokochają.

Lenka nie była pewna, czy na pewno zależy jej na miłości płytko oddychających dziewczyn. A właściwie była pewna, że nawet by jej to nie przeszkadzało, gdyby tylko oddychały trochę głębiej.

Guttman zapatrzył się na Lenkę.

– No, nie kręć nosem. Gra jest warta świeczki. – Dotknął delikatnie jej dłoni. – To twoja wielka szansa, drugi raz może się nie powtórzyć. Powinnaś być wdzięczna Julii Rembiewskiej, to dzięki niej się przecież zderzyliśmy.

Lenka nagle poczuła, że obrazy wokół się zamgliły. Sylwetka Guttmana była natomiast wciąż bardzo ostra. Julia Rembiewska. Właścicielka zmysłowego głosu. Który uwodził Oskara Brzóskego. Właścicielka palców,

które kręciły loczek i wystukiwały jego numer w komórce. Ta, którą wtedy w korytarzu chciała odciągnąć za włosy.

Przez głowę Lenki przemknęły w histerycznym pędzie rwane myśli. Miały jednak wspólny mianownik – Oskar Brzóska. Przecież jemu zależało... On chciał... Przenosił się... Imponowało mu... Julia Rembiewska... Rembiewska Julia... Córka Lwa...

Otworzyła usta, by powiedzieć: Okej. Przekonałeś mnie, ale Guttman delikatnym gestem jej je zamknął.

– Jest tylko jeden szkopuł. – Nachylił się, dając Lence znak, żeby zrobiła to samo.

Zrobiła to samo.

– Na wizji trzeba cały czas wciągać brzuch.

Minęły dwa dni. Ada siedziała właśnie w kuchni, słuchając Lenki w milczeniu. Potem zgodziła się uprzejmie, że to rzeczywiście niesłychane i że na pewno nie powtórzy się po raz drugi. I że – tak, miałaś rację, to mogła być sprawka Asyriela. Pewnie w ten sposób zamierzał zbliżyć cię do Oskara, który będzie tobą zachwycony, przecież ludzie z telewizji tak bardzo mu imponowali.

– Rzeczywiście, Lena, niesamowita historia, idź dziś na tę próbę.

Uskrzydłona Lenka wystrzeliła z mieszkania Ady jak szyszka z procy. Wcześniej zadzwoniła do Hugo, tego fryzjera. Znał jakąś stylistkę, czesała się u niego. Obiecał, że umówi ją z Lenką – pójdą razem na zakupy, wybiorą coś wystrzałowego, specjalnie przed kamerę. W końcu zostało jej tylko kilka godzin!

Nów też dzisiaj, pomyślała Ada, patrząc przez okno na Lenkę, która właśnie, zaaferowana, czekała na parkingu na zamówioną wcześniej taksówkę.

– Schudła chyba – podsumowała wygląd siostrzenicy i nagle zamarła.

Chciała krzyknąć, wyskoczyć, zabronić, cokolwiek! Lenka najspokojniej na świecie zapaliła właśnie papierosa. I nic się nie stało! Nawet z perspektywy tych kilku pięter Ada szybko zauważyłaby, gdyby coś było nie tak – Lenka kasłałaby przecież, kichała, siniała i bladła na zmianę, i robiła całą resztę rzeczy, które normalną (nawet prawie) matkę mogą w tempie ekspresowym przyprawić o zawał.

A Lenka paliła sobie w najlepsze, wyraźnie zrelaksowana tą czynnością. Gdy przyjechała taksówka, pstryknęła sprawnie papierosem w stronę kosza na śmieci, wsiadła do auta i odjechała. Zmrożona Ada oderwała się od okna, wyjęła z lodówki mleko i nerwowo wlała sobie do gardła jakieś ćwierć litra. Od dziecka ją to uspokajało. Być może uzupełniała w ten sposób jakieś mikro– i makroelementy, ciężko stwierdzić. Dość, że w chwilach szczególnego wzburzenia lub przygnębienia potrafiła wypić solidny garnek mleka, byle zimnego.

Nadal roztrzęsiona usiadła za stołem. Zamyśliła się. Z całą pewnością coś się wydarzyło. Powinna zdefiniować to coś, ale nie umiała. Może to zwykły zbieg okoliczności, może w życiu Lenki po prostu zrobiło się bardziej kolorowo, może jakimś cudem zniecka uwolniła się od uczulenia na papierosy i orzeszki piniowe. Może przez zwykły przypadek nagle wyleczyła się z wrodzonej krótkowzroczności i astygmatyzmu. Można wierzyć w tę wersję, ale... po co? Niczym rasowy redaktor literacki Ada sprzeciwiała się bowiem występowaniu czegoś takiego jak nagłe zbiegi okoliczności, stanowczo preferując wydarzenia oparte na zasadzie przyczyny i skutku. Owszem, magia występowała czasem jakby bez sensu. Jakby. Kluczowe słowo. Bo nic nie działo się przypadkiem, nawet jeśli nosiło wszelkie jego znamiona i zarzekało się na grób ukochanego chomika, że było wręcz

encyklopedycznie przypadkowe. Wszystkie wydarzenia miały swoją przyczynę, coś, co je wywoływało, aby osiągnąć konkretny skutek. Tak to już ktoś tam wyżej ustawił. Wróżki, magia, Asyriele i inne wymysły istniały po to, żeby w tym pomóc. Nie odmienić rzeczywistość. Pomóc szybciej wystąpić temu, co i tak było nieuniknione. A jeśli coś miałoby się nie wydarzyć, to się nie wydarzy, żeby nie wiadomo ile magii do tego zaprzęgnąć.

Poszła po nowy kartonik mleka i włożyła go do zamrażarki, żeby się szybciej schłodziło. Zagapiła się w okno. Była pewna: Asyriel nie działał w ten sposób. Jego zachowanie zawsze miało sens, czasem dość okrutny, ale jednak. Gdyby miał pomóc Lence w zdobyciu Oskara, nie zdejmowałby z niej uczuleń i nie wysyłał ot tak do telewizji. Raczej próbowałby otworzyć Oskarowi oczy. No i serce.

Innymi słowy, działo się coś innego. Jakaś konkurencyjna przyczynowo–skutkowość, która bardzo się Adzie nie podobała, bo była niezdefiniowana, obca, anonimowa i nie wytarła butów przed drzwiami, działała właśnie w najlepsze. Należało więc czym prędzej dowiedzieć się, o co tak naprawdę chodzi.

Babcia, jak ją wszyscy nazywali, na pierwszy rzut oka była nieco poskręcaną przez artretyzm staruszką, żyjącą sobie spokojnie w małym rozpadającym się domku na obrzeżach miasta. Babcia miała jakąś rodzinę, ale rozsypaną po świecie. Wcale jej to jednak nie martwiło, bo przynajmniej nie musiała robić wigilii. Nawet kobieta z opieki społecznej, która czasem zaglądała do Babci, nie mogła wyjść z podziwu nad zaradnością tej zgrzybiałej staruszki. Lodówka nigdy nie była pusta, pokoje nie straszyły śmieciem, podwórko wydawało się zamiecione. Kobieta założyła więc, że ktoś z rodziny jednak do Babci przychodzi i sumiennie się nią zajmuje. To

było, trzeba przyznać, bardzo logiczne spostrzeżenie. Ale zupełnie niezgodne z prawdą.

Babcia drzemała właśnie w fotelu, gdy ktoś zapukał do drzwi. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się. Ada, jej ukochana uczennica.

Po raz pierwszy w życiu Oskar tak bardzo spóźnił się do pracy. Oczywiście jak każdemu normalnemu człowiekowi zdarzało mu się czasem przyjść kilka minut po czasie, ale nigdy dwie godziny. Oraz, co również nietypowe w jego wypadku, wcale się tym nie zdenerwował. Najspokojniej w świecie usiadł w swoim boksie i wyjął z torby opowiadania Lenki Lipowskiej, które w wyniku nagłego impulsu wziął ze sobą z domu.

Zajęty czytaniem, nie zauważył, że ktoś stanął obok jego boksu i zaczął bębnić palcami w kant ścianki działowej. Postać, zirytowana przedłużającym się brakiem zainteresowania ze strony Oskara, wreszcie wydała z siebie alarmujące chrząknięcie. Brzóska, ociągając się, podniósł oczy znad bajki.

– Spóźnił się pan – oznajmił naczelny, nadal bębniąc palcami w ściankę.

Kilka par oczu z sąsiednich boksów uważnie przypatrywało się scenie. W spojrzeniach tych zawierało się bardzo wiele uczuć na „p”, poczynając od przerażenia, a kończąc na satysfakcji, która, jak wiadomo, też jest na „p”.

Oskar natomiast nie wyrażał sobą właściwie żadnych emocji. Fakt ten strasznie oburzył naczelnego.

– Może mi pan to jakoś wytłumaczyć?! – zażądał gniewnie. Oskar skinął głową.

– Owszem. Otóż zasnęłam.

Naczelny w tym momencie nawet nie wyglądał. On po prostu zawrzał.

– I... tak? Po prostu? Mi pan to mówi?!

Oczy z sąsiednich boksów pożałowały, że nie są na sprężynkach.

– Zapomniał pan, że do mojej redakcji nikt się nie spóźnia? Oskar znów kiwnął głową.

– Nie zapomniałem.

Naczelny jakoś tak dziwnie się zachwał.

– U mnie, za dziesięć minut.

Oskar skinął głową, sprawdził godzinę, po czym wrócił do czytania. Miał przecież jeszcze dziewięć minut, licząc minutę na dojście do gabinetu szefa.

Gdzie dotarł za kwadrans. Idąc do naczelnego, był wyjątkowo wyluzowany. Bo czym miałyby się denerwować? Julia, która skończyła już staż i od dwóch dni nie pojawiała się w redakcji, zadzwoniła rano, by powiedzieć, że – jak ponoć dowiedziała się od koleżanki – Guttman obejrzał otrzymaną od nich płytę i bardzo mu się spodobała. Dlatego, zdaniem Julii, transfer Brzóskego do telewizji był kwestią czasu. Oskar przyszedł więc do redakcji z przeświadczeniem, że to jego ostatnie chwile w tym miejscu i że naprawdę nie musi się już starać. Gdyby naczelny był normalnym, zdroworozsądkowym szefem, którego się szanuje, zapewne zachowywałby się inaczej i nie obijał tak nachalnie. Ale naczelny był kretynem. Więc miał teraz za swoje.

To myśląc, Brzóske dotarł do drzwi naczelnego, zapukał i wszedł. Niestety, nie wiedział wszystkiego. Ba! Nie tylko on.

Wszystkiego nie wiedziała też Rembiewska, która, fakt, zadzwoniła do Letycji i, fakt, dowiedziała się, że Guttmanowi bardzo spodobało się nagranie i osoba tam występująca. Letycja nie miała czasu na pogaduszki, była już bowiem po telefonie do Lenki i zajmowała się właśnie sprawami innego programu. Nie wdała się więc w szczegóły, a szkoda, bo może wtedy ustaliłyby z Julią, że to nie Lenka, ale Oskar Brzóske miał być podmiotem ich rozmowy. I że, jak by to powiedzieć, zaprosili fajną osobę, ale zupełnie nie tę,

o której zatrudnienie zabiegała Julia! Życie, jak widać, pisze czasem pokrecone scenariusze.

Brzóska tymczasem usiadł na krześle gościnnym naprzeciwko naczelnego, który właśnie zdalnie uruchamiał mechanizm zamykający żaluzje w oknach. Ludzie w czerni, satelity szpiegowskie, latające pluskwy, a może nawet i Obcy. Tak.

Wreszcie, gdy żaluzje były już szczelnie zamknięte, naczelny nachylił się w stronę Brzóska i powiedział:

– Przepraszam, że na pana nakrzyczałem, panie redaktorze.

Oskar zamarł. O niczym nie myślał w tej chwili. No może poza tym, że naczelnemu odbiło.

– Nic... eee... się nie stało.

Naczelnny spróbował się uśmiechnąć, z naciskiem na pierwszą część zdania.

– Przed chwilą dzwonił do mnie Henio Fryc.

Brzóska zaczynał coś rozumieć.

– Jest, no, zachwycony wywiadem – oznajmił naczelny z niekontrolowanym wyrazem obrzydzenia na twarzy, po czym dodał jak najgorsze przekleństwo: – Brawo.

– Nie ma za co – wydukał Brzóska.

Gdy przygotowany na rozrobę człowiek niespodziewanie dostaje cukierka, zazwyczaj zupełnie nie wie, którądy wkłada się go do ciała.

– To jest... nie ma sprawy – poprawił się. Naczelnny chrząknął.

– Kiedy mi pan przyniesie ten wywiad?

Oskar zagryzł wargi. Telewizja materiał dostała, pewnie wyemituje jeszcze w tym tygodniu.

– Po weekendzie może być? – zapytał.

Naczelny zapowietrzył się.

– Po weekendzie?! Czyś pan oszalał?! Jesteśmy gazetą, a nie jakimś cholernym kwartalnikiem!

Naczelny gotował się, ale przynajmniej znów był sobą, co Oskar przyjął z ogromną ulgą.

– Pan tu, proszę pana, jest w stopce! Nie wolno tak olewać! Trzeba szanować czytelników i dawać newsy od razu, przecież to dzięki tym ludziom masz pan pracę!

Oskar już miał skłamać, że w takim razie dostarczy wywiad przed weekendem (po czym mógłby na przykład przynieść fałszywe zwolnienie i rozchorować się niby na coś), ale nagle zawahał się. Naczelny, w gruncie rzeczy, miał rację. Póki oficjalnie nie odejdzie i nie przeniesie się, równie oficjalnie, do telewizji, ma zobowiązania. Nie wobec naczelnego, niech by był największym kretyńcem na świecie, ale wobec ludzi, którzy codziennie małeńką, ale jednak, część swoich pensji wydawali na gazetę, którą współtworzył. Należała im się więc jak najwyższa jakość. Bo w przeciwnym razie, serwując im chłam, tak jakby ich okradał.

Naczelny spojrzał na Brzóskego w pełnym irytacji oczekiwaniu. Oskar natomiast podjął w duchu następującą decyzję: zaraz po pracy pojedzie do telewizji. Pozwoli im opublikować materiał, ale pod warunkiem, że tego samego dnia rano informację o nagrodzie Fryca poda jego gazeta. Jako pierwsza.

– Będzie przed weekendem – obiecał naczelnemu, patrząc mu szczerze w oczy, po czym wstał i wyszedł.

Naczelny dopiero po chwili otworzył żaluzje.

Stylistka okazała się babką z kośćcami. Pomogła Lence wybrać kilka naprawdę doskonałych ciuchów, zachwyciła się jej sylwetką i zasugerowała, żeby Lenka zainwestowała w buty na obcasie.

– Będiesz wyglądać jak modelka – przekonywała. Lenka nie widziała większego sensu w wyglądaniu jak ktoś,

kto zarabia na życie chodząc w tę i z powrotem po kawałku podłogi, ale pamiętała z gazet, że modelki obecnie robią towarzyską furorę, że podobają się mężczyznom i generalnie nie jest źle być jedną z nich albo choć do nich podobną. Poszła więc za radą stylistki i wydała jedną piątą pensji na piękne skórzane buty na najmodniejszym obcasie. Następnie (stylistka strasznie chciała zobaczyć pełen efekt) zanurkowała do przymierzalni, by po kilkunastu minutach wynurzyć się, całkowicie przebrana w jeden z nowych zestawów plus buty. Stylistka jęknęła i usiadła na pufie.

Lenka, zaniepokojona, odruchowo zgarbiła się. Wspaniale. Ciekawe, czy to jeszcze można oddać, pomyślała zdenerwowana. Nie doceniła jednak zachowania stylistki, które, szczerze mówiąc, było dalekie od obrzydzenia. Ona promieniała z zachwyty.

– Pani jest... jesteś... Boże. Lenka. Wyglądasz, ale tak naprawdę, jak gwiazda z telewizji.

Lenka podeszła do lustra. No więc... zgoda, może być, ładnie. Zgrabnie jakby. Te buty rzeczywiście chyba pomagały nogom. Spojrzała na siebie z profilu. O. Miała płaski brzuch! Ciekawe. To znaczy, zawsze była chuda, ale teraz jakby jeszcze bardziej.

– Albo jak modelka – dodała stylistka.

Polubiła Lenkę i nie potrafiła jej teraz zazdrościć, choć miała ku temu wszelkie powody. Wiele kobiet miałyby.

– Nieźle się maskowałaś, dziewczyno. Ale teraz możesz spokojnie jechać do telewizji. Wyglądasz jak sto milionów.

Lenka uśmiechnęła się nieśmiało i jeszcze raz spojrzała w lustro. Dziwne uczucie, nie poznawać samej siebie.

Ada dopiła herbatę. Nie żadne pokrzywy czy inne mandragory. Darjeeling. Rozejrzała się. Ściany pokoju oplecione były żyłkami pęknięć, sufit zdawał się nachylać bardziej, niż zezwalało jakiegokolwiek prawo. Dom ewidentnie walił się i nie miałby pewnie nic przeciwko umieszczeniu na wejściu informacji, że przebywanie w nim grozi śmiercią. Babcia siedziała w bujanym fotelu, patrząc przenikliwie na swoją byłą uczennicę.

– Nie bój się, jeszcze trochę postoi. To znaczy trochę ponad dwa tygodnie.

Ada prawie udławiła się herbatą. Wolą nie pytać o źródło tak dokładnej wiedzy. Babcia posłała jej uspokajający uśmiech i powiedziała, mrużąc szare ze starości oczy:

– A my to chyba ze sto lat się nie widziałyśmy. Ada zachnęła się.

– Jakie tam sto, Babciu. No może ze dwadzieścia.

– Masz teścia? Wyszłaś za męża?

Ada westchnęła. Już wtedy, gdy jako studentka po raz pierwszy zawitała do Babci w ramach praktyk, staruszka miała problemy ze słuchem, ale widocznie teraz było jeszcze gorzej. To zupełnie naturalne u ludzi, którzy mają dobrze funkcjonujące trzecie oko i słyszą rzeczy, na które inni pozostają obojętni. Coś się czymś musi rekompensować, żeby zachować równowagę w przyrodzie. Poza tym Babcia (Ada dokonała szybkiego rachunku) miała dziewięćdziesiąt trzy lata, więc mogła sobie głuchnąć na zdrowie. W takim wieku to już wypada i nie ma się czego czepiać.

Odchrząknęła i powtórzyła głośniejszym głosem:

– MÓWIŁAM, ŻE ZE DWADZIEŚCIA.

– A, przecież słyszę, nie krzycz – odparła Babcia. Prądkowany piesek, jakaś wypadkowa dachowca i kundla,

wskoczył jej na kolana i podetknął się pod pomarszczoną dłoń,

126

która odruchowo zaczęła skrobać go za uchem. Piesek westchnął cicho.

– Potrzebuję... – zaczęła Ada. Po chwili dokończyła głośniejszym głosem: – POTRZEBUJĘ TWOJEJ POMOCY. CHODZI O MOJĄ SIOSTRZENICĘ, PAMIĘTA BABCIA. OTÓŻ ZROBIŁA Z KOLEGĄ RYTUAŁ DO ASYRIELA I...

Babcia nagle ożywiła się i gdyby umiała strzyc uszami, wycięłaby właśnie nimi w powietrzu efektowny wzorek.

– Z kolegą? – zapytała, otwierając szeroko stare oczy. – Takim ładnym?

Adę, mówiąc dokładnie, momentalnie zatkało.

– Ładnym... ZNACZY ŁADNYM, TAK.

– I może o imieniu Oskar? – zapytała Babcia, uśmiechając się delikatnie.

Ada chwilę trawiła jej słowa, czując ciarki przebiegające po plecach.

– No tak, zapomniałam, że czytasz w myślach – odparła półgłosem, po czym już głośniejszym głosem dodała: – ZGADZA SIĘ. I WŁAŚNIE DLATEGO POTRZEBUJĘ TWOJEJ POMOCY, BO...

Babcia pokręciła głową, wchodząc jej w słowo.

– To nie ty potrzebujesz – zawiesiła głos. – Choć ty trochę też, ale w innej sprawie. I akurat tobie nie mogłabym pomóc, więc dobrze, że przychodzisz z problemem tej małej.

Ada spojrzała pytająco.

– To znaczy? – I po chwili głośniejszym głosem: – TO ZNACZY? Babcia cierpliwie tarmosiła kudłatą głowę psa, który nie ustawał we wzdychaniu.

– Och, wiesz, o czym mówię. To znaczy o kim. Ale ja ci nie pomogę, bo to sprawa wyższych instancji. – Wskazała palcem na sufit. – Natomiast jeśli chodzi o dziewczynkę, wiem parę rzeczy.

Ada poczuła, że kręci się jej w głowie. Babcia zawsze ją trochę przerażała, choć nigdy nie potrafiła oprzeć się jej magnetyzmowi. Wtedy, na studiach, miała w ramach praktyk znaleźć jakąś samotną starszą osobę, do której mogłaby przychodzić przez miesiąc i notować spostrzeżenia na jej temat. To było podczas socjologicznego epizodu w naukowej karierze Ady. Próbowała studiować dwa kierunki, ale nie dała rady. Dlatego teraz legitymowała się tylko jednym dyplomem, ekonomii. Często zastanawiała się, co by było, gdyby wtedy została na socjologii. Może nie skończyłaby jako wróżka, ale jako szanowana pani socjolog? Kto wie.

W każdym razie wtedy, jeszcze na socjologii, jej wybór padł na staruszkę mieszkającą samotnie w małym domku, który mijala w drodze na uczelnię. Oczywiście zanim w ogóle zaczęła ją odwiedzać, musiała dostać pisemną zgodę na udział w badaniach. Zapukała do drzwi domku. Babcia otworzyła. Ada nabrała powietrza i otworzyła usta, żeby wypowiedzieć formułkę, którą wcześniej przygotowała, gdy Babcia, nie mówiąc nic, a jedynie zapraszająco się uśmiechając, podała jej kartkę ze zgodą. Adę zatkało tak bardzo, że tego dnia do końca wizyty wypowiedziała może z pięć słów (a ponieważ były wśród nich „dzień dobry” i „do widzenia”, to piąte musiało brzmieć „dziękuję”, choć po tylu latach lepiej się w tej sprawie nie zakładać).

Babcię miała odwiedzać tylko przez miesiąc, ostatecznie odwiedzała prawie rok. Potem pojawiły się zawirowania na uczelni, przełomy w Polsce, zamęty w sercu i przestała mieć czas dla staruszki. Kilka razy jej się śniła, zawsze nieco przerażająca, ale jednocześnie bardzo życzliwa. W każdym razie

Ada była pewna, że jeśli będzie miała problem, Babcia chętnie jej wysłucha. To znaczy, o ile Ada będzie wystarczająco głośno mówić.

Piesek pisnął, bo ręka zapomniała o głaskaniu. Babcia zdjęła go ostrożnie z kolan i podreptała do kuchni, skąd wróciła po chwili, niosąc średniej wielkości ogórek szklarniowy i nożyk. Usiadła w swoim fotelu. Ada nie pytała, po co Babci ogórek – staruszka lubiła wróżyć w dość niekonwencjonalny sposób. Na przykład jedną z jej ulubionych wróżb było kiedyś rzucanie pomidorami o ścianę i odczytywanie przyszłości z ciap, jakie tam po sobie pozostawiały.

– Widzisz – zaczęła, obierając ogórka. Długie obierki układała równiutko na stoliku obok. – Twoja siostrzenica rzeczywiście zrobiła rytuał i wszystko szło jak z płatka, aż...

–AŻ?

– Czekaj. Co ja mówiłam, aha. Aż ten chłopak, Oskar, wyszedł na chwilę z pokoju.

Ada słuchała z uwagą, przybierając profesjonalną minę wiedźmy, na której obecność drugiej, dużo potężniejszej, robi takie wrażenie, jak gumowy młotek na słoni. Tak naprawdę w duszy trzęsa się jak liść.

Trzęsienie się przez Adę jak liść wymaga pewnej dygresji. Z Babcią, jak już wcześniej wspomniano, poznała się w wieku studenckim. Przez miesiąc obserwowała ją dzień po dniu. Za każdym razem przez bite sześć godzin. Babcia udawała (co zresztą było założeniem badania), że Ady nie widzi, i żyła sobie swoim normalnym życiem. To jest gotowała magiczne wywary, hodowała pająki, którymi następnie doprawiała zupę, rozmawiała z niewidzialnymi energiami i wróżyła między innymi z pomidorów rozkwaszonych na ścianie. Ada na początku uznała Babcię za niegroźnie kopniętą, później zaczęła się jej bać, a na końcu została jej uczennicą. Już

podczas pierwszego spotkania Babcia zorientowała się bowiem, że Ada ma talent i jest materiałem na czarownicę. Dlatego postanowiła ją uczyć.

Ada właściwie od razu się zgodziła. Na początku co prawda tylko dlatego, że wolała nie myśleć, w co Babcia ją zamieni, jeśli powie nie. Później wciągnęła się, spodobało jej się i rzeczywiście zaczęła odkrywać w sobie talenty, z których istnienia wcześniej nie zdawała sobie sprawy.

Krótko mówiąc, Babcia uczyniła ją tym, kim obecnie była.

Czyli bezrobotną, sfrustrowaną wróżką, zarabiającą na ubezpieczeniach.

Oskar wyszedł z pokoju. A dokładnie z sali, w której pracowali wszyscy dziennikarze. Włożył szarą kurtkę, w której wyglądał tak sobie, po czym szybkim krokiem wyszedł z budynku i swoim ostatnio w ogóle niemytym kabrioletem odjechał w stronę siedziby telewizji.

– Twoja siostrzenica, taka szczupła, z mysimi włosami i beznadziejnie ubrana?... No więc ona w pewnym momencie podniosła się i wyjrzała za nim przez drzwi. To znaczy koraliki. Cały zestaw do rytuału zostawiając na podłodze.

– Świece też? ŚWIECE TEŻ?

– Żeby tylko świece. Zostawiła, moja droga, świece z już przyczepionymi do nich kartkami.

– NA KTÓRYCH BYŁY ŻYCZENIA?

– W rzeczy samej. I kiedy patrzyła tak przez drzwi, te świece... one... zostały przestawione.

Ada zerwała się na równe nogi.

– Ale ich, znaczy, ALE ICH NIE ZAPALILI, MAM NADZIEJE?!

Babcia wyglądała na bardzo skruszoną. Jakby sama te świece przestawiła.

– Zapalili, niestety. Ja też się zdenerwowałam. W każdym razie, jeśli teraz z twoją siostrzenicą dzieje się coś dziwnego, to prawdopodobnie przez to, że spełnia jej się... tak, mnie też jest przykro... życzenie tego chłopca.

Ada stała chwilę bezradnie na środku pokoju, nie bardzo wiedząc, co teraz. .

– To dlatego... no tak... teraz rozumiem... I CO TERAZ? Babcia uśmiechnęła się grzecznościowo.

– Dobrze wiesz co. Jeśli będzie przeszkadzała, Asyriel dopilnuje, żeby to jej oryginalne marzenie, cokolwiek napisała tam na swojej kartce, już nigdy się nie spełniło. Ale jeśli podda się magii... to wszystko przed nią. W każdym razie najlepiej by było, żeby marzenie tego chłopca, Oskara, spełniło się twojej siostrzenicy przed kolejną pełnią. Czyli – Babcia dokonała szybkiego rachunku, używając w tym celu wszystkich swoich palców – w ciągu dwóch tygodni.

Ada, zdenerwowana, pokiwała głową. Chwyciła torebkę i podskoczyła do Babci, żeby ucałować ją na pożegnanie.

– CO JA BYM BEZ BABCI ZROBIŁA!

Babcia skromnie machnęła ręką.

– Ach, nic. Może byście się w końcu same o tym dowiedziały. Ada zachnęła się.

– SAME? ALE JAK. PRZECIEŻ TO BABCIA MA KONTAKT... Z ENERGIAMI. JA NIBY TEŻ, ALE U MNIE TO... nie do końca działa – dokończyła ciszej, po czym ruszyła w stronę drzwi.

Babcia odprowadziła ją na próg.

– Energie... Jakie energie – powiedziała sama do siebie, po czym kontynuowała głośniej: – Widzisz, nie energie, ale moja prawnuczka. Letycja. To ona przestawiła świece myszowatej i ładnemu – wyjaśniła psu, który

spojrzał na nią mądrymi oczami. – Stała na balkonie i tak z nudów... Skrzyczałam ją za to, ale przecież nie można winić dziecka, nie wiedziała, co robi.

Ada pożegnała się, wyszła na podwórko, machinalnie pomachała do Babci, a następnie odbiegła w stronę przystanku. W jej głowie szalał przeciąg, dosłownie kipiała z emocji. Do autobusu wpadła jak burza gradowa, niechcący potrącając bandę wyrostków.

Babcia obserwowała swoją dawną uczennicę, uśmiechając się pod nosem. Upewniwszy się, że Ada odjechała w stronę centrum, cofnęła się do przedpokoju i zamknęła drzwi na klucz. Wzdychający piesek otarł się o jej nogi i zaskomlał. Babcia schyliła się z trudem i podrapała go za uchem. Potem podreptała do kuchni. Zaczęła nalewać sobie herbaty do szklanki, gdy coś ją nagle zmroziło. Zamarła z wzrokiem wbitym w przestrzeń.

W tym samym momencie Ada wysiadała z autobusu, lżejsza o portfel, który został w rękach bandy, jadącej dalej.

Na marginesie. Rodzina Babci faktycznie była rozproszona po świecie. Z wyjątkiem Letycji, jej prawnuczki, która wciąż szukała swojego miejsca, niezbyt mądrze zakładając, że znajdzie je w telewizji. Poza tym liczyła na spadek, więc regularnie kręciła się wokół staruszki.

Ale to nie ona sprzątała podwórko i uzupełniała lodówkę.

Lenka Lipowska o wyglądzie stu milionów szła telewizyjnym korytarzem. Wzięła udział w teście kamerowym, który nie był nawet taki straszny, jak się spodziewała. Przed wszystkim, ku jej wielkiemu zdziwieniu, przed kamerą wcale nie czuła się speszona. Mówiła ze swadą, zgrabnie dobierając słowa. Operator kamery pochwalił ją, że genialnie wyglądała w okienku. Wszyscy byli mili i uśmiechali się zachęcająco, natomiast Oskar Guttman dosłownie rozbierał ją wzrokiem. To ją trochę zniesmaczyło na początku, ale

później nawet mile polechtało. Zauważyła bowiem, że Guttman cieszył się ogólnym poważaniem, nie mylić z szacunkiem. Grunt, że ludzie się z nim liczyli, uznając jego gwiazdorską wyższość. Podobanie się komuś takiemu każdej dziewczynie poprawiłoby humor.

Tymczasem, gdy już wyszła na korytarz, kierując się do wyjścia, poczuła... No właśnie. Poczowała jedno wielkie nic. Pustkę jakąś. Brak światła na skrzyżowaniu. Letnią herbatę, rozwodnioną kawę, niedosolony makaron. Ani się nie cieszyła, ani nie była smutna. Była obojętna. Minęła kilka telewizyjnych sław – prawdopodobnie, bo ich nie rozpoznała; nie interesowała się takimi ludźmi. Były to w każdym razie bardzo efektowne, ładne kobiety, dość wyfiokowane jednak i upchnięte w jakieś niewygodne, choć bardzo twarzowe stroje, ze sztucznymi uśmiechami i żądzą krwi w oczach.

– Zrobiła sobie usta – powiedziała jedna z kobiet do drugiej. Mijając Lenkę, wymierzyły jej policzek spojrzeniem, następnie zlekceważyły i pomknęły dalej, bezlitośnie obgadując jakąś telewizyjną koleżankę.

– Tak myślałam, wygląda jak kibel.

– Słyszałaś? Przespała się z szefową.

– Ho, ho.

Minęła ją też jakaś szkolna wycieczka. Dzieciaki z szaleństwem na twarzach fotografowały wszystko dokoła. Miała ochotę po nauczycielsku obsztorcować je trochę, że są za głośne i zbyt rozbiegane, ale zrezygnowała, gdy dzieci nagle rzuciły się w jej stronę z jakimiś kartkami, długopisami. Ładna, zgrabna i w telewizji, musiała być kimś.

– Ty, znam ją skądś.

– Skąd?

– No nie wiem, co za różnica.

– Pstrykaj fotę! Na wszelki wypadek!

– Pstrykaj ją, no!

Lenka przyspieszyła, przerażona, ale dzieci i tak ją dopadły, otaczając jak kruki martwe zwierzę. Poczwała, że się dusi. Opiekun dzieciaków krzyczał z tyłu, żeby dały pani spokój, ale one żądały autografu, wspólnej fotografii, a najlepiej odrąbanej głowy Lenki Lipowskiej. Liczy się trofeum, nie? Żeby potem pokazać, że się ją naprawdę widziało, a nie że się tylko posklejało zdjęcie w Photoshopie. Lenka zbiegła po schodach i przedarła się przez elektroniczną bramkę, która na szczęście zatrzymała pościg. Dzieci zostały za bramką, bardzo niezadowolone.

– Zdzira, do tego w realu jakaś grubsza – podsumowała Lenkę jedna z gładko uczesanych dziewczynek.

Lenka wyszła z budynku telewizji roztrzęsiona i usiadła na ławce. Chryste Panie, okropne. Jeśli to ma tak wyglądać, to ona nie chce mieć z tym nic wspólnego. Dziwne, że Oskarowi Brzowskiemu imponował taki świat... Zastanowiła się, nagle czując nieznaną do tej pory niesmak. Może oni jednak... z Oskarem... do siebie nie pasowali? Może kochała się... w plakacie? Nie, skąd, przecież Oskar był taki wspaniały! Ale z drugiej strony...

Koniec. Nie pójdzie do żadnej telewizji, żeby tym samym zaimponować Oskarowi Brzowskiemu. Nie będzie przebierała się już w te wszystkie niewygodne buty, wciskała w chude dzinsy i udawała, że uwielbia staniki podnoszące biust.

Dość!

To nie był jej świat, w takim wcieleniu nie czwała się dobrze. Dokładnie!

Była nauczycielką matematyki z gimnazjum numer siedem, całkiem dobrą nauczycielką. Może pozwalała dzieciakom wchodzić sobie na głowę, ale przynajmniej ich nie lekceważyła, zawsze traktowała bardzo poważnie.

Spod jej ręki wyszło już kilku olimpijczyków, wyjdą kolejni. To jest coś, za co można ją szanować.

Tak.

Poza tym miała też inne ambicje i pasje. Pisała opowiadania, marzyła, że kiedyś je wyda. Że ludzie się zachwycą – nie nią, to akurat nie było najważniejsze. Że się zachwycą światem, który stworzyła. Że ten świat ich uwiedzie, poprawi im humor, a może natchnie jakoś. Pozytywnie natchnie.

Właśnie.

Postanowiła wrócić do starej, dobrej siebie. Okej, może zrezygnuje z tamtych średnio twarzowych szarości i zostanie przy fryzurze na Kate Moss. Ale nie będzie na siłę z polnego kwiatka robić egzotycznej palmy. Jakby nie ta skala.

Zadowolona, wstała z ławki. Jeśli Oskar Brzóska miał ją pokochać, pokocha taką, jaka naprawdę jest. Wyjęła telefon i napisała wiadomość do Guttmana, dziękując za zaufanie i szansę. To jej jednak nie interesowało. Nie będzie pracowała przy jego programie. Wysłane. Sprawa zamknięta.

I wtedy zadzwoniła Ada.

Po raz pierwszy w życiu Oskar Brzóska zgubił się w mieście, w którym mieszkał od urodzenia. Żeby ominąć korek, wjechał w jakąś małą, jednokierunkową uliczkę, która następnie wyprowadziła go na remontowany plac, z którego był tylko jeden wyjazd, znów jednokierunkowy. Potem zestaw kolejnych zapyziałych ulic, do niczego niepodobnych, przeważnie jednokierunkowych (zagłębnie jakieś?), które wyprowadziły go w pole, dosłownie i w przenośni. Sprawdził godzinę – cholera! W telewizji miał być za kwadrans, Julia już tam na niego czekała. Wiedział już, że nie dojedzie, nie miał szans.

Do diabła z tym.

– Julia? Cześć. Słuchaj, ja... – powiedział do słuchawki i usłyszał ciszę. Baterię szlag trafił.

O dziwo, nawet nie potrafił się zdenerwować. Przecież ludzie z telewizji byli zadowoleni z materiału, który im dostarczył. Tylko żeby nie wyemitowali go za szybko...

– Nie wyemitują – powiedział nagle sam do siebie, zapewne próbując się pocieszyć.

Zawrócił i rozpoczął poszukiwania drogi powrotnej. Nieszczególnie mu szło, bo większość uliczek opatrzone znakiem zakazu wjazdu (jednokie... wiadomo). Niektóre były remontowane.

Inne pyszniły się znakiem T, jak ślepe. Oskara nawet to rozbawiło. Minuty mijały, a on nie mógł w żaden sposób wrócić z tego dziwaczного pola, które wyrosło kilka przecznic od centrum.

– Przecież się nie teleportowałem – dodał sobie na głos otuchy, z niechęcią konstatując w duchu, że w gruncie rzeczy mógłby nie mieć racji.

Po kolejnym kwadransie błądzenia, już zezłoszczony, postanowił olać te idiotyczne przepisy i pojechać pod prąd. Przecież na końcu świata nie będzie się czaiła drogówka!

Jak by to ująć.

Czaiła się.

Za pierwszym zakrętem jednokierunkowej ulicy, w którą, zdesperowany, w końcu wjechał pod prąd.

Następnie zażądała dokumentów.

Których zapomniał.

Potem wypisała mandat i zamówiła samochód holujący. Minęły kolejne minuty. Z drogówką nie było dyskusji.

Oskar usiadł na murku, patrząc pustym wzrokiem, jak jego niemyty ostatnio kabriolet oddalał się na policyjny parking. Został sam. Drzewa szumiały. Pusta puszcza po coli turlała się po chodniku, pędzona niecierpliwą ręką chłodnawego wiatru. Oskar postawił kołnierz kurtki, poprawił przewieszoną przez ramię torbę i ruszył w stronę, jak mu się zdawało, miejskiej cywilizacji.

Ada czekała na Lenkę pod jej blokiem. Była bardzo zdenerwowana i chciała czym prędzej omówić całą sprawę, nie zważając na to, że tu, przed klatką, ktoś mógłby je usłyszeć, ale kto przy zdrowych zmysłach wziąłby na poważnie taką mniej więcej rozmowę:

– ...i wasz rytuał, Lena, zadziałał, ale na odwrót! To znaczy, gdy tamta dziewczyna przestawiła świece, tobie zaczęło spełniać się marzenie Oskara, a jemu twoje.

– O Boże.

– Żebyś wiedziała. I teraz, żeby nie zezłościć Asyriela, pod żadnym pozorem nie wolno ci przeszkadzać w spełnianiu tego życzenia. Do najbliższej pełni. W przeciwnym razie, mówiłam ci wcześniej, dopilnuje, żebyście już nigdy z Brzóska nie byli razem.

– Tylko że ja nie wiem, o co on prosił. I z tego co pamiętam, nie wolno mi pytać.

– A nie domyślasz się?

Popatrzyły na siebie.

– Telewizja – powiedziały.

Prawie równocześnie. Lenka zagryzła wargi, spuściła wzrok.

– W takim razie mamy problem.

Miejska cywilizacja postanowiła na razie nie ujawniać się Oskarowi. Z jakiejś przyczyny cały świat zdawał się sprzysięgać przeciw niemu. Nic się

nie zgadzało. Gdyby Oskar był dwadzieścia parę lat młodszy, zapewne usiadłby właśnie na jakimś murku i uderzył w płacz. Albo rzucił szyszką w srokę, skrzeczącą na pobliskim drzewie; zawsze go wkurzały. Na szczęście dla sroki Oskar miał trzydziestkę na karku i mocne postanowienie podpisania się pod sloganem, że chłopaki nie płaczą. Kilkanaście minut błądził po okolicy, cały czas uparcie wracając w miejsce, z którego wyszedł. Ktoś mógłby powiedzieć, że czas zakrzywił się, oferując Brzóskiemu wielopowtarzalne wizyty w poprzednim kwadransie. Inny zapewne zasugerowałby, że Oskar był pijany, więc łąził bez sensu, kręcąc kółka po okolicy.

Oczywiście nie mieliby racji.

Brzóskego trzymał w tym miejscu (i w to miejsce przywiązał) zupełnie inny cel. Brzóske miał sobie z niego za chwilę zdać sprawę.

– Oskar? – zapytał ktoś nagle.

Odwrócił się. Za nim stał niewysoki mężczyzna, bardzo opalony, w kapeluszu z rafii na okrągłej głowie. Ubrany był w jasne płócienne spodnie, sportowe sandały i może za bardzo rozpiętą koszulę w hawajskie kwiaty. Obok niego stała dziewczyna, która spokojnie mogłaby legitymować się hawajskim pochodzeniem, gdyby nie fakt, że była w stu procentach polską asystentką Jana Krzaka, wydawcy. Właśnie przywiozła swojego szefa z lotniska.

– Brzóske? – doinformował się mężczyzna w hawajskiej koszuli.

Oskar nagle go skojarzył. Rzeczywiście! Jasiek Krzak, na studiach przezywany Bushem, do którego jakiś czas temu zadzwonił w sprawie opowiadań Lenki. Niesamowite! Co za zbieg okoliczności!

– Jasiek, sto lat!

Krzak vel Bush rozpromienił się.

– Jak nic, chłopie! Co ty tu robisz, stary?

Oskar mógł oczywiście opowiedzieć wszystko ze szczegółami, ale wybrawszy opcję nierobienia z siebie idioty, oznajmił tylko:

– Przechodziłem.

Krzak usatysfakcjonował się tą odpowiedzią.

– Bomba. A ja, widzisz, z wakacji wracam. Tu mam siedzibę mojej firmy. Pamiętasz, książki wydaję. A to – wskazał na dziewczynę – moja asystentka, Jowitka.

Oskar skinął głową, niechętny unosząc brew. Jowita dzielnie trzymała się pionu, próbując nie zatonać w pięknych oczach Brzóskego.

Chwilę później Oskar siedział w gabinecie Jaśka Krzaka, a w sąsiednim pokoju zaróżowiona Jowita rysowała serduszka na starych dokumentach.

Tymczasem Julia, wychodząc właśnie z budynku telewizji po półtoragodzinnym oczekiwaniu na Brzóskego, postanowiła nie mieć z tym facetem już nic wspólnego. I co z tego, że przystojny! Nie on jeden! A jej się nie olewa! Nie lekceważy się spotkań z nią, bo można potem tego bardzo żałować.

Postanowiła dopilnować, żeby Brzóske pożałował. A potem wrócił do niej na kolanach, kwiląc, skowycząc i błagając o litość.

– Nie przypominam sobie, żebyś dzwonił, szczerze mówiąc – powiedział Jasiek Krzak, kiwając się na swoim wypasionym fotelu biurowym w kolorze przeterminowanej czekolady.

Oskar potarł czoło. Coś go właśnie ugryzło.

– Kilka dni temu. Strasznie szumiało.

Krzak kiwnął głową.

– Bo byłem na Hawajach. Pewnie nie usłyszałem, o co ci chodziło. – Pauza. – To o co ci chodziło?

Brzóska pogrzebał w torbie od laptopa i po chwili wyjął z niej pomiętą plik kartek. Położył je na stole i, nieco zawstydzony, pogładził ręką. Gdyby się lepiej przyjrzał tekstowi, zorientowałby się, że niektóre linijki były nieczytelne. To wskutek deszczu, który je zmoczył, gdy wiatr kilka dni wcześniej wyrwał zamek w oknie.

– To jest...

Krzak uciszył go stanowczym ruchem dłoni.

– Poczekaj. – Zmrużył oczy. – Uwielbiam ten moment – powiedział cicho; miał płytszy oddech, głos zaczął mu drżeć – gdy autor przynosi swoje teksty. Są takie nieśmiałe, nieskażone niczym wzrokiem, można powiedzieć... nierozdziewiczone. – Obliznął wargi. – Dotykasz ich, chcą uciec, ale nie!

– Położył rękę na kartkach Oskara. Brzóska mógł przysiąc, że na jedną nanosekundę przeistoczyły się w nagie damskie udo. – Trzymasz na nich rękę, przesuwasz ją wyżej... znaczy dalej...

Oskar popatrzył na kumpla i postanowił, że jeśli ten zacznie nagle szczytować, zdzieli go w mordę i wyjdzie obrażony. Krzak jakby usłyszał jego myśli.

– Przepraszam, zboczenie zawodowe – powiedział, zawstydzony.

– Zauważyłem. W każdym razie to są opowiadania... – zaczął Oskar, ale wydawca uparcie nie pozwalał mu dokończyć, znów skinieniem dłoni tnąc jego wypowiedź.

– Najpierw wypijemy, potem zadam ci te wszystkie podniecające... – na chwilę rozmarzył się, ale, pochwyciwszy surowy wzrok Oskara, szybko wrócił na ziemię – pytania merytoryczne.

Krzak wstał z fotela i podszedł do ogromnego globusa. Otworzył go i wyjął ze środka butelkę z czymś jasnym i podejrzenie zawiesistym. Nalał

płynu do szklanek, jedną podając Oskarowi. Brzóska ostrożnie powąchał płyn. Oczy zrobiły mu się okrągłe jak rzeźbiony globus.

– To jest...

– Tak – kiwnął głową Krzak. – Mówię ci, daje kopa. Oskar jeszcze raz spojrział na szklankę. No, no. Nie spodziewał się czegoś takiego po Jaśku. Swoją chłop, jak mówią.

– No to chlup – zakomunikował Krzak i wychylił szklankę, krzywiąc się przy tym okropnie. – Za sukces...

Brzóska zrobił to samo.

– ...twojej literatury.

By po chwili bardzo tego żałować.

Z Krzakiem nie zamienił już ani słowa. Opuchnięty, z gardłem rozpalonym jak laptop, gdy się go włączonego zostawi na noc na czymś miękkim, pojechał taksówką do kliniki, w której miał znajomego lekarza. Drink, a dokładnie doprawiony cebulą sok z ogórków kiszonych, znieścacka wywołał w jego organizmie reakcję łańcuchową. Alergię, znaczy.

Krzak natomiast spędził noc w towarzystwie kartek. Było mu dobrze, ale mogło być lepiej. Gdy po lekturze zapalił w otwartym oknie, opowiadania zwijały się w pościeli, niepokojone wdzierającym się do pokoju wiatrem. Być może chodziło im o to, że na pierwszej stronie brakowało bardzo ważnej informacji. Otóż jedną z zamazanych linijek była ta, w której widniało nazwisko autora. To znaczy autorki. Heleny vel Lenki Lipowskiej. Krzak zgasił papierosa na parapecie i zamknął okno.

– Nieźle – powiedział w przestrzeń, bawiąc się rogiem jednej z kartek. – Choć mają jedną wadę.

Następnie włożył opowiadania do dużej koperty i napisał na wierzchu markerem: *Wydałbym to, gdybyś był kobietą. Krzak.*

– A tak – zakleił kopertę i rzucił na stół – muszę ci to odesłać.

Wydawca położył się, przykrył kołdrą i rozpoczął mozolne przewracanie się z boku na bok, które zazwyczaj trwało jakieś trzy kwadranse. Potem zasnął. We śnie wróciło do niego opowiadanie, które przeczytał jako pierwsze, to znaczy...

DE GUSTIBUS, CZYLI OPOWIADANIE MAGICZNE. Napisane prz...

(dalej tekst nieczytelny)

– Ależ pani Agnieszko, niechże pani przestanie histeryzować – oburzyła się Oliwia i na dowód zniecierpliwienia skrzyżowała ramiona i gwałtownie potrząsnęła głową. – Co też panią opętało, doprawdy!

Agnieszka siedziała skurczona na kanapie, nogi opłotła rękami, a dłonie zacisnęła w pięści. Kiwała ciałem w przód i w tył, a kiedy jej plecy uderzały o oparcie kanapy, sprężyny skrzypiały, a cały mebel podrygiwał i wzdychał jak zmęczony człowiek. Twarz Agnieszki przypominała nadmuchany balon: policzki spuchły, nos powiększył się, a powieki rozwarły szeroko, ukazując gałki okrągłe jak piłeczki do ping-ponga. Właśnie te gałki były w całej twarzy najciekawsze – wypukłe i błyszczące, z siatką popękanych naczynek i źrenicami jak guziki. Poruszały się chaotycznie we wszystkie strony, zupełnie jakby Agnieszka straciła nad nimi kontrolę.

Oliwia stała pośrodku pokoju plecami do okna; na sobie miała czarną bluzkę i długą atramentową spódnicę. Jej ciemne włosy szesane były do tyłu i spięte na karku w ścisły kok, usta pociągnięte pomadką koloru krwi, brwi wyczesane i precyzyjnie obrysowane ciemną kredką, a rzęsy, dwie najeżone gąsienice, pokryte były czarnym tuszem. Ciało pulchne, ramiona wąskie i obie, stopy długie jak u mężczyzny, ale rysy twarzy subtelne, całkiem ładne. Trzeba przyznać, że jak na trupa Oliwia trzymała się wyjątkowo przyzwoicie.

– Brghhh – wychrypiała Agnieszka, a na jej ustach pojawił się nalot mlecznego koloru. – Grghhhkykk. – Jej oczy wciąż biegały jak oszalałe, nozdrza napięły się, a policzki wydały się jeszcze bardziej opuchnięte i proszę, jak niewiele potrzeba, aby kat upodobił się do ofiary. – Brghh!

– Niech się pani uspokoi – powtórzyła Oliwia. – Niepotrzebnie tracimy czas. Po tamtej stronie też się nosi zegarki, zapewniam panią. I ze wszystkiego trzeba się tłumaczyć. Nie uwierzy pani, ile musiałam prosić, żeby mi wydali tę cholerną przepustkę. „Czy to nieodwołalne, czy na pewno musisz wracać na Ziemię? – pytali. – A jeśli wchłonie cię obce ciało, co wtedy?”. Wchłonie cię ciało? Bzdury! O ile mi wiadomo, żadne ciało nie jest wystarczająco silne, by ot tak wchłonąć wolną duszę. To dusza może do niego wskoczyć, oczywiście jeśli się nadarzy okazja.

Oliwia zamyśliła się. Jej czarne jak smoła brwi spotykały się u nasady nosa, a wypukłe czoło zmarszczyło się, przypominając po chwili mokry papier.

– Widzi pani, nawet na górze mamy tematy tabu. Nie o wszystkim się mówi. A raczej: nie o wszystkim wypada mówić. Pewne rzeczy lepiej zbyć milczeniem. Każda dusza wie na przykład, że gdyby tylko nadarzyła się okazja, by z powrotem zamieszkać na Ziemi, nawet przez moment by się nie wahała... Ale o tym cisza! *Silencio!* – Oliwia przewróciła oczami, a czarny tusz sypnął się na jej blade policzki. – Strasznie tam na górze nudno, pani Agnieszko, nic się nie dzieje. I ta wieczna samotność. Nieskończone wyobcowanie. Czy może pani sobie wyobrazić, co to znaczy być częścią Wszechświata? To trochę tak, jakby kroplę soku wpuścić do morza. – Oliwia przepłynęła przez pokój, zatrzymując się obok okna. – Czyli nie jest się ani kroplą, ani morzem. Jednym wielkim niczym.

Jestem pewna jak diabli, że gdyby gdzieś w okolicy pojawiło się puste ciało, zwęszyłabym je od razu. – Odwróciła głowę w stronę kiwającej się jak wańka wstańka Agnieszki. – Być może nawet w pani bym zamieszkała, tfu! mój morderco.

A podobno jaki kto za życia

taki po śmierci. Złośliwy pozostanie złośliwym, głupi głupim, a piękny kompletnie nie straci na urodzie; sprawiedliwości nie ma. A że do nieba idzie się parami, niekiedy w korytarzu między światami trzeba czekać całe wieki – wokół gorączkują się aniołowie od segregacji dusz i dopasowywania charakterów (mówi się, że to najbardziej zestresowani pracownicy nieba). Dusze grymaszą, wybrzydzą, marudzą niczym małe dzieci. Ta wołałaby lecieć tunelem w towarzystwie duszy głupszej od siebie, tamta z kolei prosi o geniusza. Nie sposób dogodzić.

Po śmierci Oliwia odleciała w kierunku światła w towarzystwie szczupłej Hiszpanki o smutnych oczach i wąskich, zaciśniętych ustach (dusze mają głowy, a jakże, wszystko mają – i grdyki, i znamiona, i bulwiaste kolana. Ciało ziemskie to nic innego jak mniej lub bardziej dokładny odlew ducha, ale odlew w skali przynajmniej dwa do jednego). Hiszpanka nosiła imię Letycja, a jej życie było jak z pamiętnika Oliwii: mąż, który stał się całym światem, bo dzieci zabrakło, głodówki przeplatane panicznym obżarstwem, a na końcu zdrada, samotność i nienawiść do tej trzeciej. W wypadku Oliwii tą trzecią była Agnieszka. Drobna i apetyczna. Ciemne włosy miała zawsze precyzyjnie ułożone w fale, długie do połowy pleców. Dziewczęca talia i wąskie biodra, uda o gładkiej skórze i chude łydki.

Agnieszka mówiła zawsze cichym, słabym głosem o seksownym napięciu, skraplającym się zawsze na końcu zdania. Ów seks zaczął skraplać się jeszcze intensywniej, gdy w pobliżu pojawiał się mąż Oliwii, przystojny i

dwadzieścia lat od niej starszy dyrektor z własnym gabinetem na trzydziestym siódmym piętrze srebrnego wieżowca.

Mężowi Oliwii kłaniali się wszyscy, ale niewiele rozmawiało z nim dłużej niż dziesięć minut. Agnieszka pracowała schowana za komputerem i stamtąd wypatrywała dyrektora – każdego dnia przechodził przez jej pokój kilkanaście razy, ale nigdy nie odwracał głowy w jej stronę. Gdyby zabiegał o jej względy, nie byłby taki interesujący, nawet jako wyłączny właściciel gabinetu na trzydziestym siódmym piętrze srebrnego wieżowca.

Mijały tygodnie, a mąż Oliwii pojawiał się w snach Agnieszki coraz natrętniej. Był w niej i poza nią, oplatał ciało i wczepiał się we włosy. Oddychać mogła już tylko jego oddechem, więc – żeby nie zwariować – postanowiła przeprowadzić śledztwo i opracować taktykę.

Żonę trzeba usunąć, doszła do wniosku. Dzieci brak, to dobrze, mniej przeszkód do pokonania.

Sześć miesięcy później prasa stołeczna zatrzęsła się w posadach: śmiercią samobójczą zginęła żona dyrektora firmy z trzydziestego siódmego piętra srebrnego wieżowca. Kilka tygodni później w tej samej prasie podano krótką notkę o małżeństwie dyrektora z młodą sekretarką.

Oliwia wróciła więc na Ziemię, wróciła do Agnieszki i ani myśli odchodzić, dopóki nie zrealizuje swojego planu.

A jej plan był taki:

Po pierwsze – zaprowadzić porządek.

Po drugie – urządzić wszystko na nowo.

A po trzecie – zabawić się. Zabawić się jak diabli.

Najpierw jako niewidoczna dla ludzkiego oka chmura gazu (skład chemiczny dusz to kolejne tabu w niebie) Oliwia pojawiła się w swoim mieszkaniu i beznamiętnie oceniła sytuację: od śmierci jej ciała upłynęły dwa

lata, nową dyrektorką została młodziutka Agnieszka. W domu bałagan. Kwiaty skarłowaciały i zamknęły się w sobie, zakurzone obrazy wisiały krzywo, płytki na podłodze zmatowiały, a skórzane obicia foteli popękały.

Szybko ustaliła sama z sobą, że w tym wypadku zaprowadzić porządek oznacza wprowadzić chaos.

Zacząła od męża. Przełożyła jego ulubione koszule do lodówki, krawaty zawiesiła na balkonowej balustradzie. Na noskach wyjściowych pantofli wyskrobała chaotyczne krzyżyki, a spodnie od garnituru podarła na strzępy. Połamała jego ulubione cygara i notorycznie otwierała drzwi do łazienki, gdy załatwiał potrzeby. Zniszczyła ważne dokumenty i szyfrowy zamek jego drogiego, skózanego neseseru. Po kilkunastu dniach mąż wreszcie nie wytrzymał: „Wariatka, powinnaś się leczyć”, wykrzyczał Agnieszce w twarz (bo Oliwia to chmura gazu. A gazu nie widać). „Zaczynam się ciebie bać, jesteś chora!”. Dusza Oliwii patrzyła obojętnie na jego furję, cierpliwie realizując swój plan.

Agnieszka zaczęła czuć, że ziemia usuwa się jej spod stóp. Mąż oczywiście nie uwierzył, że ze zniszczeniami nie miała nic wspólnego. No bo kto to zrobił, jeśli nie ona? Krasnoludki?

„Ja będę jak bezmyślny chłopiec”, zdecydowała chmura gazu, „a ty zostaniesz bezbronną muchą. Nadzieję cię na szpilkę, a potem zacznę skubać skrzydła i wrywać nóżki. Tylko głowy nie ruszę, bo co to za zabawa, zabić zbyt szybko”. Agnieszka nie słyszała myśli Oliwii, ale czuła się fatalnie.

Potem była cisza przez miesiąc. Później, już co noc, coś zaczęło bić Agnieszkę po twarzy, zadzierało jej satynową koszulkę i szarpało obnażone piersi. Albo ugniatało szyję i szczypało policzki. Agnieszka wtedy sypiała już sama, bo męża zmęczyły jej zwierzęce okrzyki i histeryczne szlochanie. Nie

pomagały środki nasenne ani trankwilizatory – dusza Oliwii była zbyt zdeterminowana, żeby ulec chemii stworzonej przez człowieka.

Bliska obłądu Agnieszka całe dni tłukła się bezmyślnie po pustym mieszkaniu, wybuchała niekontrolowanym śmiechem albo uderzała w histeryczny płacz. Bez przerwy coś ją zaczepiało, trącało – raz popchnęło tak mocno, że zatoczyła się na ścianę i prawie rozbiła czoło o wiszącą półkę. „Zostawcie mnie, idźcie precz, to złudzenie, to tylko złudzenie, nic się nie dzieje, muszę się obudzić”, mamrotała Agnieszka, coraz bardziej zniechęcając do siebie męża. Ale demon nie odchodził. Strach zaczął rozcinać Agnieszkę w poprzek i wzdłuż, dni jej się mieszały, jedzenie wyglądało jak kupka gnoju, a w lustrze widziała już tylko same cienie. Mąż coraz częściej przypominał jej olbrzymiego karalucha. W nocy coś zaczęło wyrывать jej włosy i gryzło palce u stóp.

Dość! Agnieszka opracowała taktykę. Usunie problem, to jest siebie. Weszła więc wreszcie na parapet – jeden krok i będzie wolna. W tej samej chwili skończyła się jednak pierwsza część planu, Oliwia wciągnęła Agnieszkę z powrotem do mieszkania i ostrożnie przeniosła na kanapę. Potem stanęła pośrodku pokoju, przybrała postać dawnej siebie cielesnej i oznajmiła:

– Nawet w pani bym zamieszkała, tfu! mój morderco.

Agnieszka kołysała się rytmicznie, a Oliwia patrzyła na nią podekscytowana (urządzenie świata na nowo podniecało ją jak diabli).

– Ciało się pani co prawda popsulo (kiedy widziałyśmy się po raz ostatni, miała pani lepsze włosy i cerę gładszą), ale wszystko można jeszcze naprawić. Tu się podmaluje, tu wyrwie parę włosków... Pani bierze to na poważnie? – Oliwia zachichotała. – Och, ja tylko żartuję, ja cały czas żartuję, gdzieżbym śmiała brać, co nie moje.

Agnieszka spojrzała na swoje dłonie. Paznokiec ma oko, pomyślała.

– Zastanawia się pani, w jakim celu wróciłam na ziemię – ciągnęła Oliwia. – Nie ukrywam, że przede wszystkim chciałam spotkać się z panią, by nareszcie wyrównać rachunki. Światu potrzebna jest równowaga, pani Agnieszko. – Oliwia przesunęła się bliżej środka pokoju. – Kiedy mąż odszedł, przestałam być sobą. Działo się ze mną coś dziwnego, nie spałam całymi nocami, ogarniał mnie paniczny lęk, a po chwili zachłystywałam się uczuciem bezgranicznej wolności. Zaczęłam tłuc naczynia, by później umyślnie ranić dłonie skorupami talerzy. Potem, cała we krwi, otwierałam okno i krzyczałam: „Chcą mnie zabić, podcinają mi żyły!”, ale nikt nigdy nie zareagował. Znienawidziłam cały świat. Jezu, czemu nikt mi wtedy nie pomógł?

Agnieszka nie miała siły bać się Oliwii. Zamknęła więc oczy i wyobraziła sobie zieloną łąkę – biegła przed siebie, ale pod stopami nie czuła trawy, tylko twarde kamienie, na których ktoś czerwoną farbą wymalował setki szeroko otwartych oczu.

– Nie zasypiaj, musisz mnie wysłuchać do końca! – krzyknęła nagle Oliwia, ale Agnieszka nie zareagowała. Głowa opadła jej na piersi, a z gardła wydobył się charkot. – Jesteś mi to winna! Wszystko ma swoją cenę i nie odejdę, dopóki nie odbiorę każdego grosza.

Drgnęły powieki i oczy Agnieszki uchylły się nieznacznie.

– Pozwól mi skoczyć – szepnęła. – Pozwól.

Oliwia poruszyła brwiami czarnymi jak smoła.

– Dlaczego miałabym ci pomóc? Kiedy ja cierpiałam, nie było przy mnie nikogo.

Agnieszka poczuła w ustach słodkość. Jej powieki znów zlepiły się ze sobą.

– Słuchaj... – zaczęła Oliwia, ale po chwili urwała gwałtownie; czemu nie pomyślała o tym wcześniej? Przecież we śnie dusza opuszcza ciało. Prawda stara jak świat – nocami miasta wypełniają rzesze pustych ciał, a powietrze przesiąka oddechami dusz; czasem można usłyszeć ich podekscytowane szepty. Gdy ludzie zasypiają, wokół ich łóżek zaczynają tłoczyć się złośliwe dybuki i nigdy nie wiadomo, w kogo wskoczą, kiedy i na jak długo. Byty zawieszony między światami to zwykle te, które zbyt długo czekają w kolejce do tunelu. Wściekają się na opieszałość aniołów i obrażone wracają na Ziemię. Będą krążyć dopóty, dopóki złość im nie minie – szkoda trudu anielskich skrzydeł na takich buntownikach, prędzej czy później każdy dybuk trafi tam, gdzie mu przeznaczone.

W niebie szepcze się nerwowo, że człowiek, do którego wlezie dybuk, tak naprawdę nie jest przypadkowy, że w ten sposób Wszechmogący karze go za przewinienia. Bo nie na świecie nie dzieje się bez woli Boga.

(dwie linijki nieczytelne)

– Przecież mogłabym zamieszkać w tym młodym, zdrowym ciele, o tak!
– Oliwia uniosła się, zatrzymując pod sufitem. – Śpij zatem, śpij... – szepnęła, ale Agnieszka jej już nie usłyszała. Na kanapie leżało puste ciało, dusza zasnęła.

Oliwia zawisła nad śpiącą i zamyśliła się: żeby wejść, potrzeba otworu. Uszy wydały się jednak zbyt małe, dziurki w nosie nieeleganckie. Z kolei usta Agnieszki zaciśnięte były tak mocno, że tamtędy nawet niemowlęcy dybuk nie zdołałby przedostać się do środka. Więc może spróbować przez pępek?

– O, do jasnej, a zazwyczaj to ja jestem pierwszy – zachrypiało coś nagle za plecami Oliwii. – No tak, wieczność nie radość.

Pusty jeszcze przed chwilą pokój po chwili przypominał zatłoczoną halę dworcową. Wokół śpiącej Agnieszki mnożyła się galeria dybuków – siadały

na kanapie, zawisały pod sufitem, zaczynały się pod jej stopami, a jeden, najbardziej bezczelny, stanął na głowie Agnieszki i zatopił palce w jej włosach, szukając szczeliny, którą mógłby przedostać się do środka śpiącego ciała. Dusza Oliwii chwiała się niepewnie, dybuków przybywało i po chwili w pokoju zaczęło brakować miejsca. Duchy przepychały się, skomlały i warczały, silniejsze parły do przodu, a słabsze nikły pod ścianami, dysząc dramatycznie. Te wklejone w tapetę świetliste kosmyki to dusze rodziny spod Poznania, co rok temu zginęła w pożarze. Spod skórzanego fotela wychyliła się natomiast łyśa głowa o twarzy płaskiej jak naleśnik, rybich ustach i azjatyckim nosie.

– Litości, przyjaciele! – zawodziła głowa płaczliwie. – Przepuście starego harcerza!

– *Odnomu bublik, drugomu dyrka ot bublika* – zarechotał dybuk wczepiony we włosy Agnieszki. – Trzeba było mieć ostrzejsze łokcie, dziadku.

– Ludzie, okażmy miłosierdzie starcowi! – nawoływał chudy duch o judaszowych włosach. – Rozstąpcie się – syknął rozkazująco. – Pozwól, dziadziu – powiedział przymilnie, wyciągając rękę w kierunku łysego harcerza.

– Ale ja się zakleszczyłem – pisnęła głowa. – Zlituj się, bracie, podnieś ten piekielny mebel, pomóż!

Rudy dybuk natychmiast pojawił się nad fotelem, a jego ciało wpadło w istny szal: machał rękami, nogi kręciły jakieś diabelskie młynki, tułów wyginał się jak w agonii, szyja kurczyła się i rozprężała, a twarz marszczyła jak pysk buldoga. Z piersi ducha wydobyło się rżenie i świst, i nawet jakieś chrobotanie; krótko mówiąc, był to diabelnie spracowany dybuk.

Dusze zastygły w bezruchu, zaskoczone zachowaniem rudego kolegi i zawstydzone własną obojętnością, i tylko ten siedzący na głowie Agnieszki nie zwracał na nic uwagi, dalej szukając swojej szczeliny.

– Ej, przyjacielu – zauważyła nagle łysa głowa. – Nie szarp fotelem, przecież to nic nie daje. Trzeba go unieść...

Duch o judaszowych włosach kontynuował swój osobliwy taniec.

– Już cię wyciągam, dziadziu – zapiał nieszczercze. – Rozstapcie się, przyjaciele, zrobmy miejsce dla starca.

Dusze rozejrzały się niepewnie i podrapały po utkanych z powietrza głowach. No tak, wstyd nie przepuścić starego. Po chwili między skórzanym fotelem a uśpioną Agnieszką powstał wąski korytarz o ścianach z dybucznych ciał.

– Ha! – wrzasnął nagle rudy duch.

– Aj! – pisnęła łysa głowa.

– Ooo! – wydobyło się z gardeł dybuków, kiedy Judasz niespodziewanie przemknął między nimi, by ostatecznie wylądować na piersi Agnieszki.

Dość! Oliwia oderwała się od sufitu i rzuciła na rudego: szarpali się dobrą chwilę, orząc pazurami po twarzach, dusząc niematerialne szyje i przegryzając uszy. Siedzący na głowie Agnieszki dybuk patrzył na nich w milczeniu. Nagle rudy osunął się na podłogę. Oliwia natomiast wyjęła coś z ust i rzuciła w stronę zbitej grupy dusz. Następnie ujęła palcami powieki Agnieszki, rozchyliła je i po chwili

zniknęła wewnątrz ciała. Dybuki momentalnie rozpląnęły się w powietrzu, pokój opustoszał. Jednak pośrodku dywanu coś zostało: wygryzione przez Oliwię oczy rudego. Ale i one wkrótce rozprysły się na tysiące niewidzialnych kawałków.

Agnieszka–Oliwia wstała z kanapy i dotknęła twarzy. Zabawne, pomyślała, ciało zdrowe, a wewnątrz trup. Przeszła do sypialni i stanęła przed zawieszonym na ścianie kryształowym lustrem. Następnie rozpięła bluzkę, zdjęła spódnicę i rozpuściła włosy.

– Co ona ma, czego mnie brakowało? – warknęła. – Miałam lepsze biodra, lepszy biust... Choć może te jej sutki fajniejsze, twarde, zwarte... Ale za to ja miałam większe oczy, ładniejsze brwi... U mnie kąś żuchwy ostry, a u niej? – przekrzywiła głowę i spojrzała na szczękę Agnieszki. – Galaretowato, nieciekawie. Nawet nogi miałam lepsze.

– *De gustibus* – zabrzmiało nagle za jej plecami – *non est disputandum*, kochanie.

Oliwia w ciele Agnieszki odwróciła się gwałtownie i jeszcze gwałtowniej zbladła. Do pokoju wszedł przystojny mężczyzna o skroniach przyprószonych siwizną i wypukłym czole, stanął przed nią i zmrużył oczy. Jedno miał zielone, a drugie szare.

– Krzyś – wymamrotały wargi Agnieszki, ale autorką słów była nieprzytomna z wrażenia Oliwia. Choć jak na trupa, co najpierw wpełzł do ciała kochanki własnego męża, a teraz z tymże mężem zdrajcą stoi twarzą w twarz, Oliwia trzymała się całkiem dobrze.

– Taki Krzyś jak ty Agnieszka – wycedził mężczyzna, po czym z niehumanitarną siłą trzasnął Oliwię w twarz. Na jej policzku od razu pojawiła się olbrzymia czerwona plama. – Nie wiedziałam, że tak przyjemnie jest mieszkać w męskim ciele. Żadnych ograniczeń, nic, tylko wielka władza.

Oliwia cofnęła się w kierunku lustra, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa, zachwiała się i wsparła dłońią o kant jakiegoś mebla.

– Kiepski worek wybrałaś – stwierdził Krzyś, zaciśniętą pięścią uderzając Oliwię w piersi. – Nie obronisz się.

Bo w Krzysiu oprócz Krzysia nagle zamieszkała Agnieszka. Balansując na granicy życia i śmierci, zrobiła coś, czego duszom, które tylko odpoczywają od śpiącej powłoki, robić nie wolno: wskoczyła do innego ciała. Męża znalazła w jednym z hoteli. Drzemał w wannie, zmęczony pracą i żoną wariatką. Dusza Krzysia pozostała w środku ciała, zwinięta w świetlistą kulkę, wyczerpana jak jej cielesne opakowanie. Agnieszka chwyciła ją tak, jak chwyta się chomika lub mysz – stanowczo i obiema dłońmi, nie zostawiając między palcami najmniejszej szczeliny.

(Nie ma racji ten, kto uważa, że w ciało wchodzi się jak w dopasowany skafander, gdyby rzeczywiście tak było, dusza dusiłaby się i dziczała).

(Akapit nieczytelny. Przy okazji: strzeż nas Panie przed takimi Agnieszkami!)

Krzysztof otworzył dłoń i po raz kolejny spoliczkował Oliwię. Kobieta zatoczyła się, uderzając ramieniem o ścianę.

– Co robisz – jęknęła. W odpowiedzi otrzymała następny cios, tym razem w potylicę.

– Jak to? – zdziwił się mężczyzna. – Już zapomniałaś, że w przyrodzie musi istnieć równowaga? Że prędzej czy później wszystko wróci jak bumerang? Że jak ty mnie, tak ja tobie, Oliwio? Nie miałaś prawa mścić się na mnie za decyzje, które Krzysztof podjął z własnej woli. Nie odszedłby od ciebie, gdyby tego rzeczywiście nie pragnął.

Oliwia odwróciła głowę i odeszła w stronę okna.

– Mogłaś go przy sobie zatrzymać, ale nie wiedziałaś jak

– ciągnęła Agnieszka. – Sądziłaś zapewne, że to nie honor walczyć z małą, chudą dwudziestolatką, że któregoś dnia mąż przejrzy na oczy i wróci do ciebie i twojej ciepłej krainy pachnącej rosołem i kremem na zmarszczki. Naiwna!

Oliwia zatrzymała się gwałtownie. Zakasłała nieprzyjemnie. Agnieszka kontynuowała:

– Moja matka powiedziała kiedyś, że mężczyźni są jak dzieci: uwielbiają słodczyce, a że zazwyczaj jedzą oczami, można całe lata podsuwać im te same cukierki, byle w innych papierkach. Wtedy są szczęśliwi i nie szukają guza.

Tymczasem Oliwia dotarła do okna. Była zmęczona; ból potłuczonych pleców stał się nie do wytrzymania, kark ją piekł i zaczął sztywnieć. W płucach coś jej chrobotło, utrudniając oddychanie. Nogi miała zdrętwiałe. I wszystko zaczęło się plątać – zupełnie zapomniała, w jakim celu wróciła na Ziemię, nie wiedziała, kto to Agnieszka, a kto Krzysztof. Stała przy parapacie, ale nie miała pojęcia, że parapet to parapet, że firanka jest z materiału, a szyba ze szkła. Wyciągnęła ręce i spojrzała na nie, ale teraz równie dobrze mogłyby być wierzbowymi witkami lub sopłami lodu – Oliwia nie zauważyłaby żadnej różnicy. Jej czas na Ziemi dobiegł końca; na progu tunelu prowadzącego do wieczności czekał na Oliwię właściwy partner podróży i aniołowie od segregacji charakterów zaczęli przyzywać ją na górę.

Agnieszka w ciele Krzysztofa spojrzała na Oliwię z rosnącym niepokojem. Aż tak ją przestraszyłam? Zamyśliła się. A może to tylko podstęp? Na wszelki wypadek postanowiła uderzyć Oliwię jeszcze raz, żeby ta straciła siłę i chęć robienia czegokolwiek wbrew jej woli.

Ale było za późno: aniołowie nakazali duszy wracać, skąd przysła, a ona posłusznie wykonała ich polecenie. Wskoczyła szybko na parapet, głową stłukła szybę okienną i po chwili zniknęła po drugiej stronie. Do wnętrza pokoju wdarł się ostry listopadowy wiatr. Ziemską misja Oliwii dobiegła końca.

Wraz z Oliwią na bruk poleciało ciało Agnieszki. Kości trzasnęły jak zapalki, głowa rozpadła się na pół. Zbiegli się ludzie, jakaś kobieta zemdląła i

nie wiadomo było, kogo ratować najpierw. Nawet sanitariuszom z karetki, która przyjechała całkiem szybko, ciężko było zdecydować, co bardziej wypada: łapać się za trupa, czy szukać sposobu na nadwrażliwego widza. Bo czy rękami, które noszą denata, wypada klepać po twarzy omdlałą kobietę? Ot co. Jedynie muchy nie zastanawiały się długo i po chwili w kałuży krwi i na ciele trupa zaroilo się od ich maleńkich czarnych korpusów.

Z drugiej strony wieżowca działo się zaskakująco podobnie – tam na chodniku leżało kolejne roztrzaskane ciało, a wokół stali zszokowani gapie.

„Przyjaciele i współpracownicy wyrażają głęboki żal z powodu śmierci przełożonego i wspaniałego kolegi, śp. Krzysztofa...”, przeczytalibyście następnego dnia w stołecznej prasie. Dlaczego Agnieszka skoczyła innym oknem? A dlaczego wyginęły dinozaury? Pewne jest jedynie to, że nie miała wyboru

– została przecież w jakimś sensie osierocona przez Oliwię, która zabrała ciało, w zamian nic nie zostawiając. Kto by przypuścił, że Agnieszka stanie się podwójnym mordercą, jednym ruchem pozbawiając życia siebie i ukochanego mężczyznę. Powtórzmy: podwójnym mordercą.

Naprawdę uwierzyliście, że to Agnieszka zabiła Oliwię?

(ostatnia linijka zamazana)

Ada prawie nie spała tej nocy. Za oknem lało, ale nad ranem zrobiło się ciepło, przejrzyście i trochę duszno. Gdyby chociaż jakaś nowa burza przyczała się na rogatkach, ale nie, tym razem tak gorąco miało być nie tylko przez ten dzień, ale również przez kilka kolejnych, aż do pełni. Z jakichś przyczyn Ada doskonale to przeczuwała.

Do południa przyjęła trzech klientów, którzy zostawili jej całkiem przyzwoite pieniądze. Po obiedzie planowała odwiedzić Babcie, która, jej

zdaniem, była w tej sytuacji ostatnią deską ratunku dla Lenki. Jej siostrzenica miała zresztą też się tam zjawić.

Wychodząc z domu, postanowiła dołożyć trochę do portfela – taki ładny utarg tego dnia, może wreszcie kupi sobie sandały na lato.

Włożyła rękę do torebki.

Nie znalazła. Zawartość na podłogę.

Nie. Jeszcze raz.

Nie ma, no nie ma, po prostu.

Po portfelu ani śladu. Nic dziwnego. Wraz z dokumentami, pieniędzmi i chińską literą na szczęście przekraczał właśnie polską granicę, upchnięty na dnie torby należącej do łysawego złodzieja. Nie wiadomo, gdzie jechał, w każdym razie na zachód.

– Spodziewałam się ciebie, siadaj. – Babcia wskazała Lence krzesło przy stole. Leżący tam wzdychający pies nie zgłosił sprzeciwu, gdy podeszła, by je zająć. Zeskoczył i ułożył się wygodnie na brzegu dywanu, gdzie po chwili zasnął.

– Ady nie będzie?

Lenka pokręciła głową.

– Jest na komisariacie. Zgubiła portfel, wszystkie dokumenty, karty, pieniądze. Ma teraz przez to sporo na głowie.

Babcia uśmiechnęła się jednym z tych grzecznościowych uśmiechów, którymi częstują świat ludzie przygłusi. Prawdopodobnie nie usłyszała odpowiedzi. Pokrzętała się chwilę po pokoju, zdjęła czajnik z palnika i nalała wrzątku do szklanek. Po chwili Lenka trzymała w dłoni parującą porcję zupełnie przeciętnej herbaty. Sączyła ją, ukradkiem przyglądając się Babci. Z kimś jej się bardzo kojarzyła, nie potrafiła jednak zdecydować z kim.

– Niech zgadnę – powiedziała Babcia, równocześnie zdejmując ze stołu gazetę z nie w pełni rozwiązana krzyżówką, talerzyk z resztkami po śniadaniu i siateczkę leków. Rękawem zgarnęła jakieś okruszki, wygładziła dłonią obrus. – Sprzeciwiłaś się Asyrielowi, tak? – Spojrzała na Lenkę, która z jakichś przyczyn poczuła się nagle jak najgłupszy z uczniów.

Lenka potaknęła.

– Tak twierdzi Ada.

Babcia spojrzała bacznie.

– Co śmierdzi?

Lenka przypomniała sobie, co o słuchu Babci mówiła Ada, i ryknęła szczerze całymimi płucami:

–TAK MÓWI ADA!

Babcia kiwnęła głową.

– Jeśli już, to nie Ada, ale twoje oczy. One mi to mówią.

Podeszła do kredensu. Ze środka wyjęła jakiś ciężki przedmiot owinięty ręcznikiem frotte. Lenka zauważyła wyhaftowaną na materiale podwójną wisienkę.

Babcia ostrożnie umieściła pakunek na stole. Odwinęła ręcznik. Wzdychający piesek nagle obudził się, miauknął i przewrócił na plecy. Lenka odruchowo spojrzała na niego. Bardzo czymś przejęty, majtał właśnie nogami w powietrzu. Jakby deptał wodę, wciąż leżąc na plecach. Po chwili westchnął, wstał i nieśpiesznie opuścił pokój.

Lenka, niczym wyrwana z hipnotycznego transu, wróciła wzrokiem w okolice Babci. A ta dosłownie jaśniała z radości. Przed nią na stole leżała piękna, wielka jak globus, iskrząca się wewnętrznym światłem szklana kula. Ręcznika frotte nigdzie nie było. Babcia usiadła na krześle, dłońmi obejmując kulę. Wyglądało to tak, jakby ją ogrzewała... a może było na odwrót? Lenka w

każdym razie poczuła nagły skurcz żołądka. Ada uprzedzała ją, że Babcia jest czarownicą, taką z książki, ze wszystkimi starymi gadżetami i przerażającym spojrzeniem, ale Lenka chyba niewystarczająco to sobie wyobraziła. Teraz, w tym ciemnym pokoju, z którego nawet pies zwiął, czuła się tak, jakby cofnięto ją do mrocznych wieków średnich. Nie żeby ją to zachwycało, przy okazji.

Babcia intensywnie wpatrywała się w kulę. Coś wisiało w powietrzu. Napięcie. Oczekiwanie. Przedpokój czegoś bardzo niematerialnego. Lenka poczuła, że drga jej jeden z mięśni twarzy.

– O matko – powiedziała nagle Babcia. – O matko, matko, matko.

Lenka zastygła. Chryste Panie, co ta wiedźma tam wypatrzyła? I w ogóle czemu ona, Lenka, bierze udział w tej piekielnej szopce?

Babcia podniosła wzrok. W oczach miała... no, wyrzut miała.

– Mysia kupa – oznajmiła ponuro. – Cholery narobiły mi na kulę.

Następnie wstała i z reumatycznym trudem zanurkowała do jednej z szafek, skąd wyjęła konwaliowy płyn do szyb. Prysnęła na kulę. Wypolerowała ściereczką. Popatrzyła krytycznie na szklaną tafelę, zeskrobując po chwili paznokciem jakieś bardzo małe zabrudzenie.

– Pięknie. Teraz jest gotowa, możemy zaczynać.

Oskar dopiął koszulę, marynarkę przewiesił sobie przez ramię. Siedzący naprzeciw niego doktor Słowik kończył wypisywanie recepty, co chwila nerwowo pociągając nosem (bardzo zabawnie drgały mu przy tym kąciki ust).

– Rano i przed snem po jednej tabletkie – powiedział, podając kartkę Oskarowi. – To bardzo dobry lek uspokajający, działa błyskawicznie.

Brzóska schował receptę do kieszeni. Zmierzył dłonią włosy Wyglądał na bardzo czymś przejętego.

– Ale skoro nic mi nie jest, jak pan mówi, to skąd te... no wie pan... dziwne odruchy?

Doktor Słowik nabazgrał coś w karcie pacjenta, drgając sobie w najlepsze kącikami ust.

– Zaraz dziwne. Przemęczony pan jest po prostu. Tyle.

Brzóska zdenerwował się.

– Alergia na sok z ogórków też z przemęczenia? I uczulenie na papierosy, zawroty głowy, pogorszenie wzroku, gadanie od rzeczy, nieskoordynowane ruchy? Wszystko pan tym wytłumaczy? A jeśli mam coś... z głową? Może warto prześwietlić?

Słowik spojrział na Brzóska. Siąknął nosem, zadrgał kącikami.

– Po co tak dramatycznie od razu, panie Oskarze – odparł z przesadnym spokojem. – Jest pan zdrow jak ryba, tylko bardzo zestresowany. Musi pan trochę wyhamować, jeść więcej warzyw, jakiś sport uprawiać. A może pracę by pan zmienił, co?

Oskar spojrział na Słowika, zaskoczony. Doktor tymczasem włożył kartę pacjenta do koperty i zadzwonił po pielęgniarkę, która niemal natychmiast pojawiła się w drzwiach.

– Jak to... zmienić pracę? – wydukał Oskar.

Słowik wzruszył ramionami.

– Normalnie. Jakby moja mnie tak stresowała, rzuciłbym ją bez namysłu – oznajmił ze stoickim spokojem. – Ale ja mam pracę jak marzenie. Same przyjemności, wie pan. Czuję się bardzo doceniany – kontynuował. Kąciki ust nagle przypomniały sobie, na czym polega meksykańska fala. – Społeczeństwo bardzo docenia moją pracę. Dyrektor szpitala też. Mam ładny gabinet. Nocne dyżury tylko od wielkiego dzwonu. Pensja wystarcza na wakacje – dokończył, już otwarcie zadowolony.

Oskar podniósł się z fotela i nagle zamyślił. Stał tak chwilę bez sensu, po czym pożegnał się i wyszedł. Pielęgniarka odprowadziła go zachwyconym wzrokiem. Doktor Słowik sprowadził ją na ziemię, głośno pociągając nosem.

– Czas na moje tabletki – powiedział z wyrzutem.

Pielęgniarka wyjęła z kieszeni fiolkę z kolorowymi pigułkami. Odliczyła kilka i podała Słowikowi. Doktor połknął lek i znów uspokojony, otworzył kolejną kartę pacjenta.

Babcia wpatrywała się w kulę. Lenka też, ale bez spektakularnych efektów. Kula jak kula – szklana, ładna, tylko sztucznego śniegu w środku brakowało. Co jakiś czas połyskiwała co prawda jakimś wewnętrznym światłem, ale równie dobrze mogły to być po prostu słoneczne refleksy, wpadające przez niezbyt dokładnie zasunięte firany. Babcia zdawała się jednak patrzeć dalej, niż oczy Lenki mogły sobie na to pozwolić.

– Jest tylko jedno wyjście.

Lenka zastrzygła uszami. Spowijająca pokój ciemność (gdzieniegdzie zakłócona tylko owymi refleksami) zachowała ten fakt dla własnej wyłącznej wiadomości.

– Musisz sama spełnić marzenie Oskara.

Lenka skrzywiła się, rozczarowana.

– MÓWI PANI TO SAMO, CO ADA.

Babcia podniosła wzrok znad kuli.

– A spodziewałaś się, że jej zaprzeczę? Czekalaś na jakąś wojnę czarownic czy co?

Lenka, z natury grzeczna i ustępliwa, najpierw nie wiedziała, co odpowiedzieć. Po chwili jednak słowa same popłynęły z jej ust, nie czekając na zgodę umysłu.

– NIE. PO PROSTU MYŚLAŁAM, ŻE BĘDZIE PANI BARDZIEJ ORYGINALNA I PODA JAKIŚ KONKRETNY PRZEPIS, JAK TO ODCZAROWAĆ. JEŚLI TO W OGÓLE SĄ CZARY, BO SZCZERZE MÓWIĄC, ZACZAŁEM WĄTPIĆ. ZNACZY ZACZEŁAM.

Babcia przeszła Lenkę wzrokiem.

– Zamiana osobowości, bardzo interesujące. Co tylko potwierdza moje słowa. I Ady, rzecz jasna. Masz czas do pełni, dziecko. Żeby nie zezłościć Asyriela, musisz sama zrealizować marzenie Oskara. Potem – znów spojrzała na kulę – zostaw rzeczy ich własnemu biegowi. Oskar jest ci przychylny, patrzy na ciebie inaczej niż przed rytuałem. Jest wielka szansa, że cię pokocha. W kuli widzę was razem, szczęśliwych w miłości. Ale – zawiesiła głos – widzę was też osobno. Los jeszcze trzyma w ręku obie karty. Możesz mu pomóc wybrać jedną.

Babcia przesunęła dłonią nad kulą, potem pstryknęła palcami. Należała bowiem do tych wróżek, które próbują być proekologiczne, oszczędzając energię. W tym wypadku nie tę pozyskiwaną z surowców pochodzących z ziemi, ale z kosmosu. Babcia, mimo sędziwego wieku, czytała branżową prasę i była na bieżąco z niuansami polityki energetycznej świata niematerialnego.

Pstryknąwszy palcami, głośno odetchnęła, po czym wstała od stołu i podniosła ręcznik, który – jak się okazało – leżał po prostu na podłodze. Zawinęła w niego kulę i schowała do komody. Wróciła do stołu i oparła dłonie o blat. Przez chwilę znów wydała się Lence dziwnie do kogoś podobna.

– Cholera, jak ja się teraz łatwo męczę. I wątroba nie ta, co kiedyś – jęknęła Babcia, rozmasowując bok. – Nie masz przypadkiem jakiejś piersióweczki z koniakiem przy sobie?

Lenka nie miała ani piersiówki, ani koniaku, ani nawet cukierków z wódką, w związku z czym, zamiast konsumować z Babcią szlachetny trunk,

kilka minut później energicznym krokiem odeszła w stronę przystanku. Wychodząc przez furtkę, odruchowo odwróciła się. Babcia stała na progu domu, uśmiechając się życzliwie. Wzdychający piesek wyszedł na podwórko, gdzie właśnie rozkosznie przeciągał zaspane kości.

Babcia pomachała do Lenki.

Lenka odmachala do Babci.

Babcia uśmiechnęła się do Lenki.

Lenka odśmiechnęła się do Bliźniaczek ze swojego snu. I, zmrożona tym spostrzeżeniem, odbiegła na autobus, zostawiając za sobą tajemniczą Babcię i jej wyspanego psa.

Opowieść Lenki w ogóle Ady nie zdziwiła.

– W moich snach też się kiedyś pojawiała, wiesz. I zawsze tak... metaforycznie.

Lenka odgryzła truskawkę ogonkowi.

– Ale ja jej jeszcze wtedy nie znałam, kiedy mi się śniła! Przyznasz, że to dość dziwne.

Ada wzruszyła ramionami. Wszystko, co wiązało się z Babcią, było dziwne, ale nie znaczy, że trzeba o tym tak w kółko i na głos rozprawiać. Pogrzebała w torbie z truskawkami. W głowie wypowiedziała czar, działający na cząstki elementarne. Miała nadzieję wyjąć z torby czereśnię albo chociaż borówkę amerykańską, albo podwójną wisienkę... Zamiast tego wyjęła doszczętnie zgniłą truskawkę.

– Weź drugą – zaproponowała Lenka, widząc smutną minę Ady. Ciotka machnęła owoc za okno.

– Jakoś straciłam apetyt – powiedziała ponuro i zagapiła się w niebo.

Spomiędzy chmur wychylił się samolot. Adę, zupełnie bez sensu, zaintrygował ślad, jaki zostawił za sobą. Kiedyś znała czar, który wywoływał

bardzo ciekawe złudzenia optyczne: na przykład taki biały pasek pary wodnej mógł zamienić w stonogę – olbrzymią, sunącą za samolotem jak smycz za biegnącym psem. To znaczy zamieniał tylko na niby i tylko do wglądu osoby rzucającej czar. Nikt inny nie byłby w stanie tego dostrzec. Oczywiście Ada nie miała też wątpliwości, że gdyby teraz wypróbowała ów czar, nic by się nie wydarzyło – przecież obok stała Lenka, czyli widz. Zaśmiała się pod nosem. Ada. Wróżka Wydmuszka. Kopciuszka. Słabeuszka.

– A mnie to w ogóle nie bawi, widzisz – oznajmiła Lenka, nieco urażona śmiechem Ady – Ja na przykład czuję się bardzo nieswojo.

Ada obtrząsnęła się z myśli. Spojrzała na siostrzenicę.

– Niepotrzebnie, kochanie. Babcia nie jest groźna. To, że ci się przyśniła, to raczej... wyróżnienie. Przynajmniej ja bym to tak zinterpretowała. Na pewno nie chciała ci zaszkodzić.

Lenka zeskoczyła ze stołu, na którym siedziała, i wyjęła z kieszeni komórkę.

– Mam nadzieję. Bo zamierzam zastosować się do jej rady.

CZĘŚĆ DRUGA

TTLRR

Dzień był ładny, ciepły i soczyście wakacyjny. W powietrzu wisiało jakieś urlopowe rozprężenie, ludzie przestali się spieszyć, korki odpuściły sobie stresowanie miasta i nawet zdenerwowane bez względu na porę roku centrum wydawało się dziwnie rozleniwione.

Zupełnie inaczej natomiast czuł się tego dnia Oskar. Na spotkanie z Lenką pognał tak, jakby miało od tego zależeć jego życie. Na umówione miejsce dotarł pierwszy. Telefon Lenki niesamowicie go ucieszył. Chyba dawno nie czuł takiej radości, widząc czyjeś nazwisko podskakujące na ekraniku komórki. Oczywiście, mamy tu na myśli żeńskie nazwisko. Nie widzieli się z Lenką ponad tydzień! To, w jego odczuciu, było o ponad tydzień za długo. Chciał pierwszy zadzwonić, umówić się na jakąś kawę chociaż, ale stare przyzwyczajenia pieszczoszka wszystkich kobiet wzięły górę, nakazując mu czekać na sygnał od Lenki. Przeczucie go nie zawiodło, dziewczyna złamała się pierwsza. Chociaż... Tu Oskar zamyślił się. Gdyby wstrzymała się jeszcze jeden dzień, nie dałby rady. Wykonałby ten piekielny telefon, łamiąc swoją najważniejszą zasadę: nigdy nie ulegaj kobiecie, której na tobie zależy. Bo jej zależało... Prawda? Oskar przyjrzał się Lence, która właśnie pojawiła się w zasięgu jego wzroku. Szła parkową alejką sprężystym krokiem, wyprostowana i uśmiechnięta. Ubrana stosownie do sytuacji i możliwości swojej figury, twarzowo obcięta, z subtelnym makijażem, który uwypuklał to, co miała najlepsze w twarzy Oczy! Oskar poczuł mrowienie w okolicy żołądka. Niech go diabli wezmą, jeśli kiedykolwiek znał kobietę o piękniejszych oczach.

Cudna dziewczyna. Normalna. Ale z tą iskrą, której nie da się skopiować ani kupić nawet za najcięższe pieniądze. Mijający Lenkę mężczyzna też to zauważył, bo odwrócił się za nią z podziwem w oczach. Brzóska zgrzytnął

zębami. Najchętniej zaproponowałby mu w tej chwili krótki, acz treściwy sparing, który tamten zapamiętałby do końca życia.

– To moje magiczne miejsce – powiedziała Lenka, gdy kilka minut później szli w stronę parkowej sadzawki, szczelnie ukrytej za gęstymi krzakami dzikiej róży. – Czasami przychodzę tu z laptopem.

Oskar rozejrzał się.

– Faktycznie, ładne miejsce. Może zacznę się tu umawiać na wywiady.

Lenka poprowadziła ich wzdłuż krzaków do wąskiej ścieżki, którą następnie dotarli do sadzawki. Częściowo porośnięta rzęsą i zaśmiecona, bardziej przypominała miskę węgierskiego gulaszu niż romantyczne jezioro. Oskar postanowił przeprogramować umysł; nie, to raczej nie było dobre miejsce na wywiad. Za bardzo cuchnęło zepsutą rybą.

Chwilę później osłupiał. Lenka rozgarniała właśnie kolejne krzaki, otaczające sadzawkę od południa. Oczom Oskara ukazał się obrazek jak z bajki – kamienna ławka, z której roztaczał się widok na Warszawę. Migotliwe światełka miasta siłowały się właśnie z handlującą swymi urokami lepką szarówką.

– Rany – wydukał.

Lenka uśmiechnęła się triumfująco i skinęła na Oskara. Po chwili siedzieli na kamiennej ławce, zapatrzeni na piękne wieczorne miasto.

– Miałaś rację. Tu jest rzeczywiście jakaś magia – powiedział, zachwycony.

Lenka bawiła się sznurkami od kurtki.

– Znalazłam to miejsce jeszcze w liceum. Dobre do marzeń, odrabiania lekcji...

– Całowania się...

Oskar spojrział na Lenkę. Zawstydzona, spuściła wzrok. Powinien ją teraz delikatnie pogłaskać po policzku i przyciągnąć jej twarz do swojej. Następnie pocałować, przecież po to go tu zaciągnęła. Ale...

Nie potrafił. Poczł nagle coś, czego dotąd nie doświadczył przy żadnej kobiecie.

Krępował się. Tak po prostu.

Chrząknął. Trzeba było jakoś przerwać to milczenie.

– Fajnie, że zadzwoniłaś. Chciałem się do ciebie odezwać, ale wiesz...

– Praca, pamiętam – weszła mu w słowo. Zażenowany, zmierzwił włosy.

– Coś w tym stylu. Strasznie dużo roboty, cały czas coś się działo, nie dawali żyć.

Lenka nagle spojrzała przenikliwie na Oskara.

– Na szczęście to spełnienie twoich marzeń, ta praca. Prawda? – zakończyła z naciskiem.

Brzóska zaśmiał się, podniósł z ziemi kamyczek i rzucił w stronę miejskich świateł.

– Bez przesady. W redakcji to ja zarabiam na chleb i wodę. Ale w duchu marzę o czymś zupełnie innym.

Lenka zwilżyła językiem wargi. Nagle zaschło jej w gardle.

– Można wiedzieć... o czym?

Oskar rzucił kolejnym kamykiem. Jakiś ptak poderwał się z krzykiem z zarośli porastających zbocze wzniesienia, na którym stała ich ławka. Miasto migotało niespiesznie.

– To żadna tajemnica. Marzę o pracy w telewizji.

Lence momentalnie zrobiło się gorąco. Telewizja... a jednak. Innymi słowy, jeśli wierzyć w magię, Asyriele i całą resztę, będzie musiała błagać

Guttmana, żeby ją zatrudnił mimo tamtego SMS-a, w którym zrezygnowała z pracy przy programie. Niedobrze. Chrząknęła.

– A w jakim charakterze? Chcesz być reporterem? Czy wolałbyś stanąć za kamerą?

Oskar uśmiechnął się.

– Nie, nie. Widzisz, chodzi o to, żeby ludzie mnie poznali.

– Zawiesił głos i spuścił wzrok. Czubkiem buta popchnął małego żuczka, który wyszedł spod ich ławki, po czym dokończył z jakąś nagłą goryczą w głosie: – Chcę być znany w każdym pieprzonym zakątku tego kraju.

Lenka zamarła. Poczwała, jak odchodzą z niej siły i chęć na robienie czegokolwiek, nie wyłączając podrywania Oskara.

– Chcesz być... jak to mówią... celebrytem?

Oskar skinął głową.

– Tak. Na to wygląda – zgodził się smutno.

Lenka zapatrzyła się w przestrzeń. Tyle piękna było w tym kawałku świata, który miała przed sobą! I tyle sztuczności w człowieku, który siedział obok.

Oskar jakby czytał w jej myślach. Delikatnie dotknął jej ręki.

– Myślisz, że jestem próżny?

Lenka drgnęła. Spojrzała na Oskara smutnym wzrokiem.

– To twoje życie. Nie mam prawa cię oceniać.

Oskar westchnął. Spojrzył na rozmigotane miasto.

– Wiem, że to tak wygląda, ale prawda jest inna, uwierz mi – powiedział. – Jeśli chcesz, opowiem ci, dlaczego tak naprawdę chcę pracować w telewizji.

Skinęła głową.

– Jesteś pierwszą osobą, która to usłyszy. Nigdy nikomu się nie zwierzałem... tak w pełni.

– Przecież miałeś tyle dziewczyn?...

– Aż za dużo. Tylko że żadna nie była na serio. Wszystkie próbowały się do mnie zbliżyć, w tym psychicznym sensie, ale ja nie byłem zainteresowany. Szczerze mówiąc, trochę się bałem. Że będę musiał za dużo o sobie opowiedzieć, a nie byłem na to przygotowany. Ta telewizja... jak by to ująć... w każdym razie chodzi o moją matkę.

– Nie żyje? To jak moja.

– Żyje. I ma się bardzo dobrze, o ile mi wiadomo. Miałem trzynaście lat, jak od nas odeszła. Wcześniej odkryła, że mój ojciec miał romans. Głupota, wiesz, zawsze był takim trochę bawidamkiem, kobiety się za nim uganiały. No i jednej uległ. Banał, swojej sekretarce. Była młoda, ładna, zgrabna, całkowicie mu odbiło na jej punkcie. Ta sekretarka, Iwona, ona była bardzo przebiegła. Inaczej: ona jest przebiegła. Żeby zdobyć ojca, najpierw zakreśliła się wokół mnie. Kupowała mi prezenty, zabierała na spacer, wesołe miasteczka, dawała pieniądze i tak dalej. Podobało mi się to. Matka była zawsze cholernie stanowcza, na nic nie pozwalała, tam nie idź, tego nie rób, zrobisz sobie krzywdę, ubrudzisz spodnie. A Iwonka była inna. Polubiłem ją. Kiedy matka dowiedziała się o romansie ojca, kompletnie jej odbiło. Chciała razem ze mną wyprowadzić się z domu, ale ja...

– Nie chciałeś z nią pójść. Wolałeś tę drugą.

– Młody byłem. Leciałem na błyskotki. Powiedziałem matce, że wolę zostać z ojcem... Nie zastanawiałem się, co będzie dalej. Zresztą, ciężko się dziwić, nie sądzisz?

Lenka skinęła głową.

– A twoja mama? Wzięła to na poważnie? A sąd? Bo się rozwiedli, tak?

– Zrzekła się praw i zostałem z ojcem. Potem wyjechała z kraju. Ktoś ją widział w Stanach. Zapamiętałem to.

– Tęskniłeś?

– Na początku nie bardzo. Matka często kłóciła się z ojcem, a jak odeszła, zrobiło się spokojnie. Iwona na początku była bardzo fajna, kumpłowska. Potem zaszła w ciążę, właśnie z tego związku jest Baśka. Kiedy urodziła własne dziecko, kompletnie się ode mnie odcięła. Ojciec był zbyt zajęty, żeby to zauważyć.

– Wtedy przypomniałeś sobie o matce.

– Wiem, egoistycznie to wygląda, ale przecież tak naprawdę wciąż byłem dzieckiem, do cholery! Po raz pierwszy pojechałem do Stanów po maturze. Z kolegami. Szukałem jej. Do diabła, naprawdę chciałem ją znaleźć! Nie udało się. Potem, na studiach, nie miałem pieniędzy na bilet, a jak już coś pożyczyłem, nie chcieli mi dać wizy. Dopiero po studiach...

– To stypendium?

– Nie, ja... na zmywaku pracowałem. Przez pół roku. Nawet wpadłem na jej trop, znalazłem adres, ale okazało się, że już tam nie mieszka. Znów wróciłem bez niczego. Doszło do tego, że matka, to jej odnalezienie, stała się moją obsesją. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie szukała ze mną kontaktu, dlaczego była taka uparta. Przecież jestem jej pierworodnym dzieckiem, do cholery! Jak można karać syna za to, co zrobił jego ojciec!

– Może próbowała, a ty o tym nie wiesz?

– Skąd, wiedziałbym, przecież nie było trudno mnie znaleźć. Ojciec z Iwoną mieszkają wciąż w tym samym domu. Ale wracając do telewizji... Rok temu podwoziłem jedną dziewczynę. Poznałem ją na jakiejś imprezie, pracowała w telewizji. Miała takie dziwne imię... Leokadia? Letycja? Nie pamiętam. W każdym razie mieszkała na Mokotowie, na Łowickiej. Kiedy

wysiadła z samochodu, nagle zauważyłem wychodzącą z kamienicy kobietę. Od razu ją poznałem.

– Twoja mama?!

– Tak, choć bardzo się zmieniła. Przytyła, zszarzała tak jakoś. Tamta dziewczyna ją знаła. Powiedziała, że to jej sąsiadka, że wróciła do Polski ze Stanów po latach emigracji. Nie mogłem się pomylić.

– Próbowałeś z nią rozmawiać?

– Dwa razy. Na początku udawała, że mnie nie zna. Po prostu nie wpuściła mnie do mieszkania. Za drugim razem powiedziała, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Że zamknęła tamten rozdział, że ma nowe życie, nową rodzinę i że bym jej nie psuł tego, na co ciężko zapracowała. Ta dziewczyna, Letycja, powiedziała mi potem, że sąsiadka... moja mama, znaczy... że ona tam sama mieszka. Czyli mnie okłamała. Nie miała nowej rodziny. Niczego bym jej nie popsuł.

– Okrutne.

– Dlatego postanowiłem znaleźć pracę w telewizji. Jak stanę przed kamerą, będę mówił tylko do niej. Jak mnie zobaczy, jak mnie rozpozna... może zmieni zdanie. Może zgodzi się porozmawiać. Tak od serca. Wiem, że to głupie... Głupi jestem, co? – Zaśmiał się z bólem. – Strasznie głupi.

Ukrył twarz w dłoniach. Żuczek zawrócił i podszedł do jego buta. Zatrzymał się, ruszając tylko długimi wąsami. Wyglądało to tak, jakby próbował powiedzieć coś do Oskara.

Lenka nie wiedziała, jak zareagować. Patrzyła na wzruszonego Oskara i miała ochotę się rozplakać. Nie tylko ze współczucia, choć to również. Przede wszystkim była do łez wściekła na samą siebie. Sądziła po pozorach. Oceniała go, opierając się na stereotypach. Nie szukała głębiej, ślizgała się tylko po bezpiecznej powierzchni tego, co było widoczne gołym okiem. Zachowała się

dokładnie tak, jak kiedyś ludzie odnosili się do niej – skreślali ją, patrząc na strój, fryzurę, sposób bycia. Była odrzucana, bo nikt nie zadał sobie trudu, żeby zajrzeć pod tę przeciętną, pierwszą warstwę.

Pogładziła Oskara po włosach.

– To nie twoja wina – powiedziała drżącym głosem. – Przecież rozstanie rodziców nigdy nie jest winą dziecka.

– Wiem. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Tylko uświadamianie sobie tego trwa tak długo.

Lenka uśmiechnęła się i delikatnie objęła Oskara. Pachniał... bezpieczeństwem. Uśmiechnął się, wyraźnie próbując skończyć tamten bolesny wątek.

– Ty się trzęsiesz! – zauważył nagle, wysuwając się z jej objęć. Zdjął marynarkę i zarzucił Lence na ramiona. – Do twarzy ci w brązie – próbował żartować.

Lenka otuliła się marynarką. Oskar postawił jej kołnierzyk, poprawił włosy. Spojrzeli na siebie.

Ujmijmy to tak: pocałunek kobiety i mężczyzny to zbyt intymna sprawa, żeby się o niej rozpisywać ze wszystkimi anatomicznymi szczegółami. Kto w którą stronę przechylił głowę, czyj nos przeszkadzał i czy się przypadkiem nie ciamknęło językiem. Naprawdę, nie będziemy się teraz wtrącać w ich sprawy. Skupmy się na Warszawie! Tej, co rozpościerała się przed nimi, z minuty na minutę coraz bardziej rozmigotanej, skrzęcej się jak podświetlony płatek śniegu.

Skupiliśmy się.

A Lenka i Oskar niech się tam całują w spokoju.

Godzinę później szli objęci przez park. Lenka mogła przysiąc, że jej stopy nie dotykały ziemi. Płynęła parę metrów nad alejką, głową ścierając patynę z gwiazd. Oskar miał podobne wrażenie, tylko że jego na dodatek zaczęło męczyć potworne pragnienie.

– Może napijemy się czegoś? – zagaił, wachając mimochodem włosy Lenki, które zamazały mu nagle obraz. Wzmógł się wiatr, trzepotało więc wszystkim, co tylko nadawało się do trzepotania.

Lenka nie miała nic przeciwko. W tej chwili oczywiście przyjęłaby każdą propozycję Oskara, włączając w to zakup pięćdziesięciu pługów śnieżnych lub udział w zamachu stanu. Była po uszy zakochana.

Asyriel, trzeba przyznać, musiał się w tym momencie poczuć bardzo samotny, opuszczony i ogólnie ciśnięty za kulisy. Tuląc się do ramienia Oskara, nie mniej chyba zakochanego od niej, Lenka doszła bowiem do całkiem rozsądnego wniosku że coś takiego jak magia nie istnieje. W duszy do rozpuku śmiała się z samej siebie. Jezuuuu. Porażka. Jak mogła uwierzyć Adzie, że zapalenie jakiejś świeczki mogło mieć wpływ na jej życie? Oczywiście, miałoby, gdyby ta świeczka na przykład przewróciła się i spaliła mieszkanie Lwa Rembiewskiego, wówczas efekt byłby namacalny, natychmiastowy, niepodważalny i mocno zakorzeniony w jedynym świecie, którego istnienia Lenka była pewna w stu procentach, to jest świecie trzech wymiarów, nie licząc czasu.

Rytuał był głupią zabawą. Asyriel nie istniał, nie istnieje i istnieć nie będzie. Chyba że Lenka napisze o nim kiedyś jakieś opowiadanie. W każdym razie nie było żadnej magii, nie musiała więc niczego odczarowywać. Głupoty, które robiła, brały się stąd, że miłość ją otumaniała, mieszała w głowie, przestawiała rzeczy w organizmie. Wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze: nie było żadnej magii.

– NIE BYŁO ŻADNEJ MAGII?

– Co powiedziałaś? – zapytała.

Oskar odgarnął sobie z oczu włosy Lenki i spojrzał na nią, błogo uśmiechnięty.

– Nic nie mówiłem – odparł zgodnie z prawdą.

Wyobraźnia rąbnęła Lenkę w brzuch z łokcia. Zlekceważyła to.

– Musiałam się przesłyszeć.

Brzóska delikatnie pocałował ją w czoło.

– To tylko wiatr tak szumi.

Po parku kręcili się jeszcze kilka minut, nie znajdując jednak żadnej spokojnej knajpki. Brzóska na szczęście przypomniał sobie, że dwie przecznice dalej widział kiedyś małą włoską restauracyjkę, w której zazwyczaj przesiadywały zakochane pary. Wyszli więc z parku i zmagając się z coraz silniejszym wiatrem, stanęli przed przejściem dla pieszych. Mieli czerwone światło.

– Chłodno ci wciąż? – zapytał Oskar, troskliwie rozcierając dłonie Lenki. – Zaraz będziemy na miejscu, wiesz. Zamówimy grzańca, tam jest też kominek...

Światło zmieniło się na zielone, Lenka ruszyła.

– Oskar?

Odwróciła się, zdziwiona. Jej miłość nie ruszyła za nią, ale stała wciąż na chodniku, wpatrzona w przestrzeń. Lenka cofnęła się.

– Co jest, kochanie? Co się stało?

Nie odpowiedział, wciąż wypatrując czegoś po drugiej stronie ulicy. Lenka powiodła tam wzrokiem i nagle zrobiło jej się bardzo gorąco. Wiatr mógłby w tej chwili zerwać z niej ubranie, a ona i tak czułaby się jak w łaźni fińskiej.

Dwóch stojących na wysięgniku mężczyzn kończyło naklejanie plakatu na billboard. Między ich małymi sylwetkami migiała twarz, wielka jak ciężarówka. Jeden z mężczyzn pokazał gestem dłoni, że można opuszczać ramię wysięgnika. Zjechali na chodnik i zaczęli zbierać resztki starego plakatu, które wcześniej zerwał wiatr. Kilka śmieci poderwało się jednak w powietrze, wzbijając wysoko ponad głowy mężczyzn. Jeden z nich zaklął. Strzępki tymczasem odstawiły taniec wojenny, omiatając oczy faceta z plakatu.

Lenka spojrzała na Brzóskego. Oskar, jej Oskar, gapił się właśnie na twarz Oskara Guttmana, suszącego zęby w reklamie jakiejś wody toaletowej. Momentalnie wróciła myślami do rytuału i Asyriela. Poczwała ciarki. Marzenie o zdobyciu Oskara nabrało nagle całkiem nowego znaczenia.

Ada bardzo niechętnie podeszła do drzwi. Ostatnio źle sypiała, do tego notorycznie bolała ją głowa. Kradzież portfela była gwoździem do trumny. Po raz pierwszy straciła coś tak osobistego i cennego. Myśl o tym, że jakieś obce ręce grzebały w jej torebce, a następnie wyprały flaki z portfela, przyprawiała ją o mdłości – i to w sensie zupełnie nie przenośnym. Ktoś nie tylko ukradł jej pieniądze, karty, dokumenty. Niechcący zwinął też jedyne zdjęcie Marcela, jakie miała. Niewielka, głupia fotografia, zrobiona kiedyś na Krupówkach. Ona, Marcel i biały miś. Fatalne ujęcie, swoją drogą, obydwójce zrobili idiotyczne miny.

Marcel. Tak jakby teraz umarł po raz drugi.

Kradzież kompletnie Adę załamała. Wróciły głupie myśli o testowaniu na własnej skórze odległości między parapetem a chodnikiem cztery piętra niżej. Pojawiły się też nowe – na przykład taka idea sprawdzenia, jak głęboko można wsadzić sobie żyłkę w przegub dłoni i jak długą krechę w ten sposób narysować.

Kiedy Ada otworzyła drzwi, do mieszkania wpadła historyczna burza z rozbieganym wzrokiem i czymś bardzo niezadowolonym na twarzy. Lenka najwyraźniej miała z ciotką do pogadania i nie zamierzała tego odkładać. Jakimś cudem zawsze wpadała na taki pomysł w chwili, gdy z Adą działo się nie za dobrze. Tym razem zupełnie nieświadomie zmusiła ją do odłożenia żyletki na odległość bezpieczną dla żył.

– Rytuał zadziałał – oznajmiła Lenka z miną kontrolera biletów.

Ada spojrzała na siostrzenicę dziwnym wzrokiem.

– Że tak powiem, odkrycie – powiedziała z przekąsem. – Nie mogłaś z tym poczekać do rana? – dodała, zapominając chyba, że kilkanaście minut wcześniej planowała nie przeżywać już na tym świecie żadnych poranków.

Lenka naląła sobie soku do szklanki i wypiła do dna.

– Mogłam, ale odkryłam coś strasznego.

Ada usiadła na stołku. Czuła się zmęczona – podcinanie żył, a nawet samo tego planowanie, nie jest często wykonywaną przez człowieka czynnością, wymagało więc dużo skupienia, opanowania i przemyślenia wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach, stanowiąc tym samym zajęcie bardzo energochłonne.

– Mianowicie?

– Oskar Brzóska jest... znaczy, nie wiem, czy od razu zakochany, ale... no... ma coś do Oskara Guttmana. W sensie jakąś miętę do niego czuje. I, tak, to zdanie miało być w trzeciej osobie liczby pojedynczej, nie przejęczyłam się.

Ada uśmiechnęła się blado.

– Zapaliliście przestawione świece, to czego się spodziewałaś.

Lenka westchnęła dramatycznie.

– Ale dlaczego zaraz Guttman?

Ada przewróciła oczami.

– A co, nie pasują do siebie czy jak? – stwierdziła ironicznie. – Nie wiem, Chryste, może Guttman to jedyny Oskar, jakiego Brzóska zna osobiście. – Spojrzała na Lenkę badawczo. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że do czegoś już między nimi doszło?

Lenka gwałtownie zamachała rękami.

– Nie, nie wiem, chyba nie, Jezu! Po prostu patrzy na niego jak zahipnotyzowany, jakby nie mógł oderwać wzroku. Coś się święci, rozumiesz, czuję to.

Ada westchnęła.

– Nic się nie wyświęci, Brzóska nie jest gejem. Idź do Guttmana, przyjmij ofertę. Jeśli zrobisz to przed pełnią, sprawa załatwiona.

Lenka wzięła głębszy oddech.

– Tylko ja wciąż nie rozumiem, co się wtedy stanie. Pójdę do telewizji, spełniając marzenie Oskara, ale on...

– Helena, moment, po kolei. – Głos Ady przeciął powietrze. Lenka zamilkła jak zrugany uczeń. – Do pełni księżyca musisz spełnić marzenie Oskara, ponieważ w oczach Asyriela jest ono twoim marzeniem. Anioł będzie zadowolony z przebiegu sprawy i nie zrobi tego, co robi zawsze, gdy osoba inicjująca rytuał sprzeciwia się jego woli. Czyli nie rozdzieli losów osób, które razem zapaliły świece. W tym wypadku twoich i Oskara Be.

–Ale Oskar...

– Co z nim jeszcze, do cholery?!

– Przecież nie spełni mojego, to jest swojego życzenia, bo mężczyźni go nie interesują. To nie wkurzy Asyriela?

Ada chrząknęła.

– Nie, ponieważ jego życzenie ma dla Asyriela mniejsze znaczenie, bowiem to nie twój Brzóska był inicjatorem rytuału. Nic się nie wydarzy, jeśli Oskar – Ada jeszcze raz chrząknęła – nie zdobędzie serca drugiego Oskara. Nic, null, zero konsekwencji. Rozumiesz?

Lenka kiwnęła głową i odetchnęła. Przez chwilę milczały, każda zaplątana we własne myśli.

– Ada, ja...

–Lena...

– Przepraszam.

– Za co? Lenka zagryzła wargi.

– Za to, że przez te wszystkie lata nie traktowałam cię serio. Że śmiałam się z twojej wiary w magię.

Ada, poruszona, spojrzała na siostrzenicę. Popatrzyły sobie w oczy. Coś bardzo łaskoczącego i mokrego przetoczyło się pod rzęsami Ady.

– Nie ma sprawy.

– Ale właśnie jest – powiedziała Lenka z naciskiem. Wzięła Adę za rękę. – Kto ma cię wspierać, jak nie ja. Nawet jakbyś wierzyła w różowe słonie z pięcioma trąbami, powinnam cię wysłuchać. Inni niech się śmieją, ja już nigdy nie będę.

Ada próbowała się nie rozplakać, ale wzruszenie było silniejsze. Objęła Lenkę i mocno uścisnęła.

Nie płacz, ma... mo, pomyślała Lenka, na głos wypowiadając tylko:

– Oj, cicho już.

Ada roześmiała się, ocierając rękawem policzki.

– To przez te... słonie. Wyobraziłam sobie ich trąby.

Wybuchnęły śmiechem. Ada zaproponowała herbatę. Tymczasem w jednym ze światów alternatywnych mały różowy słon o pięciu trąbach zerwał

się z łóżka, przerażony. Strasznie piekło go dziesięcioro uszu. Piszcząc ze strachu, zawołał mamę.

Oskar Brzóska obudził się spocony. Miał jakiś bardzo przykry sen, postanowił więc go szybko wymazać z pamięci. Wstał z łóżka i otworzył żaluzje, wpuszczając do pokoju słońce. Ładnie było na zewnątrz, jasno, kolorowo, przejrzyste, niewinnie... Na parapecie usiadł wróbel. Rzadkość ostatnio. Balkon Oskara co rusz przeżywał nalot gołębi, ale małe wróbelki, które tak dobrze znał z dzieciństwa, widywał sporadycznie. Szkoda, były sympatyczniejsze od wiecznie narzekających gołębi, które uwielbiały zapaskudzać całą powierzchnię balkonu. Postukał palcem w szybę, wróbelek pokręcił łebkiem, zainteresował się.

– Cześć, maleńki – powiedział Oskar, uśmiechając się z rozczeniem.

Ptaszek podskoczył, dziobnął dla fasonu w parapet, po czym znów zerknął na Oskara. Brzóska zaskrobał paznokciem w szybę na wysokości brzuszka wróbla.

– Śliczny z ciebie okaz, chłopaku.

– Schlebiasz mi – usłyszał nagle i zamarł. Bardzo wolno odwrócił się w stronę źródła dźwięku, którym z całą pewnością nie był szary wróbelek.

W drzwiach do pokoju stał Oskar Guttman, uśmiechając się wyzywająco. Kątem oka Brzóska zdołał jeszcze zauważyć, że na łóżku leżała Julia Rembiewska. Zupełnie nieubrana Julia Rembiewska.

Budynek telewizji wydawał się dziwnie pusty. Jakby wszyscy wyjechali nagle na wakacje albo prowadzili właśnie programy na żywo. Lenka szła głównym korytarzem, kierując się w stronę pokoju Oskara Guttmana. Jak przystało na wielką gwiazdę, miał własny gabinet, coś pomiędzy garderobą, pokojem schadzki a sporadyczną sypialnią. Rezydował tam niezbyt często,

zazwyczaj wpadając do telewizji tylko na nagrania, miał za dużo do zrobienia „na mieście”.

- Jestem na mieście, nie mogę gadać.
- Mam spotkanie na mieście, oddzwonię.
- Zderzymy się gdzieś na mieście, cześć.

Lenka jak dotąd nie usłyszała żadnego z tych sloganów, którymi Guttman częstował na prawo i lewo ludzi, których chciał spławić. Nie mając nigdy czasu (a dokładniej: udając, że go nie ma), robił wrażenie kogoś z innego świata. Nasz czas z całą pewnością nie był jego czasem. Nasz dzień trwał krócej. Nam się nudziło, on pracował.

Nie trzeba chyba tłumaczyć, jak było w rzeczywistości. Guttman spędzał długie godziny na tak zwanych spotkaniach służbowych, wyłącznie w najmodniejszych knajpkach, w towarzystwie jedynie słusznej latte i obowiązkowo nadmuchanego rogalika. Tak zwany perfekcjonista.

Lenka nie przypuszczała w najśmielszych marzeniach, że taką pracę w ogóle można nazwać pracą, dlatego spodziewała się, że rano Oskar Guttman będzie dostępny gdzieś między skrajnymi ścianami budynku telewizji. Ostatecznie mógłby być w terenie na jakimś nagraniu, wtedy pewnie pojechałaby pod wskazany adres. Jego asystent, do którego zadzwonił portier, zapewniał jednak, że pan Guttman ma zaraz pojawić się w pracy. Poprosił też o nazwisko Lenki, obiecując, że poinformuje o tym swojego szefa.

Portier, który zdążył już polubić Lenkę i nie planował spuszczać jej na drzewo, jak to mu się czasem zdarzało w wypadku brzydszych interesantek, szczegółowo wytłumaczył, jak iść, po czym odprowadził ją wzrokiem godnym aparatu rentgenowskiego.

Guttmana rzeczywiście nie było w gabinecie. Lenka usiadła więc na parapecie w korytarzu, wyjęła z torby laptopa i zaczęła pisać nowe opowiadanie.

Tymczasem oczekiwany przez nią gwiazdor wciąż stał w progu salonu mieszkania Lwa Rembiewskiego, taksując wzrokiem wymarzonego mężczyznę Lenki i półnagą Julię, z którą ów mężczyzna, jak należy podejrzewać, spędził upojną noc.

Tu należy nam się mała dygresja.

Otóż Oskar Brzóska, wbrew pierwszemu (własnemu) wrażeniu, wcale nie wyglądał przez własne okno i nie wdzięczył się do wróbelka, zajmującego parapet na jego własnym tarasie. Ba! On nawet nie spał tej nocy we własnym łóżku! Szczegóły minionych godzin powoli zaczynały do niego docierać, popędzane ręką kaca, który zamierzał właśnie przejąć kontrolę nad całym ciałem Oskara. Szczegóły te, choć podejrzewamy je o pewną niestosowność, zwłaszcza w zestawieniu z romantycznym wieczorem u boku Lenki, wcale nie były aż tak drastyczne. Ale do rzeczy.

Poprzedniego dnia Oskar i Lenka faktycznie spędzili razem kilka godzin, szybując w obłokach i ogólnie zakochując się w sobie. Potem miał miejsce dziwny incydent, kiedy to plakat z podobizną Guttmana nagle zawładnął umysłem Brzóska, przerażając Lenkę. Oskar w końcu otrząsnął się jednak i zaprowadził ukochaną do Włocha, gdzie, jak zapowiadał, zagrzali się przy kominku, wypili grzańca, potrzykali się za ręce, pocałowali, przytulili. Lenka próbowała ukryć zszokowanie incydentem na ulicy, Brzóska natomiast próbował strzepnąć z głowy potrzebę spotkania z Julią. Czuł, że musi z nią znów porozmawiać, żeby wreszcie raz na zawsze załatwić sprawę z transferem do telewizji. Z drugiej strony wieczór u boku Lenki był tak uroczy i niepowtarzalny, że nie miał siły, energii, ochoty kończyć go z

jakiegokolwiek powodu. Nawet, a może tym bardziej, żeby zobaczyć się z Rembiewską.

Niestety, wieczór skończył się szybciej, niż Brzóski zakładał. Dręczona myślą o rytuale Lenka udała, że robi się senna, i koło północy zasugerowała powrót do domu. Potem, jak wspomnieliśmy, pognęła do Ady.

Brzóski tymczasem zamierzał jak grzeczny chłopak wrócić do siebie. Postanowił się po prostu wyspać. Żadnych drinków na tarasie i filmów z Bruce'em Lee, żadnej Rembiewskiej. Zaplanował, że zadzwoni do niej następnego dnia z pracy.

I pewnie tak by było, gdyby jakiś kretyń nie postanowił zająć części parkingu przed blokiem Oskara ogromnym stanowiskiem reklamowym. Gdy Brzóski podjechał pod blok, panowie na wysięgniku montowali właśnie w wydzielonym miejscu billboard z imponującą podobizną Oskara Guttmana. Brzóski wykręcił. Na stacji benzynowej kupił wino i whisky, i tak wyposażony pojechał do Rembiewskiej. Doszedł do wniosku, że jednak z nią porozmawia. Znaczący, nic więcej. Po-roz-ma-wia. Jak dorosły z dorosłym.

Julię zastał w ręczniku. Nie wzruszyło go to jakoś specjalnie, widywał ją przecież już bez ręcznika i wielu innych, bardziej intymnych rzeczy. Rembiewska początkowo nie chciała z nim rozmawiać. Wciąż była zła za tamten dzień, kiedy to Brzóski nie zjawił się w telewizji na umówione z nią spotkanie. Obiecała sobie przecież, że go zlekceważy, że przestanie się nim interesować, że jeszcze będzie o nią zabiegał na kolanach, błagając o wybaczenie. Wpuściła go jednak do środka, bo przez otwarte drzwi wiało chłodem. Oskar był jakiś taki... nieprzystępny. Wycofany. Taki do zabiegania o niego. Rozmawiał z nią grzecznie, ale bez wazeliny. Nie podrywał jej. Gdyby nie wino, które w końcu otworzyła, i whisky, które również nie stało

zamknięte, można by nawet pomyśleć, że było to zwykłe służbowe spotkanie dwojga partnerów w interesach.

Z każdą minutą Rembiewska robiła się coraz bardziej miękka. Wino i whisky, karkołomny drink opatentowany przez nią tej nocy, na pewno dodatkowo pomagały. W każdym razie chłód działał. Julia czuła dreszcze. Oskar Brzóska jeszcze nigdy nie wydał jej się tak pociągający, mimo że wcześniej kilka razy czuła już do niego coś na kształt miłości. Tej nocy był po prostu ideałem. Męski, zdecydowany, stanowczy. Facet, o którego trzeba się starać, ba!, o którego warto się starać. A ponieważ tradycyjny zestaw jej uwodzicielskich trików jakoś nie chciał zadziałać, skorzystała ze sposobu swojej brzydszej koleżanki, ukradkiem wrzucając Brzósce do szklanki dwie aspiryny. Koleżanka zapewniała, że taka mieszanka zmiękczy nawet największego twardziela.

Jak by to ująć.

Miała rację.

Brzóska zmiękczył się aż za bardzo, ponieważ chwilę później spał kamiennym snem, kompletnie niezainteresowany Julią.

Co miała zrobić. Poszła spać w nadziei, że rano, widząc ją obok siebie, zmieni zdanie. Wcześniej wysłała jeszcze SMS do Guttmana, żeby zajrzał przed południem. Na spotkanie służbowe.

Co ów niniejszym uczynił.

– Schlebiasz mi – powiedział Guttman do Brzóskego, uśmiechając się tylko jedną stroną ust.

Tymczasem Oskar Brzóska próbował zebrać myśli. Nazywał się... okej, bez przesady, tyle pamiętał. Miał poza tym trzydzieści lat (ptaszek) i stał właśnie półnagi w swoim mieszkaniu (zong), a, jasne, w mieszkaniu Lwa Rembiewskiego (ptaszek), po spędzeniu nocy z jego córką (półzong).

Guttman wszedł do pokoju i czując się jak u siebie, wziął do ręki szklanę, która, pełna czegoś bardzo podejrzanego, stała na bufecie. Powąchał, skrzywił się, wylał zawartość do kwiatka.

– Zabalowaliście – oszacował. – Rozumiem, kobietę trzeba czymś zmiękczyć, żeby potem ten tego – dokończył, puszczając oko do swojego imiennika.

Brzóska błyskawicznie uznał, że ma nie więcej niż ułamek sekundy, żeby przypomnieć sobie, jak było naprawdę. Kac trochę w tym przeszkadzał, ale determinacja Oskara okazała się silniejsza.

– Do niczego między nami nie doszło – powiedział Brzóska usilnie obojętnym tonem, (ptaszek) – Spałem na kanapie – dokończył, wskazując głową rozbabrany tapczan, na którym ktoś solidnie skotłował koc. Rzeczywiście, to tam nabawił się tej nocy piekielnego bólu karku. – Przyszedłem w interesach – dodał.

Guttman wzruszył ramionami.

– Nie zamierzam się wtrącać, nazywaj to jak chcesz. Podeszedł do łóżka, usiadł, podrapał Julię w ramię.

– Mała, wstawaj. Chciałaś, żebym przyjechał, to jestem. Julia wykonała kilka kopnięć, zakryła się poduszką, westchnęła. Guttman klepnął ją w policzek.

– Pobudka, no. Mam pięć minut, jestem umówiony w telewizji. Przecież czegoś ode mnie chciałaś, tak?

Brzóska postanowił wykorzystać chwilę nieuwagi, żeby włożyć spodnie. Ukradkiem spojrzął na Guttmana, któremu właśnie udało się ostatecznie dobudzić Rembiewską. Poczuł, że się poci, a oddech robił mu się płytszy. Cholera! Sam siebie nie poznawał. Jasne, zależało mu na tej pracy w telewizji, ale żeby od razu pocić się na widok jakiegoś dziennikarzyni?! Doszedł

szybko do wniosku, że media miały na niego nie najlepszy wpływ, w każdym razie bardzo dziwnie mieszały mu w głowie.

Julia wreszcie się obudziła. Usiadła na łóżku, zupełnie lekceważąc swój częściowy negliz. Jej wzrok padł na dopinającego koszulę Oskara B. W głowie jej się zakołowało. Oskarr... Odwróciła się do Guttmana.

– Chodzi mi o kasetę – powiedziała. – Podobno ci się spodobała, a wciąż nie zaprosiliście go na rozmowę.

Guttman spojrzał na nią zdziwiony. Jego telefon nagle zaczął dzwonić. Zerknął na ekranik, odrzucił połączenie.

– Czyją kasetę?

– Oskara. Tę, na której nagrał wywiad z tym, jak mu tam...

– Profesorem Frycem – dopowiedział Brzóska. Ubrany, z ujarzmionymi włosami, siedział właśnie na stołku barowym. Wyglądał na osobę, która jest bardzo gotowa do wyjścia i powstrzymuje się tylko z grzeczności.

– Skoro ci się spodobało, zatrudnij go. Skoro tak świetnie potrafi gadać z profesorami, w tym twoim programie naukowym też sobie poradzi – wyjaśniła Julia jednym tchem.

Guttman wciąż patrzył na nią dziwnym wzrokiem, wyraźnie nic nie rozumiejąc. Jego telefon wydał z siebie przeciągły pisk nadchodzącej wiadomości. Lekko zirytowany Guttman otworzył SMS.

– Zaraz, chwila, jaki wywiad, jaki profesor? – powiedział, czekając na uaktywnienie się wiadomości. – Przecież rozmawiałem już z osobą, którą mi wtedy poleciliście, ale mi odmówiła i musiałem przedłużyć castingi – dodał, czytając równocześnie tekst z ekranu komórki. Oczy mu się nagle rozjaśniły. Zerwał się z łóżka.

Julia też wstała.

– Jaką osobą, co ty chrzanisz?!

Brzóski przenosił wzrok z Julii na Guttmana, z Guttmanana Julię, z Julii na. Guttman pomachał ręką z przedpokoju.

– Nie pij tyle, Julia.

Po czym wybiegł z mieszkania. Rembiewska klapnęła na stołek przy barze. Zaczęła masować sobie skronie.

– Nie, ja mam dość. Ja się z nim nie dogadam. Chyba za dużo koki wciąga.

Oskar Brzóski spojrział na zegarek – od godziny powinien być w pracy. Zrobił krok w stronę drzwi.

– W takim razie – oznajmiła nagle Rembiewska – odwiedzimy mojego chrzestnego.

Podniosła się i objęła zaskoczonego Oskara.

– Olejmy Guttmana. Ross jest ważniejszy. Przecież nie odmówi, jeśli go poproszę, żeby zatrudnił mojego przyszłego męża.

Brzóski uśmiechnął się nerwowo.

Tymczasem Guttman jechał już w stronę telewizji. Bardzo podekscytowany. Asystent napisał mu, że Lenka Lipowska, ta genialna Lenka Lipowska, czeka na niego przed gabinetem. To mogło wróżyć wyłącznie dobre rzeczy.

Wtedy utknął w korku.

Lenka siedziała na parapecie. Od czasu do czasu korytarzem przechodziła jakaś bardzo efektowna postać, pewnie figurująca całkiem wysoko na tutejszej liście płac. Lenka, choć daleka od swoich starych szarości i stylizacji a la worek kartofli, nie była tym razem tak odstrzelona jak wtedy, gdy wzięła udział w próbie kamerowej. Mimo to wyglądała ładnie. Czysto. W jakimś sensie niewinnie. Na pierwszy rzut oka było widać, że nie jest

przepuszczona przez wielkoświatową pralkę, dzięki czemu z lokalnego tła wyróżniała się tak, jakby miała na sobie co najmniej suknię ślubną.

Stukając bez sensu w klawisze, co jakiś czas podnosiła głowę. Upewniała się, czy zbliżające się kroki nie należą do Guttmana, na którego, jak sprawdziła na zegarku, czekała już stanowczo za długo. Niestety, Oskar G. nie pojawiał się. Zamiast niego Lenkę mijały przeróżne postaci: kobieta przypominająca zasuszoną sekretarkę, wąsacz o aparycji amerykańskiego policjanta, wysoki facet w czarnym płaszczu, pewnie pisarz. Lenka zamyśliła się, spojrzała na ekran laptopa. Szereg przypadkowych linijek nagle nabral sensu. Pisała dalej. Po chwili opowiadanie wciągnęło ją bez reszty.

*TAMTA NOC BYŁA TELEFONEM Z PAPIERU OPOWIADANIE
MAGICZNE Napisane przez Helenę Lipowską*

(ćwiczenie)

Filip Potrójny zarabiał na życie, pisząc książki. Marnie pisząc. Marne książki. Ale właśnie takich żądano, takimi się zaczytywano, o takich śniło się mokre sny. Książki Potrójnego wdarły się na salony, spacerując gościom po odciskach, dźgając sufity dumnie zadartymi nosami, szeleszcząc płaszczami z pikowanego ortalionu, przytupując sandałami, z których wystawały grube paluchy o brudnych, szponiastych pazurach. Niektórzy goście uciekali na parapety, zaciskając powieki i popiskując ze strachu – czasami po przeciwnej stronie szyby ktoś przystawał i zaglądał do środka, zwabiony odgłosami muzyki i feerią postaci, które migwały za oknem. Potem albo obchodził budynek w poszukiwaniu drzwi wejściowych, albo tłukł pięścią szybę i wyciągał za łokieć tego kogoś, kto złożony we czworo, zasklepiony w panicznym strachu, tkwił bezsensownie na parapecie, zaziębając sobie pęcherz. Jednakże ostatnio przejawy spontanicznego dobrodziejstwa zdarzały się coraz rzadziej, już mało kto zaprzętał sobie głowę porastającymi parapety

tchórzami, przechodnie szerokim strumieniem wlewali się do środka budynku, salony pękały w szwach i oddychać było coraz trudniej.

Filip Potrójny kroczył przyklejony do ortalionowych pleców swoich książek, z satysfakcją obserwując, jak kieszenie płaszcza wypełniają się szeleszczącymi jezorami banknotów o coraz większych nominałach, i liczył w myślach te banknoty, i już je w myślach wymieniał na wakacje pod palmą albo kolejny błyszczący czerwony samochód.

Fajnie było na salonach, Filipie.

Do czasu.

Oto któregoś dnia na ścianie pojawiło się pęknięcie – początkowo nikt nie zwrócił na nie większej uwagi, bo wszyscy zajęci byli podziwianiem Absolutnie Niepowtarzalnego Ściegu, jakiego Potrójny użył do wykonania książkowego płaszcza. O, jak te nitki biegną, w prawo, w lewo, o! Prawdziwy majstersztyk, *haute couture!* Wielki artysta z naszego Filipa (ach, ach, o tak), jednym słowem spec.

Tymczasem pęknięciami obrzuciło ściany w tempie doprawdy zawrotnym. Ani się Potrójny obejrzał, jak wszystko runęło, budynek zniknął, salon diabli wzięli, czytelników też, a on został wysoko, na stercie gruzów, ogłuszony wiatrem, nieporadny jak dziecko. Całkiem niechcący zdobył szczyt i na tymże szczycie trząśł się teraz niczym rozjuszona wiatrem flaga. Parę metrów niżej jego książki zdychały przygniecione fragmentami ścian.

Po jakimś czasie ocknął się z odrętwienia, zlął ze szczytu, otrzepał spodnie z pyłu i rozpoczął poszukiwanie kolejnego salonu. Przemierzając ulice, szył w rękę płaszcz dla kolejnej książki, szył prędko i nieuważnie, przez co kilkakrotnie ukłuł się igłą w palec, znacząc tkaninę krwistymi przecinkami, których później nie dało się wywabić, bo idąc przez miasto, nie miał przecież dostępu do mydła. Robota nie szła dobrze, płaszczyki wychodziły koślawe i

niewymiarowe, nic więc dziwnego, że żaden z miejskich salonów nie przyjął Filipa do siebie.

(rozmowa gołębi)

– Popatrz, człowiek – szepcze Pierwszy.

– Racja, człowiek – cedzi Drugi. – A to dziwne, nie przypomina robotnika.

– Może to samobójca? Albo zboczeniec?

– Czymkolwiek by był, nic nam do tego.

– Dach nam zajmuje.

– Jeśli to samobójca, zaraz da nam spokój.

– A jeśli zboczeniec, prędzej czy później zdejmą go stąd siłą.

– Racja.

– Odwróćmy się od niego. Zlekceważmy człowieka.

– Racja – zgadza się Drugi, po czym szturcha kolegę prawym skrzydłem, a tamten od razu wie, co ów gest znaczy. Wystawiają kupry za dach: pac! (Pierwszy), pac! (Drugi).

(ćwiczenie)

Filip Potrójny wrócił do domu. Z garażu zniknęły wszystkie błyszczące czerwone samochody, w lodówce zaległa się kosmiczna próżnia, a bilet na urlop pod palmą diabli wzięli. Potrójny obszedł mieszkanie trzy razy, aż wreszcie w którymś z wąskich korytarzy (nie wiedzieć czemu rozwidlających się znienacka) wpadł na Pomysł. Była to właściwie cała sterta Pomysłów, słusznych rozmiarów sterta, sterta przywodząca na myśl olbrzymie mrowisko. Sterta zupełnie nieprzypominająca kupy gruzów, z której zszedł całkiem niedawno.

(pomysł / jeden z wielu / wybrany według jakiegoś klucza) Zarabiać na życie, pisząc książki. Dobrze pisząc. Dobre książki. Trzeba się wobec tego

rozćwiczyć, trzeba zorganizować sobie ostry trening, należy solidnie wziąć się za siebie. Filip Potrójny postanowił odtąd co rano wchodzić na dach bloku, by okiem pisarza chłonać sekunda po sekundzie, klatka po klatce, jak noc przekomarza się z dniem, jak walczy z nim o miejsce, jak traci siły, przewraca się i bredzi od rzeczy, zdjęta nagłym szaleństwem lub pijana po prostu. Będzie jeździł zmysłami po jej ciele, a później ubierze wszystko w słowa.

Słowami nakarmi się papier.

Papierem zapłodni się brązowe teczki.

Teczki zanieś się do wydawcy, a on napełni kieszenie Potrójnego bujnym zielskiem gotówki, która przemieni się później w bilet pod palmy lub błyszczący czerwony samochód.

Słabnące tętno nocy przetłumaczy się na polski. Opisz się bezczelność poranka, zakwestionuje urodę mlecznego świtu.

Dobrze pisząc dobre książki.

Fajnie będzie na tym dachu.

(ćwiczenie)

Potrójny siedzi po turecku, mruży oczy i rozchyła usta. Na dachu jest zimno i brudno. Dzień brutalnie trzaska noc po twarzy.

(Kozioł)

Tamtego dnia Mieczysław Kozioł, do którego obowiązkowo należy zwracać się per panie młodszy aspirancie, miał wolne. Mimo urlopu dzielnicowy wstał z kurami, obszedł mieszkanie, na balkonie wykonał parę skłonów i wymachów, dla sportu omiatając wzrokiem samochody sąsiadów, po czym udał się do kuchni i zaparzył kawę.

Radio włączyło się samo punkt piąta i po chwili na progu kuchni pojawiła się Maria Kozioł, żona, służbowo szwaczka w Fabryce Włókien

Sztucznych. Mieczysław uśmiechnął się, a pod jego równo przystrzyżonymi wąsami błysnęły białe zęby. Koziółowa przetarła oczy.

– Krzeselko – jęknęła.

Mieczysław wyprężył pierś opakowaną w pseudopłuszowy szlafrok, zadął:

– Robi się!

Po czym niezdarnie przeplótł nogami, wykonał dziwny przytup i dał susa w stronę stołu, obok którego stało drewniane krzesło z patchworkowym siedziskiem. Koziółowa zrobiła krok w stronę męża, ale był to krok tak chwiejny, jakby nocą w jej gardło wiano kilka kieliszków czegoś mocno wyskokowego.

– Kawka – oznajmiła z wyrzutem.

Młodszy aspirant podtrzymał amebowate ciało żony i podprowadził ją w stronę krzesła. Następnie, zamiatając kapciami, skoczył w stronę zlewu, gdzie kilka minut wcześniej odstawił dzbanek z gorącą kawą.

W okamgnieniu świat młodszego aspiranta skurczył się do lilipucich rozmiarów, którego granice wyznaczyło:

- a. susem dobieganie
- b. ręki wyciągnięcie zamaszyste
- c. w ucho dzbanka palców wsunięcie, potem
- d. wszystkich pięciu kurczowe zaciśnięcie, jeszcze
- e. ruch widłowy, a po nim zdecydowany ślizg ręki, obciążonej dzbankiem...

– Mietek!...

Za późno! Pałakowate nogi dzielnicowego splątały się nagle w kunsztowny węzeł, jego ciałem szarpnęło, dłoń wypuściła dzbanek, który po chwili trzasnął o błyszczącą terakotę, a gorzki, gorący płyn rozlał się po

podłódze, ochlapując też nogi zaspanej Koziółowej. Ta zerwała się z krzesła i uskoczyła do tyłu.

– Idiota! – krzyknęła wściekle. – Czego się to tknie, zaraz zepsute. Klucha, baba, pierdoła. Za jakie grzechy ja się z tobą tak męcę?

Mieczysław Koziół wlaź pod stół, gdzie zaczął wydłubywać resztki szkła z fugi między płytkami. Żona miała rację. Jest beznadziejny. Co zrobić, żeby była wreszcie zadowolona? Żeby znów zobaczyła w nim mężczyznę?

(rozmowa gołębi)

– Człowiek epoki współczesnej to osobnik o przedziwnych upodobaniach – wygłasza filozoficznie Pierwszy.

– Racja – zgadza się Drugi.

– Ten tu na przykład. – Pierwszy wskazuje skrzydłem siedzącego parę metrów dalej Filipa Potrójnego. – Siedzi sobie i po prostu patrzy. Żadnemu porządному zwierzęciu do głowy by nie przyszło tak niemożliwie czas mitrzyć.

– Co racja, to racja – potakuje Drugi i naraz oba gołębie schylają głowy i biją dziobami w blaszany dach. Trwa to zaledwie kilka sekund i jest odpowiednikiem ludzkiego dłubania w nosie lub grzebania w zębach.

– Wnioskowałbym – podejmuje po chwili Pierwszy – żeby go stąd przepłoszyć.

(Koziół)

– Jezu, a to co znowu?!...

Mieczysław podskoczył pod stołem tak gwałtownie, że wyrznął głową o spód blatu, nabijając sobie na czaszce porządного guza.

– Mietek, wyłaż no już, ale prędko! Jakiś ekshibicjonista siedzi na dachu, o!

Kiedy młodszy aspirant wychylił się spod stołu, Koziółowa stała przed oknem, palcem wskazując coś, co najwyraźniej działo się na zewnątrz.

– Matko jedyna, jeszcze mi dziś podglądaczy do szczęścia brakowało! – jęknęła.

Mieczysław stanął obok żony i powiódł wzrokiem za jej palcem wskazującym. Rzeczywiście. Na dachu bloku stojącego po przeciwnej stronie podwórka siedział mężczyzna. Koziółowie mieszkali na najwyższym piętrze, dzięki czemu osobliwego intruza widzieli w całej jego nieprzyzwoitej okazałości. Bo choć ten ubrany był porządnie i nie czynił żadnych podejrzanych gestów, coś musiało być z nim nie tak, skoro wszedł na dach, a teraz siedzi tam w kucki i bez ruchu.

– Mietek, na miłość boską, a jeśli to *asasyn*? – krzyknęła Koziółowa, blednąc przy tym po same czubki farbowanych na lisio włosów. – Pamiętasz, oglądaliśmy taki film z tym aktorem amerykańskim... z Rambo... Oni właśnie z okien do ludzi strzelali. Mieczysław! – zadęła. – Czy ty masz wrogów?

W głowie młodszego aspiranta rozpoczęła się gorączkowa narada myśli.

(ćwiczenie?)

Z notatek Filipa:

Noc cierpi na bóle porodowe – wierci się i wije, drży, skowyczy. Jest coraz słabsza, traci przytomność i leci przez ręce. Dzień zaczyna trząść się ze śmiechu.

(zardzewiała łyżka)

Pani Eliza cierpi na bezsenność. Każdej nocy tłucze się po mieszkaniu jak Marek po piekle. Od tego niewyspania schudła, skurczyła się, zszarzała. Straciła poczucie humoru i przestała udzielać się towarzysko. A ostatnio (pewnie na skutek braku snu) zaczęła ludzi widzieć podwójnie. Każdy jest razy dwa, każdy to dwieście procent normy. Ta druga postać jest niby

identyczna, a jednak inna – mówi na opak, na opak kręci głową, inaczej się porusza. Pani Eliza ze zdumieniem odkryła, że obie postacie istnieć bez siebie nie mogą, bo gdy trzeba kogoś przeprosić, przeprasza jedna, gdy opluć – opluwa druga. Jedna je mięso, druga sałatę, jedna pije, druga pali. Każda ma swoje grzeszki, swoje przewinienia, swoje pokusy i zasady, których się trzyma. *Żadna nie jest idealna, zauważyła pani Eliza. Żadna nie jest czysta.*

(rozmowa gołębi)

– To może być jakiś rytuał – domyśla się Pierwszy. – Albo modlitwa.

– Co racja, to racja.

– Ludzie stworzyli wiele religii – instruuje Pierwszy. – A wszystkiemu winien strach przed śmiercią. Gdyby byli nieśmiertelni, żadna religia nie byłaby im potrzebna. Wtedy oddawaliby się wyłącznie przyjemnościom i byłiby jeszcze bardziej niebezpieczni.

– Przerażające. Pióra dęba stają.

– Nie ma dla ludzi gorszego lęku ponad ten, który wywołuje myśl o wszechmocnych bogach i o nieuchronnej śmierci. I z lękiem tym radzą sobie na przeróżne sposoby. Ten tutaj – Pierwszy wskazuje skrzydłem siedzącego po turecku Potrójnego – uznał zapewne, że im wyżej wejdzie, tym szybciej go Wszechmocny dostrzeże, tym lepiej zapamięta, tym więcej miłosierdzia mu okaże. Żadnemu porządnemu zwierzęciu taki pomysł nie przyszedłby do głowy, żadnemu. Spójrz tylko, jaką pozę przybrał, ile w nim manifestacyjnej pokory, ile przemyślanego posłuszeństwa. Zapewne przyszedł tu prosić o coś. Jeśli jego modlitwa zostanie wysłuchana, zacznie przychodzić na dach częściej, będzie przesiadywał tu całymi dniami, a jego wiara w istnienie Stwórcy stanie się jeszcze silniejsza. Będzie wpatrywał się w horyzont, będzie szeptał kolejne błagalne modlitwy. Ale wpierw zatarasuje wejście na dach,

zatka ziewające kominy, krzyknie: „Boga nie ma!” albo: „Bóg oczekuje was w piwnicy...”. Bo będzie chciał mieć wszystko dla siebie.

– Jest, jak mówisz – zgadza się Drugi.

Pierwszy podskakuje w miejscu (bo to Gołąb Dowartościowany, Gołąb Filozofujący, Na Ambonie Gołąb), trzepoce skrzydłami i kręci siwym łbem. Po jego śmietankowym podbrzuszu majestatycznie spaceruje para kleszczy.

(zardzewiała łyżka)

Minęła piąta rano. Pani Eliza skończyła porządkowanie regału i zabierała się właśnie za przesadzanie kuchennych paprotek. Zardzewiałą łyżką wydłubała rośliny z doniczek i odłożyła je na blat stołu, obsypując go jednocześnie gradem zbrylonego torfu. Następnie odwróciła donice dnem do góry, wyrzucając resztę ziemi wprost na podłogę. Chwilę później, po raz drugi tamtej nocy i siódmy w ciągu zaledwie trzech dni, cała kuchnia zatoneła w morzu czarnych bryłek i poćwiartowanych korzonków. Na skutek tych niekończących się bezsensownych wędrówek między doniczkami biedne rośliny zmarniały i skarłowaciały, straciły większość liści i zaczęły cuchnąć stęchlizną. Ale im gorzej wyglądały, im bardziej brzydły, tym częściej pani Eliza wywlekała je z porcelitowych doniczek, z tym większą zaciętością żonglowała ich rozczochranymi głowami i tym silniejsze stawały się ciosy wymierzane zardzewiałą łyżką.

Bo pani Eliza nienawidziła kwiatów.

„Popracuj z roślinami, posiedź w domu, odpocznij”, mówili. „Poczujesz się lepiej, złagodniejesz. Zobaczysz, jak pięknie wyrosną, jak rozleją się po mieszkaniu. Zielono będzie, uroczo będzie”.

„Widzisz, Elizo, wszystko musi trwać dalej, nie wolno się poddawać, nie w tych czasach”, radzili. „Musisz iść do przodu, musisz się rozwijać. Trzeba się doskonalić, trzeba innych prześcignąć”.

(słowa)

Trzeba. Musisz. Powinnaś. Teraz. Zaraz. Koniecznie. Wyścig. Szybko. Samotnie. Z. Za. Ciś. Nię. Ty. Mi. Zę. Ba. Mi. Dalej, dalej. Po. Trupach. Elizo.

Najlepsza. Pierwsza W Szeregu. Twarda. Przygotowana. Sukces. Kasa, kasa. Samotnie. Z Zaciśniętymi Zębami.

Kariera. Kariera. Kariera. Od Zera Na Szczyt.

(zardzewiała łyżka / będę w telewizji)

Wysoka i bardzo szczupła, o kościstych ramionach i łopatowatych dłoniach. Na minutę przed pięćdziesiątką, w trakcie menopauzy. Szorstkowłosa i ostronosa. Oczy zielone jak liście paproci. Cera ziemista, policzek zapadnięty. Brwi w łuk, usta w ciup, czoło przed zimą porządnie zaorane.

Pierwszy tydzień bez pracy był całkiem przyjemny. Miała tyle czasu dla siebie, tyle zaległości do nadrobienia, tak wiele telefonów do wykonania, tyle książek do przeczytania, gazet do przejrzenia, mebli do przewietrzenia, kwiatów do przesadzenia. Nie mogła z tym wszystkim nadążyć. („Popracuj z roślinami, posiedź w domu”)

Pomyślała z rozbawieniem, że gdyby jej nie zwolniono, prędzej czy później sama poprosiłaby o urlop. Albo o przeniesienie do innego działu. Przecież przemęczona była, przepracowana. („Właśnie, właśnie”) Zaniedbała urodę, skąpiła na kosmetyki, nie znajdowała czasu na porządne zakupy i dzień w dzień nakładała tę samą buraczkową garsonkę, w której absolutnie nie było jej do twarzy.

(„Właśnie, właśnie, dobrze się stało”)

Nareszcie będzie szczęśliwa i wyspana, i bardziej swobodna, i spokojniejsza. Z rozpędu zadzwoniła nawet do byłego męża, radosnym tonem powiadamiając go o zmianach, jakie zaszły:

– Czuję się rewelacyjnie – szczebiotała do słuchawki. – Szkoda, że to stało się dopiero teraz. Na co mi były te wszystkie szkolenia, umizgi, podlizywanie się, płaszczenie przed szefem – przekonywała. – Fatalnie to na mnie wpłynęło, zrobiłam się mniej kobieca.

Eksmąż wydawał się wyjątkowo ubawiony jej świergotaniem i z jakiegoś powodu mocno zainteresował się jednym szczegółem, o którym Eliza zapomniała wspomnieć:

– I gdzie ty teraz, stara dupo, pracę znajdziesz? Będziesz glinianym krasnoludkom dziury w nosach zaklejała? Kto zatrudni pięćdziesięcioletnią sekretarkę? No, kto? Myślisz, że ktoś poleci na asystentkę z chudym płaskim tyłkiem? I słabym angielskim? Ty już na wymarcu jesteś, ty już możesz paciory pod piecem liczyć. Do niczego się nie nadajesz. No, chyba że do reklamy Statoila – rechotał.

Rzuciła słuchawką. Droga, którą szła, zakreśliła gwałtownie.

Potem pojawiła się bezsenność. I przeświadczenie, że za zakrętem będzie już tylko kolejny zakręt, za nim następny, aż wreszcie droga zapętli się, owinie wokół jej głowy i zaciśnie z wściekłością grzechotnika, podnieconego zastrzykiem z amfetaminy.

Wtedy, znenacka, w sukurs Elizie przyszła telewizja.

Wizja. Przyszłości. W. Tele. Graficznym. Skrócie:

– Wleźć pod paznokcie szklanego ekranu. Zostać gwiazdą wielkiego szoła. *Reality show*. Ubrać się w podziw bezimiennego tłumu, pojawić w kilku kolorowych tygodnikach, pokazać u boku kogoś znanego, zarobić na emeryturę.

Tylko jak zwrócić na siebie uwagę? W jaki sposób z bezbarwnej pięćdziesięciolatki z płaskim tyłkiem i słabym angielskim przeistoczyć się w faworytkę tłumów? Może trzeba kogoś przekupić? Kogoś, kto potem wpuściłby na wizję... A może wytatuować na czole gwiazdkę? Albo sprawić sobie garnitur złotych zębów? Co wybrać? Którędy wejść na szczyt? Którędy wchodzi się na szczyt?

A może wzbudzić litość, odgrywając śmiertelnie chorą? Przecież w udawanej słabości taka siła.

(ćwiczenie)

Z notatek Filipa:

Ta noc jest telefonem z papieru. Dzwoni, dzwoni, a ja wciąż jej nie słyszę.

(Kozioł)

Młodszy aspirant wypiął swą pseudopluszwą pierś, powachlował wąsami i zatrząsł potarganymi brwiami, rękawy podwinął po męsku, wydarł do okna i zamaszystym gestem otworzył je na oścież. Zaczajona za jego plecami Koziołowa wybałuszyła opuchnięte od niewyspania oczy.

– Hej tam!... – ryknął Kozioł. – Rączki do góry! Nie ruszać się! Policja!

197

Wczesna godzina, wpadka z dzbankiem, żona za plecami –to wszystko nie wpływało na niego zbyt dobrze, więc paplał trochę bez sensu, ale co tam słowa, skoro cel im błogosławił. Przystąpił do rzeczy wprost, bez zbędnych przygotowań, zdecydowanie i po chłopsku. Nie wolno było zaprzepaścić takiej szansy! Udowodni żonie, że jest bohaterem, pokaże, na co naprawdę go stać. I nareszcie będzie mógł spojrzeć na nią z góry.

– Nie ruszać się! – zawołał donośnym głosem.

– Obywatelu – odpowiedziała Maria.

– Obywatelu! – wrzasnął Mieczysław, a na jego czole pojawiły się paciorki lepkiego potu. – Posiłki w drodze! – przypomniał sobie. – Zaraz ciebie stamtąd, zbrojeńcu ty jeden, raz dwa trzy ściągniemy! Nie będziesz porządnych ludzi po nocach straszył!

Maria dźgnęła męża między łopatki.

– A jeśli – szepnęła – przestraszy się i skoczy? Co wtedy?

Mirosław sapnął i zawołał zuchwale:

– A niech skacze! Będzie o jednego kryminalistę mniej.

Siedzący na dachu mężczyzna musiał również usłyszeć to zdanie, bo nagle, niczym przebudzony z głębokiego snu, potrząsnął gwałtownie ramionami, poruszył głowę i przechylił ciało lekko do przodu. Obok niego, nie spiesząc się, przemaszerowały dwa gołębie.

Zauważywszy, że jego słowa wywołują zamierzony efekt, Mieczysław wsparł się dłońmi o przyżółcone framugi okna i wrzasnął jeszcze donośniej:

– Nie ruszać się! Trzymać ręce z dala od kieszeni! Poddać się! Nie zakłócać porządku! Nie potrząsać ramionami! Nie siedzieć w kucki! Podnieść się! Nie podnosić się!

(Kozioł)

Przecież nie o to chodziło, by ująć przestępcę. Nie w tym rzecz, czy prawo było łamane, czy ktoś rzeczywiście działał na szkodę innych. Mieczysław Kozioł był na urlopie, zbierał siły, wietrzył czaszkę, a jego służbowy uniform leżał w koszu na brudną bieliznę. Poza tym nie miał przy sobie wszystkich niezbędnych formularzy, kwitków, druczków, pieczętek i kolorowych długopisów, nie było pani Moniki, która spisane zeznania porządkowała i wpinała do właściwej teczki, nie było sosnowego biurka ani metalowej lampki, brakowało brązowego kubka z dymiącą kawą i zapełnionej

petami fajansowej popielniczki. W żaden sposób nie można było rozpocząć procedury.

Dlatego Mieczysław Koziół nosa z mieszkania nie wyściubi, zrobi tylko trochę zamieszania, pokrzyczy odrobinę, pogrozi, postraszy. Dla żony. Dla sąsiadów. Dla fasonu i odpowiedniego wrażenia. Dla świętego spokoju. Dla dobrej sprawy.

(rozmowa gołębi)

– Proszę bardzo – zauważa z satysfakcją Pierwszy. – Ludzie to najbardziej dzikie zwierzęta na ziemi. Jeden siedzi i łypie sobie w najlepsze, co jest przecież kompletnie pozbawione sensu, z kolei drugi wrzeszczy na całe gardło i wygraża pięścią, Bóg jeden wie dlaczego.

– Może ze strachu tak robi? Przecież w klatce siedzi. Pierwszy pochyla się i uderza dziobem o blaszaną dachówkę.

– Pewnie wolałby być na zewnątrz, na dachu – zauważa Drugi. – Kiedyś pies, szczeniak jakiś, chwycił mnie za ogon. Zanim mu się wyrwałem, całe życie przewinęło mi się przed oczami, a strach zdjął mnie tak ogromny, że darłem się wniebogłosy, rzucając najkoszmarniejszymi przekleństwami, trzepotałem skrzydłami, rzucałem głową.

– Zatem ten na dole – ciągnie Drugi – z całą pewnością pomocy wzywa. Cierpi. Jest nieszczęśliwy. Znalazł się w potrzasku. Z kolei ten na dachu lekceważy cudze nieszczęście i nawet powieka mu nie drgnie, żeby pomóc, żeby z tarapatów wyciągnąć potrzebującego.

– Bredzisz, Endzel – krzywi się Pierwszy. – Bredzisz, aż boli.

(zardzewiała łyżka / będę w telewizji)

Tylko jak zwrócić na siebie uwagę? W jaki sposób przeistoczyć się w faworytkę tłumów? zastanawiała się, brodząc po kostki w morzu zalatującej stęchlizną ziemi. Jak tego dokonać?

Wtedy usłyszała wołanie: zdenerwowany męski głos rozrywał mleczną ciszę poranka, echo kręciło się między ścianami bloku, coraz natarczywiej pukając do okien mieszkania pani Elizy.

– ...ać... icja... – dobiegało z podwórka. – ...e... ać... ę

Podeszła do okna i otworzyła je na oścież.

– Nie ruszać się! – darł się sąsiad z drugiej klatki. – Stać, policja!

W pierwszej chwili pomyślała, że wśród zaparkowanych na parkingu samochodów grasują złodzieje, ale zanim zdążyła omieść wzrokiem podwórko, jej oczom ukazał się dość osobliwy widok: na dachu, po turecku, z większym zeszytem na kolanach, siedział mężczyzna. Po chwili zdała sobie sprawę, że zna go z widzenia, że wie, kim jest. Mijali się w sklepie spożywczym, czasem wpadali na siebie na ulicy, a któregoś dnia jechali tym samym tramwajem. Mieszkał w ostatniej klatce, ale rzadko bywał u siebie. Wiecznie w rozjazdach, w biegu, z rozwianą czupryną i łopoczącymi na wietrze połami pogniecionego popielatego płaszcza. Wiedziała, jakie nosi nazwisko (Potrójny) i czym się trudni (pisarz). Co, do licha, o piątej rano robi na dachu bloku ten zabiegany literat? Czemu siedzi taki usztywniony, czemu tak dziwnie wygląda?

Zostać gwiazdą wielkiego szoł. Reality show. Ubrać się w podziw bezimiennego tłumu, pojawić w kilku kolorowych tygodnikach, pokazać u boku kogoś znanego, zarobić na emeryturę.

Próba samobójcza. Desperacja, cierpienie, rozpacz. Zła prasa albo nagły, uporczywy brak dobrych pomysłów. Narkotyki. Niewierna kochanka. Wiarołomny kochanek. Śmiertelna choroba. Choroba psychiczna. Nerwica. Chcica? Tyle myśli plątało jej się po głowie, tyle potencjalnych powodów, dla których nieszczęsny pisarzyna wylądował na blaszanym dachu. Która z

przyczyn prawdziwa, kogóż to obchodzi? Na pewno nie panią Elizę. Ją frapuje coś zgoła innego.

Przecież można by:

a. wbiec na dach, a tam

b. uspokoić niedoszedłego samobójcę, mądrze z nim porozmawiać, bo przecież

c. niech się, biedaczysko, wygada nareszcie, niech wyleje żale, niech splunie żółcią, niech zrzuci ciężar cierpienia. Następnie

d. podejść bliżej, ująć pisarza pod rękę i powolutku, nie śpiesząc się,

e. sprowadzić go z dachu na ziemię.

Potem trzeba będzie swoim wyczynem zainteresować media, przywdziewając maskę bezinteresownej superkobiety. Trzeba będzie zagrać skromną i zawstydzoną: „Ależ to nic wielkiego, nie ma o czym mówić, proszę, proszę, to nic nadzwyczajnego, ja już taka jestem, jakżebym mogła go nie uratować, to byłoby nie po katolicku, och, ach”. I tym podobne.

Będzie w telewizji, będzie w telewizji, będzie w telewizji.

Nareszcie pani Eliza znalazła swój sposób. Swój sposób na szczęście.

Rzuciła się zatem w stronę drzwi wyjściowych, pobiegła w kapciach i szlafroku, prędko, byle zdążyć, byle innych wyprzedzić! W głowie dzwoniło jej sto makabrycznych myśli: a jeśli ktoś inny uratuje Potrójnego? Jeśli będzie szybszy? Co wówczas? Co?... Z przerażenia żołądek pani Elizy skurczył się do rozmiarów ziarenka kawy, a przez gardło próbował precyzyjnie się rozgrzany metalowy jeź. . .

(Kozioł)

Po raz kolejny Maria Kozioł dźgnęła męża między łopatki.

– Mieciu, on ciebie lekceważy. Nie lubię, kiedy ktoś NAS lekceważy. Mietek, trzeba zmienić taktykę, bo pokrzykiwanie, jak widzisz, kiepsko ci wychodzi.

Młodszy aspirant zadrzał i zbladł. Czego jeszcze chcesz ode mnie? – myślał gorączkowo. Wciąż za mało dla ciebie zrobiłem? Kiedy nareszcie poczujesz się najedzona?

– W takim razie – usta same otwarły się, a słowa popłynęły wartkim nurtem – pójdę tam, skuję go i zawiozę na komisariat. Tak będzie dobrze? Wtedy zostanę twoim bohaterem, tak?

Koziółowa wydeła wargi.

(rozmowa gołębi)

– Spójrz tylko – gdera Pierwszy. – Siedział, siedział, a teraz jakby nigdy nic, złazi na dół. Czy ty coś z tego rozumiesz?

Drugi wzrusza skrzydłami, po czym grucha donośnie, a Pierwszy od razu wie, co to oznacza – wystawiają kupry za dach: pac! (Pierwszy), pac! (Drugi).

– Cześć – usłyszała nagle.

Podniosła wzrok znad klawiatury. Przed nią stał Oskar Guttman, uśmiechając się czarująco.

– Sorry, że to tyle trwało, stałem w korku.

Lenka zatrzasnęła laptopa i zeskoczyła z parapetu.

– Mam do ciebie sprawę. Chodzi o tamten program... – zaczęła niepewnie.

Guttman skinął głową.

– Miałem nadzieję, że z tym przysłaś.

Chwilę później siedzieli w jego gabinecie, sącząc rozwodnioną kawę. Guttman gwałtownie poderwał się z krzesła, gdy powiedziała, że zmieniła zdanie i chce przyjąć propozycję pracy.

– Dziewczyno, ale suspens, normalnie! – zawołał, podekscytowany. – Jezu, musimy za to wypić, po prostu.

– Nie ma potrzeby, przecież...

– Zapewniam cię, jest – przerwał jej, nalewając whisky do szklaneczek.

– Już myślałem, że będę musiał zatrudnić jakiegoś głąba, poza tobą nikt się przecież nie nadawał.

Lenka uśmiechnęła się i wzięła szklanekę od Guttmana. Podniósł swoją.

– Za przyszłą gwiazdę.

– Za współpracę.

Guttman wypił trunek jednym haustem. Lenka próbowała stanąć na wysokości zadania, ale jej gardło okazało się nie dość metalowe. Zamoczyła tylko wargi i odstawiła szklanekę na stół.

– Podpiszemy jakąś umowę? – zapytała rzeczowo. Guttman skrzywił się.

– Musimy teraz o tym gadać? Nawet nie wiem, gdzie...

– Musimy – teraz Lenka przerwała mu w pół słowa. – Chcę mieć na piśmie, że mnie tu przyjmujecie. Że mam pracę w telewizji.

Fotel, na którym siedział Guttman, zaskrzypiał. Prezenter zabujał się do przodu i w tył. Zastukał palcami o blat stołu, wreszcie podniósł się i podszedł do stojącej obok okna szafki z żaluzjowymi drzwiczkami.

– Profesjonalistka, to rozumiem – podsumował, wyjmując z szafki organizer. Pogrzebał w nim chwilę, by w końcu znaleźć to, o co prosiła Lenka: – Wzór umowy, proszę bardzo.

Lenka przebiegła oczami po kartce. Kilka punktów ją zaniepokoiło. Podniosła się z krzesła.

– To wygląda jak jakaś lojalka – powiedziała niepewnie. Guttman stał przy barku, dolewając sobie whisky.

– Pokaż.

Podeszła bliżej. Stanęli bardzo blisko siebie, ramię w ramię.

– Który akapit?

Lenka zastukała palcem w jeden z punktów umowy.

– Tu jest napisane, że przez dwa lata nie mogę przyjąć propozycji od konkurencji, a jeśli to zrobię... – urwała nagle.

Ręka Guttmana wędrowała właśnie po jej plecach.

– No, dalej, czytaj dalej – wymruczał.

Lenka odsunęła się.

– ...a jeśli to zrobię, będę musiała zapłacić sześciokrotność... Słuchaj, dość!

Guttman spojrzał na nią, zdziwiony. Próbował właśnie pocałować ją w szyję.

– O co chodzi? Nie mów, że tego nie chcesz, laleczko.

Cofnęła się gwałtownie. Krew uderzyła jej do głowy. Gdyby była facetem, prawdopodobnie zdzieliłaby teraz Guttmana tak mocno, że nakryłby się nogami i przekoziółkował kilka razy.

– Chyba jasne, że nie chcę! Co ty sobie wyobrażasz?! Guttman uśmiechnął się i zrobił krok w jej stronę. Odruchowo cofnęła się.

– To po co wkładałaś bluzkę z dekoltem?

Lenka wepchnęła umowę do torebki i szybkim krokiem podeszła do drzwi.

– Muszę się jeszcze zastanowić, przepraszam – powiedziała drżącym głosem.

Nacisnęła kławkę i otworzyła drzwi. Guttman wzruszył ramionami i wrócił na fotel.

– Jak chcesz. Masz czas do soboty. Jeśli się nie odezwiesz do szóstej wieczorem, uznam sprawę za zamkniętą i wezmę kogoś innego.

– W porządku.

Zamknęła drzwi, może trochę za głośno. Idąc korytarzem, nagle coś sobie uświadomiła. Zatrzymała się z wrażenia.

– W sobotę? W sobotę jest pełnia.

Babcia bardzo nie lubiła niektórych wynalazków, które teoretycznie powinny ułatwiać życie człowiekowi współczesnemu. Na przykład nie potrafiła dogadać się z odkurzaczem. Odnosiła wrażenie, że to żywa maszyna, która ma własne poglądy na niektóre sprawy. Na przykład z zasady nie lubi współpracować z człowiekiem. Kiedyś Babcia próbowała zawrzeć rozejm z odkurzaczem, tłumacząc mu cierpliwie i spokojnie, o co jej chodzi i dlaczego nie lubi, gdy on, zamiast grzecznie jeździć za nią, co chwila wali w ściany, zatrzymuje się na własnych kablach albo przewraca na plecy. W końcu uznała, że się nie dogadają, i zrobiła z odkurzacza bardzo nowatorską pułapkę na myszy. Żeby była jasność: Babci nie interesowały myszy martwe, dlatego nie stosowała pospolitych pułapek. Martwa mysz to mysz bezużyteczna. Żywa mysz to doskonały gołąb pocztowy. Oczywiście nie lata, w każdym razie nie w kategoriach stosowanych w tym wymiarze.

Jak działała pułapka? Otóż mysz, zwabiona zapachem sera (Babcia jak nikt umiała zesmradzać sery), wchodziła przez giętką rurę do odkurzacza, w którym następnie posilała się do syta. Babcia zainstalowała dzwoneczek na końcu rurki, w który mysz, wchodząc do wnętrza odkurzacza, niechcący uderzała. Dźwięk ten działał na wzdychającego psa, który kiedyś, gdy był jeszcze młody i piękny, pracował u hodowcy owiec. Dzwonek kojarzył mu się

więc z czymś białym, mechatym i bardzo uciekającym, czego niezłapanie oznaczało pustą miskę wieczorem, a nawet lanie pasem. Teraz, starszawy i zmęczony życiem, mieszkał spokojnie u Babci, od czasu do czasu jazgocząc tylko na dźwięk dzwoneczka z odkurzacza. Szczekanie wzdychającego psa było tak głośne i irytujące, że nawet przygłucha Babcia doskonale je słyszała. Wtedy podchodziła do odkurzacza. Uśmiechała się. Mamrotała coś pod nosem. Włączała czerwony guzik. Silnik zaczynał pracować. A mysz... Mysz zniknęła.

Babcia krzątała się właśnie po kuchni, szukając suszonego koperku. Chciała go namoczyć i porzucać sobie o podłogę, by następnie powróżyć z kształtów. Koper, jak powszechnie wiadomo, to doskonały materiał wróżbiarski, najlepiej sprawdzający się przy pytaniach o zdrowie, pracę oraz notowania indeksów giełdowych, ze szczególnym naciskiem na WIG20. Babcia postanowiła zapytać o coś zupełnie innego, dotyczącego pewnej dobrze jej znanej młodej osoby...

Przerzucała właśnie zawartość siódmej z rzędu skrzyneczki z suszonymi ziołami, gdy z pokoju dobiegł histeryczny jazgot wzdychającego psa. Babcia zamarła.

– Mysz.

Odłożyła szufladę i szybkim krokiem (to znaczy tak szybkim, na jaki pozwalał jej implant w biodrze) weszła do pokoju, gdzie stał odkurzacz. Pies na jej widok zamerdał ogonem i wyszczekał ostrzeżenie dotyczące owcy uciekającej z pastwiska. Babcia podeszła do odkurzacza, po czym, odsunąwszy nogą histeryzującego psa, nachyliła się. Gdyby miała lepszy słuch, mogłaby z tej pozycji usłyszeć, jak mysz, nieświadoma tego, co ją za chwilę czeka, spokojnie skrobie pazurkami o wnętrze odkurzacza, wcinając ser.

– *Sinestis. Octus. Past* – wymamrotała Babcia, trzymając dłoń nad odkurzaczem. – Leć i przynieś mi odpowiedź na pytanie, które leży w moim sercu.

Następnie nachyliła się jeszcze bardziej i z pewnym trudem nacisnęła czerwony guzik. Silniczek zawarczał, mysz pisnęła jak przeciskana przez praskę do ziemniaków. Wzdychający pies szczeknął. Silnik pracował jeszcze przez kilkadziesiąt sekund. W pewnym momencie Babcia go wyłączyła i wyprostowała się.

– A ty tu waruj – nakazała psu, który podniósł na nią swoje mądre oczy.
– Jak zadzwoni, daj znać.

Po czym wróciła do kuchni, uśmiechając się pod nosem i coś tam do siebie mamrocząc. Dzięki czarom Babci mysz teleportowała się właśnie do świata alternatywnego, który nasz wyprzedza o dokładnie dziesięć lat. To, co tam się działo, u nas miało wydarzyć się za dekadę. Żyjemy tam tacy sami, jak tu, tylko... no... tę dychę starsi. Znając się na teleportacji (Babcia się znała), można bardzo szybko poznać przyszłość – swoją i świata. Wśród niektórych wiedźm, które, podobnie jak Babcia, opracowały metodę wysyłania tam swoich zwiadowców, pojawiło się co prawda przekonanie, że z tym światem alternatywnym było coś nie tak; panie te nie znalazły tam bowiem swoich o dziesięć lat starszych odpowiedników. Powód był oczywisty: za dziesięć lat miały już nie żyć. Niektórym jednak ciężko przychodziło dojście do takiego wniosku.

Myszy były powszechnie uważane za najbezpieczniejszych zwiadowców. Małe, nierzucające się w oczy, na dodatek zainteresowane głównie serem, a że dziesięć lat starszym – to tylko tym lepiej. Ich małe mózgi zachowywały się jak dyktafony i kamery wideo w jednym. Z niewyjaśnionych przyczyn mysz zbierała i katalogowała w głowie wszystko, co tego dnia działo

się w świecie alternatywnym. Potem, gdy siła przeznaczenia ciskała ją z powrotem do naszego świata (zazwyczaj po nie więcej niż godzinie przebywania u alternatywnych), wystarczyło położyć mysz na chwilę na szklanej kuli. Ta ściągała z mózgu gryzonia wszystkie nowe pliki i była od razu gotowa przekazać je dalej. Bardzo prosty mechanizm.

Dzwonek zadzwonił całkiem szybko. Pies podniósł jazgot, a Babcia wróciła, do odkurzacza, otworzyła, klapę i wyciągnęła ze środka struchlałą ze strachu niewielką myszkę. Pogłaskała ją kciukiem po łebku i zaniósła do salonu.

Na stole stała już, wcześniej przygotowana, szklana kula. Babcia usiadła wygodnie na krześle, odprężyła myśli. Przesunęła dłonią nad kulą. W środku coś delikatnie zamigotało. Następnie ułożyła na szkle do szpiku przerażonego gryzonia – strach był tak absolutny, że nakazał myszy udawać martwą. Babcia dała się nabrać i trąciła zwierzątko palcem. Mysz skurczyła się, Babcia odetchnęła.

– Pokaż, co zebrałaś – powiedziała twardym, matowym głosem.

Wzdychający pies, który z perspektywy przedpokoju przyglądał się całej tej akcji, westchnął ciężko i cofnął się w bezpieczną ciemność. Nie lubił takiej Babci. Zimnej, skoncentrowanej, emanującej tą dziwną wiedzą, którą nawet zwierzęta wołały kwestionować. Cofając się, dostrzegł jeszcze, że oczy jego pani przybrały martwy, stalowy odcień, co go dodatkowo utwierdziło w przekonaniu, że w tej sytuacji najlepszym wyjściem byłoby wyjście drzwiami kuchennymi. % czego po chwili skwapliwie skorzystał.

Babcia wpatrywała się w kulę, przytrzymując na niej przestraszoną mysz. Zwierzę popiskiwało. Wszystko trwało jakiś kwadrans. Babcia czytała przekaz, nie okazując żadnych emocji. Kiedy dowiedziała się wszystkiego, co ją interesowało, jednym ruchem zdjęła mysz z kuli i cisnęła przez otwarte

okno. W tym miejscu nie pozostaje nam nic innego jak wierzyć, że trafiła nią w trawnik.

Następnie zdecydowanym ruchem dłoni wyłączyła kulę. Zamyśliła się.

A więc to tak... Kto by pomyślał.

Patrzyła przez okno, nie podnosząc się z krzesła. Miała sporo do przetrawienia.

– Wejdz, Letycja – powiedziała nagle, nie odrywając oczu od widoku za oknem.

Suchy kobiecy głos chrząknął niepewnie.

– SKĄD WIESZ, ŻE TO JA?

Babcia odwróciła głowę. Na progu stała jej prawnuczka, Letycja Metz. Szczupła i dość ładna, z jedną tylko szpecącą ją cechą: ostrym, orlim nosem.

– Siadaj, dziecko.

Letycja posłusznie zajęła jedno z krzeseł stojących przy stole. Wyjęła coś z torebki i podała Babci. Była to widokówka z wizerunkiem przypominającego statek budynku opery w Sydney.

–PRZYSZŁO OD OJCA. POMYŚLAŁAM, ŻE BĘDZIESZ CHCIAŁA PRZECZYTAĆ. W KOŃCU TO TWÓJ WNUK.

Babcia uśmiechnęła się uprzejmie i sięgnęła po kartkę. Przesunęła palcami po zdjęciu opery. Za dziesięć lat... Nieważne.

– Dziękuję, że pamiętałaś.

Letycja nerwowo skinęła głową. Nie lubiła tu przychodzić, dom prababki napawał ją jakimś pierwotnym strachem. Jej zdaniem stara była zdrowo szurnięta, ale przynajmniej dysponowała całkiem przyzwoitym majątkiem, który w przyszłości musiał przecież do kogoś trafić. Letycja postanowiła dopilnować, żeby nikt z rodziny (rozsianej, jak wiadomo, po całym świecie) po śmierci prababki nie poczuł się nagle przywiązany do tego

miejsca. Dom w Warszawie na działce o powierzchni dwóch tysięcy metrów (w tym mały sad do wykarczowania) był wart tych sporadycznych wizyt i ściśniętego gardła.

– To co... znaczy... **TO CO SŁYCHAĆ, BABCIU? JAK ZDROWIE?** – zapytała Letycja, uśmiechając się fałszywie.

Babcia przenikliwie spojrzała na prawnuczkę.

– Bardzo dobrze. Jakbym miała znów dwadzieścia lat.

Letycja rozciągnęła twarz w życzliwym uśmiechu. Jezuuu.

Co za geny miała ta stara? Zamierzała żyć całą wieczność czy jak?!

– **ZNOWU KOMUŚ WRÓŻYŁAŚ?** – zapytała, wskazując na kulę. – **MUSISZ UWAŻAĆ, LUDZIE SĄ TERAZ BARDZO PRZEBIEGLI. NIE WOLNO TAK WSZYSTKICH WPUSZCZAĆ DO DOMU, BABCIU, KTOŚ CI MOŻE KIEDYŚ ZROBIĆ KRZYWDĘ.**

– Masz rację, ktoś może – odparła Babcia i Letycja przez chwilę miała wrażenie, że, mówiąc to, ją miała na myśli. – Ale uspokoję cię. Tym razem nie wróżyłam nikomu obcemu.

– **NIE?** – głupio powtórzyła Letycja. – **A KOMU? SOBIE?**

Babcia pokręciła głową.

– Nie, moje dziecko. Nie sobie. Tobie wróżyłam.

Naczelny na szczęście był na urlopie, więc nie zauważył, jak bardzo Brzóska spóźnił się do pracy oraz że tego dnia nie zrobił niczego pożytecznego. Nie napisał żadnego artykułu, nie umówił się z nikim na wywiad, nie przekartkował nawet prasy branżowej.

Najpierw przez dwie godziny Brzóska przeglądał bowiem strony internetowe wszystkich lepszych sklepów jubilerskich, jakie tylko przyszły mu do głowy. Szukał kolczyków, które pasowałyby do urody Lenki.

Ostatecznie, niezdecydowany, zamówił trzy pary, mając nadzieję, że przynajmniej jedna trafi w jej gust.

Potem zagrzebał się w stronach firm cateringowych, organizujących nietypowe kolacje dla dwojga. Przeczesywanie tego terenu i wybieranie najbardziej interesującej opcji zajęło mu prawie trzy godziny.

Następnie poszedł na lunch.

Po obiedzie prześwietlił internet w poszukiwaniu informacji o Lence. Nic nie znalazł.

Potem doszedł do wniosku, że ostatnią godzinę warto poświęcić na coś konstruktywnego. Napisał więc mejla do wydawcy Jaśka Krzaka z pytaniem, czy przeczytał już książkę i co o niej myśli.

Wtedy zrobiła się szósta i Brzóska poszedł do domu.

Letycja spojrzała na Babcię, zdziwiona.

– MNIE? PO CO?

Babcia splotła ręce.

– Bo tego potrzebujesz. Zresztą nie tylko ty.

– O CZYM BABCIA MÓWI? – zdenerwowała się Letycja. Dziwna gadka prababki zaczęła ją irytować. Nigdy nie miała cierpliwości do zdemencjałych starców.

– Posłuchaj. Kilka dni temu była u mnie dziewczyna, której przestawiłaś świece podczas rytuału...

Letycja z wrażenia opadła na oparcie krzesła. Deski jęknęły.

– ALE CO TO MA WSPÓLNEGO Z...

– Nie przerywaj mi. Ta dziewczyna, ona ma przed sobą wielką przyszłość. Oczywiście, jeśli nikt jej w tym nie przeszkodzi. Mam nadzieję, że rozumiesz, o kogo mi chodzi, bo gdybyś znów zrobiła coś podobnie głupiego, jak tamto przestawienie świec, zostaniesz ukarana.

Letycja pokręciła głową. Nie, nie rozumiała i ogólnie niezbyt wiele do niej w tym momencie docierało. Nie mogła pojąć, o co chodzi. Czemu nagle wypłynął temat świec i dlaczego tamten pijacki żart miałby w ogóle mieć dla niej jakiegokolwiek konsekwencje. Przecież ten rytuał, czy jak oni to nazywali, był tylko żartem. Zabawą brzydkiej z pięknym.

– UKARANA PRZEZ KOGO? – zapytała słabym głosem.

– Przez Los, moje dziecko. Przez Los.

Letycja podniosła się. Nie, nie będzie traciła cennego czasu na gadanie z wariatką. Teraz trzeba tylko udać, że się bardzo spieszy, żeby Babcia się nie zorientowała, w której części ciała Letycja tak naprawdę ją miała w tej chwili.

– OCZYWIŚCIE, BABCIU, NIE BĘDĘ JUŻ NIKOMU PRZESZKADZAĆ. NIESTETY, MUSZĘ JUŻ LECIEĆ, MAM WAŻNĄ SPRAWĘ NA MIEŚCIE, WIĘC...

Oczy Babci nagle zrobiły się ogniste stalowe. Tak. Dokładnie. Ogniste i stalowe w jednym.

– Nigdzie nie musisz lecieć, siadaj.

Letycja odruchowo usiadła. Coś w duchu szeptało jej, że w tej chwili lepiej nie zadzierać z Babcią.

– Zapamiętaj, co teraz powiem. Każde słowo zapamiętaj. Dziewczyna, której przestawiłaś świece, nazywa się Lenka Lipowska. ..

– JAK? – Letycja wybałuszyła oczy. – COŚ CI SIĘ POMYLIŁO – powiedziała z wyższością. – LIPOWSKA TO TAKA DZIEWCZYNA, KTÓRĄ GUTTMAN CHCIAŁ ZATRUDNIĆ DO PROGRAMU. ŁADNA I TELEWIZYJNA. TAMTA OD ŚWIEC TO KOCZKODAN.

Babcia kontynuowała, niezrażona:

– ...i ma przed sobą wielką przyszłość u boku mężczyzny, którego kocha całym sercem.

Letycja znów nie wytrzymała.

– CHYBA NIE MASZ NA MYŚLI OSKARA BRZÓSKIEGO?!

Babcia zmierzyła ją wzrokiem.

– Mam. A coś ci się nie podoba w związku z tym?

Letycja prychnęła.

– TO TA KULA CI TO POWIEDZIAŁA, TAK? BARDZO GŁUPI PRZYRZĄD. OSKAR BRZÓSKI JEST ZA FAJNY, ŻEBY SIĘ INTERESOWAĆ TAKIM... KIMŚ, A POZA TYM – wzięła głębszy wdech – OSKAR JEST PRZEZNACZONY...

– Na pewno nie tobie – Babcia weszła jej w słowo. Letycja poczuła, że się czerwieni. – Zostaw przeszłe w przeszłości. To, że mieliście romans, wcale nie znaczy, że jesteście sobie pisani.

Zza okna dobiegł stłumiony charkot przelatującego samolotu. Letycji zakręciło się w głowie.

– SKĄD BABCIA WIE, ŻE BYLIŚMY... RAZEM?

– Ten głupi przyrząd mi powiedział – odparła Babcia, nie kryjąc ironii.

Letycja poprawiła się na krześle.

– KULA.

– Kula. Dowiedziałam się też, że Oskar jest o krok od zakochania się w Lence i choć ich przyszłość jest wciąż niepewna, jest wielka szansa, że będą razem do końca życia. Tobie zaś... – Babcia zawiesiła głos i przyjrzała się skurczonej sylwetce prawnuczki. No, dzisiaj nareszcie udało się ją choć trochę zdyscyplinować. – Tobie pisany jest ktoś inny. Zupełnie niepodobny do mężczyzn, którymi się wcześniej interesowałaś.

– KTO?

– A czy to teraz ważne? I tak się w końcu przekonasz.

Letycja powoli podniosła się z krzesła.

– ZAJRZĘ DO CIEBIE JAKOŚ NA DNIACH – powiedziała, wyraźnie poruszona. – A TERAZ POZWÓL MI JUŻ IŚĆ. Babcia zaśmiała się.

– Przecież cię nie zatrzymuję. Idź, jeśli chcesz.

Wzdychający pies pojawił się na progu. Ziewnął. Sytuacja opanowana, Babcia znów była sobą, można wracać do starego, nudnego, spokojnego życia. Letycja ruszyła w stronę drzwi, ostrożnie mijając psa.

– Jeszcze jedno – powiedziała nagle Babcia. Letycja odwróciła się, przestraszona. – Twoja przyjaciółka, Julia, chciałaby chyba wiedzieć, że dla Oskara Brzóskego aktualnie nie ma miejsca w telewizji. Jego angaż do programu o nauce przejmie Lenka Lipowska. Ta sama, która robiła rytuał i którą twój kolega Guttman postanowił zatrudnić. Niech się więc Julia nie fatyguje do chrzestnego z Brzóskeim, to nic nie da.

Letycja, jak zaprogramowana, kiwnęła głową i wyszła na podwórko. Wsiadła do samochodu, uruchomiła silnik. Prowadząc, zadzwoniła do Guttmana, który właściwie powtórzył słowa Babci – Lenka Lipowska dostała umowę, musi ją jeszcze tylko podpisać. Letycja poczuła się z tym wszystkim bardzo niekomfortowo. Zachowując się jak w transie, dopiero jakieś pięć przecznic dalej uświadomiła sobie, gdzie jedzie.

– Że kto niby? Jaka Lipowska? – Julia spojrzała wrogo na Letycję. – I skąd wiesz, że Oskar nie ma żadnych szans? To, że Guttman zatrudnił jakąś lalę, jeszcze nie znaczy, że mój facet nie dostanie tam innej pracy. Co to, jeden program robią w tej telewizji czy jak.

Letycja pokręciła głową. Julia zauważyła, że jej przyjaciółka zrobiła się dziwnie blada. Miała poza tym w sobie jakąś miękkość i wycofanie; nie znała jej takiej.

– Zdaniem Babci nie dostanie niczego innego. Powiedziała też, że nie masz się co fatygować do chrzestnego, to nic nie da.

Julia uniosła brwi.

– A skąd ona wie, że jestem chrześnicą Rossa? – zmrużyła oczy. –
Mówiłaś jej pewnie.

– Nie mówiłam.

– W takim razie twoja babcia jest czarownicą.

Letycja wymownie zamilkła, żeby chwilę później kontynuować:

– Mówiła też, że Oskar Brzóska i ta Lipowska... Że są parą albo że będą.

Julia przez chwilę nic nie mówiła, wpatrując się tylko intensywnie w Letycję. Potem wybuchła nagle głośnym, jazgotliwym śmiechem.

– Ty scenariusze filmowe powinnaś pisać, stara. „Moja babcia jest kosmitką”, *spoooooky!*

Letycja machnęła ręką, wyraźnie zrezygnowana.

– Słuchaj, nieważne. Tak gadałam od rzeczy.

Kiedy Letycja wsiadała do windy, Julia stała na progu mieszkania, zanosząc się śmiechem.

– *Spoooookyyyyy!*

Drzwi do windy zasunęły się z sykiem. Letycja oparła spocone czoło o chłodną, pokrytą aluminium ścianę. *Spooky, spooky, spooky*, cholera jasna!

Chwilę po tym, jak zamknęły się drzwi windy, Julia Rembiewska przestała się śmiać. Chrząknęła, poprawiła włosy, wzięła telefon do ręki. To głupota przecież, *spooky* i tak dalej, ale nie zaszkodziło sprawdzić.

Kilka minut później Rembiewska wykreśliła numer swojego chrzestnego. Iwo Ross nie miał dla niej zbyt wiele czasu, ale zdążył potwierdzić, że tak, podobno Guttman znalazł kogoś do programu, i tak, prawdopodobnie jakąś dziewczynę. Lipowska? Być może, nie miał pamięci do nazwisk. A poza tym – oczywiście, kochanie, przyślij mi CV tego kolegi.

– Od razu? Do programu? Czyś ty się wczoraj urodziła? – zapytał Ross, mocno zdziwiony. – Mowy nie ma i nie histeryzuj. Wszystko obsadzone, poza tym cięcia są, więc nie będę własnej głowy ryzykował dla jakiegoś lowelasa, który ci się znudzi za kilka tygodni!

Ross trzepnął słuchawką, niechcący trzepiąc nią też Rembiewską dokładnie między oczy. Julia przez chwilę patrzyła tępo na komórkę, nie rozumiejąc, co się właśnie stało. W jej świecie wiecznie spełniających się życzeń i marzeń wyłącznie do realizacji nie było miejsca na takie incydenty.

Odmowa?

Niemożliwe. Ross się musiał pomylić... Odmówił, no!

Julia wreszcie zrozumiała. To znaczy, gdzieś za linią włosów nadal cicho dzwoniła jej myśl, że Ross przejeździł się albo próbował z niej zażartować, i właśnie dlatego uznała, że najgłupsze, co może zrobić w tej chwili, to zostać w domu. Najpierw powinna pojechać do Oskara Brzóskego i delikatnie wybadać, czy ten w ogóle znał kogoś o nazwisku Lenka Lipowska. W takim razie trzeba ubrać się efektownie, zamówić taksówkę i...

Stop!

Rembiewska zatrzymała się tak gwałtownie, jakby czyjś wielki paluch, oglądający jej przyglupie zmaganie ze światem, wcisnął nagle klawisz pauzy.

Przecież ona знаła to nazwisko! Kogoś takiego przedstawiono jej całkiem niedawno, tego była pewna. Usiadła na pufie, gorączkowo przewijając w głowie wydarzenia ostatnich dni. Twarze dopasowywały się do nazwisk, imiona znajdowały swoich właścicieli... Znalazła!

Pod okiem zadrgał jej jeden mięsień. Rozmasowała go sobie palcem.

Lenka Lipowska?... Ta Lenka Lipowska?!

Julia zaśmiała się – głośno, szczerze, pełną piersią. Ironicznie i złośliwie. Następnie, ocierając dłonią łzy, które pojawiły się w kącikach oczu

wskutek tego niespodziewanego wybuchu, podeszła do szafki w salonie. Ze środka wyjęła siatkę z fantami, które goście przynieśli na imprezę tematyczną jakiś miesiąc wcześniej. Pogrzebała w niej chwilę, wreszcie znajdując ten najważniejszy fant: zawiniętą w serwetkę karteczkę z notatką, skreśloną odręcznie przez Oskara Brzóskego. Rzeczywiście, bardzo zabawne. Letycja naprawdę miała pokręcone poczucie humoru.

Z danych, jakie posiadała, wynikało bowiem niezbitie, że Lenka Lipowska była ostatnią osobą, w której mógłby się zakochać Oskar Brzóske (to „a”), a „b”); była też ostatnią osobą, jaką ktokolwiek chciałby zatrudnić do pracy przed kamerą.

Następnie, uspokojona, włożyła najwyższe szpilki, jakie miała w szafie, i wyszła z domu. Taksówka podjechała niebawem.

Tymczasem Oskar Brzóske bardzo się śpieszył. Basia, która dostała od brata zupełnie niepowtarzalną zgodę na pomieszkowanie z nim przez weekend, siedziała właśnie przed telewizorem, bezsensownie przerzucając kanały. Była zirytowana. Oskar wyznał, że planuje zrobić tego wieczoru niespodziankę pani Lipowskiej, i Baśka nie bardzo wiedziała, cieszyć się czy płakać. Wcześniej potencjalny związek Oskara z nauczycielką wydawał jej się tak nierealny że aż piękny. Papierowy trochę. Baśka, choć była porządną dziewczyną, celowo aranżowała spotkania brata z Lipowską i teraz miała przegapić bardzo ciekawy zwrot akcji. Od roku przeprowadzała bowiem mały eksperyment. Wszystko, oczywiście, dla zabawy.

Kiedy po podstawówce zdała do gimnazjum, najpierw wylądowała w klasie z rozszerzonym angielskim. Nie spodobało jej się. Ludzie byli rozwydrzeni i niedorozwinięci, jej zdaniem. Matematykę traktowali jak dopust boży i takie podejście wystarczyło, żeby Baśka histerią wymusiła na rodzicach przeniesienie jej do innej klasy.

Niestety, wszędzie był komplet.

Ojciec usiłował przekonać Baškę, że rozszerzony angielski to wyjątkowa szansa i bilet do dobrego liceum, ale ona nie słuchała. Miała gdzieś taką gadkę. Miesiąc później starszy Brzóski uległ, ostatecznie załatwiając jej przeniesienie do gimnazjum na drugim końcu miasta, tylko tam mieli wolne miejsce.

Nowa szkoła okazała się całkiem znośna. Klasa z rozszerzoną matematyką całkowicie Baške odpowiadała. Ludzie nie byli może dużo mądrzejsi od poprzednich, ale przynajmniej pojawiło się kilka osób, z którymi znalazła wspólny język. Najmocniejsze ogniwo miało nadejść w grudniu, kiedy to matematyczka odeszła na urlop macierzyński, na swoje miejsce polecając koleżankę ze studiów. Dziewczyna dwadzieścia parę lat, o aparycji szarej myszy. Ogólnie sympatyczna. Baška z miejsca ją polubiła. Kobieta miała poza tym wymierne osiągnięcia: w poprzedniej szkole doprowadziła kilka osób do centralnego szczebla olimpiady matematycznej. To wystarczyło, żeby Lenka Lipowska wkrótce stała się jej ulubioną nauczycielką, a miesiąc później również prywatną korepetytorką.

Po raz pierwszy idea eksperymentu pojawiła się pod koniec pierwszej klasy gimnazjum. Ojciec, który zawsze odbierał Baškę z korepetycji, wyjechał w delegację. Wróciłaby metrem, ale akurat tego dnia rano w wyniku fałszywego alarmu bombowego ewakuowano jedną ze stacji i choć ostatecznie nie znaleziono żadnych podejrzanych pakunków, matka Basi, z natury histeryczka, awanturnica i cwaniara, zażądała, żeby jej córkę na korepetycje zawiózł Oskar. Mało – zawiózł. Miał tam na nią poczekać i odwieźć z powrotem do domu.

Brzóski mógł na poczekaniu wymyślić kilka kłamstw, czemu akurat tego dnia nie dałby rady zająć się siostrą. Baška byłaby mu nawet wdzięczna –

jazda metrem miała przecież swoje zalety. Zresztą, poinformowała go o tym szeptem. Jednak Oskar, o dziwo, wcale nie protestował.

(Przyszywana matka, zamiast, jak w duchu oczekiwał, podziękować mu i chociażby poklepać po ręce w wyrazie sympatii, odwróciła się na pięcie, jakby wożenie Baśki było jego pieprzonym obowiązkiem. Od razu pożałował, że się zgodził. Że też znów zachciało mu się udawać przed samym sobą, że ma matkę, dla której coś znaczy!).

Tamta lekcja bardzo się przeciągała. Lipowska kompletnie straciła poczucie czasu, Baśka zresztą też. Poczucia czasu nie stracił natomiast Oskar, który, nie doczekawszy się na siostrę, postanowił pofatygować się po nią osobiście.

Otworzyła Lipowska. Szara mysz, do bólu przeciętna. Zaprosiła Oskara do środka. Wszedł, uśmiechnął się, uniósł brew. Spodobał się Lence od pierwszego wejrzenia.

Kiedy Baśka sznurowała buty, brat zaczął niezobowiązującą rozmowę z Lipowską. Lata praktyki na rozmaitych przedstawicielkach płci pięknej dawały efekty, słowa płynęły mu z ust w aksamitnym stylu, wątki następowały po sobie w naturalny, niewymuszony sposób, timbre głosu był przyjemnie męski. Gdy Baśka stanęła przed lustrem, żeby umalować błyszczkiem usta, nagle zobaczyła coś, co nią wstrząsnęło. W lustrze odbijała się bowiem całkowicie odmieniona twarz jej nauczycielki.

Lipowska kwitła. Rozkwitała. Dosłownie rodziła się na nowo. Baśka zachłannie patrzyła na narodziny miłości. Bo to, że Lenka od pierwszego wejrzenia zakochała się w Oskarze, było dla niej absolutnie oczywiste – nie mniej niż to, że Oskar w Lence nie zakochał się i nie zakocha, choćby była ostatnią kobietą na świecie.

I właśnie wtedy wychowana w cywilizacji sztucznego obrazka Baśka postanowiła przeprowadzić swój eksperyment. To jest aranżować, niby przypadkowe, spotkania Lenki z Oskarem. Była zachłannie ciekawa, jak rozwinie się ten serial. Nie, przewińmy! serial byłby na niby, natomiast to działo się naprawdę, na jej oczach. Czyli *reality show*. Jej prywatne, na wyłączność, z pilotem do sterowania.

Tymczasem Oskar wyglądał świetnie. Lepiej niż ostatnio, kiedy to w ręce wpadały mu głównie szarobure ciuchy, z nie wiadomych przyczyn w ogóle obecne w jego szafie. Baśka oderwała się od telewizora i stanęła w drzwiach do przedpokoju, przyglądając się, jak brat pośpiesznie czyści buty.

– I co będziecie robić? – rzuciła ponuro.

Eksperyment wyslizgiwał jej się z rąk. Lipowska, którą przez przypadek spotkała w sklepie, bardzo się zmieniła. Fryzura, makijaż, ciuchy – to jedno. Coś w niej drgnęło też w środku. Baśka nie potrafiła tego zdefiniować, ale Lipowska wydała jej się jakaś inna.

– Mam ci się spowiadać? – odparł, wyraźnie zirytowany. Pastą do butów niechęć wypaprał palce. Cholera! – Nie musisz się o nic martwić, zapewniam cię.

Baśka wzruszyła ramionami.

– Spoko.

Oskar skończył z butami, podniósł się, przejrzał w lustrze. Wygładził włosy, rozchylił kołnierzyk. Szczerze mówiąc, wcale mu się nie podobało. Fatalna jakość, ten facet w lustrze.

– Dobrze jest, nie wymiękaj – podsumowała Baśka. – Spodobaś jej się.

Objęła brata wzrokiem. Z każdej strony nieskazitelny. Uśmiechnął się półgębkiem, jakby powątpiewał w jej słowa i myśli, po czym wyszedł. Baśka zamknęła drzwi na zasuwę i wróciła myślami do przerwanej wątku.

Otóż Lipowska, ona rzeczywiście wydała się jej inna. Nie lepsza, ładniejsza, efektowniej ubrana. Inna. Wyższej kategorii. Czy to miłość tak ją odmieniła? Baśka nie potrafiła ocenić, choć jej matematyczny rozum próbował stworzyć jakiś model na ten przypadek, ostatecznie dochodząc do wniosku, że – jeśli chodzi o posiadane informacje – dysponował czymś pomiędzy czarną a białą skrzynką. O Lipowskiej Baśka zarówno wiedziała bardzo dużo, jak i nie wiedziała nic. Obserwowała ją w relacjach szkolnych, czasem robiąc krok w życie prywatne. Swoją nauczycielkę znała z zewnątrz, oceniając na podstawie cech widocznych dla osób trzecich. Miała też jakieś pojęcie na temat jej charakteru, ale, jak widać, niepełne, skoro w tak krótkim czasie Lipowskiej udało się podbić serce kogoś takiego jak Oskar. Niesłychane.

Baśka wróciła do pokoju i usiadła na parapecie okna, przyglądając się bezmyślnie światu na zewnątrz. Lipowska awansowała w jej oczach, choć gdyby miała określić ją jednym słowem, powiedziałaaby pewnie – cebula. Bardzo dużo warstw, które ciężko schodziły. Trzeba się było cholernie naobierać, żeby dotrzeć do środka. Pod zewnętrzną warstwą kolejna, potem jeszcze jedna i jeszcze jedna...

Myślała dalej. W gruncie rzeczy szczęśliwe zakończenie w wypadku tej pary było jak najbardziej pożądane. Tylko... dlaczego już? Czemu tak szybko? Z filmów pamiętała zwroty akcji, w życiu nie pojawiały się one, niestety, tak na zawołanie. Chyba że się im pomogło.

Wtedy zadzwonił dzwonek do drzwi, Baśka otworzyła. Na progu stała wystrzałowa dziewczyna. Basia od razu zwęszyła szykujący się zwrot akcji. Jak na zawołanie!

Lenka pomyślała, że to kolejny z żartów dzieciaków z sąsiedztwa. Gdy otworzyła drzwi, na korytarzu nie było nikogo. Rozejrzała się.

– Widzę was! – krzyknęła w klatkę z nadzieją, że przepłoszy schowanych gdzieś tam gówniarzy. Odpowiedziała jej cisza. Nikt się nerwowo nie poruszył, nie słyhać było żadnego stłumionego chichotu ani gorączkowego szeptu.

Cofnęła się do przedpokoju, gdy nagle ją zauważyła. Stała po lewej, na przesuniętej pod ścianę wycieraczce. Mała, metalowa klatka z myszą w środku i kartką przyklejoną do górnej ścianki. Na kartce ktoś napisał: *Dla Lenki*.

Schyliła się, zaintrygowana. Zwierzątko wsparło się na łapkach i powąchało powietrze. Lenka zapukała palcem w klatkę, intrygując jej mieszkańca. Mysz podbiegła, zmarszczyła nos, podreptała w miejscu. Na szyi miała małą, czerwoną obrozę, na którą składała się owinięta kilka razy czerwona tasiemka. Lenka uśmiechnęła się – jeśli to czyjś żart, to w gruncie rzeczy sympatyczny. Podejrzewała syna sąsiadów, któremu kiedyś sprezentowała chomika. Dzieciak, bardzo miły skądinąd, obiecywał wtedy, że kiedyś jej się odwdzieczy.

Podniosła się z kucek i wzięła klatkę do ręki. Zrobiła krok i wtedy zauważyła kartkę. Na wycieraczce, tam, gdzie jeszcze przed chwilą stała klatka, leżał niewielki, biały kwadracik z napisem, wykonanym prawdopodobnie tą samą ręką, co zapis dedykacji.

Wypuść mnie i idź za mną, przeczytała.

– Bawimy się w Matriksa? – zagadnęła ruchliwą mysz. Żart małego sąsiada podobał jej się coraz bardziej. – No dobrze, czemu nie – oznajmiła, wzruszając ramionami. – Zobaczymy, co jeszcze wymyślił.

Następnie ostrożnie odstawiła klatkę i otworzyła drzwiczki. Mysz błyskawicznie skorzystała z okazji. Wynurzyła się na zewnątrz, po czym szybkimi susami popędziła w górę schodów, ciągnąc za sobą tasiemkę, którą

ktoś tak sprytnie zamocował z jednej strony, że pod wpływem ruchu myszy rozwijała się, znacząc drogę.

Lenka uśmiechnęła się.

– Na górę, okej.

Zamknęła za sobą drzwi do mieszkania i wbiegła po schodach za myszą. Zwierzątko zatrzymało się dwa piętra wyżej obok sporej kostki żółtego sera.

– No i co, to tyle? – zapytała Lenka, zdyszana.

Mysz zignorowała pytanie, pochłonięta konsumpcją. Obok sera coś jeszcze leżało, jakiś pakunek. Lenka, zaintrygowana, wzięła go do ręki. Obejrzała z każdej strony. Nic nadzwyczajnego, biały papier, sznurek ze słomy.

– Mam otworzyć?

Mysz zakręciła się wokół sera.

– Biorę to za „tak”.

Uśmiechając się do siebie, Lenka otworzyła pakunek. W środku tekturowego pudełeczka leżał klucz i kartka: *Idź dalej*.

Lenka chrząknęła.

– Bardzo pomysłowe – powiedziała głośno. Wyobrażała sobie, że ten rudy syn sąsiadów siedzi gdzieś na półpiętrze, niespokojnie czekając na rozwój akcji. Więc mu ją dała, wchodząc po schodach, gdzie, jak się spodziewała, zostawił dla niej kolejną niespodziankę.

Półpiętro było puste. Weszła więc jeszcze wyżej. Nic.

– To już koniec zabawy? – krzyknęła, zastanawiając się równocześnie, jak długo ten mały rudzielec będzie ją jeszcze tak ciągał po klatce.

Odpowiedź przyszła zaskakująco szybko. W doniczkę stojącą na parapecie okna na ostatnim półpiętrze ktoś wetknął małą tabliczkę z przyczepioną do niej kartką z odręcznym napisem:

To nie koniec. W rękę trzymasz klucz do nieba.

Lenka zrobiła wielkie oczy i dokonała w duchu gorączkowej kalkulacji – rudy od sąsiadów miał jakieś dziewięć lat, chłopcom odbija nieco później, więc to była chyba niegroźna zabawa, nie posądzą jej później o jakieś molestowanie albo coś w tym stylu.

Zatrzymała się nagle.

A jeśli posądzą?

Przypomniała sobie „Notatki ze skandalu” Zoe Heller i momentalnie zawróciła. Bardzo fajna zabawa, ale ona postanowiła wrócić do domu.

I wtedy na schodach pojawiła się mysz. Lenka mogłaby przysiąc, że zwierzątko wymierzyło jej mentalny policzek, patrząc oskarżycielsko. Chyba nie zamierzasz się wycofać, szanowna pani?

Lenka zawahała się, ale po chwili, śmiejąc się z siebie pod nosem, ruszyła z powrotem w stronę schodów prowadzących na dół. Mysz zaszła jej drogę.

– Ach tak? – powiedziała Lenka, dziwiąc się w duchu, że w ogóle przyszło jej do głowy gadać z tym zwierzakiem. – Okej, wygrałaś. Idę na górę.

Julia Rembiewska z wrażenia oparła się o framugę. To nazwisko pojawiało się stanowczo za często tego dnia i Bóg jej świadkiem, zaczynało w związku z tym samo zakładać sobie pętlę na szyję. Julia nie lubiła, jak coś lub ktoś działało wbrew jej woli. A spotkanie z tą Lipowską, niech ją szlag! na pewno nie było wpisane w grafik.

– Jesteś pewna, dziecko? – zapytała jeszcze raz w nadziei, że nastolatce może jednak poplątały się fakty.

– Pewnie, że tak – odparła Baśka z naciskiem na to ostatnie. – Oskar pojechał do mojej nauczycielki, Lenki Lipowskiej. Ma zostać na noc, więc dziś już go tu pani nie zastanie. Ale jeśli pani bardzo zależy...

– Zależy – wtrąciła Julia.

– ...to mogę dać pani jej adres.

Krew gwałtownie wdarła się Rembiewskiej do mózgu, zalewając oczy przy okazji.

– Słucham.

Basia uśmiechnęła się i wydarła kartkę z notesu przyczepionego do ściany obok lustra. Z kieszeni kurtki wiszącej na wieszaku obok wygrzebała długopis. Starannie zapisała na kartce adres Lenki Lipowskiej i podała Rembiewskiej. Mogła przysiąc, że pięknej koleżance Oskara lekko zadrżała ręka. Julia wrzuciła kartkę do torebki i bez słowa wyszła z mieszkania. Basia zamknęła drzwi na zasuwę i wróciła do pokoju. Stała w oknie, dosłownie gotowa pomachać Rembiewskiej, gdyby tylko pojawiła się ku temu okazja. Uśmiechnięta pomyślała, że jej *reality show* na szczęście nie dobiegło jeszcze końca.

„Wieje” i „Rudy nieźle wytresował tę mysz” były pierwszymi myślami, które jak zlepek pojawiły się w głowie Lenki, gdy przy użyciu klucza z pakunku znalezionej na schodach otworzyła kłódkę w okienku prowadzącym na dach bloku. Idąc tropem jej rozumowania, dziewięcioletek musiał też wtachać na dach rozkładany stół, dwa taborety, kosz piknikowy, butelkę porto, dwa kieliszki i różę, która romantycznie dyndała właśnie w brzegu stołu – wyraźnie wiatr miał na nią ochotę. Byłby to zatem, trzeba przyznać, bardzo silny, zdeteminowany i romantyczny rudowłosy dzieciak.

Nie wnikając w to, jak silny, zdeterminowany i romantyczny był facet, który wtargał na dach owe gadżety, z całą pewnością nie miał dziewięciu lat i nie był rudy. Miał czterdzieści siedem, łysy placek na głowie, zatrutą ósemkę i miłą żonkę, czekającą z kolacją.

Kiedy minął pierwszy szok, Lenka podeszła do stołu. Wzięła do ręki różę, powąchała. Potem wyjęła z ust włosy, które z uporem maniaka wciskał tam wiatr.

Ktoś chrząknął za jej plecami. I nie, nie było to chrząknięcie rudego od sąsiadów. Nie było to też chrząknięcie łysiejącego tragarza, który gdzieś tam w innej dzielnicy napoczął właśnie talerz zupy ugotowanej przez żonę.

Lenka odwróciła się. Oskar Brzóska uśmiechał się do niej przepraszająco. Ale i uwodzicielsko zarazem – facet po prostu nie był w stanie pozbyć się na dobre tej swojej immanentnej cechy.

– Przyszłaś – powiedział.

– Myślałam, że to sąsiad – odparła Lenka, szybko korygując niedopowiedzenie: – Taki rudy. Dziewięciolatek.

Oskar podszedł do stołu i odsunął Lence krzesło.

– Pomyślałem, że nie będziesz miała nic przeciwko małemu szaleństwu.

– Jak małemu?

– Słucham?

Lenka zaśmiała się cicho, w duchu strzelając się z łokcia za głupią odzywkę.

– Nic, nic. – Otworzyła kosz piknikowy. – Owoce, fajnie!

Oskar usiadł naprzeciwko.

– Sery, tosty z ogórkiem, konfitura, porto – wyliczył jednym tchem. Przynajmniej taki zestaw zamawiał w firmie cateringowej. – A do tego

muzyka – dokończył, równocześnie wyjmując z kieszeni mały odtwarzacz MP3. Postawił go na stole, włączył. Popłynęła aksamitna muzyka tła.

– Jakość kiepska, bo to ma jeden głośnik, ale zawsze coś słyszeć – wytłumaczył szybko.

– Jest super.

– Ja...

– Tak?

Oskar zagryzł wargi. To była dla niego zupełnie nowa sytuacja: podrywał dziewczynę, stosując jakieś egzaltowane triki filmowe, i na dodatek miał przeraźliwą pustkę w głowie, plótł od rzeczy, ewidentnie narażając się na śmieszność. Lenka go onieśmiewała, zachwycała, paraliżowała dosłownie. Z tego wszystkiego prawie wyznał jej miłość. Tak od razu! Na początku spotkania! Jak uczeń jakiś!

– Mam nadzieję, że przestanie wiać – skończył, w duchu skręcając się z bólu na dźwięk własnych słów. Czemu gada jak poparzony? On, Oskar Brzóska, mistrz wysublimowanego dialogu, rozkładającego kobiety na łopatki?

– O, byłoby doskonale – powiedziała Lenka ze śmiechem.

Oskar ją rozczulał. Chyba nigdy nie widziała go tak spłoszonego. Dotknęła jego dłoni.

– Dziękuję. Strasznie fajnie to wymyśliłeś.

Brzóska uśmiechnął się. Jej gest wyraźnie go rozluźnił.

– Szczerze mówiąc, to nie do końca....

– Jest jeszcze fajniej niż wtedy u Włocha.

Ucieszył się.

– Podoba ci się? Bo wtedy... tak szybko skończyliśmy wieczór, chciałem dopisać jakieś postscriptum.

Lenka spuściła oczy.

– Chętnie ci w tym pomogę.

Oskar dotknął jej dłoni. Podniosła wzrok, spojrzeli na siebie. Powietrze jakby naelektryzowało się nagle, a na dodatek zabrakło tlenu. Lenka poczuła, że robi się jej gorąco, że opuszcza ją cała pewność siebie, której jeszcze przed chwilą, o dziwo, miała pod dostatkiem... Wypiła łyk wody ze szklanki, która stała obok jej talerza.

– Myślisz, że nas stąd nie wyrzucą? Nie znam na pamięć regulaminu, ale chyba nie było tam nic o możliwościach piknikowania na dachu.

Oskar zaśmiał się cicho.

– Skoro nie zabronili, to znaczy, że można. Lenka wzruszyła ramionami.

– Racja. – Uchyliła wieko kosza. – Mhm, pyszności.

Oskar wyjął ze środka kiść winogron. Oderwał jedno grono i podał Lence. Sięgnęła po nie ręką.

– Nie. – Cofnął dłoń. – Otwórz usta... proszę.

Nie protestowała.

– Wiesz – powiedział, odrywając z kiści kolejny owoc. – To postscriptum zaczyna mi się podobać...

I wtedy nagle ustał wiatr, po chwili zwalniając miejsce ścianie deszczu, która spadła na nich bez jakiegokolwiek uprzedzenia. Zerwali się z krzeseł i ze śmiechem rzucili do okienka, prowadzącego na klatkę schodową. Cała reszta – zastawiony stół, odtwarzacz MP3 i dwa taborety zostały na dachu, moknąc do cna. Lenka uratowała różę, Oskar – butelkę porto. Miały im się później przydać.

Oskar musiał zdjąć koszulę, która zdążyła mu porządnie zmoknąć. Dostał od Lenki T-shirt pamiętający jej szarobure workowate czasy – na tyle obszerny, że facet metr osiemdziesiąt pięć wzrostu zmieścił się weń bez

najmniejszych problemów. Lenka natomiast zamieniła mokrą bluzkę na pastelowy szlafrok.

Usiedli w kuchni, pijąc herbatę z cytryną i śmiejąc się z głupich żartów. Oskar z rozrzewnieniem przyglądał się jaśniejącej Lence, w duchu dziękując pogodzie za wprowadzenie poprawek do scenariusza. Pal licha te graty na dachu, jeśli się zniszczą, zapłaci za nie. Herbata, szlafroczek i kuchnia były bardziej naturalne. I przestał wreszcie zachowywać się jak palant, wrócił mu rozum i talent do rozmowy.

Lenka myślała podobnie. Scena na dachu może i była romantyczna, filmowa, taka do wspomniania na stare lata, ale przy okazji dość onieśmielająca i sztuczna. Gdyby się tam pocałowali, byłby to pocałunek pewnie równie spontaniczny jak ślinienie się pary z reklamy pasty do zębów. Ohyda.

Dlatego dobrze się stało z tym deszczem. Świetna sprawa. Lenka ze śmiechem przyznała w duchu, że takie deszczowe pogody ostatnio ją prześladowały. Podobnie lało miesiąc wcześniej, gdy razem z Oskarem przeprowadzali rytuał... Rytuał!

Brzóska pogładził Lenkę po policzku.

– Co jest, maleńka?

Uśmiechnęła się nerwowo. Rytuał! Guttman! Telewizja!

Bo Lenka nie przestała o tym myśleć. Miotła się. Rozdarła, w jakimś sensie. Z jednej strony chciała unieść się honorem i porwać umowę na strzępki, pokazując tym samym, jakie wrażenie robi na niej taka śliniąca się szychka jak Guttman, z drugiej zaś bała się, że w ten sposób rozwścieczy Asyriela, który potem zabierze jej Oskara Brzóskego. Miała potworny mętlik w głowie.

– Nic, rozgrzałam się... herbatą.

Oskar przyciągnął jej twarz do swojej.

– Nie uwierzę, póki sam nie sprawdzę – wymruczał.

Coś zadzwoniło. Bardzo nachalnie. Niechętnie oderwali się od siebie.

Zadzwoniło jeszcze raz. Lenka chrząknęła.

– To do drzwi. Zobaczą kto.

Gdy wyszła, deszcz zadzwonił o szybę ze zdwojoną siłą. Tymczasem...

...za oknami mieszkania Oskara Brzóskego padało jakby mniej. A może tak się tylko wydawało Baśce, która siedziała na kanapie z laptopem na kolanach. Ściągała odcinki swojego ulubionego serialu o miłosnych wzlotach i upadkach amerykańskiej młodzieży Plik szedł bardzo wolno. Baśka sprawdziła godzinę, zamyśliła się. Koleżanka Oskara powinna już być u Lipowskiej...

...otworzyła drzwi wejściowe. Na progu stała kobieta z parasolką...

...bardzo ładna, swoją drogą. Innymi słowy, wszystko się mogło jeszcze zdarzyć. Ech. Jaki piękny nowy wątek się uplótł niechcący. Ziiiig! Plik pobrany. Można oglądać.

...jej sąsiadka z przeciwka. Charakteryzująca się ogólnie pojętym wścibstwem oraz brwiami tak grubymi, że zdawały się nieustannie siłować z linią grzywki o to, które z nich bardziej zakryje czoło.

– To do pani przyjechał ktoś kabrioletem? – zapytała sąsiadka, zezując do środka mieszkania.

Lenka skinęła.

– Niech mu więc pani powie, że ma akwarium w aucie.

Sąsiadka poszła do siebie. Lenka biegiem wróciła do kuchni.

– Nie zamknąłeś dachu w samochodzie!

Oskar rzucił się do okna.

– Cholera jasna!

Chwilę później razem z Lenką wystrzelili z mieszkania. Śmiali się, zbiegając po dwa schodki. Lence co chwila zsuwała się z ramion, narzucona na nie naprędce, marynarka Oskara. Nie trzymała jej żadną ręką, ponieważ w jednej niosła kubek, którym zamierzała wylewać wodę z samochodu, a drugą ściskał Oskar.

Kiedy dobiegli do samochodu, deszcz zaczął ustępować. Niemniej jednak wciąż padało. Oskar próbował zamknąć dach za pomocą pilota, ale coś się zacięło i musiał to zrobić ręcznie. Lenka wybierała wodę z auta – szło dobrze, bo historia z akwariem okazała się na szczęście mocno przesadzona. Kiedy po kilkunastu minutach uporali się z autem, niebo przetańczyło się, chmury ustąpiły i świat zaczął schnąć, okadzany ostatnim westchnieniem zachodzącego słońca. Śmiejąc się z tego, w co przekształciło się ich romantyczne popołudnie, przemoczeni, poszli w stronę klatki. W pewnym momencie Oskar objął Lenkę i pocałował. Potem pogładził jej mokre włosy.

Julia Rembiewska, oglądająca całą scenę z perspektywy samochodu, poczuła, że zbiera jej się na wymioty. I to w dosłownym tego słowa znaczeniu.

– Może jesteś z nim w ciąży? – zapytał Guttman, zlizując mleczną pianę z łyżeczki. Po chwili jeszcze raz zamieszał w szklance, nie lubił smaku czystego espresso w latte.

– Z Oskarem? – zapytała Julia, nerwowo zeskrobując jakiś obrazek z filiżanki, w której stygła resztką niedopitej herbaty.

– No chyba nie ze mną. – Guttman wyduł wargi. – Myśmy ze sobą nie spali w ostatnich miesiącach, a chyba słoniem nie jesteś. Na początku ciąży kobietom często robi się niedobrze.

Kawiarnia, w której siedzieli, powoli zappełniała się ludźmi. Większość z nich nosiła jeszcze na twarzach ślady niedospania, część wertowała

weekendową prasę, kilka osób stuknęło w klawiatury laptopów. Była sobota rano. Tego samego dnia na wieczorne niebo miał wpłynąć podobny do pięcioletówki księżyc w pełni. Na razie jednak było jasno, słonecznie.

Julia poprawiła się na krześle. Językiem zwilżyła wargi. Guttman mimochodem zauważył, że miała bardzo spierzchnięte usta.

– To nie przez to źle się czuję, chyba ci jasno wyjaśniłam – powiedziała oschle.

Guttman uśmiechnął się kwaśno.

– Moja piękna Julia poczuła konkurencję! Ktoś śmiał wejść na jej teren, proszę!

– A ty masz w tym swój pieprzony udział!

Prezenter podniósł ręce w geście poddania.

– Nie na noże, dziewczyno! Ja tylko chronię własny tyłek, rozumiesz? Mnie nie obchodzi, z kim sypia Brzóska. – Oparł łokcie na stole i przybliżył się do Julii. – Dla mnie najważniejszy jest sukces nowego programu. To pierwsza rzecz, jaką sam produkuję. Muszę mieć najlepszych ludzi, a Lipowska jest bezkonkurencyjna. *Poniata?* Bez–kon–ku–ren–cyj–na.

Rembiewska wychyliła resztkę herbaty. Potem siedzieli chwilę w ciszy. Przy stoliku obok usiadły dwie dziewczyny. Gdy rozpoznały Guttmana, co nastąpiło bardzo szybko, zaczęły strzelać oczami w jego stronę, rzucały słodkie uśmiechy, zawijały loczki na palcach. Prezenter udawał, że nic nie widzi, ale jego nagle bardziej wyprężony tors i uśmiezek wyższości zdradzały, jak było naprawdę.

– Dziś wieczorem Lenka ma przyjść z umową i będę się modlił, żeby jej nie odrzuciła – powiedział, mimochodem poprawiając kołnierzyk. Fanki ze stolika obok wymieniły się porozumiewawczymi spojrzeniami. – W

poniedziałek ruszamy ze zdjęciami, naprawdę nie mogę sobie pozwolić na jakieś teatrzyki teraz. Przykro mi.

Julia spojrzała na Guttmana. Gdyby patrzył jej w oczy, a nie zezował tak ciągle w stronę sąsiedniego stolika, zauważyłby, że była wyjątkowo zdesperowana.

– Powtarzam. Chcę, żebyś zrezygnował z Lipowskiej i zatrudnił Oskara Brzóskego. A potem...

Guttman roześmiał się.

– Julia, Julia, Julia. Moja głucha Julia. Nie możesz poradzić sobie z Lenką w otwartej walce? Musisz tak... nieuczciwie?

W oczach Rembiewskiej błysnęła skondensowana złość.

– Nie twój biznes. Brzóske to moje terytorium i będę o nie walczyć tak, jak mi się podoba. Na moje terytorium nie wchodzi się bez pozwolenia. Szkoda, że ta zdzira jeszcze tego nie pojęła.

Guttman napił się kawy.

– To cię doprowadzi do jakiejś tragedii – powiedział po chwili. – Nawet gdybym się zgodził, to co ja bym z tego miał, skarbie? Chyba nie myślisz, że w takiej sprawie dam się nabrać na twoje wdzięki.

Jakiś facet, przechodząc, trącił krzesło Rembiewskiej, ale ona nawet tego nie zauważyła. Rybka powoli orientowała się w kwestii haczyka, to było w tej chwili najważniejsze. Z torebki wyjęła dwie wizytówki, które następnie położyła na stole. Jedną z nich przesunęła w stronę Guttmana. Wziął kartonik do ręki, obrócił. Po chwili, rozbawiony, podniósł oczy na Julię.

– Wizytówka twojego ojca. Bardzo dziękuję, ale już taką mam.

Położył kartonik przed Rembiewską. Pokręciła głową i odsunęła wizytówkę.

– Mój ojciec ma wielu wpływowych znajomych – powiedziała z naciskiem.

Guttman roześmiał się.

– I co, miałbym do niego zadzwonić w tej sprawie? Prosić o protekcję, tak? Co ty, z drzewa spadłaś, dziewczyno?

Otarł usta serwetką, potem zwinął ją w kulkę i wepchnął do prawie pustej szklanki. Papier zaczął powoli nasiąkać kawą.

– Słuchaj, nie mamy o czym gadać. Musisz znaleźć inny patent na Brzóskego.

Guttman podniósł się z krzesła. Dziewczyny ze stolika obok spojrzały z nadzieją. Julia złapała go za rękę.

– Poczekaj.

Podawała mu drugą wizytówkę. Prezenter niechętnie wziął ją do ręki. Spojrzał na kartonik. Patrzył przez chwilę. Potem przeniósł wzrok na Julię. Jeszcze raz zerknął na napis na wizytówce. Następnie usiadł na krześle.

– On... ją... naprawdę?... I mógłbym do niego zadzwonić, żeby?...

Julia pokręciła głową. Rybka nie tylko połknęła haczyk. Rybka dała się właśnie nabić na rożen.

– Nie, ja cię chętnie wyręczę, jeśli oczywiście będziesz zainteresowany lunchem z tą panią.

Guttman zapowietrzył się.

– Jak... oczywiście... chyba jasne. Chryste, jakby się zgodziła na jakąś współpracę...

– Nie można wykluczyć. Ma sentyment do mojego ojca. Był jej *ghost writerem* przy jednej z książek.

Oddech Guttmana wyraźnie stał się płytszy.

– I myślisz, że ona... może... mogłaby dać mi jakąś szansę, tam u siebie?

Julia wzruszyła ramionami.

– Kto wie. Do odważnych świat należy.

Guttman nie mógł się nie zgodzić.

– Jezu – wydukał, poruszony. Zerknął jeszcze raz na wizytówkę. – Oprah Winfrey, Jezu. Najbardziej wpływowa kobieta świata.

Julia ponownie sięgnęła do torebki, z której wyjęła kartkę i długopis. Szybko coś napisała.

– To jest numer do Oskara Brzóskego – powiedziała, podając Guttmanowi kartkę. – Zrób dokładnie tak, jak cię prosiłam.

Prezenter niechętnie oderwał się od wizytówki Winfrey. Spojrzał na kartkę, potem na Rembiewską.

– Okej. Masz moje słowo.

Fanki spojrzały po sobie. Ta dziewczyna obok Guttmana – na marginesie, strasznie ładna – najwyraźniej wiedziała, jak zagiąć na niego parol. Prezenter wpatrywał się w nią bowiem jak w cudowny obrazek, który uzdrawia. Zasmucone, wróciły do kawy i plotek o mniej ważnych ludziach. Dla takich jak one, pomyślały, Guttman wciąż dyndał, niestety, gdzieś na czubku bardzo wysokiej choinki.

Lenka długo odwlekała moment wstania z łóżka. Oskar nie został na noc, nie chciała tego. Zresztą sam też nie proponował, zorientował się, że była dziewczyną, która lubi poczekać. Która musi poczekać, bo o seksie wiedziała naprawdę niewiele. Nie miała pojęcia, jak mu powiedzieć, że w tych sprawach jej doświadczenie jest zupełnie zerowe, choć oczywiście wiedzę teoretyczną posiadała już jakąś dekadę wcześniej. Na szczęście kobiety mają nad mężczyznami tę przewagę, że zawsze mogą wymówić się bólem albo niedyspozycją, albo przynajmniej poudawać przyzwoite i nieprzystępne. Nie

w jakiś zdewociał, staropaniński sposób, ale słodko i niewinnie, spuszczać wzrok i skubiąc palcami koniuszki włosów.

Brzóskiemu bardzo spodobało się zachowanie Lenki. To znaczy – jemu aktualnie spodobałoby się wszystko, co wymyśliłaby, zrobiła, powiedziała. Wyczuł, że wieczór powinien zakończyć się całusem, nie naciskał więc na nic więcej, przypilnował jedynie, żeby przynajmniej ów całus nie oznaczał tylko przyjacielskiego plaśnięcia się policzkami.

Gdy wyszedł, Lenka wysłała entuzjastyczny SMS do Ady, machinalnie zapaliła w oknie papierosa (o czym kilka minut później już nie pamiętała), potem poszła spać. Choć właściwie określenie „położyła się do łóżka” byłoby bardziej na miejscu.

Rano ponad godzinę kręciła się w pościeli, przekładając się z boku na bok, wzdychając, uśmiechając, przeciągając się ze szczęścia. Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie działo się w jej życiu. Wszystko najwyraźniej szło ku szczęśliwemu zakończeniu. Zamyśliła się. Relacja z Oskarem coraz bardziej przypominała jej budowanie domu z klocków lego, których nigdy nie jest za mało, kiedy się chce zniecka dobudować na przykład jakąś fikuśną wieżyczkę albo nieprzewidziany przez producenta płotek. W ich wypadku klocki w tajemniczy sposób multiplikowały się.

Lenka ze zdziwieniem przyznała przed samą sobą, że doprowadzenie relacji z Oskarem do punktu, w którym aktualnie się znajdowali, nie było dla niej tak energochłonne, jak mogła się spodziewać. Wszystko szło jak z płatka. Wystarczyło zmienić się trochę zewnętrznie, zhardzieć i nabrać większej pewności siebie, żeby letnia znajomość nabrała rumieńców, przeistaczając się w relację z kością, ikrą, charakterem. Miesiąc wcześniej w najśmielszych snach nie przypuściłaby, że tak to się wszystko potoczy. Przecież nawet nie wierzyła w tamten rytuał! Gdzieś na dnie pozwoliła sobie co prawda na małą

nadzieję, że magia zadziała, ale reszta, to jest jakieś dziewięćdziesiąt pięć procent jej jestestwa, kategorycznie odmawiała współpracy w tej sprawie. Rytuał miał być zabawą i wyśmienitą okazją do dłuższego sam na sam z Oskarem. A świat ją zaskoczył.

Magia zadziałała, Asyriel przestał być żartem, stając się prawie człowiekiem z krwi i kości. No i przyniósł miłość, w wypadku Lenki i Oskara rozumianą w czasie teraźniejszym, z wyraźnym wskazaniem na przyszły. Jednym słowem, stało się fajnie.

Gdy Lenka wreszcie podniosła się z łóżka, mijała jedenasta. Za siedem godzin miała być u Oskara Guttmana, któremu postanowiła powiedzieć „tak”. Zdecydowała, że podpisze umowę, przypieczętując tym samym pakt z Asyrielem. Spełni marzenie zapisane na kartce i zadowoli anioła, który dzięki temu przestanie się wtrącać do jej szczęścia u boku Oskara Brzóskego, a ona wreszcie będzie miała swój wymarzony *happy end*.

Tuż po piętnastej zadzwonił telefon. Bardzo się zdziwiła, widząc na ekraniku słowo „Sekretariat”. Był środek wakacji. Do tego sobota. W tych okolicznościach szkoła nie powinna odzywać się do niej w żadnej sprawie. Raczej nie powinna.

Odebrała. Siedząca po drugiej stronie kabla sekretarka suchym głosem poinformowała, że dyrektor w trybie pilnym prosi Lenkę o spotkanie.

– Nie, nie da się innego dnia. Chodzi o coś na poniedziałek.

Odłożywszy słuchawkę, Lenka wróciła do przerwanej czynności. Kończyła właśnie prasowanie ołówkowej spódnicy, którą planowała włożyć na spotkanie z Guttmanem. Miała zrobiony makijaż, uczesane włosy. Na nogach niezłe szpilki. Dyrektor, do którego postanowiła zajrzeć w drodze do Guttmana, poczuje się dowartościowany, że tak mu się pokaże – pomyślała. Cha, cha, może jej nawet nie poznać.

Dyrektor długo i przeciągle patrzył na kobietę, która weszła do jego gabinetu i zajęła krzesło naprzeciw biurka. Analizował szczegóły jej twarzy, próbując szybko ustalić, co, do diabła, ta efektowna dziewczyna mogła mieć wspólnego z Lipowską, w sprawie której, jak powiedziała, właśnie do niego przyszła. Czyżby sprawdziły się jego przeczucia, że matematyczka była lesbijką? Bo przecież żadna normalna kobieta nie nosiłaby się tak ohydnie, jak to zazwyczaj praktykowała Lipowska.

– Pani jest... – zaczął niepewnie, nie chcąc popełnić przy okazji jakiegoś towarzyskiego *faux pas*. Wbrew temu, co myślała o nim Lenka, nie był skończonym chamem i draniem. Był, mówiąc dokładnie, chamem i draniem niedokończonym. – Konkubina?

Lenka z trudem stłumiła śmiech.

– Zabawne – powiedziała. – Pan mnie naprawdę nie poznaje.

Dyrektor chrząknął. Zaczynał powoli kojarzyć, dlaczego ci homo zawsze działali mu na nerwy. Przecież z nimi po prostu nie szło się dogadać!

– Nie kojarzę – odparł stanowczo. – Pani jest krewną Heleny?

Lenka skinęła głową.

– Najbliższą z możliwych. Jak by to ująć... Ja nią jestem – powiedziała, prawie płacząc ze śmiechu. Dobry Boże, jaki palant. Boże dobry, jaka jest odważna!

Dyrektor zamrugał oczami. Bardzo filmowo mu to wyszło.

– Le... Lenka? – wydukał, intensywnie wpatrując się w dziewczynę. Rzeczywiście, było w niej coś bardzo podobnego... do Lenki podobnego. Choć średnio podobnego, szczerze mówiąc. – W takim razie... Bardzo się pani zmieniła od czerwca.

Wzruszyła ramionami.

– Skoro pan tak twierdzi – odpowiedziała, uśmiechając się. Wygładziła spódnice. – To w jakiej sprawie mnie pan wzywał?

Dyrektor przełknął ślinę, wzbogacając eter o dźwięk podobny do tego, jaki produkują niemowlęta, jedząc łąpczywie. Dosłownie czuć było w powietrzu zapach mleka.

– Chodzi o pani przyszłość w tej szkole – zaczął, próbując nie patrzeć na, jak się właśnie okazało, bardzo zgrabne nogi Lipowskiej. – Mianowicie, jest niepewna. Lenka skinęła głową.

– Wiem. Już mi pan to mówił. – Zawahała się. – Mam rozumieć, że... zdecydował pan jednak nie dawać mi etatu?

Dyrektor gwałtownie potrząsnął głową.

– Nie, ale jest pani na czarnej liście. Wiem, mówiłem już – dodał szybko. – Chodzi o to, że w poniedziałek młodzież jedzie na obóz. Miało być trzech opiekunów, ale Bednarek się wycofała. Problem zdrowotny. Pomyślałem więc, że...

Zawiesił głos. Lenka milczała.

– ...pani pojedzie za nią. Rozumiemy się: daję pani szansę. Niech mi pani pokaże, że radzi sobie z młodzieżą. Jeśli dobrze wam pójdzie, etat będzie bezpieczny – dokończył z uśmiechem.

– Utniemy inną głowę.

Lenka skinęła głową.

– Rozumiem – powiedziała, podnosząc się i podchodząc do drzwi. Dyrektor patrzył na nią, zdziwiony. – Dam panu jutro odpowiedź.

Dyrektor poderwał się z fotela.

– Nic pani nie rozumie? – podniósł głos. Ładna nie ładna, zadbana, nie zadbana, Lipowska zawsze i w każdym wcieleniu działała mu na nerwy. – Ja pani nie pytałem o zgodę. To jest polecenie służbowe.

Kilka minut później Lenka szła głównym korytarzem w stronę wyjścia z budynku. W rękę trzymała program obozu, który w końcu dała sobie wcisnąć. Program, nie obóz. Z tym drugim na razie nie miała pojęcia, co zrobić. Zdawała sobie sprawę, że to być może jej jedyna szansa na pracę w tej szkole. Na której bardzo jej zależało.

Zatrzymała się gwałtownie, wessana przez myśli.

Zaraz. Przecież na pracy w gimnazjum, tym konkretnym gimnazjum, zależało jej właściwie tylko dlatego, że jedna z uczennic miała brata, w którym Lenka kochała się bez pamięci od ponad roku. Gdyby przeniosła się do innej szkoły, straciłaby szansę na spotkania z tym swoim uroczym obiektem westchnień...

Do którego wzdychała już przecież oficjalnie i z wzajemnością!

Hurra! Niech ją wyrzucają, jej już nie zależało. Z tego powodu nie straci przecież kontaktu z Oskarem!

Hurra... Nie musiała jechać na obóz, niczego nie musiała już robić. Mogła za to zawrócić i złożyć wymówienie. Zabrać papiery. Poszukać nowej pracy.

Hurra? A co z dziećmiakami? Przecież dla nich też tu pracowała. A może głównie dla nich? Przypomniała sobie zmagania z intelektem Basi Brzóskej. Prowadzenie darmowego kółka dla najbardziej utalentowanych. Walkę o przetrwanie innych uczniów, tych mniej zdolnych. Zasypianie z myślą, czy przygotowują się do klasówki. Drżącą ręką, gdy musiała wystawiać niektórym najgorsze oceny. Radość, gdy w drugim semestrze mieli lepsze stopnie niż w pierwszym. Głupie rozczulenie pod koniec roku szkolnego.

Spojrzała na trzymany w rękę program obozu. Musiała... jechać. Dyrektor? Niech się wypcha. Nie dla niego to robi. Uczniowie. Wobec nich

miała przecież konkretne zobowiązania. Lekarz też nie powinien odchodzić od łóżka pacjenta, bez względu na wszystko. Taki zawód, takie powołanie.

I wtedy niechcący omiotła wzrokiem zegar, wiszący na ścianie. Duży, stary zegar, pamiętający poprzedni system. Wskazywał piątą trzydzieści. Lenka poczuła, że robi jej się gorąco. Rzuciła się biegiem do wyjścia, po drodze zwijając program obozu w kulkę i wpychając ją sobie do torby. Na ulicy złapała taksówkę. Szczęście jej dopisało, poprzedni pasażer zamówił kurs właśnie pod szkołę. Jadąc przez miasto, miętoszyła patkę kieszeni swojej efektownej spódnicy. Przestała nagle myśleć o obozie, uczniach, zobowiązaniach i całej reszcie. W głowie miała jedynie Asyriela, rytuał i świece. Żeby tylko zdążyć przed szóstą! Żeby Guttman poczekał!

Dzwonek zagrał coś bardzo dziwnego. Skoczno. Na folkową modłę, ale spaskudzonego elektronicznym brzęczykiem. Sekunda, zanim koszmarna muzyczka wywołała pożądany efekt, upłynęła Lence bardzo pracowicie, głównie na kontemplowaniu tego, jak wyglądały drzwi oraz w jakim stopniu wytarty był drewniany próg, jak bardzo zużyto rafiową wycieraczkę oraz co przedstawiały wzory na sieci pajęczej, zaczepionej jednym końcem o łebek gwoźdźca, który wystawał z framugi. Lenka denerwowała się, ale próbowała wyglądać na rozluźnioną, zrelaksowaną. W ostatniej chwili przyszło jej do głowy, że seksowne ciuchy, które miała na sobie, mogą okazać się zbyt seksowne. Nie zamierzała budzić w Guttmanie zbędnych emocji, ale nie chciała też go do siebie zniechęcać. Postanowiła tak poprowadzić rozmowę, żeby od razu podpisać przekłętą druczek umowy. Tym samym w dniu pełni księżyca przyjmie propozycję pracy w telewizji, dopełni rytuału, będzie wolna. Jej związek z Oskarem wreszcie uwolni się od wszelkich magicznych ograniczeń. Potem wyjdzie – zrobi to z klasą. Kierunek: Oskar Brzóska, miłość jej życia. W sprawie obozu... Pomyśli później, jak zgrać wyjazd z

telewizją. Na pewno znajdzie sposób. Musi być jakiś sposób. To nie mogło być trudne, wystarczyło przecież trochę dobrej woli po obu stronach.

Wtedy drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Na progu stał Oskar Guttman.

Weszli do salonu. Było to osobliwe wnętrze – w centralnym miejscu stało duże łóżko małżeńskie, za to nigdzie nie można było dostrzec kanapy, foteli, szezlongów, stolika kawowego, czegokolwiek, co zazwyczaj spotykało się w salonach.

– To w końcu salon czy sypialnia? – zapytała podejrzliwie Lenka.

– Dwa w jednym. – Guttman uśmiechnął się. – W starej sypialni mam gabinet – dodał.

Skinęła głową i jeszcze raz rozejrzała się wokół.

– Ładnie mieszkaś – przyznała.

Rzeczywiście, podobało jej się; mieszkanie przeczyło temu, czego oczekiwała. Nie było drogich mebli, topowego sprzętu hi-fi. Wystrój średnio nowoczesny, bez nadęcia, nawet lekko tandetny. Wrażenie robiły za to zdjęcia na ścianach.

– Twoje dzieła? – zapytała, przyglądając się jednej z fotografii. Przedstawiała dziwne rośliny na tle nieba, które przypominały rozgrzaną do czerwoności stal albo morze lawy.

– Moje, ale nabytki – sprostował, uśmiechając się. – Kupuję u kolegi fotografa. To jest koper, wiesz, tylko tak świetnie skadrowany.

Przyjrzała się jeszcze raz. Faktycznie. Co z tego, że koper, niechby był i szczypiorek – zdjęcie robiło wrażenie.

Guttman podszedł do barku. Otworzył go, wyjął kieliszki. Lenka przeszła wzdłuż powieszonych na ścianie fotografii, docierając do okna. Gigantyczne, zajmowało pół ściany. Wyjrzała na zewnątrz. Widok zapierał

dech. Widziała Wisłę, dalej jej lewy brzeg. Nowe Miasto. Budynki, samochody. Gdzieś drzewa. Usłyszała brzęk szkła za plecami, odwróciła się.

– Musimy to uczcić – powiedział Guttman, stukając dwoma kieliszkami z rubinowym płynem w środku. Nalał za dużo, jakieś cztery piąte, najwyraźniej nie mając pojęcia o etykiecie.

Lenka chrząknęła.

– Okej, ale to potem. Najpierw podpiszemy umowę. Guttman oblizał wargi.

– Taak, jasne. Umowa. – Rozejrzał się. – To chodź, usiądziemy wygodnie.

Odstawił kieliszki i usiadł na łóżku. Właściwie – położył się, podparty łokciem. Pogładził dłonią miejsce obok siebie.

– Siadaj, maleńka.

Lenka zawahała się.

– Gdzie umowa? Dałam ci w przedpokoju.

Guttman westchnął i wyciągnął się w stronę stolika, na którym leżało kilka kartek. Wziął pierwsze z góry.

– Jest, czeka. Patrz, położymy obok nas, żebyś się nie bała, że ją zjem albo coś. – Przyjrzał się Lence, która wreszcie zdecydowała się usiąść obok niego. – Widzę, że się strasznie napaliłaś na tę pracę.

Lenka uśmiechnęła się nerwowo.

– Przecież nigdy nie mówiłam, że jej nie chcę, zastanawiałam się tylko, czy na pewno jestem gotowa i...

Guttman położył jej palec na ustach. Potem delikatnie pogładził policzek.

– Cii. Mnie to cieszy, skarbie.

Spojrzał jej w oczy.

– Ładnie wyglądasz.

Wstrzymała oddech.

– Oskar, umowa.

Guttman zaklął.

– Przestałabyś z tym.

Potem ją pocałował.

Lenka próbowała się wyrwać, ale poczuła, że nie chce. Że usta Guttmana są takie zmysłowe... Że ją oczarował, że traciła siłę...

...Która nagle eksplodowała razem z ohydny dźwiękiem dzwonka do drzwi. Lenka poderwała się z łóżka i w dzieciennym odruchu wytarła ręką usta. Guttman spojrzał na nią z dezaprobatą. Potem wstał.

– Pójdę otworzyć – powiedział takim tonem, jakby chciał przy okazji zasugerować Lence, że go czymś uraziła.

Lenka nie mogła złapać tchu. W co ona się wplątała, do cholery jasnej? Dlaczego mu pozwoliła na to całowanie? Czemu nie przerwała, nie strzeliła w twarz, nie wyrwała się przynajmniej?! Chwyliła kieliszek z winem i zaczęła pić, jakby usiłując zdezynfekować gardło. Z korytarza dobiegały głosy, męskie głosy. Po chwili Guttman wrócił do salonu w towarzystwie drugiego mężczyzny. Lenka odruchowo odstawiła kieliszek.

– Oskar? Co ty tu robisz? – wydukała.

Nie mniej zaskoczony jej obecnością Oskar Brzóska oddukał:

– Ja? A ty?!

Guttman roześmiał się.

– No, gołąbeczki, nie będziecie chyba tak stać jak dwa słupy soli, co? – Popchnął Brzóskego. – Włóż.

Lenka nie wiedziała, jak się zachować. To, co chwilę wcześniej wydarzyło się między nią a Guttmanem, wciąż ją onieśmiało. Bała się, że Oskar, jej Oskar, coś zauważy. Rumieniec na policzku albo przyspieszony oddech. Uśmiechnęła się więc szybko, może nawet zbyt promiennie.

– Nie wiedziałam, że tu dziś będziesz – zaczęła nieporadnie. – Bo widzisz, ja...

Brzóski podszedł do Lenki. Objął ją i delikatnie pocałował w policzek. Guttman, który całą scenę obserwował z perspektywy łóżka (rzucił się na nie zaraz po tym, jak wprowadził Brzóskego do salonu), roześmiał się diabolicznie.

– Jakbym miał aparat, zrobiłbym wam zdjęcie. – Odchylił głowę i dokończył w sztucznym uniesieniu: – Nazwałbym je „Tkliwe pożegnanie kochanków”.

Oskar Brzóske spojrzał na niego wrogo.

– O czym ty mówisz?

Guttman sięgnął do stolika stojącego obok łóżka. Z szufladki wyjął małą karteczkę. Zamachał nią w powietrzu.

– O tym, co się zaraz stanie.

– O co chodzi? – Lenka przenosiła wzrok z jednego Oskara na drugiego, zatrzymując go wreszcie na Brzóskim. – Czy ja o czymś nie wiem?

Brzóske był nie mniej zdezorientowany od niej.

– Momencik, bo się gubię – zaczął. – Oskar, zaprosiłeś mnie, żeby porozmawiać o programie, do którego chcesz mnie zatrudnić. Co jeszcze...

– O jakim programie? – Lenka weszła mu w słowo. W powietrzu zawisł jakiś ciężar, jakaś zapowiedź czegoś, co właśnie miało nastąpić.

Guttman położył się na plecach, tajemniczą karteczkę kładąc sobie na klatce piersiowej.

– Tym samym, w którym ty chciałaś zacząć pracę.

Brzóska spojrział na Lenkę, zaskoczony.

– Ty? W telewizji?

Guttman roześmiał się pełną pierśią.

– A co? Nie nadaje się dziewczyna? Uwielbiam was po prostu. – Wsparł się znów na łokciu. Karteczka zjechała mu z torsu na łóżko. – Ona okłamuje jego, on oszukuje ją. Tak, Oskar, Lenka przyszła tu dziś podpisać umowę. Chciała zająć twoje miejsce w programie o nauce.

Lenka zdenerwowała się. Przeszła kilka kroków po pokoju, zamachała dłońmi.

– Chwileczkę, momencik. Nie chciałam zajmować niczyjego miejsca, nie mówiłeś, że Oskar też się stara o ten program!

Brzóska spojrział na Lenkę z wyrzutem.

– Za to ja ci mówiłem, że marzę o pracy w telewizji. Powiedziałem ci też, dlaczego tak mi na tym zależy. Zaufałem ci.

Guttman wziął łyk wina, przepłukał sobie usta.

– Próbowала cię wygryźć, mówię ci.

Lenka wróciła do Brzóska, wzięła go za rękę.

– To nieprawda. Ja ci to wszystko mogę wytłumaczyć, chodzi o... rytuał, wtedy, na imprezie. I

Łóżko skrzypnęło. Guttman usiadł.

– Impreza. Dobrze, że mi przypomniałaś. Gdzie ja to... – Rozejrzał się wokół, by po chwili znaleźć karteczkę, która schowała się w fałdach łóżkowej kapy. Podniósł wzrok na Brzóska. – Masz ostatnią szansę wytłumaczyć, dlaczego ją zaprosiłeś na imprezę u Julii Rembiewskiej. Za chwilę będzie za późno.

Oskar poczerwieniał. Rzucił się na Guttmana i pociągnął go do góry za koszulę.

– O czym ty pieprzysz, do jasnej cholery?!

Lenka, przestraszona, złapała Brzóskego za rękę. Coś złego zawisło w powietrzu, nie chciała w tym uczestniczyć. Zrozumiał, puścił Guttmana. Prezenter poprawił koszulę, wstał i nalał sobie wina.

– Taką krótką masz pamięć, stary? Czekał, przeczytam ci.

Sięgnął po kartkę, która wciąż leżała na łóżku.

– To jest dowód na to, Lena, że zadałaś się z niewłaściwym facetem.

Lenka odwróciła się do Brzóskego.

– Może mi ktoś wreszcie wytłumaczyć, o co chodzi?

– Cokolwiek usłyszysz... – zaczął niepewnie. – Pamiętaj, że to było, zanim... cię tak naprawdę poznałem.

Powietrze zrobiło się jeszcze cięższe. Lenka oparła się o ścianę.

– Co jest na tej kartce? – zapytała słabym głosem.

Guttman dolał sobie wina. Napił się, posmakował.

– Za gorzkie jednak – wypluł wino do doniczki. – No, Oskar, gadaj.

– Co jest na tej pieprzonej kartce?!

Brzóskego poszukał dłoni Lenki.

– Tamta impreza, na którą cię zaprosiłem... – powiedział cicho. – Ona... miała pewien zamysł.

Lenka poczuła, że kręci się jej w głowie. Wyszarpnęła rękę z jego uścisku.

– Jaki zamysł?

Guttman postanowił wyręczyć Brzóskego.

– Każdy, kochanie, miał przynieść coś, co go najbardziej brzydzi. Co mu się wydaje paskudne. Najpaskudniejsze... Jest w ogóle takie słowo? Nieważne.

Julia w każdym razie nazwała imprezę „ohyda party”. Te rzeczy, które ludzie przynieśli, to były fanty. Wrzucało je się do worka, potem oglądaliśmy je razem. Ubaw był. Na końcu głosowaliśmy na najlepszą rzecz. Znaczą, najbardziej oryginalny pomysł. Zwycięzca mógł sobie wybrać główną nagrodę. Powiesz jej, Oskar, co wybrałeś? Brzóska milczał. Lenka cofnęła się o krok.

– No to powiem za ciebie. Otóż twój ukochany Oskar, który wygrał konkurs, w ramach nagrody wybrał noc z gospodynią imprezy. Julią, znaczą się. Poznałaś ją pewnie? Okej, nie musisz odpowiadać. Słyszałem od niej, że sobie nieźle użyli. Brzóska, chłopie, ogier z ciebie. No a teraz najlepsze, Lena. Oskar jako jedyny przyniósł na imprezę coś żywego. Bo reszta to jakieś głupoty przyniosła. Ja na przykład płytę disco polo, mogłem się bardziej postarać, naprawdę.

Brzóska oddychał coraz płycej. Wyraźnie powstrzymywał się przed czymś.

– Otóż Oskar przyniósł... – Guttman zawiesił głos i mlasnął, jakby podrzucając na języku słowo, które miało tak wielkie znaczenie w tej chwili. – Przyniósł ciebie. Wystawił cię, Lenka, jako najbrzydszą rzecz. Jako swój wkład w ohyda party.

Lenka pobladła. Spojrzała na Brzóska.

– To... to nieprawda? On kłamie, powiedz!

Brzóska zacisnął pięści. Spuścił wzrok.

– Lena, to było kiedyś, ja byłem inny, nie znałem cię tak, jak teraz...

Lenka zaśmiała się nerwowo.

– Wiecie co, prawie uwierzyłam, ale to kiepski żart, naprawdę...

Guttman wyciągnął dłoń w jej kierunku. Podawał jej mały kawałek papieru, który wcześniej ześlizgnął mu się po torsie, wpadając między fałdy łózkowej kapy.

– To nie żart. Możesz tu przeczytać. To jest właśnie kartka, którą Oskar dorzucił do reszty fantów.

Brzóska nie wytrzymał. Rzucił się w stronę Guttmana, znów chwytając go za koszulę.

– Ty dupku!

Kartka, którą Lenka trzymała w drżących dłoniach, była pomięta, miała naddarty róg. Pośrodku widniało jedno zdanie, napisane zdecydowaną, męską ręką.

Najbrzydsza rzecz – Lenka Lipowska

i podpis:

Oskar Brzóska

Lenka poczuła, że robi jej się słabo. Kręciło jej się w głowie, krew pulsowała w żyłach w tempie stanowczo przekraczającym normy. Przytrzymując się mebli, szła w stronę przedpokoju. Oskar Brzóska rzucił się za nią.

– Lena, poczekaj!

Złapał ją za rękę, wyszarpnęła się.

– Zostaw mnie!

Chwycił ją jeszcze raz.

– Chcę ci to wytłumaczyć, pozwól mi...

W oczach Lenki pojawiły się łzy.

– Teraz? Bo się wydało, tak? Czemu wtedy milczałeś?

– Bo byłem głupi! Lena, poczekaj! – krzyknął, ale Lenka nie chciała już go słuchać. Wyszarpnęła się i wybiegła z mieszkania Guttmana. Przez otwarte drzwi wpadł do środka nieprzyjemny przeciąg.

– A zamknąć to już nie łaska – burknął prezenter, fatygując się w stronę przedpokoju. Nie doszedł do niego, zatrzymany przez Brzóskego, który, rozwścieczony, rzucił nim o ścianę.

– Rembiewska ci to kazała zrobić? Gadaj!

Guttman patrzył na Brzóskego, przerażony. Próbował się uśmiechnąć.

– Co się... tak... denerwujesz – wysyczał, przyduszany. – Dzięki temu... masz robotę... w telewizji, przecież na tym... ci... zależało. – Brzóske puścił Guttmana, który zaczął od razu rozmasowywać sobie szyję. – Chryste, bolało.

Brzóske zrobił krok w stronę przedpokoju. Guttman łknął wina.

– Jesteś seksy, jak się tak wkurzasz.

Przeważyło. Brzóske zawrócił, strzelił Guttmana z pięści, po czym wybiegł z mieszkania.

– Możesz zapomnieć o telewizji! – usłyszał, biegnąc korytarzem.

Guttman wygrażał mu, stojąc w drzwiach swojego mieszkania. Chciał pewnie zachować bezpieczny dystans i resztki honoru, którego i tak nie miał za wiele. Brzóske wyciągnął w jego stronę rękę z wyprostowanym środkowym palcem.

– *Fuck you.*

Na ulicę wybiegł o minutę za późno. Lenka odjeżdżała właśnie taksówką. Wskoczył do samochodu, w nadziei, że ją dogoni, że będzie mógł porozmawiać, wytłumaczyć, przeprosić... Po kilkunastu metrach zatrzymał się. Oparł czoło o kierownicę. To nie miało sensu. Nie w tej chwili, kiedy obydwójce byli tak wzburzeni. Kwadrans później jechał jednak w stronę dzielnicy, w której mieszkała. Posiedzi w samochodzie, popatrzy w jej okno –

zdecydował. Wiedział doskonale, że i tak nie mógłby zasnąć. W ten sposób będzie przynajmniej bliżej Lenki. Może to mogło coś zmienić.

Lenka dotarła do domu przed Oskarem. Tuż przed. Gdy wbiegała na klatkę schodową, on właśnie parkował pod oknami jej mieszkania. Minęli się – przenośnie i w dosłownym znaczeniu.

Mieszkanie było puste, zimne i ciemne. Okna same pootwierały się pod jej nieobecność, firanka powiewała smętnie i wybrzuszała się pod wpływem wiatru. Kartki z wydrukowanymi opowiadaniem leżały rozrzucone na podłodze, podobnie jak grudki ziemi i strzępy paproci, która spadła z parapetu, popchnięta skrzydłem okna.

Pobojowisko nie zrobiło na Lence większego wrażenia. Zapłakana i rozdygotana, miotła się po mieszkaniu, nie wiedząc, co z sobą zrobić. Przez głowę przelatywały jej całe stada myśli z pomysłem na odebranie sobie życia na niechlubnym czele. Siadała na jakichś krzesłach, wstawiała, robiła kilka kroków, opierała się o meble, gadała do siebie.

Mówiąc krótko, było jej źle. Żałowała, że nie ma w głowie przycisku delete, którym wykasowałaby teraz wszystkie wspomnienia o Brzósce. Mimo całego tego rozdygotania, roztrzęsienia, rozplakania, nie miała wątpliwości w jednej sprawie: Oskar przestał dla niej istnieć. Nie chciała mieć już z nim nic wspólnego. Nie chciała mieć też nic wspólnego z tym, co wydarzyło się w ostatnim miesiącu. Musiała wrócić do siebie z idiotycznego wygnania, w które wyprawiła się na własne życzenie.

Nienawidziła go.

Nienawidziła z całego serca.

Nikt jej tak nigdy nie poniżył, jak Brzóska. Nic nigdy tak nie zabolęło. On nie złamał jej serca, on je zjadł, przetrawił, wydalil. Po wszystkim został tylko smród. Który trzeba posprzątać. Posprząta w swoim życiu, wymiecie

wszystko, co dotyczyło Oskara, rozjaśni tę ciemność, w której przez niego tak się utapiała.

Zapaliła lampkę na biurku. Światło wyłowiło z ciemności bałagan, jaki szalejący po pokoju wiatr zrobił na blacie. Na zamkniętym laptopie coś leżało. Przyjrzała się bliżej.

Mięsień zadrgał jej pod okiem, zabolalo w dołku.

Zdjęcie Brzóskego, które dostała od Baški kilka miesięcy wcześniej, kiedy poprosiła ją o fotografię brata do książki o absolwentach, przygotowywanej na jubileusz szkoły. Pamiątkowy album rzeczywiście miał powstać, ale zdjęć absolwentów jeszcze nie zbierano. Lenka postanowiła przemilczeć wtedy ten szczegół.

Wzięła zdjęcie do ręki. Ten mężczyzna... Dziwne. Nic już do niego nie czuła. Wyglądało na to, że Brzóskei zwolnił miejsce w jej głowie.

Podeszła do wciąż niezamkniętego okna. Popatrzyła w przestrzeń, tak doskonale jej znaną z tej perspektywy. Ulubione okno, marzenia lubiły wpadać, gdy stała w tym miejscu. Jeszcze raz spojrziała na zdjęcie. Nie zastanawiała się długo.

Najpierw przedarła je na pół. Potem złożyła dwie połówki i jeszcze raz, szszszach! I znów. Na więcej nie miała siły, poza tym zdjęcie było za małe.

Cisnęła kawałeczki zdjęcia prosto przed siebie. Niektóre zawróciły, więc wygoniła je szybko na zewnątrz, jak natrętne muchy. Zawirowały w powietrzu i odleciały gdzieś tam w ciemność. Kilka zatańczyło na tle okrągłego jak piątak i wytartego na brzegach tłustego, poznaczonego plamami księżycy w pełni. Lenka ze złością zatrzasnęła okno.

Kilka pięter niżej Oskar Brzóskei wciąż siedział w samochodzie, patrząc w stronę mieszkania Lenki. Żadnych karteczek nie widział, za małe były, żeby mógł je dojrzeć z tej odległości.

Z jakiegoś powodu westchnął. Może coś wyczuł. Przeniósł wzrok na tarczę księżycy, który właśnie, nieświadomy całej tragedii, świecił jak pochodnia.

Lenka zamknęła żaluzje w oknach, poprawiła firanki, potargane przez wiatr. Z kuchni przyniosła herbatę z cytryną, tabliczkę czekolady i lampkę koniaku. Kupiła go jakiś czas temu pod wpływem nagłego impulsu, pomyślała więc, że czas spróbować, co to za świństwo tak bursztyniło się w butelce.

Cholera, świństwo!

Wypluła pierwszy łyk. Coś jej się przypomniało. Brzóska podobno był smakoszem koniaków, mówił, że je kolekcjonuje, że się nimi lubi delektować. Uśmiechnęła się ponuro. Po chwili zawartość butelki wylała do sedesu, butelkę wyrzuciła zaś do kosza z takim impetem, że grube, szklane dno oderwało się od niej jak odcięte laserem.

Następnie wróciła do pokoju, usiadła za biurkiem, włączyła laptopa. Nie, nie podda się, nie spędzi tej nocy, płacząc w poduszkę. Otworzyła nowy plik i zaczęła zawzięcie stukać w klawiaturę. Zajęło jej to kilka godzin, skończyła, gdy słońce niemrawo wyłaniało się właśnie zza horyzontu. Zmęczona, rzuciła się na łóżko i od razu zasnęła. Skończone opowiadanie leżało wydrukowane obok laptopa.

DUREŃ. OPOWIADANIE. Napisane przez Lenkę Lipowską

Pierwsza myśl: chmury połknęły słońce. Uniosłem się na łokciach i z trudem rozlepiłem zapuchnięte powieki. Przede mną stał wysoki mężczyzna w szarym drelichowym płaszczu, śmiesznym na tle kamienistej greckiej plaży, na której się właśnie znajdowałem. Kapelusz w jodełkę, w dłoni ozdobna laska – znaczy, detektyw Bord we własnej osobie. Zakląłem w duchu; skoro odszukał mnie tak daleko od Anglii, musiał znaleźć sposób, by wreszcie postawić mnie przed sądem i wysłać za kratki.

Opakowany w drelich Bord był prywatnym detektywem i od pewnego czasu grzebał mi w życiorysie. Próbowałem go przekupić, ale się nie dał. W końcu zacząłem przed nim uciekać, strefy czasowe zmieniając jak koszule w upalny dzień, i tak się tymi podróżami zmęczyłem, że w barach – jak kiedyś Beckham, choć w odróżnieniu od niego ja zupełnie niechcący – za potrzebą pakowałem się czasem do damskiego wychodka. Uwłaczające, doprawdy.

Wracając do Borda – przez wiele miesięcy bez śladu znużenia czaił się i węszył, aż wreszcie doszedł do, przyznaję, całkiem słusznych wniosków. Miał rację: moja żona rzeczywiście nie umarła na serce, a mnie daleko do zrozpaczonego wdowca. Prawda jest taka, że zabójstwo mojej drugiej połowy zleciłem właśnie ja.

– Detektywie, jak miło, że nareszcie raczył mnie pan zaszczyścić swoją obecnością.

Bord wykrzywił wargi ni to w uśmiechu, ni grymasie lekceważenia, po czym chrząknął i swoim charakterystycznym, piskliwym głosem zaczął:

- Wstawaj, Greenwood, idziemy na komisariat, mamy do pogadania.
- Aha – odpowiedziałem najbardziej niewinnym z posiadanych głosów.
- Ale widzi pan, detektywie, od rana opalałem twarz i tors, i teraz zamierzam, rozumie pan, wystawić do słońca co innego.

Bord natychmiast poczerwieniał ze złości, a ja najspokojniej na świecie wykonałem leniwy twist, ukazując światu swój opięty plażowymi bokserkami tylny zderzak.

– Mam świadków, Greenwood, mam ich na pęczki! Dla własnego dobra lepiej przyznaj się do winy. Greenwood, słyszysz, draniu?! Hej, co jest...

Przekręciłem głowę i ujrzałem scenkę nad wyraz rozkoszną: oto opalona na brąz dziewczyna, wachlując w prawo i lewo swym bieluśkim biustem, z wściekłością bulteriera okładała detektywa strzępkami materiału,

prawdopodobnie stanikiem od bikini. Jak się później zorientowałem, Bord zdarł z niej biustonosz szpicem swojej ozdobnej laski. Nieumyślnie, ma się rozumieć. Niczym rasowy Columbo, Bord był bowiem ślepy na jedno oko, drugim natomiast – jeśli wierzyć jego słowom – rozróżniał tylko dwa kolory, nie pamiętam które. Gdyby nie fakt, że od ponad roku pozostawaliśmy w stanie wojny, nawet bym mu współczuł. Obecna sytuacja sprawiała jednak, że wszelkie przykrości, jakie spotykały Borda, osładzały moje życie.

Bord zakwaterował się w hotelu Athina, stojącym naprzeciw budynku, w którym od miesiąca wynajmowałem mieszkanie. Zdażyłem przyzwyczać się do tego miasteczka i nabrałem ochoty, żeby w Grecji osiąść na stałe. Jestem Anglikiem, ale zawsze marzyłem o hacjendzie z tarasem i śniadej żonie z włosami za ramiona. Kiedy poznałem Ann, nawet przez myśl mi nie przeszło, że zostanie pierwszą Robertową Greenwood. Była po prostu zbyt brytyjska: miała płowe krótkie włosy, piegowate czoło, podbródek kształtem przypominający odwróconą piramidę oraz wiecznie spierzchnięte wargi. Chyba nie muszę podkreślać, jak bardzo odpychająco to na mnie działało.

Było jednak coś, co przez długi czas jak arabski czador przesłaniało mi jej marną urodę. Otóż Ann była jedynaczką i miała kochających rodziców, których portfele dosłownie pękały w szwach, a stan kont w szwajcarskich bankach cieszył liczbą miejsc po przecinku.

Rok po naszym ślubie teściowie zginęli w wypadku samochodowym. Ich doszczętnie spalonego rovera znaleziono na dnie urwiska w północnej Szkocji. Po symbolicznym pogrzebie (teściowie zwęglili się bowiem na amen) przenieśliśmy się z Ann do rodzinnej posiadłości pod Londynem. Okropne miejsce! Ponure pokoje, zabluszczony ogród, błotniste drogi. Z Ann zupełnie nam się nie układało, aż w końcu zajęliśmy osobne sypialnie.

Pracowałem wtedy w Londynie jako broker i coraz częściej wieczory spędzałem w mieście, w barach. Któregoś razu w jednym z takich zakopconych pubów poznałem piękną kobietę. Na imię miała Laura, pochodziła z Argentyny i nosiła rozpuszczone włosy. Zakochałem się jak szczeniak, można powiedzieć: od pierwszego wejrzenia. Gdyby nie ona, pewnie nadal tkwiłbym w ponurej Anglii jak pestka w mandarynce.

Zabójstwo Ann zaplanowaliśmy razem z Laurą. Zielsko o nazwie *Dyobis nadramis*, które dosypałem Ann do kawy, dosłownie rozpuściło się w jej organizmie. Podczas sekcji zwłok lekarze zauważyli natomiast zmiany w mięśniu sercowym i oficjalnie podano, że przyczyną nagłego zgonu była wada serca.

Po śmierci Ann wyczyściłem konta teściów i sprzedałem dom; część pieniędzy wpłaciłem na konto Laury, która, niestety, w tym samym czasie postanowiła mnie rzucić. Wkrótce rozpocząłem wędrówkę po świecie. Historia, zdawałoby się, prosta jak drut, tu nagle zaczęła się komplikować.

Dwa dni później, licząc od spotkania na plaży, obudził mnie dzwonek telefonu. Po drugiej stronie kabla czekał Bord.

– Zapraszam do komisariatu na Omnia Olimpos.

– Panie Bord, do cholery! – obruszyłem się. – Niech mnie pan wreszcie przestanie straszyć! W Kanadzie czeka pismo nadające mi tytuł stałego rezydenta. Wobec czego nie może pan...

– A co to ma do rzeczy? – odparł. – Interpol ma to gdzieś. A ja niedawno awansowałem...

– Jak to?

– A tak to. A poza tym – ciągnął detektyw – jest tu ze mną ktoś, kto może pana zainteresować.

W słuchawce zaszleściło i po chwili usłyszałem ciche, ale stanowcze:

– Robert?

To był głos Ann!

– No, kończ tę komedię.

Policzki mi zapłonęły, czoło zwilgotniało od zimnego potu.

– Ann, przecież ty...

– Nie żyję?

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Podskoczyłem. Ręce zaczęły mi się trząść, a zęby zadzwoniły jak u zmarzniętego pływaka. Wyobraziłem sobie, że na korytarzu czeka na mnie gnijące zombi żony, i nawet wydało mi się, że czuję jego odurzający fetor. Nie wiedząc czemu jeszcze mocniej przycisnąłem słuchawkę do ucha i ostatkiem sił wybełkotałem:

– A... a... Ann, tto ty?!

– Zgadza się. Głosu własnej żony nie poznajesz? A poza tym nie stój tak, otwórz drzwi.

Stało się jasne, że za progiem czekał na mnie żywy trup.

– Greenwood! – Słuchawka na powrót warknęła głosem piekielnego Borda. – Ocknij się wreszcie i otwórzże, do ciężkiej cholery!

Znów ktoś zastukał. Trzymając się ściany, chwiejnym krokiem podszedłem do drzwi i ostrożnie wyjrzałem przez wizjer. Nie wierzyłem własnym oczom.

– Laura?!

Czarne ślepie Argentynki przeszły mnie przez szklaną źrenicę judasza.

Przekreśliłem zasuwę, ale drzwi otworzyły się już bez mojej pomocy. Na progu stały trzy osoby, z czego dwie, według mojej wiedzy, powinny od dawna gryźć ziemię.

– I co ty na to, Greenwood?

Do pokoju weszli kolejno: Laura, zaraz za nią Ann (ani śladu gnicia), a na końcu we własnej, zupełnie nierozkładającej się postaci, mój świętej pamięci teść.

– Siadaj! – rozkazał.

Posłusznie osunąłem się na najbliższy stojący taboret. Demoniczna trójka zajęła kanapę naprzeciwko.

– Myślałeś, że uda ci się od wszystkiego wywinąć, tak? – wycedził teść przez zęby. Dopiero teraz zauważyłem, że był ubrany dokładnie tak, jak zazwyczaj nosił się detektyw Bord.

Teść wykrzywił twarz w ponurym uśmiechu.

– Tak, Greenwood, nie mylisz się. To ja prześladowałem cię przez ostatni rok, to przede mną uciekałeś.

Ann przeczesła dłonią włosy.

– Szkoda, że tak wyszło, Robert, naprawdę żałuję. Po coś ty w ogóle zawracał mi sobą głowę? Myślisz, że nie miałam innych adoratorów? Słyszałam, że latasz za spódniczkami, ale gdzieś w twoich oczach zobaczyłam coś na kształt uczucia. Kiedy rok po ślubie zacząłeś podpytywać mnie o wartość domu, a rodzice na twoją prośbę uczynili cię swoim pełnomocnikiem w szwajcarskich bankach, postanowiliśmy zrobić eksperyment. Sfingowaliśmy wypadek, mama z tatą zamieszkali u ciotki Rose i przyglądali się wszystkiemu z daleka. Pola, skarbie – Ann poklepała Laurę po dłoni – teraz twoja kolej.

Pola, znana mi wcześniej pod imieniem Laura, uśmiechnęła się i uniosła brwi.

– Widzisz, Rob, jak to w życiu niczego nie można być pewnym? Taka ze mnie Argentynka, jak z ciebie Kanadyjczyk, *my dear*. Jestem koleżanką Ann

ze studiów, poznałeś mnie zresztą na waszym ślubie, ale wtedy, oczywiście, nie nosiłam peruki.

Pola–Laura szarpnęła bujną grzywkę i po chwili zamiast długich hebanowych loków miała na głowie wysokie na centymetr rude afro. Oniemiałem.

– I co, teraz też byś się za mną obejrzał, Rob? – Zaśmiała się. – Tę czarną perukę kupowałyśmy z Annie na Camden Street. Strasznie się pod nią pociłam, mówię ci.

Spojrzała na mnie surowo, aż skurczyłem się pod jej wzrokiem.

– Ty naprawdę uwierzyłeś w bajkę o *Dyobis nadramis*? O Laurze nie wiedziałeś zupełnie nic, głupku, a pchałeś jej ręce za dekolt, przy okazji ochoczo zdradzając tajemnice małżeństwa. Dwa tygodnie później byłeś gotów zabić żonę i skonsumować jej majątek. Kretyn!

Przerwała i odwróciła się do ojca Ann. Siedział zamyślony, wpatrując się we mnie stalowymi oczami.

– No, Greenwood, muszę przyznać, że na początku bałem się, że mnie rozpoznasz, że charakteryzacja okaże się za słaba. Ale aktor ze mnie nie najgorszy... – zawiesił głos. – W sumie żał mi ciebie, bracie.

Ann uśmiechnęła się demonicznie, otworzyła torebkę i wyjęła z niej wypełnioną czymś strzykawkę.

– Doktor Wright, który przekazał ci wynik rzekomej sekcji zwłok, to mój stryj. Wtajemniczyliśmy go we wszystko. To, co mam tutaj – potrząsnęła strzykawką – dostałam właśnie od niego. No, przyszedł czas zapłaty. Do zobaczenia w piekle, durniu!

Poderwałem się na równe nogi i skoczyłem do drzwi, ale Pola–Laura była szybsza. Teść pchnął mnie na ścianę. Zobaczyłem jeszcze, jak rękaw mojej koszuli wędruje do góry, próbowałem wyszarpnąć rękę, ale wszystko na

nic. Poczulem ukłucie w ramię i przed oczami przeleciało mi całe życie. Potem usłyszałem dzwony i w mig było po mnie.

Robert Greenwood obecnie mieszka w Kanadzie, cieszy się dobrym zdrowiem. Nie lubi opowiadać o swojej przeszłości. Utrzymuje, że nigdy nie był żonaty, co – jak wiadomo – jest bujną na resorach. Porzucił pracę brokera i zatrudnił się jako pomocnik w aptece. Czasem nawet sam przygotowuje leki, zdarza mu się też zostawać po godzinach. Bardzo ładnie z jego strony, nieprawdaż?

TTLRR

CZEŚĆ TRZECIA

TLR

Ada Lipowska obudziła się tak, jakby ktoś nagle włączył ją do prądu. Usiadła na łóżku, na początku nie rozumiejąc, gdzie jest, co się stało i dlaczego nie stoi już na scenie z tym fantastycznym brunetem u boku. Potem, gdy już odpowiedziała sobie na te wszystkie podchwytliwe pytania, wstała, żeby napić się mleka. Podłoga była zimna, stopy wilgotne z jakichś przyczyn, klapała więc nimi śmiesznie, wchodząc do kuchni. Otworzyła lodówkę,

wyjęła karton mleka. Złapała łyk i natychmiast wypłuła do zlewu, potwornie się krzywiąc. Powąchała. Otwarte poprzedniego dnia mleko skwaśniało. Ada zamarła. Żadna szanująca się czarownica nie zlekceważyłaby takiego znaku.

Do Lenki nie docierały sygnały ze świata na zewnątrz. Spała kamiennym snem, w pełnym rynsztunku. Zaniepokojona Ada skorzystała wreszcie z własnego klucza. To, co zobaczyła po wejściu, przeraziło ją do tego stopnia, że w pierwszym odruchu chciała dzwonić na policję. Mieszkanie Lenki wyglądało tak, jakby przeszedł przez nie tajfun albo grupa włamywaczy. Wszystko leżało wszędzie. Ada, przerażona, wpadła do dużego pokoju. Lenka spała na kanapie. Wystrojona, w szpilkach. Adzie przemknęło przez myśl, że jej siostrzenica była pod wpływem jakichś środków, miała bowiem dziwnie rozmazany makijaż, potargane włosy i bardzo długo nie reagowała na próby budzenia. Gdy wreszcie otworzyła oczy, Ada uspokoiła się. To były źrenice zdrowego, czystego człowieka. Chociaż... Ścisnęło ją w sercu. Jasne. Zraniona dusza. Zraniona przez mężczyznę. Co do tego nie mogło być wątpliwości, miała całkiem spore doświadczenie w tych sprawach.

– Co się stało?

Lenka nieprzytomnie spojrzała na ciotkę.

– Jadę jutro na obóz.

Ada zatrzymała się w kadrze. Obóz.

Zraniona dusza postradała zmysły?

– Gdzie? – zapytała niepewnie.

Lenka wstała z kanapy i poszła do kuchni. Ada pośpieszyła za nią. Chciała mieć dziewczynę na oku, w ich żyłach płynęła przecież ta sama krew, można więc było założyć, że dzieciak będzie chciał leczyć ranę w sposób mniej konwencjonalny, na przykład żyłką, skokiem z okna lub sznurem. Choć z tym ostatnim to – trzeba przyznać – Ada stanowczo przesadziła.

– Na obóz z uczniami. Na Mazury. Dwa tygodnie, fajnie, co? – zapytała Lenka. W oczach miała łzy. – Poopalam się, wiesz – dokończyła łamiącym się głosem.

Ada bez słowa ją przytuliła. Lenka drżała. Trzęsła się jak w gorączce. Słabła Adzie na rękach, dosłownie się przez nie przelewając.

– Co się stało, kochanie, co on ci zrobił?!

Lenka próbowała coś powiedzieć, ale z nerwów tylko połykała słowa, język odmawiał jej posłuszeństwa. Zaczęła płakać. Ada objęła ją mocno i czule, tak jak tylko matki potrafią. Trwało to dłuższą chwilę. Nie nalegała, nie pytała, nie zmuszała Lenki do zwierzeń, nie chcąc pogarszać jej stanu.

Lawina ruszyła kilkanaście minut później. Lenka otworzyła się, a jej wyznania tak bardzo wstrząsnęły Adą, że przez dłuższy czas nie wiedziała, jak zareagować. Potem, kiedy już poradziła sobie z pierwszym szokiem, miała ochotę zabić Brzóskego. Zgadza się. Zabić. Ktoś tak perfidny nie zasługiwał, jej zdaniem, na uwzględnienie żadnych okoliczności łagodzących. Na pewno nie z jej strony.

Ada nie poszła do domu. Postanowiła zostać na noc i nie spuszczać siostrzenicy z oczu. Nie podobało jej się, że następnego dnia Lenka zamierzała wyjechać z młodzieżą z Warszawy, choć miała nadzieję, że siostrzenica nie popełni żadnego głupstwa w towarzystwie własnych uczniów. Lenka była na to zbyt odpowiedzialna. Mimo wszystko doszła do wniosku, że sama też wybierze się nad Zegrze raz czy dwa. Poza tym postanowiła zrobić coś jeszcze.

Gdy pod wieczór Lenka, zmęczona przeżyciami ubiegłej nocy, położyła się i zasnęła, Ada włączyła laptopa. Weszła do internetu i otworzyła kilka stron zajmujących się pośrednictwem w obrocie nieruchomościami. Miała dość tego miasta, dość facetów chodzących po jego ulicach. Powinny sprzedać

wszystko, co łączyło je z tym przeklętym miejscem, i wynieść się gdzieś daleko. Na początek może Wrocław, to już prawie Zachód przecież, a tam ludzie byli chyba bardziej cywilizowani. Albo Łódź – była bliżej i dobrze jej się kojarzyła. Potem pojedą dalej. Gdzie intuicja zaprowadzi. Może na Gibraltar, może do San Francisco.

Pomyślała, że życie tak im nie szło, bo źle mieszkały. Przeprowadzka mogła być ich błogosławieństwem, katharsis, szansą. Nie wolno się przed tym uchylać. Potrzebowały tylko trochę odwagi.

Przebiegła wzrokiem po ofertach, uśmiechnęła się. Nie wyglądało źle... Wystukała coś na klawiszach i przez nieuwagę strąciła na podłogę kubek z długopisami, niechcący prawie budząc Lenkę, która nagle jęknęła przez sen, wykrzywiając twarz, jakby coś ją przestraszyło. Ada zerwała się i uklękła obok łóżka, gładząc siostrzenicę po głowie. Ręka jej zadrżała.

Czuła, że z tym facetem będą problemy, dlaczego w takim razie nic nie zrobiła, dlaczego nie zabrała dziecka od niego, kiedy jeszcze był na to czas, do cholery?!

Podminowana, wróciła do laptopa. Położyła dłonie na klawiaturze, zamknęła oczy. Szukała wewnętrznej ciszy, tej siły, która zawsze pomagała jej wzniecić w powietrze trochę magii. Lenka spała, więc Ada odważyła się założyć, że tym razem czary powinny zadziałać, niczyja świadoma obecność ich przecież nie dekoncentrowała. Skupiła się jeszcze mocniej, prosząc w duchu, by na ekranie laptopa ukazała się jakaś odpowiedź. Coś związanego z miejscem, dzięki któremu razem z Lenką znajdą szczęście, spełnienie i wielką miłość u boku przeznaczonych im facetów. Wrocław lub Łódź, Gibraltar albo San Francisco. Cokolwiek. Niech się ukáže.

Ciiichooo.

Ciszaaaaa.

Maleńkie, jasnożółte iskierki zatańczyły jej pod powiekami. Ciii...

Pojawiły się żyłki, płatanina żyłek. Fluorescencyjnych, na wzór mapy drogowej, a może poplątanego łańcuszka. Zawirowały koła, wielokolorowe, przenikające się nawzajem, płynące jak bańki mydlane na wietrze.

Ciiii...

Pod palcami poczuła mrowienie. Rozprężyła je jeszcze bardziej, mocniej koncentrując się na skupianiu energii na komputerze. Niech się ukaże! Niech się dzieje! Niech się wydarzy... cokolwiek, do diabła!!!

Cicho.

Otworzyła oczy, podekscytowana i przejęta. Resztki żyłek, niedobitki iskierek wisiały wciąż na końcu linii jej spojrzenia. Zamrugła powiekami, by je odpędzić. Znikały powoli.

Ekran był czarny. Hebanowy. Smolisty. Bardzo *dark*. Ot tak, po prostu. Zdenerwowała się. Czowała przecież wyraźnie, że z palców skapywała jej energia! Że skraplało się coś bardzo niematerialnego, ale namacalnego zarazem. Ale ekran był czarny! Po prostu cholernie czarny!

Podłamana, oparła głowę na dłoniach, niechęć trącając laptopa. Zamigotało. Ostrożnie podniosła wzrok.

Na ekranie ukazało się zdjęcie, niewiele większe od męskiej pięści.

–Ada?

Ekran gasł, zabierając ze sobą fotografię przedstawiającą tłusty, jasny księżyc w pełni. Lenka usiadła na łóżku. Laptop padł. Skończyła mu się bateria.

Basia Brzóska całą niedzielę niespokojnie przyglądała się bratu. Coś się musiało stać. Jeszcze dzień wcześniej Oskar zachowywał się jak ktoś, kto właśnie wygrał życie – podśpiewywał, śmiał się bez powodu, a w pewnym

momencie nawet złapał ją i okręcił jak w tańcu. Próbowwała wtedy wyciągnąć z niego jakieś informacje, przecież był w piątek na randce z Lipowską, coś się musiało wydarzyć. Brat konspiracyjnie milczał, pozwalając sobie tylko raz na puszczenie do niej porozumiewawczego oka. To jednak było za mało, żądała szczegółów! Oskar pstryknął ją w nos i zaproponował, żeby ćwiczyła cierpliwość.

Jasne.

Mimo to miała nadzieję, że brat w końcu wygada się, że coś mu się wymknie niechcący. Więc kiedy w sobotę wieczór oznajmił, że wychodzi do kolegi, Baśka zrozumiała: romans z Lipowską kwitnie. Kolega musiał być wymówką, Oskar najwyraźniej wstydził się przyznać, że związał się z jej nauczycielką.

Cha, cha, zabawne, naprawdę.

Baśka nie mogła zasnąć. Oczywiście zakładała też, że brat mógł wrócić nad ranem, ale emocje były tak wielkie, że prawdopodobnie i tak by na niego poczekała. Postanowiła, że jak już wróci, przycisnie go do muru – *reality show* musiało się wreszcie skończyć! A że szczęśliwie – trudno. Najwyżej będzie nudniej.

Oskar wrócił dość szybko. Wybiegła na jego spotkanie, potykając się w przedpokoju o buty, które, wychodząc pośpiesznie, rozrzucił po podłodze. Zaklęła pod nosem, spodziewając się natychmiastowej reprimendy ze strony brata, ale on zdawał się nie zwracać na nią uwagi, tylko jakby spojrzął przelotnie. Wyminął ją i nie przebierając się w przedpokoju, od razu poszedł do swojej sypialni. Baśka stała jak zaczarowana. Po chwili zastukała do drzwi, ale Oskar odburknął tylko, żeby dała mu spokój, po czym wyłączył światło. Postąpiła jeszcze moment, ale nic się nie wydarzyło. Zaniepokojona, położyła się spać. *Reality show* w jakiś sposób sypało się i, co najdziwniejsze, wcale jej

to nie cieszyło. Rzuciła się do łóżka i zagapiła w uśpiony sufit. Znow nie mogła zasnąć.

W niedzielę niewiele się zmieniło. Oskar w milczeniu zjadł śniadanie, potem usiadł na tarasie. Baśka chodziła po mieszkaniu na paluszkach. Po jakimś czasie zrobiła bratu kawę, za którą podziękował smutno, nie odrywając oczu od krajobrazu, jaki pięknie rysował się za balustradą. Poprosił, żeby zostawiła go samego i zamknęła drzwi na taras. Co, ociągając się, w końcu zrobiła. Wróciła do mieszkania i z dystansu przyglądała się Oskarowi. Wyjął komórkę i zaczął gdzieś dzwonić, chyba bez powodzenia. Próbował jeszcze kilkakrotnie. W końcu cisnął telefonem o podłogę i tylko cud jakiś sprawił, że komórka nie ześlizgnęła mu się z tarasu na zewnątrz. Przyglądając się bratu, Baśka doszła jednak do wniosku, że utrata telefonu kompletnie by go nie obeszła. Nawet by jej chyba nie zauważył.

Gdy godzinę później Baśka mejlowała z koleżanką, Oskar niespodziewanie wyłonił się z tarasu.

– Musisz mi pomóc – powiedział nagle, bez uprzedzenia zamykając siostrze laptopa.

Zdenerwowała się.

– Debilu, rozmawiałam z kimś!

Oskar spojrzał na nią ostro.

– W takim razie zaraz do tego wrócisz.

Rozmowa z koleżanką oczywiście już w przedbiegach przegrywała z pojawieniem się Oskara i informacjami, jakie mogła z niego wyciągnąć. Robiło się ciekawie.

– Coś się stało? – zapytała, siląc się na obojętność. Oskar usiadł na kanapie i skinął głową.

– Popełniłem błąd, który teraz muszę naprawić.

– Jaki błąd?

Zagryzł wargi.

– Skrzywdziłem Lenkę. Nie pytaj jak, nie powiem – dokończył surowym tonem, widząc błysk zainteresowania w oczach siostry

Baśka wzruszyła ramionami.

– To jak miałabym ci pomóc, skoro nie chcesz mi wszystkiego powiedzieć?

Oskar wstał, zrobił kilka kroków po pokoju.

– Kiedyś ci powiem. Teraz nie mam siły do tego wracać. Chodzi o to, że... ona nie odbiera moich telefonów, rozumiesz?

Nie rozumiała, bo utajnił didaskalia. Ale postanowiła nie grymasić – skoro mu tak zależy...

– Chciałbym, żebyś się z nią umówiła. Ma do ciebie słabość, nie powinna odmówić. A ja pójdę razem z tobą i...

– A nie możesz po prostu do niej pojechać?

– Nie wpuści mnie.

– Daj jej szansę.

Oskar stanął obok okna. Baśka zauważyła, że dłonie same zacisnęły mu się w pięści.

– Wiem, co mówię – odparł. Głos miał jakiś szorstki i głuchy, chciałoby się powiedzieć.

Baśka wstała od laptopa, przeciągnęła się.

– W takim razie może dobrze, że nie mówisz, co jej zrobiłeś. Bobym ci jeszcze nie pomogła – dokończyła z przekąsem.

Oskar spojrzał na nią. Mogłaby się założyć, że w oczach miał łzy. Szybko zamrugał powiekami, potem chrząknął.

– Umówisz się z Lenką?

Baśka uśmiechnęła się.

– Nie muszę. Sam możesz się z nią spotkać i to wcale nie u niej w domu. Jutro jedna z klas jedzie z nią na obóz. Koleżanka mi właśnie pisała, że odjeżdżają o ósmej z Centralnego.

Oczy Brzóskego zaświeciły się.

Guttman nie był w ciemni bity. W żadnym razie! Osobiście sprawdził w internecie, kiedy w Los Angeles jest południe i jak to się ma do czasu polskiego, po czym o odpowiedniej godzinie usiadł w swoim szczęśliwym fotelu i drżącym palcem wystukał na klawiaturze numer, który każdemu przeciętnemu Guttmanowi w sekundę zmroziłby krew w żyłach.

Usłyszał bip.

Bipów było kilka.

Bardzo długo bipało.

Tak długo, że bipanie przeszło w sygnał zajętości. Guttman rozłączył się, ale nie zrezygnował z dalszych prób połączenia.

Dał sobie spokój dopiero po godzinie.

Młodzież powoli zbierała się na peronie. Lenka skrupulatnie liczyła wszystkie głowy, zapisując coś w notesie. Na szczęście nie była sama – na dzieciaki co chwila pohukiwała nauczycielka chemii, którą też wrobiono w pilnowanie na obozie. Ada stała obok, kwaśno uśmiechnięta. Obecność chemiczki co prawda ją uspokoiła, ale samopoczucie Lenki pozostawiało, w odczuciu Ady, wciąż wiele do życzenia. Przegadały pół nocy, kreśląc plany na najbliższą przyszłość, za każdy z planów wznosząc stosowny toast czerwonym winem. Ada próbowała pocieszać Lenkę, nabijając się z Brzóskego i tłumacząc, że ktoś taki zupełnie do niej nie pasował.

– Prędzej czy później rozstaliście się – wyjaśniała. – Co ty byś robiła z takim gogusiem?

Lenka uśmiechała się, potakiwała, kilka razy nawet weszła Adzie w słowo, kończąc zdanie właściwie po jej myśli. Ciotka uznała, że poradziły sobie z problemem, przynajmniej tymczasowo. Perspektywa obozu nagle wydała się jej jakimś boskim zrządzeniem losu, jakimś palcem bożym – Lenka miała okazję oderwać się od całej tej sprawy, zająć głowę czymś innym i zmienić klimat.

Palec boży w każdym razie około piątej nad ranem pchnął je w stronę łóżek, gdzie z wyjątkiem Ady dotarli wszyscy, to jest Lenka. Ciotka, która ewidentnie przesadziła tej nocy z winem, udała się do łazienki, próbując wykrzesać trochę echa z muszli klozetowej. Dziwny zamiar, dziwne efekty.

O godzinie ósmej, która miała właśnie wybić, Ada wciąż nie była w pełni trzeźwa, choć, jeśli nie liczyć zaczerwienionych oczu i lekkiej opuchlizny policzków, wyglądała całkiem przyzwoicie. Może trochę jej się jeszcze kręciło w głowie i głos miała zdarty, ale poza tym nie było najgorzej. Zatrzaśnięta w myślach i nieco osowiała w związku z kacem, przeoczyła pakowanie dzieciaków do pociągu, który nagle podjechał. Gdy się ocknęła, młodzież wytykała właśnie ręce przez lufciki w oknach przedziałów, odbierając od rodziców ostatnie kanapki, puszki z napojami i inne drobiazgi.

– Zaraz odjeżdżamy – wyjaśniła Lenka, wyjmując Adzie z ręki swoją walizkę. – Zadzwoń, jak będę na miejscu.

Ada uśmiechnęła się. Próbowwała być jak najweselsza, tak całym gardłem, ale zamiast tego wychodziło jej może nie więcej niż brwią.

– Baw się dobrze. Ja tymczasem poszukam mieszkania. Zobacysz, od września wszystko się ułoży...

– Lenka!

Donośny głos przeszył powietrze. Ada odwróciła się i bardzo szybko pożałowała, że nie ma przy sobie jakiejś broni. Ostatecznie mogłaby też mieć mniej zdarte gardło. Na peron wbiegał bowiem Oskar Brzóska.

– Lena, poczekaj!

Lenka zatrzymała się w drzwiach do wagonu. Zawahała się.

– Pozwól mi to wytłumaczyć!

Konduktor gwizdnął w tym samym momencie, w którym Brzóska był jakieś dwa metry od wagonu. Automatyczne drzwi zamknęły mu się przed nosem. Pociąg ruszył, Lenka odjechała. Z okien spojrzwały na Oskara zdziwione oczy gimnazjalistów, a rodzice stojący na peronie wymienili się ściszonymi uwagami. Ada postanowiła być mniej dyskretna.

– Po co pan tu przyszedł? – zapytała ochryple, stając przed Oskarem. Patrzyła mu prosto w oczy z wściekłością lwicy, której ktoś skrzywdził dziecko.

Brzóska popatrzył na nią ze smutkiem.

– Pani Ada? Lenka dużo o pani opowiadała. Myślałem... myślałem, że będę mógł z nią porozmawiać. Chciałem... wytłumaczyć.

Ada najeżyła się.

– Tu nie ma czego tłumaczyć! Lenka nie chce mieć z panem nic wspólnego, rozumie pan?

– Ale ja...

– Dosyć! – Ada zbliżyła twarz do twarzy Oskara. – Jeśli będzie pan ją dalej nachodził, pożałuje pan. Nie żartuję. Zrozumiano?

Następnie szybkim krokiem odeszła w stronę ruchomych schodów. Po drodze rzuciła ostre spojrzenie jednej z matek, która ze złośliwym uśmiechem przyglądała się scenie. Żeby ci się odechciało słuchać czegokolwiek, jędo, pomyślała ze złością. Kilka tygodni później wścibska

matka niespodziewanie dostała pracę na infolinii jednej z sieci telekomunikacyjnych za niespodziewanie nieprzyzwoite pieniądze. Z okazji skorzystała, podpisując zupełnie bezprecedensową umowę na pięć lat. Po miesiącu jej nieprzyzwoite wynagrodzenie w magiczny sposób skurczyło się do niewiarygodnie niskiego. A wystarczyło nie podsłuchiwać...

Krajobraz wyglądał jak wielkanocna lignina, porośnięta rzezuchą. Ktoś w tę rzezuchę powtykał przybrudzone krowy, które meły trawę w filozoficznym zamyśleniu. Co jakiś czas pojawiała się też przygnieciona wiekiem chałupina z bałaganem na podwórku i rozszczekany psem, miotającym się histerycznie na łańcuchu. Do tego ładnie świeciło słońce, fruwały motylki, jaskółki narzekały, pikując.

Jechali właśnie autobusem, do którego przesiedli się z pociągu. Dzieciaki hałasowały, chemiczka truła o bolącej trzustce i żyłakach. Lenka udawała, że słucha, uśmiechając się życzliwie i co jakiś czas wtrącając jakieś „hm” i „aha”. Boże, jak ją to wszystko mało obchodziło! Stan zdrowia chemiczki miała, niestety, całkiem gdzieś, a uczniowie mogli sobie w spokoju roznosić autokar, wielka rzecz. Lenka miała swój problem i to w nim się właśnie masochistycznie taplała.

– ...przez skórę widać takie zgrubienie, z którego coś mi się jakby wylewa...

Nocna rozmowa z Adą bardzo ją wzbogaciła i to nie tylko o promile we krwi. Pomogła na przykład dojść do wniosku, że ona, Lenka, sama zapracowała sobie na tę historię z Oskarem, któremu właściwie powinna podziękować. Faktycznie, była ohydna! Jej przeciętność, jej przerysowana potrzeba koncentrowania się wyłącznie na walorach umysłu, jej niechęć do wszystkiego, co kojarzyło się z fizycznością, jej fizycznością, były wręcz anormalne. Chore, można powiedzieć. Gdyby nie Oskar, nie zatrzymałaby się

nad sobą, nie zastanowiła nad taką oczywistością, jak potrzeba zmieniania bluzki częściej niż raz do roku. Brzóska posłużył za latarkę – okej, latarnię – więc nie można mieć żalu do życia. Najwyraźniej potrzebowała wstrząsu, a któż inny może bardziej wstrząsnąć kobietą w takiej sytuacji, jeśli nie mężczyzna, w którym się kochała? Ot co.

– ...na przykład tutaj, zobacz, to już mam coś na kształt owrzodzenia podudzi, a tam...

Najważniejsze, co teraz planowała zrobić z tą wiedzą. Brzóska ją upokorzył, więc o nim będzie musiała zapomnieć, byle nie zapomniała o naukach, które niechętnie jej sprzedał. Może to wszystko wydarzyło się też po to, żeby lepiej przygotowała się do spotkania miłości swojego życia? Żeby była bardziej pewna siebie, bardziej kobieca? Żeby wreszcie poznała swoją wartość i nie wahała się oczekiwać od mężczyzn odpowiedniego traktowania? Może zmiana w jej życiu, ta zmiana w sensie romantycznym, czekała już gdzieś za zakrętem?

Autobus skręcił gwałtownie, prawie zrzucając chemiczkę z fotela.

– Uważałby pan, jak jedzie! Że też takim dają prawo jazdy!

Dzieci zapiszczały podekscytowane, Lenka uśmiechnęła się do swoich myśli, chemiczka obraziła się. Dojechali na miejsce.

W przeciwieństwie do Brzóska Ada wróciła prosto do domu. Oskar tego dnia pracował, więc z dworca pojechał do redakcji, w której postanowił posiedzieć do nocy. Chciał oderwać myśli od Lenki, a potem namierzyć Rembiewską i wygarnąć jej, co myśli. Zamierzał powiedzieć jej, kogo naprawdę kochał i tak dalej. Chciał dać upust damskiej stronie swojej natury i zamiast siłowo, poradzić sobie z przeciwnikiem, używając ostrego języka. Nawtykanie Julii było jedynym, co, podejrzewał, mogłoby mu przynieść w tej chwili jakiś spokój. Oczywiście, mylił się.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła Ada po powrocie do domu, było szczelne zasłonięcie okien w całym mieszkaniu. Następnie wyjęła z komód, szuflad, pudełek wszystkie świece, jakie miała na stanie. Potem zniosła je do gabinetu wróżbiarskiego i rozstawiła na suficie oraz dolnych stronach parapetów. Ułożenie świec nie miało większego znaczenia, chodziło jedynie o to, żeby było ich dużo. Sama obecność świec też nie była wymagana, ale Ada twierdziła, że wprowadzają klimat, ogrzewają pokój i rzucają plastyczne cienie. Poza tym robiło się bardzo filmowo, co samo w sobie wystarczało, żeby Ada zaczynała wierzyć, że potrafi czarować.

A w tej chwili najbardziej zależało jej właśnie na tym ostatnim.

„Że potrafi czarować”.

Ada, jako bardziej osobliwość niż wróżka czy czarownica, miała jeszcze jeden gadżet, który pomagał jej skupić się na tworzeniu magii. Uwielbiała muzykę rockową, z dużym naciskiem na metal, ostatecznie mógł być grunge. Alice In Chains. Pearl Jam. Mad Season. Faith No More. Stara dobra Metallica. Jak jazgotało obok ucha, skupiała się. Jak było cicho, siedziała rozdrażniona.

Stękając i klnąc na wypite w nocy wino, wtaczała więc do gabinetu kolumny do wieży. Metal wymagał odpowiedniego nagłośnienia. W duchu przeprosiła Bogu ducha winnych sąsiadów i włączyła pierwszą z brzegu płytę z wizerunkiem czaszki. Na szczęście o tej porze w domach siedzieli głównie przygłusi emeryci, a nawet i oni w sporej części buszowali właśnie po osiedlowym bazarku. Nikomu nie będzie więc przeszkadzało, jeśli trochę przesadzi z basami.

(Piętro niżej młoda pisarka uśmiechnęła się i włączyła tę samą płytę. Ktoś postukał czymś w ścianę. Założyła słuchawki)

Ada, jak można wydedukować, nie zabrała się do czarowania po to, żeby utkać z powietrza uroczego spaniela lub różową świnkę z zieloną kokardą. Nie chciała działać na czyjąkolwiek korzyść, nie obchodziły jej jakiegokolwiek dobre intencje. Ada, słowem, nie zamierzała robić niczego dobrego. Chciała się zwyczajnie zemścić. Tak bez sensu. Po prostu. Planowała za pomocą magii puścić Oskarowi krew z nosa. Niech sika, niech się leje. Niech się nie może zatamować. Oko za oko, ząb za ząb. Serce za serce.

Usiadła po turecku na środku sufitu i zamknęła oczy. Skoncentrowała się. Zaczęła szukać w pamięci zaklęć, które nadawałyby się do tego przypadku.

Konti'si'ku na skręcenie kostki na chodniku?

Juhge na złamanie zęba podczas jedzenia?

Basvu na skasowanie samochodu?...

Nie. Banalne. Potrzebowała czegoś bardziej wyrafinowanego, czegoś, co odpowiednio da Brzóskiemu w kość.

Tak! Przypomniała sobie!

Użyje *Agrewi*.

Zamrowiło ją w okolicach splotu słonecznego, a pod powiekami zawirowały pierwsze kolorowe płatki. Ekstatyczne jarzeniowe nitki zawisły na końcu jej niematerialnego spojrzenia. Poczowała delikatny powiew wiatru na policzkach, muzyka gwałtownie ucichła...

A poza tym ktoś chrząknął.

W Lizbonie było dokładnie godzinę wcześniej. Nic szczególnie osobliwego, inna strefa czasowa. W ogródku wegetariańskiej kawiarni siedział mężczyzna. Miał długie włosy (takie do ramion, zebrane w kucyk), okulary, płócienną koszulę. Czytał książkę, nie zwracając większej uwagi na pośpieszność przechodniów, którzy mijali jego stolik. Ludzie szli do pracy

albo zaczęli zwiedzać miasto. Lizbona, bez względu na porę roku, zawsze miała komplet turystów. Nawet w tak upalne lato.

Książka, którą czytał, była bardzo ciekawa. Kupił ją niedawno od ulicznego sprzedawcy, który, jak przynajmniej deklarował, był również jej autorem. Książkę wydrukowano w kompletnie nieprofesjonalny sposób, w tekście roiło się od literówek, a nawet błędów ortograficznych. Mężczyzna jednak starał się tym nie przejmować. W końcu historia była ciekawa, a narracja przypominała styl portowego barda; nie można się było nudzić.

Kelner przyniósł jego *sumo banana, mężczyzna* podziękował. Oderwał się na chwilę od książki i zagaił kelnera o wyniki ostatniego meczu w Lidze Sagres. Wygrała Benfica, kelner już świętował.

Poklepany przyjacielsko po plecach mężczyzna wrócił do lektury.

I wtedy to usłyszał. Okropny, rozdzierający krzyk, który dla żadnego ucha nie byłby miłą nocną kołysanką, a z całą pewnością mógł być jej całkowitym przeciwieństwem. W każdym razie ów głos dobiegał z chodnika przed kawiarnianym ogródkiem.

– *Ladrao!!!* – *darła* się jakaś kobieta, mając na myśli całkiem dosłowny odpowiednik polskiego złodzieja. Potem krzyknęła jeszcze coś bardzo niezrozumiałego.

Ludzie na ulicy odwrócili się obojętnie. Niektórzy odruchowo dotknęli swoich kieszeni. Nikt nie rzucił się w pogoń za chłopakiem, który spokojnie odbiegał w stronę portu.

Nikt poza mężczyzną. Rzucił książkę na stół, po czym, przeskakując zgrabnie nad doniczkami oddzielającymi ogródek kawiarni od chodnika, ruszył za złodziejem. Zmylony obojętnością przechodniów kieszonkowiec już właściwie tylko truchtał. Musiał się bardzo zdziwić, gdy nagle ktoś silnie go popchnął, przewracając na ziemię. Z rąk wypadła mu ukradziona torebka, a z

ramienia spadł plecak. Mężczyzna wykręcił złodziejowi ręce i przytrzymał go kolanem. Wkrótce pojawił się policjant, którego udało się złapać poszkodowanej kobiecie. Mężczyzna przekazał złodzieja i ogarnął wzrokiem rzeczy rozrzucone na ziemi. Obok plecaka leżało kilka portfeli, kieszonkowiec musiał być naprawdę sprytny i beczelny. Z jednego z nich coś wystawało, jakby zdjęcie. Mężczyzna schylił się i wziął je do ręki. Była to nieco pognieciona fotografia, przedstawiająca zakochaną parę. Kobieta i mężczyzna tulili się do siebie, rozanieleni, trochę głupio uśmiechnięci. Obok nich stał przybrudzony biały miś. Mężczyzna odwrócił zdjęcie. Z tyłu ktoś napisał w języku zupełnie nie portugalskim: *Ada i Marcel, na zawsze razem*

Pod napisem widniał jeszcze rysunek uśmiechniętego kwiatuszka i dopisek, wykonany innym tuszem i prawdopodobnie później od pierwszego: *jak małżeństwo, do grobowej deski. Albo razem, albo z nikim* Mężczyzna porozmawiał chwilę z policjantem, po czym wrócił do kawiarni. Kelner już zaczynał denerwować się jego nieobecnością. Mężczyzna uspokoił go: nawet gdyby nie wrócił tego dnia, przyszedłby następnego. Przecież Cafe Lua, czyli Kawiarnia pod Księżycem, była jego ulubionym porannym miejscem. Nie tylko dlatego, że podawali świetną kawę, herbatę i niezłe soki. Po prostu kiedy tylko pierwszy raz zobaczył ten szyld – żółty, okrągły księżyc w pełni – z jakichś względów uznał, że będzie tu przychodził codziennie. Przed chwilą przekonał się, że naprawdę było warto.

Na progu stała Babcia, patrząc surowo na Adę, która zerwała się z sufitu, gwałtownie krzyżując dłonie na piersiach.

– Co Babcia tu robi?

– Co z pustynią Gobi?

Ada spróbowała ustawić głos. Obawiała się, że zachrypnięta po winie, może mieć trudności z dogadaniem się z Babcią.

– JAK BABCIA TU WESZŁA? PRZECIEŻ ZAMYKAŁAM.

Babcia spojrzała na Adę pobłażliwie i weszła do pokoju.

– I co z tego, że zamykałaś?

Ada poczuła zimny dreszcz, biegnący wzdłuż kręgosłupa. Stara czarownica odsłoniła okna i zaczęła po kolei gasić wszystkie świece.

– Czy ja cię uczyłam tych filmowych trików? – zapytała, nieco rozdrażniona. Ada bardzo nie lubiła, jak Babcia była rozdrażniona. – Po co te świece? Duchy chcesz wywoływać?

Nie, Ada nie chciała żadnych duchów. Babci też nie chciała w tym pokoju, w tym momencie. Babcia jej przeszkadzała.

– A, widzisz, na odwrót. Przyszłam, żeby ci pomóc, a nie przeszkadzać – odpowiedziała czarownica. Ada momentalnie poczuła, że miękną jej nogi i musi się napić. Wody.

– COŚ BABCI PODAĆ DO PICIA? – zapytała słabym głosem i, co ciekawe, był on słaby mimo tego, że kwestię tę właściwie wykrzyczała. –

– Rumu pewnie nie masz, więc cola wystarczy.

Skołowana Ada po chwili wróciła ze szklanką soku wiśniowego.

– Powiedz mi, dziecko – zaczęła Babcia, bawiąc się słomką – po kiego chciałaś wyhodować temu nieszczęśnikowi na głowie puszkę pasztetu z buraków?

Ada poczuła, że robi jej się słabo. Usiadła.

– Z bu... BURAKÓW?

– Też mi coś nie pasowało.

– NA GŁOWIE?... JAK? KOMU?

Babcia rozłożyła ręce.

– To twój czar, nie mój. *Agrewi*. Hm. Bardzo ciekawy, tylko taki... beużyteczny. Rozumiem, że najpierw miało mu urosnąć na głowie drzewo, które potem rodziłoby te puszki, tak?

Ada kompletnie osłabła.

– NIE WIEM.

– Ja tym bardziej.

– To jest... WIEM, TYLKO NIE O TO MI CHODZIŁO. CHCIAŁAM, ŻEBY OSKAR ZBRZYDŁ. ŻEBY JUŻ GO ŻADNA NIE CHCIAŁA.

Babcia pokręciła głową.

– Ada, Ada, Ada. Masz taki talent, a go marnujesz. Nie wierzysz w siebie, za to uwierzyłaś, że twoje czary działają tylko wtedy, gdy jesteś sama. Nieprawda. Działałyby zawsze, tylko twoja podświadomość je blokuje. Ty im zabraniasz się spełniać.

Jedna ze świeczek przewróciła się, zalewając podłogę parafiną. Ada popatrzyła na to niewidzącym wzrokiem.

– SKĄD BABCIA TO WIE?

– Bo tak. Bo jestem starsza. Bo sama kiedyś byłam w twoim wieku (wiem, mówią, że niewiele się zmieniłam) i miałam podobne problemy.

– BABCIE TEŻ NIE SZŁO Z MAGIĄ?!

– Nie uwierzyłybyś, jak bardzo. Miotalam się jak pies na łańcuchu. Na szczęście spotkałam bardzo mądrą osobę.

– KOGO?

– Mojego... – głos Babci zadrżał – ...męża.

– BYŁ... WIEDŹMINEM?

– Święta Mario, jakim znów wiedźminem. Był księgowym. Liczby są bardzo ważne, mówił, bo pozwalają uporządkować świat. Uważał, że

wszystko można wyliczyć. Każde zdarzenie we Wszechświecie, wszystko miało według niego swoje własne miejsce na układzie współrzędnych.

– Jak Lenka...

– Jaka znów panienka?! To był mężczyzna z krwi i kości! Taki, jakich już mało zostało!

– POWIEDZIAŁAM: JAK LENKA. MOJA SIOSTRZENICA.

– To przepraszam, nie dosłyszałam. Mój mąż... on miał ten swój świat liczb. Ludzie uważali go za dziwaka. Nie ekscentryka, ale dziwaka, dziwadło, wariata. I wiesz co? On się tym w ogóle nie przejmował. Tłumaczył mi, że to się bierze z błędnego założenia. Ludzie odrzucają to, czego nie rozumieją. Akceptują natomiast to, co jest do nich podobne, co pasuje do ich świata.

– WYCIĄGAJĄ ŚREDNIĄ?

– I tylko ona ich obchodzi. A mój mąż był znacznie powyżej średniej. Miał mózg, który jeszcze nie powinien się być urodzić. Rozumiał rzeczy, które dopiero miały być zrozumiane. Dlatego go odrzucali. Uświadamiał sobie tę zależność i dlatego nigdy nie stracił poczucia własnej wartości. Przy nim zrozumiałam, dlaczego czary mi nie wychodziły. Po prostu w podświadomości byłam jedną z nich. Jedną z ludzi, którzy akceptują wyłącznie zachowania przeciętne. Moje czarowanie nie pasowało do tego obrazka, więc podświadomie wmawiałam sobie, że nie powinno się dziać. Dopiero kiedy to zrozumiałam, czary zaczęły się spełniać. I zostałam czarownicą.

Babcia spojrzała przenikliwie na Adę.

– Przyszłam do ciebie, bo od rana czułam, że będziesz mnie potrzebowała. Próbowałam ściągnąć cię myślami, żebyś przyjechała do mojego domu, wiesz, zoperowane biodro mi dokucza, ale mnie nie słuchałaś. Byłaś za silna. Skoncentrowałaś się tylko na tym, żeby ukarać Oskara

Brzóskego za to, co zrobił twojej siostrzenicy – dokończyła bardziej surowym tonem.

Ada zagryzła wargi.

– WIEM, ŹLE ZROBIŁAM. NIE WOLNO SIĘ MŚCIĆ.

– Nie wolno. To wbrew naszemu kodeksowi. Chyba że chcesz zostać wiedźmą.

– BRONŃ BOŹE!

– Widzisz. Natomiast jeśli chodzi o Oskara, to... Coś w jego sprawie powinnaś zrobić.

Ada spojrzała na Babcie pytająco. Staruszka uśmiechnęła się. Nagle wydała się Adzie bardzo mała, bardzo pomarszczona i bardzo zwyczajna. Brakowało jej tylko robótki ręcznej w dłoniach.

– WOLAŁABYM NIE MIEĆ Z NIM JUŻ DO CZYNIENIA.

– Ty? – zdziwiła się Babcia. – Ty właśnie powinnaś.

Oskar klepał bez emocji w klawisze. Na ekranie monitora pojawiały się kolejne literki, układające się w słowa i zdania. Z nich powstawała bardzo nudna relacja z równie nudnej konferencji, z której Brzóske właśnie wrócił. Miał zacząć ostatni akapit, kiedy usłyszał miarowe stukanie w ściankę boksu. Podniósł głowę. Obok stał naczelny.

– Musimy porozmawiać – oznajmił grobowym głosem i odszedł w stronę swojego gabinetu.

Oskar zapisał zmiany w artykule i wstał. Kilku kolegów z sąsiednich boksów udawało kompletny brak zainteresowania jego obecnością. Dopiero gdy zamknęły się za nim drzwi do gabinetu szefa, wychynęli z boksów, wymieniając się porozumiewawczymi spojrzeniami, w których, gdyby mogli,

chętnie zawarliby rozmaite trupie czaszki ze skrzyżowanymi pieszczelami, jakieś niewyraźne wykrzykniki, symbol dolara, procent i daszek.

O co chodziło naczelnemu – tym Oskar specjalnie się nie przejmował. Miał za dużo swoich spraw na głowie, więc zrządzenie szefa naprawdę nie mogło zrobić na nim większego wrażenia. Być może właśnie dlatego, kiedy otworzył drzwi do gabinetu, w pierwszej chwili nie poczuł nic. Żadnego klucia w żołądku, gorącego jeża w przełyku, żadnych miękkich kolan. Dopiero po kilkudziesięciu sekundach odczuł te wszystkie symptomy nagłego strachu i odruchowo się cofnął, uderzając plecami o framugę.

Obok diabolicznie uśmiechniętego naczelnego siedział bowiem pewien nie do końca moralny staruszek, patrząc na Oskara z mieszaniną wyższości i zachwytu. Przy tym wszystkim mordę, za przeproszeniem, miał jak chytry lis.

– Panowie się znacie – zaczął naczelny, nieszczerze wietrząc zęby. – Pan Oskar Brzóska, pan profesor Henryk Fryc. Jak miło, prawda?

Godzinę później Oskar wychodził z redakcji. Nie był ani wystraszony, ani zdenerwowany. Był przeszczęśliwie uśmiechnięty. Fryc tak bardzo napalił się na byłego studenta, że zadzwonił do naczelnego z prośbą o kontakt. Główny redaktor oczywiście nie znał żadnego Tomasza Bonieckiego i wkrótce stało się dla niego jasne: Brzóska go oszukał, podpisując cudzy wywiad własnym nazwiskiem. Naczelny dostał piany.

Kiedy streszczono mu, co się stało, Brzóska najpierw zdenerwował się, ale po chwili spokojnie przyznał do winy. Następnie wyszedł, by po kilku minutach wrócić z rezygnacją. Naczelny, jak można się było spodziewać, przyjął to z nieskrywaną ulgą.

Gdy Brzóska wyszedł z redakcji, cały świat świecił się, jaśniał – zupełnie jakby chciał mu powiedzieć, że dobrze zrobił, rezygnując z pracy.

– Oskar? – usłyszał nagle za plecami.

Odwrócił się. Zgrabnie ubrana Julia Rembiewska uśmiechała się kokieteryjnie.

– A ja właśnie do ciebie szłam!

Brzóska wypuścił powietrze nosem.

– No to się minęliśmy.

– Jak to, przecież cię złapałam? Cha, cha, żartowniś. – Julia uszczypnęła Oskara w okolice pępka. Cofnął się.

– Mam dobre wieści z telewizji, mój wujek weźmie cię do nowego programu!

Zawiesiła głos, czekając zapewne na wybuch entuzjazmu ze strony Oskara. On patrzył na nią obojętnym wzrokiem, nie reagując.

– No, żabko, nie cieszysz się? Będziesz gwiazdą!

Julia spróbowała przytulić się do Brzóska. Odsunął ją stanowczo.

– Dziękuję. Nie jestem zainteresowany.

Rembiewska zamarła. Zamrugła przedłużanymi rzęsami.

– Jak to? Coś ty... Przecież chciałeś...

– Przepraszam, jeśli zrobiłem ci kłopot – powiedział z naciskiem. – Ale praca przed kamerą mnie już nie interesuje. Jest wiele ciekawszych zajęć.

– Na przykład jakich? – głupio wypaliła Julia. – Chcesz całe życie harować za grosze w tej kretyńskiej redakcji?

– Nie. Właśnie z niej odszedłem.

Rembiewska nie wiedziała, co powiedzieć. Była tak oszołomiona, że kiedy Oskar zapytał o historię z kartką, z wrażenia zapomniała skłamać. Jąkała się i dukała tak bardzo, że stracił ochotę na pastwienie się nad nią. Jak to kiedyś dzieciaki krzyczały na siebie nawzajem? Że „co głupie, to nieszczęśliwe”? Bingo.

Idąc do samochodu, Oskar uśmiechał się do siebie. Czuł się tak, jakby zrzucił właśnie kilka kilogramów. Wszystko zaczęło wracać do naturalnego porządku. Zachęcony, sięgnął do kieszeni po komórkę. Odszukał numer do Lenki. Zadzwoił, niespokojnie układając sobie w myślach, co powie najpierw, jak poprowadzi rozmowę... Był taki niezwykły dzień, dokonał wielkich zmian, zdobył się na tak wiele... Bip.

Lenka odrzuciła połączenie po pierwszym sygnale.

Babcia spędziła u Ady kilka godzin. Długo rozmawiały. Po raz pierwszy Ada czuła się przy Babci swobodnie. Przestała jej się bać. Zrozumiała, jak bardzo były do siebie podobne, ile je łączyło. Zabawne. Bała się Babci, bo jej nie rozumiała, bo czarownica była dla niej tajemnicą. Stała w świetle latarni, bojąc się tego, co czaiło się w cieniu. Teraz zrobiła krok, zagłębiając się w mroku. Oczy przywykły do ciemności i okazało się, że nie było tam nic straszego. Że największego pietra miała wyobraźnia.

Porozmawiały też o sprawie Lenki i Oskara. Babcia namawiała Adę, żeby nie skreślała jeszcze Brzóskego, żeby dała mu drugą szansę. Żeby zamiast zamieniać go w żywą fabrykę puszek, wysłała w jego stronę wiązkę dobrej magii.

– Pomóż mu odnaleźć w sobie siłę. Raz popełniony błąd może okazać się wielkim błogosławieństwem. Nie wolno skreślać ludzi po jednym potknięciu.

Ada kiwała głową na te truizmy, zdając sobie jednak sprawę, że najbardziej banalnie brzmiące rady zazwyczaj są tymi najmądrzejszymi, więc kiedy Babcia wyszła, ugotowała sobie herbatę z melisy i zapaliła białą świecę, którą postawiła na oknie.

– Życzę ci szczęścia i nie mam do ciebie żalu o Lenkę – powiedziała do płomienia, myśląc o Oskarze.

Świeca paliła się równo, nie kapała. Gdy został maleńki ogarek, Ada zgasiła ją poślinionymi palcami. Uśmiechnęła się życzliwie. Może Babcia ma rację?

Mijały kolejne dni mazurskiego obozu. Dzieciaki próbowały dokazywać, niektórym w tej sprawie szło całkiem dobrze, inne okupowały tyły. Chemiczka, mimo braku powodzenia, nie rezygnowała z prób wciągnięcia Lenki do rozmów o żyłakach, trzustkach i wylewach, zasypując ją codziennie przy śniadaniu końską dawką niesmacznych informacji. Lenka na szczęście miała własny sposób: nie słuchała. Dokładnie mówiąc, w głowie nie miała miejsca na kolejne informacje. Jej umysł zaczął niebezpiecznie przypominać zapchaną szafę, w której żadne kaszmiry, jedwabie czy inne strzyżone welury nie miały prawa głosu w kwestii przestrzeni, jaką powinno się im rezerwować. Ciasno było i cokolwiek człowiek w tej szafie ruszył, wszystko podpisane było tylko jednym słowem: Oskar.

Niestety. Nie mogła o nim zapomnieć, choć bardzo próbowała. Po całkiem zdroworoządkowym podejściu, jakie wypracowała sobie w drodze na obóz, przyszedł dołek. Poczula się brzydka i samotna, głupia i niekochana. Nie potrafiła nad tym zapanować. Snuła się smętnie po terenie ośrodka, gdzie mieli wykupione noclegi, czasem siadała nad jeziorem, patrząc smutno na jego plisowaną taflę. Kiedyś uwielbiała takie chwile. W ogóle lubiła patrzeć na wodę, to ją uspokajało. Wyobrażała sobie, że jest na statku, który spokojnie sunie przez wielką wodę, zbliżając się do nieznanego lądu. Dopiero po emisji serialu „Zagubieni” zrewidowała to marzenie, zamieniając nieznaną wyspę na coś bardziej przewidywalnego, na przykład miłą wysepkę, gdzie mieszkają cywilizowani ludzie, w tym kulturalni mężczyźni, znający się na literaturze i uprawiający matematykę dla sportu.

Melancholia Lenki nie przeszła niezauważona. Kilka wrażliwszych uczennic zorientowało się, że z ich nauczycielką dzieje się coś niedobrego. Dorastające panienki szybko skojarzyły, że mogło chodzić o złamane serce. Jedna z nich, Ania, najwrażliwsza i o empatii jaśniejszej niż słońce, postanowiła podzielić się tymi spostrzeżeniami z przyjaciółką z sąsiedniej klasy. Obserwując Lenkę, smętnie rzucającą kamyki do wody, napisała SMS do Basi. Pomijając emotikony i tuziny wykrzykników, jej wiadomość brzmiała mniej więcej tak:

Lipowska chyba dostała kosza, bo siedzi i cierpi.

Baśka nie mogła zignorować takiej informacji. .

– Zadzwońbyś do niej chociaż!

Oskar, który właśnie kończył czwartą szklaneczkę koniaku, spojrzał na siostrę smutnym wzrokiem.

– Nie będę jej sobą męczył.

Baśka miała ochotę tupnąć nogą. Rozważyła za i przeciw. Tupnęła nogą.

– Palant! Kto ci powiedział, że ją to zmęczy?!

– Nie chciała ze mną rozmawiać na dworcu, a jej ciotka wyraźnie dała mi do zrozumienia, że nie tędy droga. Poza tym odrzuca moje połączenia.

– Myślałam, że będziesz o nią walczył, a ty...

Oskar wychylił szklanekę do dna, po czym nalał nową porcję. Baśka z niepokojem spojrzała na topniejący w oczach koniak.

– Będę walczył. Ale nie w ten sposób.

Baśka wzięła się pod boki. Wyglądała teraz jak małe, nastroszone zwierzątko, któremu ktoś właśnie odmówił nasypania do miski.

– A niby w jaki sposób, jeśli wolno wiedzieć?

Oskar zapatrzył się w przestrzeń.

– Sęk w tym, że jeszcze nie wiem.

Baśka prychnęła – wreszcie wszystko się wyjaśniło. Miała przed sobą skończonego idiotę.

To była jej kolejna z rzędu prawie bezsenna noc. Codziennie kładła się koło północy. Wcześniej zazwyczaj trzy razy obchodziła wszystkie pokoje, upewniając się, że dzieci śpią. Na chemiczkę nie mogła liczyć – ta od razu zaznaczyła, że lekarz zalecił jej wczesne zasypianie, obowiązkowo z nogami na poduszce. Lence w gruncie rzeczy było obojętne – skoro trzeba robić obchód, będzie robiła. Samotnie? Nie ma sprawy. Dzieci, wyczuwając chyba promieniujący z niej smutek, nawet mniej dokazywały wieczorami i wystarczyło naprawdę niewiele nerwów, żeby posłać je do łóżek.

Północ zazwyczaj mijała bardzo szybko. Do drugiej czas potrafił się dłużyć, ale już między trzecią a czwartą właściwie nie widziała różnicy. O piątej chciała wstawać, ale często właśnie wtedy zasypiała. Na godzinę, półtorej. Potem brała szybki prysznic i znów udzielała się wychowawczo. Bezsenne noce zostawiały rachunek w postaci podkrążonych oczu i szarej cery, co zaniepokoiło Adę, która z wizytą przyjechała trzy dni po rozpoczęciu obozu. Poza musem ze szpinaku i winogronami w cukrze miała dla Lenki dobrą wiadomość:

– Znalazłam mieszkanie w Łodzi. Pomyślałam, że Wrocław zostawimy sobie na później.

Lenka ożywiła się.

– Jakie? Za ile? Stać nas? A co z mieszkaniami w Warszawie?

Ada uśmiechała się uspokajająco.

– O wszystko zadbam, nie martw się. Moje się sprzeda, mam już nawet chętnego, był kiedyś moim klientem. Twoje wynajmiemy, powinno szybko pójść do ludzi, jest świetnie położone.

Lenka skinęła głową. ,

– W porządku. Ufam ci.

Ada wyjęła kilka kartek – były to wydrukowane z internetu zdjęcia łódzkiego mieszkania. Trzy pokoje, duża kuchnia, porośnięta bluszczem loggia.

– Na początek je sobie wynajmiemy. Kto wie, co się wydarzy za rok, gdzie nas wtedy zawieje. Nie ma sensu łądować wszystkich pieniędzy w mieszkanie, musimy mieć kapitał na start.

Lenka zgadzała się z ciotką. Jej też Warszawa zaczęła ciążyć. W przeciwieństwie do Ady cenila sobie co prawda stabilizację i świadomość posiadania własnego kąta, ale przecież warszawskie mieszkanie miało być tylko wynajmowane, więc w każdej chwili...

– .. .będziesz mogła wrócić – niespodziewanie dokończyła Ada. Lenka spojrzała na nią, zaskoczona. Ciotka miała niewyraźną minę i wyglądała jak ktoś bardzo czymś nagle wystraszony.

– Czytasz mi w myślach.

Gdyby sporządzić ranking najgłośniejszych przełknięć śliny w historii ludzkości, to przełknięcie, jakie właśnie odbyło się w gardle Ady, na pewno zajęłoby miejsce w czołówce.

– Niechący, przepraszam.

Tym razem to Lenka zrobiła niewyraźną minę. Ada nerwowo uśmiechnęła się i wzięła siostrzenicę pod ramię.

– To co, mała, pokażesz ciotce wodę?

– Jasne.

Gdy odeszły w stronę jeziora, zza krzaków, niczym rasowy szpieg z Krainy Deszczowców, wyłoniła się wrażliwa Ania. Nie podsłuchiwała, po prostu razem z koleżankami bawiła się w podchody i za krzakiem miała układać z gałęzi kolejną strzałkę. Gdy usłyszała zbliżające się głosy, w tym

Lenki, w jakimś niekontrolowanym odruchu schowała się za krzakiem. Dzięki temu usłyszała całą rozmowę, z mieszkaniowym wątkiem włącznie.

Upewniwszy się, że nauczycielka z ciotką oddaliły się na bezpieczną odległość, Ania wyjęła komórkę i zadzwoniła do przyjaciółki. Niestety, Baśka nie odebrała. Ania postanowiła, że spróbuje później, i wróciła do podchodów, po chwili na dobre zapominając o tym, po co chciała dzwonić do przyjaciółki. Zabawa zaabsorbowała ją na całego.

Po wyjeździe Ady Lenka poczuła się lepiej. Nadal miała o sobie nie najlepsze zdanie, ale przynajmniej pojawiło się światełko w tunelu. Wyjazd, przeprowadzka, zmiana. To musiało im wyjść na dobre.

Tak uspokojona, nie zaczęła jednak lepiej sypiać. To znaczy, gdyby się o to postarała, być może znów przesypiałaby całe noce. Jednak Lenkę od spania odciągnęło tym razem coś innego. Nadzieja, jaką zostawiła jej Ada, niespodziewanie podziałała na wene. Lence zaczęły więc przychodzić do głowy całe kosze pomysłów, w których następnie przebierała jak wprawna przekupka. Gdyby chciała spisać wszystko, co wymyśliła, zajęłoby jej to znacznie więcej czasu niż tydzień, który został do końca obozu. Żeby jednak nie tracić pomysłów, codziennie po wieczornym obchodzie siadała przed laptopem i jak nawiedzona stukała w klawiaturę. Czuła się trochę tak, jakby ktoś pisał jej rękami, bo kiedy zaczynała opowiadanie, nie mogła się od niego oderwać, ba!, nie chciała się od niego odrywać. Niektóre rzeczy okazywały się potem strasznymi koszmarkami i trafiały do kosza, ale znakomitą część decydowała się dodawać do folderu, w którym zapisywała teksty z potencjałem wydawniczym. Wkrótce zebrало się tam pięć nowych opowiadań, wszystkie zawierające wątki magiczne. Pod koniec obozu dysponowała tekstami, których starczyłoby na dwa zbiorki. Marzenie o ich wydaniu wróciło z wygnania i zapukało w szybę jej okna.

W odróżnieniu od Lenki Oskar Brzóska zaczął sypiać bardzo dobrze. Do tej pory był pracoholikiem oddanym karierze i podrywaniu kobiet. Po tym, jak stracił Lenkę, rzucił pracę i zerwał kontakty z Julią, jego życie przeszło całkowitą metamorfozę. Większość czasu spędzał w domu, czytając książki, pijąc koniak i słuchając muzyki. Zawisł w jakiejś bliżej niezdefiniowanej próżni między tym, co kiedyś, a tym, co dopiero przyjdzie. Nareszcie znalazł czas na myślenie. Nie mając pojęcia o technikach medytacji, siadał wyciszony na tarasie, zamykał oczy i wsłuchiwał się w siebie. Dziwił się potem, jak wiele myśli krążyło mu po głowie. Na początku – chaos, mętlik, urwane słowa, bezsensowne zdania, zlepek obrazów. Po kilku dniach zaczął nad tym panować. Nauczył się wysupływać z tego mętliku interesujący go fragment i na nim skupiał uwagę, lekceważąc całą resztę. Przy okazji odpowiedział sobie na wiele pytań i poznał lepiej samego siebie. Tydzień po wyjeździe Lenki czuł się tak, jakby ktoś wyszczotkował go od środka. Nie miał już wątpliwości, o co mu w życiu chodziło i co mogło mu przynieść największą satysfakcję. Dowiedział się, co go dopełni. Usiadł przed laptopem i otworzył nowy dokument tekstowy, w którym spisał w punktach spostrzeżenia na temat samego siebie i planów na przyszłość. Przeczytał to kilka razy.

Przy jednym z fragmentów zatrzymał się na dłużej. To było takie prawdziwe. Takie o nim. Wstydlive, cholera.

Nigdy nie rób niczego na siłę. Nie ulegaj żadnym powierzchownym fascynacjom. Nie idź tak ślepo za czymś, co się podoba większości. Znajdź własny sposób na szczęście.

Odsunął się od laptopa, zagapił w okno. Potem przeniósł wzrok na dopiero co uzupełnioną szklaneczkę z koniakiem i bez wahania całą jej zawartość wylał do stojącego obok, i tak już zasuszonego, kwiatka. Przynajmniej będzie miał drapak weselszą śmierć.

Coś piknęło. Oskar poderwał się. Zasnął w fotelu, czytana książka zsunęła się na podłogę. Odruchowo sprawdził godzinę: dochodziła trzecia. Za oknem było ciemno, choć odniósł wrażenie, że jakieś pierwsze sygnały zbliżającego się wschodu nieśmiało majaczyły na horyzoncie. A może to tylko refleksy billboardów z centrum? Nie miał pojęcia.

Podniósł się i podszedł do laptopa, na którego ekranie pulsowała ikona, oznaczająca nową wiadomość. Usiadł na krześle i, ziewając, otworzył program pocztowy. Po chwili przed oczami wyświetlił mu się krótki list, sygnowany nazwiskiem Jaśka Krzaka. Ów, jak pisał, spędzał właśnie czas na ważnej konferencji w San Francisco, gdzie nawiązywał bardzo ważne kontakty międzynarodowe.

Powodzenia, pomyślał Brzóska, bez cienia nieszczerości.

Dalej Krzak pisał o pięknych dziewczynach, które widział na plaży, różowym cadillacu, rocznik siedemdziesiąt dziewięć, na którego nieuleczalnie zachorował. Nie *uwierzysz, stary*, pisał, ale *nawet gałkę zmiany biegów ma różową*.

Na koniec napisał coś, co momentalnie dobudziło Oskara.

PS Tak w ogóle to odzywam się, bo sekretarka napisała mi mejla, że poczta zwróciła opowiadania, które ci odesłaliśmy. Musiałeś się walnąć w adresie. No więc, stary, sorry, ale ci tego teraz nie wydamy, tego „De Gustibus”, znaczy. Gdybyś był przynajmniej kobietą, to może, mamy mało dobrze piszących babek, a konkurencja gniecie. Chyba że wydasz pod damskim pseudonimem? Cha, cha, żartowałem. To tyle, nie obraż się, czytaj, pisz dalej, może coś z tego kiedyś wyjdzie. See ya.

– *See ya* – powiedział kwaśno Brzóska, krzywiąc się w stronę monitora.

Co go podkusiło, żeby zanosić świetne opowiadania takiemu tłumokowi? Nie chciał wydać, jego strata, teksty są doskonałe, na pewno znajdą inne wydawnictwo.

Znajdą.

Znaczy, Lenka znajdzie.

Wrócił na fotel, trzymając w ręku plik kartek. Postanowił jeszcze raz przeczytać jedno z jej opowiadań, to, które otwierało zbiorok. *Tego „De Gustibusa”, znaczy.*

Godzinę później był po trzech rundach przez tekst, świeciły mu się oczy, puls miał przyspieszony. Rzucił się do stołu po jakieś markery, długopisy, kolorowe karteczki do zaznaczania. Już wiedział. Wymyślił. Odnalazł sens.

Horyzont całkiem otwarcie zapalał się już na różowo, gdy Oskar Brzóska w pośpiechu spisywał na kartce wstępny scenariusz filmu dokumentalnego o zdradzie, opartego na opowiadaniu „De Gustibus” autorstwa Heleny „Lenki” Lipowskiej.

Z królową amerykańskiej telewizji Guttman próbował skontaktować się jeszcze wielokrotnie. Winfrey nie odbierała. Z tego wszystkiego przyszedł mu nawet do głowy bezsensowny pomysł, że jego numer ma zablokowane połączenia ze Stanami.

Po upływie tygodnia, bezradny i zirytowany, postanowił obgadać tę sprawę z Julią Rembiewską. Jeśli jemu z jakichś względów nie udało się nawiązać połączenia, to może niech jej ojciec wreszcie włączy się do tego? Przecież Julia obiecywała, to dlatego zgodził się wziąć udział w idiotycznej intrydze, skłócającej Lipowską z Brzóska. Swoją drogą, Brzóska... Dziwny człowiek. Żeby dla dziewczyny przekreślać życiową szansę na karierę w telewizji? Romeo się znalazł.

Guttman wzruszył ramionami sam do siebie, przejrzał się w lustrze i wyszedł z domu. Miał dyżur, wołał się nie spóźnić.

Julia nerwowo szła korytarzem telewizji. Echo bawiło się stanowczym stukaniem jej obcasów, które nagle przyspieszyło, gdy Rembiewska zauważyła grupę ludzi, kradnących jej windę.

– Eeeej! Chwilaaaa! – krzyknęła w ich stronę.

Nikt nie zwrócił jednak na nią uwagi i drzwi po chwili zasunęły się z cichym sykiem. Rembiewska kopnęła w ścianę obok windy i ruszyła w stronę schodów. Miała zły humor i bez tego. Wieczorem poprzedniego dnia, ubrana wyłącznie w płaszcz, pod którym nie miała nic poza kilkoma kroplami perfum, zjawiała się w mieszkaniu Oskara Brzóskego. W dłoni trzymała musujące chardonnay. Usta strzelały uwodzicielską czerwienią drogiej pomadki. Włosy wprawnie uczesał fryzjer. Reszta owłosienia na ciele również została odpowiednio przygotowana.

Oskar co prawda otworzył drzwi, ale nie wpuścił jej do środka. Kompletnie nie interesowały go atuty, z którymi się stawiała. Nie chciał też słyszeć, że Julia proponuje rozejm i na czym miałyby polegać świętowanie tego doniosłego wydarzenia. Podziękował za dobre chęci, ale nie miał czasu dłużej rozmawiać. Gdy próbowała dowiedzieć się, co może być ciekawszego od niej, leżącej nago na jego dywanie (rozsypała nawet płaszcz, żeby nie wyjść na gołosłowną... w każdym razie, żeby na gołą wyjść) – Oskar oznajmił, że wiele rzeczy.

Po czym zamknął drzwi, nie reagując na jej kilkakrotne pukanie i uporczywe dzwonienie. Przechodzący korytarzem sąsiad zatrzymał się i obleśnie uśmiechnięty, zapytał, ile bierze za godzinę. Odpysknęła mu coś i odbiegła do windy, odprowadzana nienadającymi się do druku komentarzami faceta.

Co za upokorzenie! Ona, Julia Rembiewska, odprawiona z kwitkiem! I uznana za dziwkę! To... to po prostu nie powinno się było wydarzyć!

Biegła po telewizyjnych schodach, zawzięcie tupiąc obcasami. Na półpiętrze nagle z kimś się zderzyła.

– O, cześć – powiedział z przekąsem Oskar Guttman, sprawdzając równocześnie, czy makijaż Julii nie zostawił mu na koszuli jakichś śladów. – Wróciłaś na staż?

– Nie – odparła, zaskoczona trafnością jego słów. Rzeczywiście, po praktyce w redakcji miała wrócić na staż w telewizji, ale na razie nikt się do niej nie zgłosił w tej sprawie. Postanowiła, że jeszcze dzisiaj pogada o tym z kim trzeba. – Idę do ojca chrzestnego.

– Wow, mafia, szacunek. Miałem do ciebie dziś dzwonić.

– Po co?

Guttman pogrzebał w kieszeni, z której wyjął wizytówkę Oprah Winfrey.

– Ten numer nie działa. Pomyślałem, że skoro mówiłaś, że twój ojciec i Oprah...

Julia nagle roześmiała się złośliwie. Guttman urwał w pół słowa, zaskoczony.

– Naprawdę uwierzyłeś w tę bajkę? Jezu, jaki frajer!

Oskar poczuł się tak, jakby dostał obuchem. W głowie mu się zakręciło, przez chwilę Julia nawet rozdwoiła mu się przed oczami. Po chwili wziął się w garść.

– Oszukałaś mnie – wycedził przez zęby. – Chciałaś zdobyć Brzóskiego, więc byłem ci potrzebny, a potem „spadaj, Guttman”, tak?

– Mniej więcej. Zasłużyłeś sobie, robiąc gwiazdę z tej pokraki Lipowskiej. A jakbyś pogrzebał w sieci, tobyś się od razu zorientował, że mój ojciec nigdy nic nie pisał dla Winfrey – rzuciła ostro, odchodząc po schodach.

Guttman nie mógł zebrać myśli. Był skołowany, wściekły i bezsilny. Oszukała go! Znała jego słabe punkty i je perfidnie wykorzystwała, robiąc z niego idiotę. A przecież on jest...

Usłyszał głos. Najpierw Julii, potem mężczyzny, którego szybko zidentyfikował jako Iwo Rossa. Rozmawiali piętro wyżej, na schodach. Wstrzymał oddech i w skupieniu słuchał ich rozmowy. Julia podniesionym głosem tłumaczyła chrzestnemu, że sprawa z Oskarem Brzóska jest nieaktualna. Ross wyraził nadzieję, że za tydzień chrześnica nie przyjdzie z powrotem, znów żebrząc o pracę dla narzeczonego.

– To już nie jest mój narzeczony. Zerwałam z nim wszystkie kontakty. Jak dla mnie, mógłby pracować na ulicy razem z tą swoją zdziurą – wyjaśniła ze złością.

Guttman posłuchał jeszcze chwilę, po czym cicho zszedł po schodach. Uśmiechał się pod nosem, planując zemstę. Teraz to on znał słaby punkt Rembiewskiej.

Mimo nieprzespanej nocy Oskar Brzóska czuł się rześki i wypoczęty. Pogwizdując, zrobił sobie kawę i jajko na miękko, którego później nie zjadł, bo nagle przyszedł mu do głowy świetny pomysł realizacyjny. Wpadł więc do salonu i na zabazgranym scenariuszu filmu dokumentalnego nabazgrał jeszcze kilka zdań. Potem przyjrzał mu się z satysfakcją. Tak! To było to! Teraz powinien tylko zadbać, żeby praca nie poszła na marne.

Usiadł do laptopa i znalazł kilka grup dyskusyjnych, na których toczyły się rozmowy na temat kręcenia filmów dokumentalnych. Zalogował się. Oczywiście, zdaniem większości, znalezienie producenta nie było łatwe –

zwłaszcza jeśli jest się nowicjuszem bez kontaktów w branży. Ale, jak niektórzy przekonywali, nie było to niewykonalne.

Jeśli masz haryzmę, stary, dadzą ci szansę, przekonywała +Cytrinna+, zupełnie nie zniechęcona tym, że w jej komputerze prawdopodobnie wyłączono funkcję słownika. Mojemu chłopakowi dali. Przeszedł się po producentach z takim jakby filmem na brudno.

– Czym? – chciał wiedzieć Oskar.

No tym swoim filmem, co go chcesz nakręcić, ale zrobionym amatorską kamerą. Żeby zobaczyli, że masz potencję.

Chryste, chyba potencjał! I charyzma, kobieto, przez „ch”, nie wytrzymał +Dirt+, który włączył się do rozmowy. Ona ma na myśli rozbudowane demo. Skoro cię nie znają i nie masz żadnego portfolio, możesz rzeczywiście zrobić taki myk. Ja bym spróbował.

Oskar wylogował się ze strony. +Dirt+ i +Cytrinna+ zawzięcie jeszcze o czymś dyskutowali. Podsunęli mu dobry pomysł. Rzeczywiście, mógłby wyjść z kamerą na ulicę i nakręcić wszystko tak, jakby chciał to widzieć na profesjonalnym nagraniu. Wziął do ręki kamerę. W środku wciąż była kasetka, na której nagrał wywiad z Frycem i performance kobiety z brodą. Przewinął kawałek. Na małym, ciekłokrystalicznym ekraniku ukazała się twarz Lenki. Zatrzymał obraz, przybliżył. Potem pogłaskał jej policzek, pobawił się czubkiem nosa. Dla niej robił to wszystko, poza tym... będzie musiał poprosić ją o zgodę na wykorzystanie opowiadania. Wstrzymał oddech, zachwycony tym odkryciem. Punkt zaczepienia! Miał punkt zaczepienia! Nie musiał spotykać się z nią w sprawach sercowych, jeśli Lenka tego nie chciała. Zamiast tego mógł ją poprosić o spotkanie służbowe!

Podeksytowany, wrócił do przeglądania scenariusza i kreślenia po nim. Miał konkretną wizję tego, jak powinny przebiegać kolejne sceny.

Potrzebował tylko dojrzałego mężczyzny, który zgodzi się wcielić w rolę narratora. Kogoś, kto swoje przeżył, kto miał za sobą wzloty i upadki, kto wiedział, co to znaczy być zdradzonym przez kobietę... Albo kto sam zdradził.

Zatrzymał się w kadrze. Stał tak przez pół minuty. Później, z pewnym ociąganiem, wyjął telefon z kieszeni. Wiedział, że musi zadzwonić. Los dosłownie walił go pałką po głowie, nie mogąc już być chyba bardziej dosłownym. Ten film, ta historia, to demo – wszystko dawało mu szansę, żeby po raz pierwszy w życiu szczerze porozmawiał z ojcem. Bo to właśnie ojciec był idealnym kandydatem na narratora. Powinien mu pozwolić na improwizację, zaproponować, żeby dostosował dialogi do swojej historii. Gdyby ojciec wreszcie wyjaśnił mu, co się naprawdę stało wtedy, kilkanaście lat temu, może przy okazji lepiej zrozumiałby zachowanie matki. Może to by coś wytłumaczyło.

Odszukał numer ojca i zadzwonił. Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza.

Dzień przed powrotem uczniów do Warszawy na Mazury przyjechał dyrektor. Nie zapowiadał tej wizyty. Na jego widok chemiczka wpadła w popłoch i z wrażenia próbowała w środku dnia zagonić dzieci do łóżek. Na Lence pojawienie się dyrektora nie zrobiło większego wrażenia. Pomyślała tylko, że powinna powiedzieć mu o planowanym wyjeździe, będzie przecież musiał zatrudnić kogoś na jej miejsce.

Dyrektor, na początku zachmurzony, z każdą kolejną godziną topniał, ostatecznie kończąc dzień w bardzo dobrym humorze.

Zaobserwował bowiem, że obóz prowadzony był niemal perfekcyjnie. Dzieciaki słuchały nauczycielek (ze szczególnym wskazaniem na Lenkę), miały świetnie zorganizowany czas, przestrzegały regulaminu. Był pewien, że nie robiły nic na pokaz, za dobrze znał swoją młodzież. Lipowska, która tak

często mu podpadała, teraz miała w sobie jakiś spokój, dojrzałość i konsekwencję. O to mu chodziło, więc tuż przed swoim odjazdem poprosił ją na stronę.

– Gratuluje, pani Leno – powiedział, uśmiechając się szczerze. – Zrobiła pani wielki krok naprzód. Jestem pod wrażeniem.

Lenka spojrzała na dyrektora, zdziwiona, po czym szybko przewinęła w głowie zdanie, które do niej powiedział. Nosiło wszelkie znamiona uczciwej pochwały.

– Dlatego chciałbym panią uspokoić. Pani miejsce w moim zespole jest absolutnie niezagrożone.

Zamrugła powiekami. Dyrektor uśmiechnął się, biorąc rysującą się na jej twarzy zakłopotanie za wyraz skromności i nieprzygotowania na takie słowa.

– I obiecuję, że nie będę się więcej śmiał z pani bajek. Przecież każdy ma prawo do hobby, prawda? – mrugnął okiem.

Nagle wydał się Lence całkiem dobroduszny, zaczęła się nawet szybko zastanawiać, czy to ten sam dyrektor, który prawie dwa lata wcześniej z uśmiechem wyższości przyjmował ją do pracy. Trzeba przyznać, że wiele się nie zgadzało.

– Tak – odpowiedziała słabym głosem.

– No właśnie – kontynuował dyrektor, przypominając sobie zniechęca, jak bardzo lubi monologi i ile energii marnuje się na niepotrzebne konwenanse właściwe dialogom. – Bo ja, na przykład, bardzo lubię jeździć na ryby. Wędkować, znaczy się. Kiedyś złapałem pięknego sandacza. Ależ się bydlak rzucał, myślałem, że mnie do wody wciągnie.

O rybach opowiadał jeszcze kilka minut. Lenka odprowadziła go do samochodu, gdzie nieśmiało wyjawiała, jakie ma plany na najbliższe miesiące.

I że, mówiąc szczerze, raczej nie pokrywały się one z planami dyrektora. Wyjaśniła też, że jest gotowa znaleźć zastępstwo na swoje miejsce, bo nie chce zostawiać szkoły z nagłym wakatem.

Dyrektor początkowo zapowietrzył się i wyglądało na to, że toczy właśnie bardzo ciężkie działa w stronę Lenki. Po chwili jednak spuścił ciśnienie i zastanowił się. Przecież miał innych matematyków. Być może gorszych od Lipowskiej... Ale kto powiedział, że dziewczyna po miesiącu nie wróci z tej Łodzi? To przecież rzut kamieniem, w sumie. A jej wyjazd – może to tylko taki bunt młodzieńczy? Przejściowe zawirowanie?

– Niech się pani niczym nie martwi. Poradzę sobie – powiedział, ściskając rękę zaskoczonej Lence. – Powodzenia i niech pani do nas wraca jak najprędzej.

Cisza w słuchawce trwała bardzo krótko. Po chwili ojciec odebrał. Był w pracy, nie mógł za długo rozmawiać, ale... chciał. Nie próbował w ten sposób zbywać Oskara, wyczuł chyba, że nie chodziło o towarzyską pogawędkę o marchewce. Poprosił, żeby syn przyjechał do niego do firmy, mieli porozmawiać przy papierosie.

Brzóska dotarł do ojca pół godziny później, co, biorąc pod uwagę porę dnia, tłok na ulicach i odległość, jaka dzieliła jego mieszkanie od ojcowskiej firmy, było nie mniej imponujące niż spacer człowieka-pajaka po Marriotcie.

Kiedy wyjaśnił ojcu, z jaką propozycją przyjechał, zapadło milczenie. Ojciec zapalił papierosa i pociągnął nerwowo. Kiedy skończył, szczęki ścisnął tak mocno, że na policzkach zarysowała mu się drabinka ścięgien. Oskar czuł, jak opadają z niego siły, jak traci entuzjazm. Co on sobie myślał? Że ojciec tak po prostu zgodzi się ze wszystkiego wypowiadać? Że z uśmiechem na twarzy odkryje przed synem swoje największe sekrety i może jeszcze nazwie

siebie zdrajcą, kłamcą, obłudnikiem i palantem, który zostawił żonę dla przygłupiej sekretarki?

– Rozumiem – powiedział nagle ojciec. Miał poważny głos, patrzył na syna bez uśmiechu. – Zgadzam się. Możemy zacząć jeszcze dziś, jak skończę pracę.

Brzóskiemu z wrażenia wypadły z ręki kartki ze scenariuszem. Z podłogi zebrali je już wspólnie.

Gdy dyrektor wyjechał, Lenka w zamyśleniu odeszła w stronę swojego pokoju. Zaczęła zastanawiać się nad tym, jak bardzo lubiła przyklejać ludziom etykiety. Taka oczywistość, że świat nie był czarno-biały, kiedyś po prostu nie mieściła jej się w głowie. Ludzie byli albo dobrzy, albo źli, nie było niczego pomiędzy. Dyrektor był chamem, ojciec jej nie kochał, Oskar Brzóski chciał tylko i wyłącznie wykorzystać. Miłość albo nienawiść. Pełna nieomyślność albo same błędy. Idealne piękno albo kompletna brzydota. Nic pośrodku. Dlatego chowała się w swojej skorupce, zakrywając głowę rękami. W ten sposób, robiąc z siebie ofiarę, nie osiągała nic poza wysyłaniem w świat sygnału, że chce być przez niego atakowana. Więc ją atakował.

(„No, naprawdę, kolejne pomówienia” – oburzył się świat i odwrócił plecami, wciskając twarz w ścianę).

Wciąż zamyślona, weszła do pokoju i włączyła laptop. Miała ochotę pisać, aż skóra zetrze się z palców. W głowie układały się pierwsze obrazy, które zaczęła mozolnie przekuwać w słowa. Powoli powstawało opowiadanie, dość poważne, w którym ostatecznie rozprawiła się ze swoimi bolączkami i pożegnała z dawną sobą. Lenka nie była już tamtą dziewczyną, choć nadal miała ją przed oczami. Czas zamknąć drzwi na kłódkę, potem wyrzucić klucz.

Gdy Lenka pisała kolejne akapity, wrażliwa Ania dzwoniła przejęta do przyjaciółki. Chemiczka właśnie chlapnęła przy uczennicach, że Lipowska wyjeżdża z Warszawy i od września nie będzie ich już uczyć. Ani od razu przypomniała się rozmowa Lenki z ciotką, przypadkiem podsłuchana na skraju lasu. Uzmysłowała sobie też, że wciąż nie przekazała jej Basi, która nalegała, żeby Ania relacjonowała wszystko, co tylko mogło jakkolwiek dotyczyć Lipowskiej. Nie pytała dlaczego – przyjaciółka od dawna kolegowala się z matematyczką, miała więc prawo do takich osobliwych życzeń.

Ale teraz chyba przesadziła. Gdy Ania literka po literce streściła wszystko, czego dowiedziała się w sprawie wyjazdu Lipowskiej, Basia rzuciła panicznie: – Oddzwonię – po czym rozłączyła się. O co chodziło?

Basia czuła, że w tej sytuacji nie ma ani chwili do stracenia. Mimo że robiło się późno, postanowiła natychmiast pojechać do Oskara. Ojciec, który do kolacji wypił dwa piwa, nie mógł jej odwieźć. Nie chciał też dać na taksówkę.

– Oskar jest dzisiaj zajęty, będziesz mu przeszkadzała.

Baśka prychnęła, zdenerwowana.

– Bo ty nie wiesz, co ja mam mu do powiedzenia. Na pewno nie miałby nic przeciwko, żebym przyjechała.

– Nie sądzę, Basia. Naprawdę nic się nie stanie, jak pojedziesz rano. Dzisiaj sobie odpuść, wiem, co mówię.

Basia strzeliła palcami.

– W takim razie zadzwonię do niego i zobaczymy, kto ma rację.

Ojciec westchnął i wrócił do kolacji. Jadł sam, żona była właśnie na sesji jogi.

Basia wykrciła numer Oskara. Zrezygnowała dopiero po pięciu nieudanych połączeniach. Nie mogła uwierzyć – ojciec miał rację! Poczula nieprzyjemne ukłucie w okolicach splotu słonecznego – czy w tej rodzinie wszyscy musieli mieć zawsze jakieś tajemnice przed innymi?!

Oskar nie odbierał, bo wyłączył telefon. Nie chciał, żeby ktokolwiek przeszkadzał mu w montowaniu materiału, nagranych tego dnia z ojcem. To oczywiście był tylko fragment całego filmu, ale już na tym etapie zapowiadało się obiecująco. Kupił przez internet program do montażu filmów i właśnie siedział nad nim, próbując połapać się we wszystkich zawiłościach.

Wtedy coś zapikało. Mejl, znowu! Postanowił go zlekceważyć, ale gdy wyłączał program pocztowy, niechcący omiół wzrokiem pulsujące nazwisko nadawcy listu.

Zdziwił się.

Pisał do niego Oskar Guttman.

– Czego on chce, do diabła?

Z niechęcią otworzył list. Przeczytał szybko.

Potem jeszcze raz.

I znowu.

Gdyby umiał czytać wspak, zapewne zdecydowałby się również i na to.

Guttman, mianowicie, przeproszał go. W liście skrupulatnie przyznawał się do całej intrygi, tłumaczył punkt po punkcie, jak została skonstruowana i czemu miała służyć. Napisał też, dlaczego tamtej nocy odwiedziła go Lenka. Nie chciała znikąd wygrzyzać Brzóskego, nigdy nic takiego nie padło z jej ust.

Przecież ona cię kocha, Oskar. To chyba jasne.

Na zakończenie Guttman podkreślił, że jest Brzóskeemu coś winien.

Głupio się czuję, chciałbym ci to jakoś wynagrodzić. Jeśli chcesz, powiem Lence, że blefowałem. Że nie było żadnej kartki, żadnego ohyda party. Że wszystko nagrała Rembiewska, co swoją drogą jest prawdą, stary. Chcesz? Może dzięki temu do ciebie wróci? Ja bym wrócił.

Brzóska odchylił się na fotelu. Z tego miejsca widać było odsłonięte okno, za którym rozciągało się piękne atramentowe niebo. Księżyc był małą, jasną, zakrzywioną niteczką – za dzień, dwa miał wejść w fazę nowiu.

Oskar zamyślił się. Mógł wykorzystać tę szansę. Mógł wytrzeć sobie rękę o włosy Rembiewskiej i nigdy nie przyznać się przed Lenką, jak było naprawdę.

Wrócił do laptopa, strzelił kostkami i kliknął na ikonę odpowiedzi.

Wystarczy mi, jeśli przeprosisz Lenkę w swoim imieniu. Wtedy będziemy kwita.

Wysłał i uśmiechnął się do siebie. Wiele by dał, żeby zobaczyć teraz minę Guttmana.

Lenka pisała całą noc. Nad ranem piaskowym wzrokiem przebiegła po wszystkich zapisanych stronach. Smutne i prawdziwe. Podobało jej się. Postanowiła, że właśnie to opowiadanie zamknie zbiorok, z którym planowała wkrótce wybrać się do wydawnictw. Rozgrzane igielki przebiegły jej po kręgosłupie. Była gotowa. Napisała dobre rzeczy. Czas pokazać je światu.

ANIOŁY KRZYCZĄ DO NAS SZEPTEM. OPOWIADANIE MAGICZNE.

Napisane przez Lenkę Lipowską

AnieleBożyStróžuMójTyZawszePrzyMnieStój Ene–due like–fake,
torba–borba ósme smake

RanoWieczórWeDnieWNocyBądźMiZawszeKuPomocy Deus, Deus, kosma–
deus i morele baks! StrzeżMejDuszyCiałaMegoIDoprowadźMnieDoŻywota–
Wiecznego Amen

Potem trzeba wstać z klęczek, rozmasować ugniecione kolana i rzucić się do łóżka. Dżersejowa pościel będzie pachniała lawendą. Ewelina okryje się kołdrą, podkurczy nogi, a plecami przywrze do ściany, z którą sąsiaduje jej drewniane łóżko. Potem nadejdzie sen. Ciężki, ołowiany, wyprany z marzeń. Przetoczy się przez Ewelinę jak pociąg-widmo, ustępując w końcu miejsca porannemu bólowi głowy i niedającej się wyleczyć zgadze.

Ewelinus zostanie sam, obok łóżka. Będzie się wahał, dreptał w miejscu, czochrał gęstą brodę. Czy Ewelina już zasnęła? Czy to właściwy moment, żeby ją opuścić?

Czoło Ewelinusa spuchnie od natłoku myśli. Minie minuta, może dwie (a to już dla niego bardzo długo, niemalże wieczność) i Anioł Stróż nareszcie podejmie decyzję. Rozprostuje skrzydła, potrząśnie nimi solidnie, trochę jak ptak, wyrwany nagle ze snu, i ze świstem wzbije się w przestworza.

Niebo pracuje z przerwami. Trzeba być na bieżąco, bo ci od Spraw Wewnętrznych ciągle coś zmieniają. Chociażby codzienny czas pracy – z tym to już nikt nie może dojść do ładu. Dam przykład: Kanikulus, ten od psów, miał do podstemplowania Dokument Pierwszej Wagi. Strasznie mu się śpieszyło. Obleciał wszystkie urzędy i guzik, i nic – wszędzie minutowa przerwa w pracy, wszędzie ten sam parszywy sześćdziesięciosekundowy antrakt. Kanikulus zezłościł się okropnie i na znak protestu wyrwał sobie spod lewej pachy jedno złote pióro.

Przed urzędami mnożą się zatem kolejki zrezygnowanych aniołów z podaniami w kieszeniach i anioły te drepczą w miejscu, i kręcą się w kółko, i kołyszą na boki. Ale czekają cierpliwie, bo taka ich natura: czekać. Mijają kolejne sekundy, pięćdziesiąta dziewiąta mocuje się z sześćdziesiątą i próbuje ją zatrzymać. Wreszcie słabnie, składa broń, wskazówka zegara przesuwają się i drzwi urzędu znów stają otworem.

Ewelinus leciał szybko, zbyt szybko – nietoperze uciekały przed nim, drąc się wniebogłosy. Jeden zagapił się i oberwał w głowę. Przekoziółkował potem w powietrzu ładnych kilkanaście metrów i byłby wylądował na czubku topoli, gdyby nie miękkie skrzydło Lokatusa, które go w porę przechwyciło (bo bez Lokatusa nie byłoby nietoperzy, ale czy bez nietoperzy istniałby Lokatus?).

Ewelinus spodziewał się, że korytarze urzędu będą zatłoczone – urzędnicy dawno nie mieli urlopu i wszystko wskazywało na to, że lada sekunda na ścianach ministerstwa pojawią się niebieskie kartki, na których w zawiły sposób zostanie wyjaśnione, dlaczego ta przerwa w pracy teraz, a nie za sekund pięć, kto o niej postanowił, kto jest odpowiedzialny, kogo potem za ewentualne straty ciągać po sądach niebieskich. Nikt już nie czyta tych oplutych atramentem dokumentów, bo cokolwiek by na nich napisano, końcowy wers niezmiennie pozostawał ten sam:

*Wobec powyższego wstrzymuje się działalność Ministerstwa na sekund
tyle a tyle*

Niebo jest ministerstwem podzielonym na departamenty, a każda komórka zajmuje się odrębnymi sprawami. Zjawisko hierarchizacji nie istnieje, nie ma zadań pilnych i pilniejszych, a żaden skrzydlaty urzędnik nie stoi wyżej od drugiego.

O określonych porach jada się posiłki we wspólnej stołówce, gdzie stoły ustawione są wokół baru samoobsługowego. Wszyscy dostają talerze jednakowej głębokości i łyżki o identycznie wyprofilowanych rączkach. Przypraw w zasadzie się nie używa i nikomu to nie przeszkadza, choć od czasu do czasu jakiś urzędas nowicjusz oburzy się głośno na brak pimentu lub czuszki w proszku albo zażąda łyżki czatni, szczypty ostryżu lub czegoś równie wymyślnego – jednak jego słowa tylko prześlizgną się nad głowami

skoncentrowanych na jedzeniu aniołów, bo żaden nie zareaguje. Nowicjusz będzie siedział nad talerzem, purpurowiejąc ze złości, aż wreszcie zrozumie, że w niebie najzwyczajniej nie wypada prosić o zbyt ostre przyprawy. Nie wypada i już.

Choć ministerstwo jest rozległe, a departamentów sporo, nie każdy anioł jest urzędnikiem. Większość skrzydlatych pracuje na Ziemi, opiekując się ludźmi, zwierzętami, żywiołami, a nawet przedmiotami z metalu, drewna, palonej gliny. Zajmują się wszystkim: odbieraniem modlitw i przechwytywaniem myśli, rejestrowaniem bólu, leczeniem chorób, rozsiewaniem miłości. Aniołom od przedmiotów pracuje się całkiem dobrze i jak dotąd żaden nie złożył w ministerstwie rezygnacji ani nawet nie poprosił o dłuższy urlop, bo podopieczni ufają im bezgranicznie, szanują i nie buntują się. Żywioły i zwierzęta są bardziej krnąbrne i nieco narowiste, ale prędzej czy później i one ulegają swoim aniołom.

Skrzydłaci, którym przypadło zajmować się ludźmi, uśmiechają się zaskakująco rzadko.

Gdy tylko Ewelinus przedarł się przez piekielnie gorącą egzosferę, zmniejszył prędkość, złożył skrzydła i zatrzymał się na chwilę. Następnie szczechnął jak pies, zapał jak kogut i dwukrotnie poruszył końcówką nosa – przestrzeń wokół niego momentalnie zakrzywiła się i po chwili spadła na niego istna orkiestra dźwięków: coś jęczało, wrzeszczało, dzwoniły dzwonki, biły bębny, grzmiały trąbki. Kiedy wszystko ucichło, powiał chłodny wiatr i przed zastygłym w bezruchu aniołem zmaterializowała się, wysoka na kilkadziesiąt stóp, obita blachą dwuskrzydłowa brama.

– Niosę Marzenie Ostatniej Generacji – powiedział Ewelinus.

Czknęło, jęknięło, zachrobotąło, zgrzytnął klucz, drgnęła masywna kłamka. Blaszane skrzydła bramy rozjechały się.

Na progu stał pulchny, niebieskowłosy anioł o sterczącej koziej bródce i dodatkowym oku pośrodku czoła.

– Aż tak źle? – zapytał, a Ewelinus skinął głową.

– Bardzo źle. Jest coraz gorzej, Clavisusie.

Niebieskowłosy westchnął i wyciągnął rękę.

– Wejdz, bracie. Celnicy skończyli posiłek i chętnie cię przyjmą.

Metalowa brama została stworzona dla aniołów pracujących z ludźmi.

W pierwszej połowie ziemskiego dwudziestego wieku skrzydlaci masowo porzucali pracę, migrowali do nieba, gdzie odrąbywali sobie skrzydła i wydłubywali oczy, przez co stawali się całkowicie niezdolni do dalszej służby na Ziemi. Trzeba było przemienić ich w drzewa i kamienie, bo na co niebiosom miliony ślepych, bezskrzydłych szaleńców, bredzących trzy po trzy? Ograniczono zatem wstęp do nieba, zbudowano metalową bramę i budkę dla celników, zatrudniono niebiesko-włosego Clavisusa, któremu wręczono pęk kluczy. Od tej pory, żeby wejść do nieba, anioł potrzebował Powodu.

– Niosę Marzenie Ostatniej Generacji – powtórzył Ewelinus.

Stół, za którym siedzieli ubrani w czerwone togi celnicy (było ich trzech), stał na podwyższeniu i Ewelinus musiał mocno zadzierać głowę, żeby widzieć twarze Cerberosów. Ten z lewej miał na oczach czarną opaskę, siedzącemu pośrodku zaklejono usta taśmą, a trzeciemu oblano woskiem uszy.

– No tak – pierwszy celnik pokiwał głową. – To poważna sprawa.

Cerberus siedzący pośrodku mrugnął powiekami i zmarszczył czoło.

Trzeci celnik zabębnił palcami o blat i spytał:

– Jaki masz Powód, bracie?

– Ależ Surdusie – ślepy podniósł głos. – Zachowujesz się nierozsądnie.

Co sobie o nas pomyślą? Przecież już nam odpowiedziano. Ewelinus ma

Powód, możemy podnieść szlaban i wpuścić go do nieba. Z Marzeniami Ostatniej Generacji nie ma żartów. Prawda, Mutusie?

Niemy celnik pokiwał głową.

– Bracie, żeby wejść do nieba, potrzeba Powodu. Najwyższy czas, abyś podał swój – upierał się głuchy jak pień Surdus.

Aureola ślepego zaczęła migotać:

– Przestańże powtarzać to niedorzeczne pytanie! Nie powinni byli zatrudniać cię na tym stanowisku. Zajmujesz miejsce, na którym mógłby błyszczeć ktoś inny. Czuję się w obowiązku powiadomić odpowiednie władze o tej wielkiej pomyłce.

Surdus splótł dłonie i strzelił kostkami palców:

– Czyżbyś nie miał Powodu, aniele? Czyżbyś chciał nas oszukać? Tyflusie, przejrzyj mu kieszenie. Czuję, że mamy przed sobą paskudnego przemytnika...

Ślepy uderzył pięścią o blat stołu:

– Jak śmiesz, Surdusie! Jak śmiesz kpić z mojego nieszczęścia!

Mutus zmarszczył czoło i cicho jęknął.

– O co chodzi, Tyflusie? – zafrasował się Surdus. – Czemuś tak nagle poczerwieniał? Źle się czujesz?

– Och ty... – warknął ślepy, a na jego czole pojawiły się krople potu. – Myślisz, żeś taki sprytny? Że uda ci się mnie oszukać? Niedoczekanie twoje, ty...

Tyflus poderwał się z krzesła i machnął pięścią. Surdus uniósł brew.

– Mutusie, czy ty coś z tego rozumiesz? A może Tyflus jest w zмовie z przemytnikiem, którego tu mamy przed sobą? Czyżby spisek? Afera? Wspaniale, uwielbiam afery! To trzeba natychmiast nagłośnić! Mutusie, przyjacielu, chodź ze mną, niech ta wiadomość obiegnie okolicę. Tyflus

zamieszany w przemyt... właśnie, czego? Przestępco, pokaż kieszenie! Mutusie, zabierzże wreszcie głos!

– Kłamco! – wrzasnął ślepy i wymierzył cios.

Jego twarda, wściekła pięść, zamiast dotrzeć do Surdusa, sięgnęła czaszki zasklepionego między ślepotą a głuchotą niewinnego Mutusa o ustach zaklejonych taśmą.

– Przestępco! – zawył głuchy Surdus, rzucając się na Tyflusa. Wyrwane ze skrzydeł pióra wzbily się w powietrze, aureole

zaczęły migotać, a czerwone togi załopotaly jak chorągwie na wietrze. Nie spuszczając wzroku z szamoczącej się trójki celników, Ewelinus wycofał się w kierunku wyjścia, po czym, przez nikogo niezatrzymywany odleciał na północ, do centrum nieba.

Ostatni raz był w ministerstwie grubo przed narodzinami Eweliny. Wtedy dopiero starał się o pracę, miał znacznie mniejsze i bielsze skrzydła, a poza tym przepelniał go niepohamowany entuzjizm. Wydawało mu się, że ma do spełnienia ważną misję, chciał służyć ludzkości, pragnął zmieniać świat i naprawiać błędy swoich poprzedników. Choć proponowano mu stanowisko młodszego inspektora w Departamencie Dystrybucji Bogactw, on wybrał gorzej płatną pracę na Ziemi (miesięcznie miało mu przybywać tylko jedno złote pióro).

Że dostał Ewelinę? Zwykły przypadek, takie zrządzzenie losu. Nie zgłosił żadnych preferencji i jego podopiecznym mógł zostać praktycznie każdy... Chociaż nie, nie każdy. Były dusze zarezerwowane dla aniołów z koneksjami, takich, co pracę z ludźmi podjęły z nudów. Przyjaciele urzędnicy dopilnowali, żeby podopieczni tych skrzydlatych spełniali właściwe kryteria: mieli to być ludzie inteligentni, zdrowi i bogaci, ale przede wszystkim – ze stuprocentową szansą na szczęście w miłości.

Bo niezaspokojony głód miłości sprawia, że w człowieku dojrzewają Marzenia Ostatniej Generacji. Niewiele jest aniołów, które potrafią unieść ciężar takich marzeń.

Ewelinus zajmował się Eweliną bardzo solidnie, za swoją służbę dostawał coraz cenniejsze nagrody, aż któregoś dnia zaproponowano mu awans: miał wziąć pod skrzydła duszę przyszłego milionera.

– Żadnych Marzeń Ostatniej Generacji, będzie interesował się wyłącznie pieniędzmi. Nie usłyszysz lamentów, narzekania, nie rzuci ci się pod pociąg, prawdziwa laba – kusił wysłannik ministerstwa.

Ewelinę przejąłby wówczas jakiś młokos, zapalony idealista, taki, co zamiast otoczyć dziewczynę opiekuńczymi skrzydłami, pchałby ją i pchał do przodu, aż do utraty tchu. Ewelinus nie chciał słyszeć o żadnej podmianie dusz, oskarżając tego z ministerstwa o stręczycielstwo i ogólnie niemoralność. Wysłannik podwinął skrzydła i zmył się jak niepyszny.

Ewelina rosła pięknie, słuchała podszeptów Ewelinusa, żyła szczęśliwie, doskonale czując się we własnym towarzystwie. Anioł patrzył z dumą, jak pod jego zręcznymi skrzydłami kształtował się nowy, dobry człowiek. I tak się na to swoje dzieło zapatrzył, tak się nim upajał, że zamiast dalej bacznie obserwować życie Eweliny, w pewnym momencie całą uwagę skoncentrował na sobie.

Proszę, oto ja, myślał. Anioł pierwszej jakości. Talent samorodny. Żadnego przeszkolenia teoretycznego, żadnych mistrzów, żadnych podpowiedzi. Do wszystkiego doszedłem sam. Sam! Gdybym zgodził się na pracę w ministerstwie, szybko by mnie awansowali. Ministrem bym został, to pewne. Kierowałbym departamentem albo siecią departamentów.

W tych swoich marzeniach stawał się coraz zuchwalszy.

Gdzież siecią, kierowałbym wszystkimi departamentami, całym ministerstwem! Tego nie dokonał żaden anioł, byłbym pierwszy, najlepszy, niepowtarzalny! A wreszcie... od Niego przejąłbym koronę...

W takich chwilach niebo zasnuwały ciemne chmury, zrywała się wichura i sypał deszcz piorunów, które, uderzając o ziemię, zdawały się rozłupywać ją na kawałki.

Pycha zasłoniła Ewelinusowi oczy tak szczelnie, że nie zauważył, kiedy Ewelinka przeobraziła się w panią Ewelinę. Jego uwadze umknęło jeszcze jedno: oto głęboko pod skórą podopiecznej zakiełkowało Marzenie Ostatniej Generacji. Ewelinie przybywało lat, a marzenie pęczniało w niej, przybierało na wadze, aż wreszcie zaczęło dosłownie rozsadzać ją od środka. Ewelinus dostrzegł je dopiero wtedy, gdy wyszło na zewnątrz, przybierając kształt anielskich skrzydeł.

Ewelina uważała swoje dzieciństwo za wyjątkowo udane. Niczego jej nigdy nie brakowało, miała dobrych rodziców i szczęście do obcych. Zauważyła, że gdy tylko zapragnęła czegoś wystarczająco mocno, gdy myślała o tym bardzo intensywnie, gdy nabierała przekonania, że marzenie się spełni – w jej życiu następował zwrot. Nagle i znikąd pojawiali się pomocni ludzie, pragnienia Eweliny materializowały się, a ona konsumowała je w samotności. Czasami miała wrażenie, że ktoś przy niej stoi, że gdyby nagle straciła równowagę, ten niewidzialny, ale wiecznie obecny podtrzymałby ją i nie pozwolił, by upadła na ziemię. Niekiedy słyszała dobiegający zza pleców cichy, ale wyraźny szelest poruszających się skrzydeł.

Któregoś dnia skrzydła zamarły. Ewelina wyteęzała słuch, ale obok niej nie było nic poza ciszą, gęstą jak zupa. Kiedy Ewelinus zaczął zachwycać się swoimi osiągnięciami, mała, beztroska Ewelinka zaczęła rozpadać się na kawałki, ustępując miejsca przerażonej, sfrustrowanej pani Ewelinie.

Przecież wszystko się spełniało, dostawałam, co chciałam, myślała z rozpaczą. Dlaczego teraz jest inaczej, dlaczego nie mogę mieć tego, o czym marzę?

Ale Ewelinusowi wszystko się pomieszało i zamiast dalej kochać człowieka, bez pamięci zadurzył się w sobie samym.

A Marzenie Ostatniej Generacji rosło w Ewelinie szybko jak cudze dzieci.

Skończyła szkołę i poszła do pracy. Jej dni były kopiami siebie nawzajem, wszystkie identyczne, równie płytkie i bezbarwne, nudne do nieprzytomności. Ewelinie przybywało lat, a u jej boku wciąż wiało pustką. Nie spotykała nikogo, kto mógłby ją zapełnić. Koleżanki wychodziły za mąż, rodziły dzieci, a w jej domu wiał halny. Kiedy skończyła trzydzieści lat, Marzenie Ostatniej Generacji zaczęło pęcznieć w strasznym tempie, aż w końcu rozpruło jej ciało i pod postacią olbrzymich skrzydeł wydostało się na zewnątrz.

Ewelinus spojrział, zdumiony.

Ledwo dotarł na teren parku otaczającego Departament Marzeń Ostatniej Generacji, poczuł nagły, paraliżujący skurcz pośrodku pleców, dokładnie między skrzydłami. Zatrzymał się obok szpaleru brzoź i ramieniem oparł o jedną z nich – wysysając ból i zastępując go ciepłym prądem, drzewo jęczało i wzdychało jak ciężko spracowany człowiek. Kiedy skurcz ustąpił, anioł pogładził pień brzozy i głośno podziękował za pomoc.

Na korytarzach budynku Departamentu Marzeń Ostatniej Generacji panowała niepokojąca cisza. Ewelinus pokręcił się chwilę między piętrami, obejrzał wszystkie ściany sufity i podłogi, ale nigdzie nie wywieszono żadnej notatki, ogłaszającej sekundy wolne od pracy – jedyne, co zauważył, to metalowa tabliczka, na której precyzyjnie wygrawerowano zdanie:

Krzyczcie szeptem

Cisza nadal go niepokoiła, ale wyglądało na to, że urząd pracuje normalnym trybem. Zszedł na parter, odkaszlnął i (zgodnie z zaleceniami) krzyknął szeptem:

– Ewelinus od Eweliny do Administratora!

Błysnęło, aniołem zatrzęsło solidnie, a w powietrzu zatańczyły kolorowe płatki. Powietrze zagięło się, tworząc wokół skrzydlatego swoisty kokon, chwilę później korytarz zniknął i Ewelinus znalazł się na dachu budynku, gdzie swoje biurka rozstawione mieli wszyscy pracownicy departamentu. Wiatr delikatnie pogładził pióra skrzydeł.

– Cóż tam. Witaj, bracie.

Przed Ewelinusem pojawił się wysoki, wąsaty anioł o haczykowatym nosie i zwichrzonych brwiach.

– Cóż tam. Masz, jak rozumiem, pliki do sprawdzenia. Ewelinus kiwnął głową.

– W takim razie chodź ze mną – powiedział wąsaty i po chwili dodał szybko: – Cóż tam.

Stanowisko Administratorów Niebiańskiej Sieci usytuowano na przeciwnym skraju dachu. Trzeba było przedrzeć się przez gęsty tłum bosonogich postaci w różowych togach, Ewelinus nadepnął komuś na odcisk, zawstydział się i grzecznie przeprosił. Zastanawiał się później, kim był ów nieszczęśnik: ministrem, portierem, stażystą? Tu wszyscy chodzili w takich samych strojach, nikogo nie wyróżniano, nikt nie miał lepszej szaty. Wszyscy bosonodzy wyglądali jak wielka rodzina i jedyne, co ich różniło, to wąsy lub ich brak.

Stanowisko Administratorów ugięło się pod ciężarem skrzydlatych specjalistów: aniołowie siedzieli w kucki nad pękatymi beczkami po brzegi wypełnionymi wodą, wypatrując w nich Bóg jeden wie czego.

– Cóż to, mów, bracie, jakie dane wprowadzić. Ewelinus trzepnął skrzydłami, odkaszlnął i powiedział:

– Ewelina od Ewelinusa Iuvenisa, rocznik siedemdziesiąty dziewięty.

Wąsaty pochylił się nad jedną z beczek, podciągnął rękaw i zanurzył dłoń w wodzie.

– Współrzędne?

– Dwadzieścia jeden wschód, pięćdziesiąt dwa północ.

– Cóż to... Wyśmienicie. Lewa stopa?

– Dwadzieścia pięć koma jeden. Prawa – uprzedził pytanie Ewelinus dwadzieścia pięć koma dwa.

Wąsaty wyglądał na zadowolonego.

– Cóż to! Hasło?

Ewelinus zmarszczył czoło i odpowiedział:

– Samotność miasta zakłada.

– I jest komplet, cóż to! – zawołał radośnie wąsaty. – Teraz wprowadzę, cóż to, polecenie. – Zakreślił dłonią dwa razy, woda w beczce zgęstniała. – Trwa weryfikacja danych... cóż to... czekaj, bracie, cierpliwie, wciąż sprawdza... Potwierdziło – ucieszył się. – Szukać we wszystkich zasobach... cóż to... wyłączyć filtr... Edytować wynik, cóż to... Sortować według trafności. Jest! – Zaśmiał się. – A teraz już tylko enter... CÓŻ – wrzasnął nagle i podskoczył – TO!!!

Skupieni wokół pozostałych beczek Administratorzy poderwali się z klęczek i otoczyli wąsatego ciasnym pierścieniem.

– Cuuuuuuuuuuszszszszszszszszszttttttttooooooooooooo

– wydobyło się naraz ze wszystkich gardeł.

– Ha! – krzyknął wąsaty. – Cóż to, bracie, w czyjej sprawie ty do nas przychodzisz? W sprawie takiej zwykłej, przeciętnej śmiertelniczki? Niby czemu mielibyśmy spełnić twoją prośbę, co?

Ewelinus trzepnął nerwowo skrzydłami i odruchowo cofnął się o pół kroku. Wiedział, że nie będzie lekko – Marzenia Ostatniej Generacji spełniało się tylko wyróżnionym osobnikom.

Oblizął wargi i powiedział:

– Drodzy bracia, wyobraźcie sobie łąkę...

Administratorzy popatrzyli na niego zdziwieni. Ewelinus złapał głębszy oddech i mówił dalej:

– Zieloną, poprzetykaną główkami polnych kwiatów, pachnącą sianem i ziołami... Leżycie sobie na trawie, wokół cisza, spokój, nikt wam nie przeszkadza, nikt nie zawraca głowy...

Wąsaty podrapał się w potylicę i zauważył:

– Cóż to, bredzisz, bracie. Pytałem przecież... Ewelinus uciszył go ruchem dłoni i kontynuował:

– Wtem rozlega się miauczenie. Żłosne, coraz głośniejsze. Podnosicie się na łokciach i rozglądacie wkoło. Miauczenie nie ustaje, komuś dzieje się wielka krzywda, skóra wam cierpnie...

Administratorzy złożyli skrzydła i ściągnęli ramiona. Kilku przekrzywiło głowy i zmarszczyło czoła.

– Dostrzegacie kotka... A właściwie jego maleńką, czarną jak węgielek główkę... Wąsiki jak zapaleczki, oczka jak koraliki, mokry nosek... Kotek miauczy, otwiera pyszczek...

Wąsaty rozejrzał się niepewnie – bosonodzy złapali się za ręce, oczy im poczerwieniały, a brody zaczęły drgać. Ewelinus mówił dalej:

– Biedne stworzonko, ktoś je skrzywdził, trzeba mu szybko pomóc! Podnosicie się i podchodzicie do kotka. Co to? – wrzasnął nagle Ewelinus, a różowy mur Administratorów Niebiańskiej Sieci podskoczył gwałtownie. – Co to? Gdzie reszta? Kotek nie ma ciała!

– Cuuuuuuuuuuuuuszszszszszszs... – zaszemrał mur. Dwóch Administratorów zaczęło łkać spazmatycznie.

– Główka bez ciała, ciało bez główki! – darł się Ewelinus.

– Trzeba złożyć kotka w całość, i to już!

Wąsaty rozdziawił usta.

– Moja Ewelina jest główką, reszty brak – triumfował Ewelinus. – Zatem do sieci, bracia, szukamy ciała!

Mur poruszył się, ręka puściła rękę i po chwili wokół beczek zaroilo się od różowych tog i bosych, przestępujących w miejscu stóp.

– Mam! – krzyknął ktoś, ale już po chwili licytowali go inni:

– I ja mam!

– Mam najlepszego!

– Temu zabierzemy!

– Tej się nie należy!

– Wiwat, bracia!

Ewelinus zachował się jak prawdziwy profesjonalista. Zanim opuścił Ziemię i stanął przed metalową bramą, przeprowadził intensywne prywatne dochodzenie. Ewelina zasypiała, a on odbywał dalekie podróże – penetrował obce ziemie, zapoznawał się z miejscowymi aniołami i ciągnął je za język.

Starał się pilnować, żeby nikt się nie domyślił, jaki cel mu przyświecał – skrzydlatym nie wolno plotkować i spiskować przeciwko sobie. A on postanowił zdobyć jak najwięcej informacji o Administratorach Niebiańskiej Sieci, chciał poznać ich czułe punkty i rozeznać się w obyczajach – wszystko

po to, by obmyślić najlepszą strategię. By marzenie Eweliny, Marzenie Ostatniej Generacji, zostało spełnione jak należy.

Jeśli chodzi o ludzkie marzenia, w Niebie wprowadzono następujący system: każda prośba, każda modlitwa trafia w pierw do świadomości Anioła Stróża, gdzie zostaje poddana wstępnej analizie i oczyszczona z cywilizacyjnych szumów – ostatnimi czasy fale radiowe zakłócają przekaz coraz mocniej, słowa modlitwy płaczą się i mieszają, i bywa, że intencje modlącego się nigdy nie zostają rozszyfrowane.

Następnie pod postacią skromnego pliku modlitwa trafia do beczek bosonogich Administratorów. Ci przegarniają rękoma wodę, ludzkie życzenie przepływa im między palcami, łaskocze, wreszcie zawisa bliżej powierzchni, oplatając ich nadgarstki jak rzęsa, kwitnąca na jeziorze. Modlitwa wysłuchana to taka, która uczepi się rąk Administratora na tyle mocno, by nie opaść na dno beczki i nie spocząć w wiecznych ciemnościach.

Inaczej ma się sprawa Marzeń Ostatniej Generacji – marzeń o wielkiej miłości, zatraceniu w uczuciach, idealnym zespoleniu dusz. Te są niebezpieczne. Jeśli wpełzną do świadomości człowieka i pozostaną niespełnione, zniszczą wszystko, nawet Anioła Stróża. I dlatego każdy skrzydlaty powinien bacznie obserwować swojego podopiecznego. Bo jeśli Marzenie Ostatniej Generacji zalęgnie się w sercu człowieka, wówczas anioł, żeby ratować własną skórę, musi zrobić wszystko, aby je spełnić.

A zadanie to nie należy do najprzyjemniejszych. Największą przeszkodą są uparci jak kozy Administratorzy Niebiańskiej Sieci, ale i na nich skrzydlaci mają swoje sposoby – ofiarowują im złote pióra, czyszczą ich różowe togi, wymieniają wodę w beczkach. Bosonodzy są łasi na wszelkie pochlebstwa, a na dodatek szalenie lubią, jak im ktoś usługuje i wyręcza we wszystkim.

Historia z kalekim kotem była mistrzostwem wszechświata. Otóż podczas jednej ze swoich nocnych podróży Ewelinus podsłuchał rozmowę dwóch aniołów nowicjuszków. Opowiadali, że któregoś dnia na dach Departamentu wskoczył młody kot. Bosonodzy nawet głów znad beczek nie podnieśli, tylko dalej nieprzerwanie młócili wodę gołymi rękami lub po prostu tkwili zagapieni w jej tafłę. Jak to się stało, że zwierzę wpadło do jednej z beczek, nie wiadomo. Dość, że kiedy biło łapami wodę, rzucało się i błagało o pomoc, żaden z Administratorów nie podniósł się, by zwierzaka wyciągnąć. I nawet ten, w którego beczce topił się kot, nie zrobił nic – siedział obok i spokojnie patrzył do jej wnętrza. W efekcie kot utopił się, a jego ciało jakimś cudem oddzieliło się od głowy i zdematerializowało. Głowa zaś, powielona w ilości odpowiadającej liczbie beczek, zatoneła w odmętach administratorskiej wody i od tej pory wypływa na powierzchnię raz na jakiś czas, strasząc bosonogich wyszczerzonymi zębami i ślepiami okrągłymi jak guziki.

Jeśli Ewelinusowi dopisze szczęście, Administratorzy spełnią Marzenie Ostatniej Generacji i jego skóra zostanie uratowana. Ale to nie koniec historii.

W niebie mają bowiem trzy olbrzymie, szklane słoje: w jednym leżą kule czerwone, w drugim białe, trzeci jest pusty. Wyznaczono anioła, który dniem i nocą, kiedyś, teraz i potem, siedzi na stołeczku między słojami i intensywnie się w nie wpatruje. Każda kula czerwona odpowiada jednemu Marzeniu Ostatniej Generacji – jeśli Administratorzy zezwolą i marzenie zostanie spełnione, anioł wyławia z obu słoików po jednej kuli, by następnie wrzucić je do pustego naczynia. To się nazywa sprawiedliwość. To się nazywa równowaga w przyrodzie.

To się nazywa: Świat. Jeśli jeden otrzyma więcej, drugiemu zabierają dokładnie tyle, ile trzeba, żeby wszystko zostało constans. Inaczej być nie może. Każda wysłuchana modlitwa, każde spełnione marzenie jest kradzieżą

cudzego szczęścia, bo na świecie radość musi równoważyć smutek, miłość nie może ważyć więcej niż nienawiść, brak pióra w jednym skrzydle to o jedno więcej w drugim, moich sześć siwych włosów to twoich czarnych trzy mnożone przez dwa.

Więc jeśli Ewelinie podarują wiadro miłości, ktoś inny, ktoś zupełnie przypadkowy, ktoś, w kim bystre oko Administratora ujrzy właściwe ciało dla głowy, zostanie jednego wiadra pozbawiony. A że szczęście jest ślepe, nigdy nie wiadomo, kto będzie następny.

Cofnijmy się o kilka godzin, to jest do chwili, w której Lenka, już po spotkaniu z dyrektorem, siedziała właśnie w pokoju, pisząc pierwsze zdania nowego opowiadania. Skoncentrowana, nie usłyszała pukania, które z całą swoją natarczywością zaczęło dobiegać zza drzwi. Ktoś musiał krzyknąć jej nazwisko, żeby wreszcie oprzytomniała.

Za progiem stała Ania z koleżankami. Wszystkie były bardzo czymś przejęte i miały błyszczące oczy.

– Nie chciałyśmy przeszkadzać, ale szukał pani kurier. Poprosił nas, żeby to pani zanieść. Nawet nie chciał pokwitowania.

Ania wyciągnęła rękę. Trzymała w niej bukiet egzotycznych kwiatów.

– To chyba jakaś pomyłka. – Lenka zmarszczyła brwi. – Trzeba było mnie zawołać, dziewczynki, a nie samym odbierać takie rzeczy.

Uczennice zawstydzily się i zmieszały.

– No ale on tak nalegał. I kwiatki ładne – wyjaśniła Ania, czerwieniąc się po czubki uszu.

Lenka spojrzała na kwiaty z niechęcią. Podejrzewała tylko jedną osobę: Oskara Brzóskego. Wiedział, że nie chciała z nim rozmawiać, więc zdecydował się na kwiaty. I pewnie dlatego poprosił kuriera, żeby nie

przekazywał bukietu osobiście! Bo jeszcze mogłaby ich nie przyjąć, a nastolatki, wiadomo, były łatwym celem. Westchnęła.

– Następnym razem mnie jednak poproście – powiedziała, biorąc kwiaty od przejętej Ani. – Nie wolno odbierać cudzych rzeczy, jeśli się nie ma zgody tej osoby.

Dziewczynki kiwnęły głowami i uciekły korytarzem. Zamykając drzwi, słyszała jeszcze ich stłumione, nerwowe śmiechy. Spojrzała na bukiet – ładny, ale raczej kłuł ją w oczy, niż cieszył. Wśród kwiatów zauważyła bilecik. Wyjęła go, otworzyła.

Proszę, wszystko jasne. Było tak, jak podejrzewała.

Przepraszam, jeśli Cię zraniłem, Oskar

Potem, w pierwszym odruchu, chciała wyrzucić kwiaty do kosza, jednak w ostatniej chwili zawahała się. Przecież nikt nie był czarno-biały, łącznie z nią samą. Nalała wody do kubka i wstawiła bukiet. Po chwili powietrze przesiąknęło słodkim, nieco dusznym zapachem egzotycznych kwiatów, co, jak ze zdziwieniem zauważyła po jakimś czasie, bardzo pomagało jej w pisaniu. W drugim dokumencie, który używała jako brudnopis, zanotowała nawet w związku z tym kilka słów:

Zapach – kopniak dla głowy.

Głowa – bez ciała istnieć nie może.

Ciało – marnieje bez miłości.

Zesztywniała, zelektryzowana. To było to! Ciało dla głowy, głowa dla ciała. Znalazła puentę dla opowiadania, wymyślając nagle cały jego przebieg. Zerknęła życzliwie na kwiaty. W sumie – dzięki, Oskarze Brzóska. Bardzo pomogłeś.

Lenka, oczywiście, pomyliła się. Kwiaty rzeczywiście przysłał Oskar, ale nie ten, którego podejrzewała. Sobie tylko znanym sposobem odnalazłszy Lenkę, Oskar Guttman wysłał jej kwiaty, reagując w ten sposób na życzenie Brzóskego. Zakochany w sobie zapomniał tylko dopisać do imienia swoje nazwisko.

Historia z bukietem miała również inne konsekwencje. Zamiast organizować zieloną noc, dzieciaki pouciekały w nocy z łóżek, zbierając się w jednym z pokoi, gdzie ściszonymi głosami gorączkowo rozprawiły na temat miłosnych perypetii nauczycielki Lipowskiej. Wszyscy byli zgodni w jednej sprawie: odkąd wzięła się za siebie i wyszła ze starych ciuchów, stała się bardzo atrakcyjną babką, więc nic dziwnego, że mężczyźni tak o nią zaczęli zabiegać i nawet dyrektor ją polubił. Ania, która chyba najbardziej ze wszystkich przejęła się całym zdarzeniem, w środku nocy zasypała Basię esemesami, opisując prawdziwe naręcza kwiatów, z jakimi rzekomo co rusz przyjeżdżali kurierzy. A wszystko dla Lipowskiej! Baśka odebrała esemesy z samego rana i bez śniadania wystrzeżiła z domu.

Dzwoniła. Pukała. Waliła pięściami. Brat nie reagował. Rozważała nawet wejście przez balkon sąsiadów, kiedy drzwi nagle się otworzyły.

– Jeśli powiesz, że znowu piłeś, zabiję cię.

Baśka wparowała do mieszkania brata jak burza gradowa. Wpadła do salonu i zamarła.

Wszędzie – na dywanie, meblach, parapetach – leżały kartki. Wszystkie gęsto zapisane i pokreślone fluorescencyjnymi mazakami. Komputer był włączony, a na ekranie widać było stronę dziwnego programu z okienkami na ruchome obrazki, z wyrysowaną linią czasu i suwakami zaznaczającymi na niej kolejne ważne punkty.

Spojrzała pytająco na Oskara. Wyraźnie niewyspany, potargany, niedogolony, wyglądał jak siedem nieszczęść. Choć... było w nim jakieś światło, jakaś mądra iskierka w zapuchniętych oczach, której nigdy wcześniej nie widziała.

– Co to jest? – bąknęła nieśmiało, wskazując na rozrzucone wszędzie kartki.

Oskar nalał cło szklanki soku pomarańczowego i podał siostrze.

– Moja nowa praca.

Baśka prawie zachłysnęła się sokiem.

– Znalazłeś robotę i nic nie mówisz?!

Oskar zaczął zbierać kartki. Układał je na biurku.

– To raczej ona mnie znalazła. Chyba dlatego całe życie ciągnęło mnie przed kamerę, bo czułem, że właśnie praca z nią jest mi przeznaczona. *Sorry*, jeśli zabrzmiało pompatycznie. – Zaśmiał się.

Basia usiadła na kanapie, ostrożnie odsuwając leżące tam kartki. Miała niewyraźną minę.

– Możesz jaśniej, bo nie kumam.

Oskar kucnął przed siostrą i poklepał ją po dłoni.

– Nawet nie wiesz, mała, ile ci zawdzięczam. Dzięki tobie poznałem Lenkę, która z kolei pomogła mi zrozumieć, co jest dla mnie najważniejsze. Ten bałagan, który tu widzisz – wskazał głową na pokój – to fragmenty mojego scenariusza. Chcę zrobić film dokumentalny na podstawie jej opowiadania. Jest tyle rzeczy, które można pokazać! Tyle ważnych rzeczy.

Wstał i rozmasował kark. Całonocne ślęczenie przy komputerze dawało mu się we znaki, bolały go mięśnie.

– Zjesz coś? Miałem właśnie robić śniadanie.

Oszołomiona Basia kiwnęła głową w milczeniu. Z wrażenia zapomniała, że sprawa, z którą przyszła do brata, miała bardzo krótki termin ważności, niebezpiecznie zbliżając się już do stacji z napisem „Za późno”.

Do Warszawy wrócili bardzo wcześnie, bo już koło dziesiątej byli na Centralnym. Upewniwszy się, że wszystkie dzieci trafiły w ręce rodziców, Lenka pojechała do mieszkania ciotki, pomóc w pakowaniu rzeczy przed wyjazdem.

Ada właściwie siedziała na kartonach. Pokoje były puste, gdzieś gdzieś poniewierały się tylko jakieś drobiazgi, z którymi nie wiadomo było, co zrobić. Powinna się ich pozbyć, ale sentyment do przedmiotów krępował ręce.

Lenka obeszła wszystkie pokoje.

– Spracowałam się – powiedziała z uznaniem. – Myślałam, że będziesz w proszku.

– A niby czemu? – zdziwiła się Ada. – Czyżby tylko dlatego, że nigdy w życiu z niczym nie zdążałam, że zawsze byłam w niedoczasie i ogólnie z ręką w nocniku, jeśli nie z dwiema?

– No, chyba właśnie dlatego.

Wybuchnęły śmiechem.

– Prosiłabym o więcej szacunku dla starszych. – Ada udała obrażoną.

Lenka poklepała ją po łopacie.

– Się robi, staruszko.

W odpowiedzi Ada rąbnęła ją gumowym krokodylem, którego właśnie zamierzała spakować do pudła z rzeczami do łazienki. Po chwili okładały się czym popadnie (ścierką sztuk jeden, torebką z kawą rozpuszczalną sztuk jeden, jaškami sztuk dwie), zupełnie nie zważając na prawa i obowiązki wynikające z różnicy lat.

Bitwę skończyły kilka minut później, tuż po tym, jak jeden z jaśków zwymiotował pierzem. Usiadły na podłodze, zziębnięte i szczęśliwe.

– Trzeba będzie posprzątać te pióra – powiedziała Ada, związując potargane włosy. – Bo się na dziś zapowiedział ten ważny klient.

– Świetnie. Myślisz, że jest naprawdę zainteresowany?

– Jestem pewna. Hugo czesze jego żonę. Podobno wygadała mu się, że postanowili z mężem żyć bardziej spirytualnie i w ramach pierwszego kroku kupują mieszkanie od pewnej wróżki. – Ada sugestywnie dźgnęła się palcem w pierś.

– Spirytualnie? Duchy chcą wywoływać? – zdziwiła się Lenka.

Ada wzruszyła ramionami i powiedziała z wyższością księgowego nad nawiedzonym poetą:

– Cholera ich wie. To strasznie nawiedzone towarzystwo. Lenka kiwnęła głową.

– Wróżek im się zachciało.

– Właśnie. Jest tylko jeden problem... – Ada zawiesiła głos – Dziś po południu jestem też umówiona na podpisanie umowy w sprawie tego mieszkania w Łodzi.

Niewiadomego pochodzenia wiatr poderwał kilka piór i przez chwilę bawił się nimi w powietrzu. Lenka złapała jedno z nich.

– I jak chcesz to pogodzić?

Ada niepewnie spojrzała na siostrzenicę.

– Najgorsze, że tej Łodzi nie mogę już odłożyć. Trzy razy przekładałam ten termin i jak się w końcu zdecydowałam na konkretny dzień, to się potem okazało, że ta sama data pasuje klientowi od mojego mieszkania.

– Cholera.

– Właśnie! Próbowałam nawet, no... – Ada nerwowo oblizwała wargi. – ...trochę poczarować, żeby sami przełożyli termin, ale...

Lenka pogładziła Adę po dłoni.

– Nie przejmuj się. Może ci się słowa pomyliły, drugim razem na pewno wyjdzie.

– Nie, nie o to chodzi – szybko uzupełniła Ada. – Widzisz, sęk w tym, że oni rzeczywiście przełożyli dzień spotkania. Tylko że... dziesięć minut później zadzwoniła Łódź. Też zmienili datę. Jedni i drudzy na ten sam dzień. Czyli na dziś.

Ada popatrzyła poważnie na Lenkę.

– Dlatego będziemy się musiały rozdzielić. Lepiej, żebyś to ty pojechała do Łodzi, bo jeśli ci moi klienci chcieliby już dziś podpisać umowę, powinnam być na miejscu.

Lenka uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Nie ma sprawy. Tylko daj mi adres, z resztą sobie poradzę. – Podniosła się. – W sumie szkoda, że nie wiedziałam wcześniej, mogłam sprawdzić na dworcu, o której odjeżdżają pociągi.

Ada wstała i wygładziła spódnice, z której zdjęła jaśkowe piórko. Potem podniosła z krzesła torebkę, z której wyjęła papierową saszetkę z biletem.

– Lepiej zamówmy taksówkę. Twój pociąg odjeżdża za godzinę.

Oskar krzątał się po kuchni, przygotowując kawę do śniadania. Basia siedziała na stołku barowym przy bufecie, machając nogami. Była bardzo zadowolona. Brat opowiedział jej ze szczegółami, jak będzie wyglądał jego film, streścił scenariusz i nawet pokazał nagrane już sceny. Puścił je bez dźwięku, tłumacząc, że jeszcze nad nim nie pracował i że na razie były zbyt słabej jakości, żeby coś zrozumieć. Nie nalegała. Zaskoczyło ją co prawda, że na ekranie przewijała się co chwila sylwetka ojca, ale Oskar wytłumaczył, że

potrzebował szybko kogoś do roli narratora, więc kto miał się zgodzić w tak ekspresowym tempie, jak nie ich własny tata?

– A co on tam mówi? Skoro nie można tego puścić przez głośniki, to chociaż mi to streść.

Oskar zmieszał się, odwrócił i zaczął intensywnie mieszać łyżeczką w kubku z zaparzoną właśnie kawą.

– Między innymi czytał fragmenty opowiadania Lenki, a poza tym...

Baśka nagle upuściła kanapkę na talerz.

– Jezu, zapomniałam! – Poderwała się ze stołka. – Oskar, to ty wysłałeś jej kwiaty na obóz?

Brzóska gwałtownie odwrócił się do siostry.

– Jakie kwiaty?

Baśka momentalnie straciła dobry humor.

– Chcesz powiedzieć, że te egzotyczne bukiety to nie były od ciebie?! Czyli Lenka ma już innego.

– O czym ty mówisz?! – Oskar złapał Baśkę za rękę. – Jakiego innego? O co ci chodzi?!

Baśka wyrwała się z jego uścisku.

– O to, mój drogi – powiedziała przez zęby – że jak tak będziesz tu siedział na tyłku, to za chwilę żaden film nie pomoże, bo Lenka już będzie daleko z tym nowym, co jej przysyłał kwiaty na Mazury. – Zamyśliła się nagle. – To pewnie dla niego wyprowadza się z Warszawy. Mam mówić dalej, czy znów będziesz mnie szarpał za rękę?!

Oskar poczuł się dziwnie. Pierwszy raz w życiu tak bardzo zakręciło mu się w głowie, że musiał się o coś oprzeć, żeby się nie zatoczył. Wsparty ręką o blat, spojrzał z bólem na siostrę.

– Nie będę. Mów.

– Moja koleżanka dowiedziała się, że Lipowska rzuca pracę w szkole i wyjeżdża na stałe do Łodzi. Poza tym, jak byli na obozie, jakiś gość przysyłał jej kwiaty, a wcześniej chodziła smutna. Nie wiem, jak tobie, ale mnie się to dziwnie kojarzy z tym słowem na „m”.

Oskar zagryzł wargi. Myślał nad czymś intensywnie. Basia spojrzała na niego niepewnie. Może powinna była mu dawkować emocje, bo w tej chwili wyglądał okropnie. Zrobił się jakoś niezdrowo blady.

– Jadę do niej.

Ada bała się zostawić mieszkanie na wypadek, gdyby klientom przyszło nagle do głowy przyjechać wcześniej, więc na dworzec Lenka pojechała sama. Na peron wpadła w ostatniej chwili. Pociągi stały na obu torach, na szczęście udało się złapać konduktora. Był jeszcze bardziej nieprzytomny od niej i sprawiał wrażenie, jakby służbowy uniform bardzo go cisnął.

– To jest pociąg do Łodzi? – rzuciła w pośpiechu – Konduktor podniósł na nią zdziwiony wzrok.

–No...

Skinęła głową i wskoczyła do wagonu. Po chwili pociąg ruszył. Odjechała w stronę Łodzi, gdzie miała sama spędzić tylko jedną noc – wcześniej ustaliła z Adą, że ciotka dojedzie następnego dnia z samego rana. Zaplanowały też, że do Warszawy wrócą dopiero po weekendzie, głównie po to, żeby spakować rzeczy Lenki, załatwić sprawy w urzędach i jeśli szczęście dopisze, wynająć komuś jej mieszkanie. Przedtem, przez tych kilka najbliższych dni, postanowiły rozejrzeć się po Łodzi, oswoić z nowymi miejscami, poszwendać po okolicy.

Pociąg jechał powoli, koła stukały miarowo. Lenka bardzo szybko zasnęła.

Oskar Brzóska zaparkował przed blokiem Lenki, wznecając chmurę piasku. Śpieszył się. Do klatki wpadł jak strzała, pędem wbiegł na górę, pokonując dwa, a czasem nawet trzy schodki naraz. Miał serce w gardle i spocone dłonie. Przez ramię przewiesił sobie kamerę – chciał jej pokazać, nad czym pracuje. Nie mogła mu uciec! Nie teraz, kiedy był o krok od zrehabilitowania się w jej oczach! Przecież właśnie określił samego siebie i odnalazł własną tożsamość! Taką tożsamość, z której nareszcie mógł być dumny. Cholera! Miał ochotę bić się za Lenkę, zmiażdżyć faceta, który zaczął się do niej przystawiać. Tu, w tej chwili, był gotów, gotów jak diabli! Wskakując na ostatnie półpiętro przed jej drzwiami, pomyślał nawet, że ten facet mógł przecież właśnie być z nią w mieszkaniu. O, wspaniale, doskonale! Odruchowo podciągnął rękawy. Zabije drania, zabije, jeśli nikt go nie powstrzyma!

Przed drzwiami Lenki złapał kilka oddechów. Próbował się uspokoić, stonować trzęsące się ręce. Poczł niepewność w żołądku. Tylko spokojnie, trzymajmy się pionu, nie dajmy się zwariować.

Zadzwoił raz, drugi, trzeci. Nikt nie zareagował. Potem zapukał. Nic. Przysunął twarz do drzwi, próbując wysłuchać, czy z mieszkania nie dobiegały jakieś szmery. Nie usłyszał żadnego dźwięku.

Poza cienkim głosikiem, który odezwał się z wysokości jego pasa, sepleniąc:

– Nie ma jej, prosę pana.

Oskar odwrócił się. Na schodach stał mały chłopczyk, na oko ośmiolub dziewięcioletni, w zadumie żując gumę. Zrobił balona, któremu pozwolił po chwili rozpląszczyć się na ustach.

– Pojechała – dokończył, zeskrobując sobie resztki gumy z twarzy.

– Masz na myśli panią Lipowską? – niepewnie zapytał Oskar.

Od czasu, jak Baśka była mała, nie miał do czynienia z dziećmi. Czuł się nieswojo.

– Nie. Helusię.

– Kogo?

Chłopiec wymierzył palcem w drzwi Lenki.

– Helusię. Tu mieszka.

Oskar stłumił śmiech, czując jednocześnie, że napięcie, które jeszcze chwilę temu go obezwładniało, zaczęło ustępować. Helusia Lipowska, jak słodko.

– Aha. A wiesz może, gdzie pojechała?

Dziecko westchnęło i prawie zakrztusiło się gumą.

– Kurce, prawie połknąłem – powiedział z przejęciem. – Mama by mnie zabiła.

Oskar wyjął chusteczkę z kieszeni i podał chłopcu.

– Masz, wypluj na to.

Chłopczyk spojrzał podejrzliwie. .

– Nie wolno mi brać od obcych.

Oskar podrapał się w kark.

– Bardzo słusznie. To nie bierz.

Dziecko kiwnęło głową, po czym wypluło gumę na rękę, zwinęło w kulkę i z namaszczeniem przykleiło do ściany.

– Helusia pewnie pojechała do cioci. Często tam jeździ i dlatego nie ma czasu bawić się ze mną chomickiem.

– Jakim chomickiem? – Oskar już ledwo powstrzymywał się od śmiechu. Chłopczyk był przezabawny, dokładnie takie dziecko mógłby kiedyś mieć... Znaczy, mogliby... Zresztą, nieważne. – Masz na myśli zwierzątko?

– A co innego? Chomicków pan nie zna? Mają futerko, nos i strasnie sybko zapiepsają, jak się je wypuści z klatki.

Oskar nie mógł się nie zgodzić.

– To Helusia mi kupiła chomicka – pochwalił się chłopczyk.

– Fajna z niej laska.

– Khem, tak... A wiesz może, gdzie mieszka ta jej ciocia? To dla mnie bardzo ważne.

Dziecko badawczo spojrzało na Oskara.

– Pan jest ten kochanek? Bo kiedyś słysałem, jak mama mówiła tacie, że psyjezdza do niej jakiś kochanek.

Oskar zmarszczył czoło. Dziecko najwyraźniej wiedziało więcej od niego i to dokładnie w tej sprawie, która nim tak poruszyła.

– ...takim cerwonym kabrioletem – dokończył chłopczyk.

– Nie ma pan tic-taców psypadkiem?

Nie miał. Za to właśnie przybył mu bardzo ważny powód do radości. Przecież to on jeździł czerwonym kabrioletem!

– Skoda – westchnęło dziecko i wryło paznokciem krechę w tynku na ścianie. – Ale i tak panu powiem. Mama zna adres tej ciocie, bo to wróska, wie pan, i mama do niej chodzi sobie wróżyć.

Kilka minut później Oskar odjeżdżał z piskiem opon sprzed bloku Lenki. Na fotelu pasażera leżała kartka z adresem mieszkania wróżki Ady. Chłopczyk razem z mamą patrzyli za Oskarem z okna swojego mieszkania.

– Widzisz, mama? – zagadnął chłopczyk, żując nową gumę. – Psyprowadziłem ci wrescie tego kochanka.

Miasto, jak zawsze, gdy się człowiek spieszy, było po brzegi wyładowane samochodami, które płynęły przez nie jak kasza manna przez smoczek. Oskar, tym razem już bezbłądnie, znalazł kilka objazdów, które

umożliwiły mu w miarę sprawne ominięcie korków. Był już naprawdę blisko mieszkania Ady, gdy stanął na światłach. Przeklął głośno. Mógł pojechać na pomarańczowym, przecież miał taki ważny powód!

I wtedy ją zauważył.

Ada krzątała się bez sensu po mieszkaniu. Próbowwała nie myśleć o tym, jak bardzo będzie go jej brakowało. Dotykała niektórych ścian, coś do nich szepcząc. Wracały wspomnienia, wszystkie dobre chwile, które tu spędziła.

Pomyślała o Marcelu. Jak bardzo podobało mu się jej mieszkanie, chociaż na początku, kiedy odwiedził ją po raz pierwszy, stwierdził, że jest trochę infantylne. Faktycznie, Ada miała wyraźną słabość do dziecięcych klimatów. Wszystkie te gumowe zwierzątka, ustawione wzdłuż wanny, tapeta z motylkami w przedpokoju, różowy stolik do kawy czy sztuce z wizerunkiem bohaterów z kreskówek rzeczywiście nie pasowały do wizerunku poważnej wróżki. Jedyным pokojem, w którym nie było żadnych infantylnych elementów, był oczywiście jej wróżbiarski gabinet. On miał swoją osobliwość, te przytwierdzone do sufitu meble, które zazwyczaj wprowadzały ludzi w poważną konsternację.

Ale nie Marcela. On jako jedyny od razu zachwycił się jej pomysłem. Nie zadawał żadnych pytań, od razu zakładając, że najwyraźniej tak miało być. Zaczęła odruchowo tłumaczyć się, że sen, że coś jej kazało... Uciszył ją, kładąc palec na ustach.

– Pewne rzeczy mają swoją tajemnicę i trzeba to uszanować – powiedział.

Marcel był człowiekiem, który nie mówił wiele; za to mówił z sensem. Była zafascynowana jego stoicyzmem i umiejętnością wyważonego oceniania sytuacji. Nie podejmował nagłych decyzji, nie rzucał się na głęboką wodę.

Mówiła na niego: filozof z cierpliwością anioła. Często zastanawiała się zresztą, czy rzeczywiście nie był aniołem.

Wszystko przez oczy Marcela. Od początku fascynowały. Była w nich nieopisana głębia i ogromna dobroć, a poza tym jakaś wypadkowa miliona uczuć, wśród których, co ją zawsze martwiło, dominowały smutek i melancholia. Ale nie taka, która dotyka jesienią albo gdy za długo nie świeci słońce. Wydawało jej się, że Marcel nosił w sobie swoiste zrezygnowanie, które brało się z pewności, że cokolwiek by zrobił i tak nie naprawi świata. Starał się rozsiewać dobro, ale ono się nie przyjmowało. Przez to posmutniał i chociaż próbował to ukryć, Ada i tak wiedziała swoje. Marcel był wyjątkowy.

Kiedy dowiedziała się, że zginął, popadła w odrętwienie. Niby żyła dalej, pracowała, śmiała się, żartowała, ale tak naprawdę nigdy już nie wróciła do siebie sprzed tej wiadomości. Dziwne. Kiedy się pokłócili, chciała, żeby zniknął z jej życia raz na zawsze. Rozczarował ją i zranił. Poczuli się oszukana – tym bardziej, że jego oczy mówiły coś innego niż usta i czyny. Pocięła się, że w takim razie dobrze się stało, że wyjechał, przynajmniej oszczędził jej jeszcze większego cierpienia, gdyby po ślubie się okazało, że był innym człowiekiem, niż oczekiwała.

Mimo to nie potrafiła gniewać się na niego całą wieczność. Co więcej, zdenerwowanie przeszło jej całkiem szybko, ustępując miejsca palącej tęsknocie. W rozmowach z Lenką opisywała swój stan jako coś bardzo zbliżonego do uczucia towarzyszącego narkomanowi na głodzie. Tak to sobie w każdym razie wyobrażała.

Marcel i jego siostra mieli bardzo podobne oczy. Gdy dziewczyna przyszła do niej z informacją o zaginięciu brata, Ada poczuła się tak, jakby wróciła do niej cząstka jej ukochanego. Narkoman dostał kontrolowany

zastrzyk. Po wyjściu siostry Marcela czuła, że oszaleje, jeśli się z nim znów nie spotka.

Wpadła w szal. Wróżyła sobie, czarowała, próbowała odnaleźć go magicznymi sposobami. Bez powodzenia. Była już nawet gotowa sama pojechać do Tybetu, chociaż doskonale wiedziała, że to by nic nie dało. Równie dobrze Marcel mógł być już tysiące kilometrów stamtąd.

Gdy przysłała wiadomość o jego śmierci, Ada przez tydzień nie wychodziła z domu, niewiele jadła, prawie się nie odzywała. Lenka próbowała jej pomóc, gotowała posiłki, karmiła, przytulała, opowiadała różne historie, żeby tylko wyciągnąć Adę z apatii. I chyba jej się udało. Kiedy minął pierwszy szok, Ada postanowiła owdowieć. Kupiła dwie obrączki, które włożyła do szuflady i do których wracała co miesiąc, w rocznicę dnia, w którym znaleziono ciało Marcela. Postanowiła we własnej głowie zachowywać się tak, jakby przed jego wyjazdem jednak się pobrali. Skoro jej mąż umarł, nie będzie miała nowego. Nigdy go nie zdradzi.

I właśnie te obrączki wyjęła z pudełeczka, które wcześniej schowała w jednym z mniejszych pudeł. Były naprawdę piękne. Wybierając je, nie oszczędzała. Marcel by na niej nie oszczędzał. Białe złoto, pięknie wypolerowane, ze wstawionym motywem w kształcie maleńkiego liścia. To dlatego, że poznali się w listopadzie. Obróciła obrączki. Od wewnątrz każda z nich miała wygrawerowane ich inicjały, żeby nikt nigdy nie miał wątpliwości, kim byli ci szczęściarze.

Marcel, jej wielka miłość.

Włożyła na palec swoją obrączkę. Będzie ją nosiła. Żeby w Łodzi wszyscy wiedzieli, że jest już zajęta.

Oskar zjechał na pobocze, gdzie zostawił samochód na światłach awaryjnych, i wybiegł, nie bacząc na feerię klaksonów, jaka rozpętała się za jego plecami. Wpadł na chodnik i zaczął przeciskać się przez tłum przechodniów, co chwilę uderzając kogoś kamerą, którą przewiesił sobie przez ramię.

Szybciej!

Musiał ją dogonić! Mamo!!!

– Mamo! – krzyknął z desperacją.

Szczupła, szpakowata kobieta zatrzymała się przed wejściem do sklepu. Oskar zamarł. Nagle nie mógł zrobić nawet kroku. Kobieta powoli odwróciła się. Spojrzała za siebie, po chwili wychwytyjąc Oskara z tłumu. Spuścił wzrok, nie mogąc wytrzymać siły jej spojrzenia. Stali tak przez chwilę. Kobieta wreszcie zrobiła kilka kroków w jego stronę.

– Dlaczego mnie śledzisz? – syknęła.

– Nie śledzę. Jechałem samochodem, zobaczyłem cię na przejściu.

Matka ściągnęła usta.

– Chyba ci wyraźnie powiedziałam. Tamten rozdział jest zamknięty.

Mam nową rodzinę.

Oskar spojrzał jej prosto w oczy.

– Nie masz. – Przełknął ślinę. – Wiem, że nie masz.

Matka zapięła górny guzik płaszcza i skrzyżowała ręce na piersi.

– Nie twoja sprawa.

– Moja, mamo. Jestem twoim synem.

– Moim? – parsknęła. – Ja nie mam syna.

– Nie mów tak!

– Dlaczego?

– Bo... to nieprawda.

– Sam wybrałeś, z kim chcesz zostać. To była twoja świadoma decyzja. Nie rozumiem, czego teraz ode mnie oczekujesz. Myślisz może, że przywiozłam jakiś majątek ze Stanów? Że się tam dorobiłam i że mógłbyś teraz coś z tego uszczknąć, tak?

Oskar odchrząknął.

– Nie, mamó. Chciałbym tylko... porozmawiać.

Matka przewróciła oczami.

– Myślisz, że ci uwierzę? O nie, nie nabierzesz mnie na te miny. Wykapany ojciec. Wystarczyło, że spojrzał w taki specjalny sposób, i od razu zdobywał świat. Jesteście tacy sami. Pozory, to jest dla was najważniejsze. – Przybliżyła twarz do twarzy Oskara. – Jeśli jeszcze raz cię spotkam, wezwę policję.

– Mamó!...

Matka odwróciła się i odeszła. Oskar patrzył za nią z bólem. Dlaczego ona się tak zachowywała? Dlaczego tak go znienawdziła?

Ktoś go trącił, coś ciężkiego uderzyło go w bok. Kamera!

Rzucił się za matką.

– Poczekaj!

Nie zatrzymała się, przyspieszyła kroku, ale udało mu się ją złapać za rękę. Odwróciła twarz.

– Chcę ci coś pokazać... Mamó...

– Zostaw mnie!

– Daj mi chwilę. Potem już nigdy nie będę cię szukał... obiecuję.

Spojrzała na niego. Po policzkach płynęły jej łzy. Oskarowi ścisnęło się gardło. Nieśmiało podał jej rękę. Włożyła ręce do kieszeni. Westchnął.

– Chodźmy na ławkę.

Matka skinęła głową. Poszli w stronę skweru, który rozciągał się nieopodal. Znaleźli ławkę, matka usiadła. Oskar kucnął obok, szybko przewijając nagranie. Zatrzymał się na pierwszej scenie, w której ojciec pojawił się w roli narratora.

– Opowiedział mi wszystko. Nie wiedziałem, jak to naprawdę wyglądało.

Matka nagle pobladła.

– Co... co to jest?

– Film dokumentalny. To znaczy zarys. Taka wstępna wersja. Ojciec... zgodził się wystąpić.

Matka odruchowo ścisnęła dłonie w pięści. Oskar zauważył ten gest, spojrzał jej w oczy.

– Posłuchaj, nie muszę ci tego pokazywać, po prostu...

– Puść.

Kiwnął głową i włączył nagranie. Matka oglądała w ciszy i skupieniu. Na jej twarzy nie widać było prawie żadnych emocji. Dopiero pod koniec filmu Oskar zauważył, że oczy jej się zaszklily i zaczął drgać jeden z kącików ust. Usiadł na ławce i nieśmiało objął matkę. Tym razem nie sprzeciwiała się.

– Dziękuję – powiedziała cicho i spojrzała na Oskara. – Dziękuję ci.

– Mamo... – zaczął niepewnie. – Mamo, ja nie miałem pojęcia, że on cię zdradził z kilkoma kobietami. Wybaczysz mi? – dokończył łamiącym się głosem.

Matka otarła ręką łzy i uśmiechnęła się smutno.

– Nie mam ci czego wybaczać, byłeś małym dzieckiem. Nie mogłeś wiedzieć takich rzeczy, próbowałam cię przed tym chronić.

Oskar potrząsnął głową.

– Powinienem wtedy pójść za tobą. Nigdy sobie nie wybaczę, że dałem ci odejść.

Matka pogładziła Oskara po włosach. Zamarł. Mgliste wspomnienie podobnego dotyku zaczęło powoli przenikać do jego świadomości.

– Synku – powiedziała. – Masz oczy zupełnie jak mój tata.

Na ławce siedzieli jeszcze kilka minut. Potem Oskar podwiózł matkę do jej mieszkania. Na pożegnanie pocałowała go w policzek i poprosiła, żeby przyjeżdżał, jak tylko znajdzie czas. Niesiony tym wydarzeniem, jak szalony pognął przez miasto, goniąc za drugą kobietą swojego życia. Nie, nie drugą.

Lenka była przecież najważniejsza.

Ada stanęła przed lustrem i przyjrzała się sobie. Całkiem nieźle. Włożyła właśnie wygrzebaną chwilę wcześniej z pudełka szarą bluzkę z dekoltem. Miała ją na sobie, kiedy poznała Marcela. Po jego śmierci nie mogła na nią patrzeć. Teraz postanowiła jednak, że przyszedł czas zmierzyć się i z tym wspomnieniem.

Gdy szukała spódnicy, którą nosiła w tamtych czasach, nagle usłyszała dzwonek do drzwi. Gwałtownie odskoczyła od tekturowego pudła.

Oczywiście, czekała na klientów.

Oczywiście, to mógł być listonosz.

Niewykluczone, że sąsiadka lub akwizytor.

Ale jej w głowie dzwoniła tylko jedna myśl. Rzuciła się do drzwi i otworzyła je z rozmachem. Zamarła. Na progu, niestety, nie stał Marcel, którego jej serce tak rozpaczliwie wołało.

– Co pan tu robi? – zapytała zaskoczona. Oskar Brzóska uśmiechnął się nieśmiało.

– Mogę wejść?

Lenka obudziła się niecałą godzinę po tym, jak pociąg wyjechał z Warszawy. Wyjrzała przez okno. Wszędzie żółte pola, gdzieniegdzie małe, biedne gospodarstwa. Bardzo podobne do tych, które widziała, gdy jechała z

dziećmi na Mazury. Wręcz do złudzenia podobne. Uśmiechnęła się do siebie – między innymi za to kochała Polskę. Tego kraju z żadnym innym nie dało się pomylić. Przymknęła oczy i po chwili znów zasnęła.

– Proszę.

Oskar niepewnie wszedł do mieszkania. Ada wskazała mu kuchnię.

– Zapraszam.

Weszli.

– Przepraszam za te wszystkie pudła, ale się wyprowadzam. Na szczęście nie schowałam czajnika. Herbaty?

– Z chęcią.

Ada zerknęła na Oskara kątem oka. Był czymś wyraźnie przejęty. Znała się na ludzkich emocjach, bo przychodząc do wróżki, ludzie bardzo często oczekiwali raczej spotkania natury terapeutycznej niż wróżenia z fusów i uprawiania magii.

Oskar był napięty jak struna. Ścisnął i miętosił dłonie. Nerwowo oblizywał wargi. Poczula ukłucie w okolicach serca. Tak bardzo przypominał jej Marcela w dniu, w którym przyszedł powiedzieć, że dostał propozycję wyjazdu na Daleki Wschód. Obydwaj zachowywali się jak dzieci, które mają właśnie przekazać rodzicom, że są zagrożone z jakiegoś przedmiotu.

– Tak naprawdę... – zaczął Oskar. Głos mu się załamał, musiał odchrząknąć. – Chciałem porozmawiać z Leną.

– Wiem.

– Czy ona już... wyjechała z tym... tym człowiekiem?

Ada uniosła brwi.

– Jakim człowiekiem?

– Tym, z którym się związała.

Ada postawiła czajnik na gazie i usiadła naprzeciwko Oskara.

– Powiem tak: nie mam zielonego pojęcia, o co panu chodzi.

Brzóska zmarszczył czoło.

– Siostra powiedziała mi, że Lena dostawała kwiaty na obozie i... – urwał, widząc zaskoczoną minę Ady. – Pięknie! – Roześmiał się, chowając twarz w dłoniach. – Ale jestem głupi.

– Przyznaję, że czasem pan bywa.

Oskar spojrział na Adę, rozbawiony.

– A więc to nieprawda z tymi kwiatami i tym mężczyzną?

Ada potarła policzek.

– Kwiaty dostała, panie Oskarze, ponoć od pana. Były podpisane pana imieniem.

– Jak to... moim imieniem?

– Jeezu... – Cierpliwość Ady zaczęła się kończyć. – No, pana imieniem. Na bileciku było napisane coś w stylu: „Przepraszam, że cię skrzywdziłem”, czy jakoś tak, i podpisane „Oskar”. Jeśli nie pan to wysłał, to ktoś inny... – urwała nagle.

Spojrzeni na siebie porozumiewawczo.

– Guttman – powiedział Brzóska. – Kazałem mu przeprosić Lenkę.

Ada klasnęła w ręce.

– Ale numer! A Lenka myślała, że to od pana.

Oskar spojrział niepewnie na Adę.

– Wyrzuciła je?

Ada pokręciła głową, rozbawiona.

– Panie Oskarze, mimo tego wszystkiego, co pan jej zrobił, ona pana nadal kocha. Niestety, miał pan cholerne szczęście, zakochując się w takiej dziewczynie.

Brzóska spuścił wzrok.

– Wiem. Lenka jest wyjątkowa. A ja... tamta impreza... – Podniósł głowę i spojrzał na Adę z desperacją. – Muszę jej to wytłumaczyć. Próbowałem już wiele razy, ale mi nie pozwoliła.

– Dziwi się pan?

– Nie. W ogóle. Wiem, zachowałem się jak skończony idiota...

– O tak, panie Brzóska. Święte słowa.

Oskar chrząknął.

– Czy pani wierzy w miłość?

– A co to ma do rzeczy, w co ja wierzę?

– Pytam, bo ja kiedyś nie wierzyłem. I wcale nie było mi z tym dobrze, chociaż sobie tego nie uzmysławiałem. Lenka to zmieniła. Pojawiła się jak jakiś anioł.

Ada oparła brodę na dłoni. Patrzyła na Oskara, który, wyprostowany, siedział tu przed nią jak na spowiedzi. Nie kłamał, czuła to.

– Kocham Lenkę i chcę ją odzyskać. Wiem, że to może być trudne, ale to nie ma znaczenia. Muszę się z nią tylko spotkać. Niech mi pani pomoże.

Czajnik zaczął gwizdać. Ada wstała i bez słowa zaczęła zaparzać herbatę. Oskar ją wzruszył, trącił w niej jakąś bardzo czułą strunę, która właśnie budziła ze snu kolejne. Nie wiedzieć czemu Ada poczuła, że pojawienie się Oskara, tu, w tej chwili, tuż przed przyjazdem klientów, było jakimś sygnałem. Wzięła do ręki dzbanek i szklanki, i ruszyła w stronę stołu. Oskar podniósł się, pomógł jej ustawić naczynia. Potem nagle chwycił ją za rękę.

– Pani Ado. Niech mi pani pomoże, błagam.

Ada musiała szybko usiąść. Jego dłonie... Bardzo podobną skórę, podobną miękkość i ciepło miały dłonie Marcela!

– Wszystko w porządku? – zaniepokoił się Oskar. Ada podniosła wzrok.

– Niech pan ją zatrzyma. Nigdzie się stąd nie wyprowadzamy.

Pociągiem szarpnęło, Lenka obudziła się. W jej przedziale siedziało jeszcze młode małżeństwo; spali. Mimo to mieli splecione ręce, a kobieta opierała głowę mężowi na ramieniu. Lenka pokiwała głową do swoich myśli i wyszła na korytarz.

Z trudem otworzyła okno, po czym ostrożnie wysunęła na zewnątrz jedną dłoń. Pobawiła się chwilę z wiatrem, który lał się jej na palce jak woda z kranu. Gdy zmarzła, przytknęła okno, ale wciąż stała obok, wyglądając na zewnątrz. Żółte pola mrugały porozumiewawczo.

Po raz kolejny tego dnia Oskar Brzóska pruł przez miasto na złamanie karku. Pogwałcił przy tym za dużo przepisów, żeby moralne było wymienianie ich w druku. W każdym razie w ekspresowym tempie wyjechał z miasta i wpadł na krajową ósemkę. Jednym słowem – zwariował. Miał szczęście, że nie zatrzymała go drogówka, za to kilka radarów strzeliło mu zdjęcie. Za którymś razem udało mu się nawet uśmiechnąć do obiektywu.

Ada, która nagle całkowicie zmieniła zdanie w sprawie przeprowadzki, obiecała Oskarowi, że zadzwoni do Łodzi i zrezygnuje z transakcji. Miała też skontaktować się z Lenką.

– Proszę jej nie mówić, że przyjadę. Niech ją tylko pani jakoś zatrzyma na dworcu – poprosił Oskar.

– Powiem, żeby poczekała na peronie na właściciela mieszkania, ale proszę mi coś obiecać.

– Zrobię wszystko.

– Niech pan tam będzie przed nią.

– Obiecuję.

Uścisnęli sobie dłonie i po chwili Oskar ruszył do drzwi. Na progu zatrzymał się i odwrócił, niepewnie patrząc jej w oczy.

– Pani jest wróżką, prawda? Skinęła głową.

– Da się jakoś wywróżyć, czy Lenka i ja... – zawiesił głos, po czym machnął ręką i zaśmiał się nerwowo. – Zresztą nieważne. Do widzenia.

– Do zobaczenia – odpowiedziała z naciskiem. – Niech pan wróci z Leną.

Uśmiechnął się i wybiegi. Ada po chwili wyjrzała przez okno – Oskar odjeżdżał właśnie spod jej kamienicy, kompletnie ignorując przepisy, obowiązujące na parkingu.

– Niech cię miłość chroni – szepnęła.

Kilka minut później odwołała klientów, którzy chcieli kupić jej mieszkanie, i zamyślona usiadła w kuchni przy stole.

Brzóska pomógł jej podjąć decyzję, która od paru dni po prostu chciała się stać. Ada co prawda konsekwentnie prowadziła sprawy przeprowadzki, znalazła nowe lokum, spakowała rzeczy, umówiła się z klientami, ale podświadomie zaczęła buntować się przeciw temu. Czuła się tak, jakby naciągała niewidzialną nić, łączącą ją z bardzo ważnym dla niej światem. I że ta nić się nie zerwie, że raczej zachowa się jak guma, ściągając ją nagle z powrotem.

Albo, jeśli pójdzie o krok za daleko, nić jednak urwie się i w żaden sposób nie będzie już można jej odtworzyć. Tego chyba przestraszyła się najbardziej.

Gdy tego dnia w jej mieszkaniu pojawił się Oskar, wszystkie wątpliwości wróciły ze zdwojoną siłą. Brzóska, na dodatek, tak bardzo skojarzył się jej z Marcelem, że czasami dosłownie miała wrażenie, że przeżywa coś w rodzaju niespodziewanej podróży w czasie. Albo że śni. Intuicyjnie czuła, że nie powinna wyjeżdżać. Jakaś siła postanowiła zatrzymać ją w tym miejscu. Ada, choć była bardzo niekonwencjonalną wróżką, starała

się nie lekceważyć takich przeczuć. Więc kiedy Oskar wyznał swoją miłość do Lenki, Ada podjęła decyzję: zostają w Warszawie. Czuła, że ta zmiana planów będzie miała konsekwencje. Niestety, na tym etapie intuicja odmówiła współpracy. Trzeba więc było na ślepo poddać się losowi.

Kiedy żółte pola ustąpiły miejsca lasowi, na korytarzu pojawił się konduktor. Ten sam, którego w Warszawie zaczepiła w sprawie pociągu. Szedł wolno w stronę Lenki, zaglądając po kolei do wszystkich przedziałów. Dotknęła palcami kieszeni – bilet był na swoim miejscu. Uspokojona, wróciła do oglądania krajobrazów. Słońce świeciło, chmury rozpięzły się po niebie. Idealny dzień, żeby zacząć nowe życie.

Pogoda sprzyjała również pasażerom samolotu relacji Lizbona – Warszawa. Jeden z nich, siedzący przy oknie, z wyjątkową uwagą przyglądał się krajobrazom, które przewijały się kilkaset metrów niżej. Nawet gdy samolot zaczął schodzić do lądowania, nie oderwał wzroku od widoku na zewnątrz.

– Piękne miasto – spontanicznie poinformował siedzącą obok niego starszą kobietę.

Skinęła głową.

– Myślałam, że jest pan Portugalczykiem. Tak swobodnie rozmawiał pan z obsługą.

Pasażer przeczesał palcami kręcone włosy.

– Mieszkałem kilka lat w Kolumbii. Potem w Lizbonie. Zresztą, mieszkałem w wielu krajach.

– To ciekawe. Pasażer zastanowił się.

– Zależy. Ja nie miałem wyjścia. Pewne sytuacje mnie zmusiły. Ale chcę wszystko zakończyć. Nic już mnie nie trzyma za granicą.

– Pana rodzina mieszka w Warszawie? Pasażer uśmiechnął się.

– Niedługo zamieszka.

Gdy konduktor podszedł do Lenki, machinalnie podała mu bilet, nie odrywając wzroku od obrazków za oknem.

– Co mi pani daje? – powiedział surowym tonem. Lenka spojrzała na konduktora, zdziwiona.

– Jak to, co? Bilet.

Konduktor zastukał palcem w kartonik.

– Przecież widzę. Tylko że ten jest do Łodzi.

Okno puściło zajęczka, strzelając nim Lence prosto w czoło.

– A... co z tym nie tak?

Konduktor ściągnął brwi. Przez chwilę przypominał bardzo wkurzoną czymś gąsienicę w okularach.

– No, jak to co. Wszystko. To jest pociąg do Białegostoku.

Konduktor nie pamiętał, żeby Lenka kiedykolwiek go o cokolwiek pytała. Próbował sobie przypomnieć, ale nie wychodziło.

– Albo kupuje pani bilet do Białegostoku, albo będzie pani musiała wysiąść – powiedział, wskazując ręką na świat na zewnątrz.

Lenka odruchowo powiodła oczami za jego palcem. Pociąg hamował właśnie na stacji Małkinia. Małkinia?! Do Łodzi przez Małkinię? Eskortowana przez konduktora w drodze do drzwi, gorączkowo przeczesywała pamięć w poszukiwaniu jakichkolwiek skojarzeń z tym miastem. Nie wiedzieć czemu przypominał jej się „Rejs”. Zatrzymała myśli. Łódź, Małkinia, „Rejs”. Skojarzenie bezużyteczne. Myślała dalej... Pustka. Nic. Pojęcia nie miała, gdzie ją właśnie wysadzali.

Małkinia puściła do niej słoneczne oko. Lenka odruchowo odpowiedziała uśmiechem, co było w pełni uzasadnione – po drugiej stronie

peronu stał bowiem pociąg do Łodzi, do którego błyskawicznie wskoczyła. Udało jej się w ostatniej chwili. Stojąc przy oknie, zauważyła jeszcze patrzącego na nią konduktora z pociągu relacji Warszawa – Białystok. Spoglądał na nią z nagłym smutkiem na twarzy. Prawdę mówiąc, trudno mu się dziwić. Dla niego Lenka nie była kolejną krętaczką, która próbuje na piękne oczy załatwić sobie tańszy transport. Dla niego oczy Lenki były idealne i głębokie jak jeziora, tylko za żadne skarby nie potrafił jej tego wcześniej powiedzieć. Tak go speszyła, że zamiast naliczyć jej bilet karny, wypuścił ją z pociągu na najbliższej stacji. A ona wybiegła na peron, promienna i dziwnie zadowolona. Nagle się zdenerwował. Mógł ją przytrzymać trochę dłużej, może chociaż wymieniliby się numerami telefonów. Hola, basta! W pracy był. W pracy się nie romansowało. W pracy się pracowało. Odetchnął ciężko i kopnął w drzwi do drugiego wagonu, które otworzyły się z ciężkim jękiem. Jak tylko obleci wszystkie wagony, postanowił, zaraz zadzwoni do kumpla z Łodzi. Opowie, jakie kwiatki jeżdżą tam do jego miasta. Jeśli mu ją dobrze opisze... Może kumpel zauważy ją gdzieś na dworcu i zaczepi o ten numer? Uśmiechnął się do siebie, poprawił okulary i odruchowo wypiął tors. Życie wydało mu się nagle całkiem interesujące. Jeszcze raz spojrzął za odjeżdżającym pociągiem i wtedy to sobie uświadomił.

To znów nie był pociąg do Łodzi! Łódź odjeżdżała godzinę później, rozkłady znał przecież jak pacierz. Szybko przeczesał pamięć.

Jest!

Odruchowo wyjrzał przez okno. Kuper pociągu do Koluszek był już niewiele większy od pudełka z zapalnikami.

Pasażer szedł wolno przez nowy terminal na Okęciu. Kiedy ostatnio tu był, wszystko wyglądało inaczej. Lotnisko dopiero rozbudowywało się, nie

było tak światowo, za to znacznie bardziej... swojsko. Westchnął. Żeby to tylko nie była jedyna zmiana, jaką Warszawa dla niego przygotowała. Wyszedł z budynku i odnalazł postój taksówek. Kiedy kierowca zapytał, dokąd ma jechać, zamyślił się. Nie był pewien, czy powinien od razu jechać pod ten adres... Może lepiej zaaklimatyzować się dzień, dwa, nabrać tutejszego powietrza w płuca, trochę rozciągnąć kości? Miał sekundę, żeby zdecydować.

Nie, pomyślał. Nie będzie czekał, nie powinien odwlekać tego, co i tak nieuniknione. Tę sprawę musiał załatwić od razu, bez odwlekania. Jeśli nie zrobiłby tego kroku, to nic, co sobie na później zaplanował, nie miałyby sensu. Bo i tak musiałyby wtedy wracać do Lizbony albo jechać jeszcze dalej. Może za Ocean.

Przełknął ślinę (miał bardzo suche gardło po locie) i powiedział spokojnym głosem:

– Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Dokładnego adresu nie pamiętam.

Tuż po wyjeździe Oskara do Ady przyszedł syn sąsiadów, ten sam, który kiedyś pomógł jej przytwierdzić meble do sufitu w gabinecie wróżbiarskim. Przyszedł po stół z salonu – nie był jej już potrzebny, więc umówiła się z sąsiadem, że będzie go sobie mógł wziąć za darmo. Mimo że sytuacja trochę się zmieniła, Ada nie zamierzała cofać raz danego słowa – zwłaszcza że chłopakowi na stole bardzo zależało. Urządzał się w wynajętej kawalerce i każdy podarowany mebel był dla niego na wagę złota.

Przed wyjściem sąsiad wypił jeszcze z Adą herbatę. Początkowo do obu szklanek wsypała czarnego darjeelinga, ale później opróżniła swoją szklankę, uzupełniając ją porcją mieszanki ziół miłosnych. Mimo że sąsiad siedział obok, postanowiła zaryzykować i w duszy wypowiedziała magiczne zaklęcie.

Zdawała sobie sprawę, że szansa na spełnienie była kosmicznie mała – w końcu jej czary nie działały w obecności osób trzecich...

Po wyjściu sąsiada została w kuchni. Dołała sobie wrzątku do przestudzonych ziół i usiadła przy stole, gdzie zupełnie nagle zasnęła. Na siedząco, trzymając dłonie na szklance. Nie zdążyła zadzwonić do Lenki i nie skontaktowała się z ludźmi w Łodzi – jej organizm postanowił zresetować się bez żadnego ostrzeżenia. Oczy się zamknęły, świadomość odpłynęła. Ada była przemęczona nocnym pakowaniem i przesłodzone zioła podziały na nią lepiej niż najsilniejszy lek na sen. Głowę odruchowo oparła o ścianę i jak hibernowana przespała kilkadziesiąt minut. Przez to nie usłyszała telefonu, który zadzwonił kilka razy.

Gdy wreszcie obudziła się i odebrała, nie mogła zrozumieć prawie nic z tego, co próbowała jej przekazać Lenka. Nie dlatego, że była zaspana – głos siostrzenicy podziałał na nią jak zimny prysznic, ale jakość połączenia była najgorsza z możliwych. Mowa była rwana, dźwięk to uciekał, to nabierał niewyraźnego, metalicznego pogłosu. Z całej rozmowy Ada zrozumiała tylko tyle, że Lenka wsiadła w pociąg do Białegostoku i właśnie wysiadła na trasie. Gdzie dokładnie – tego już jej ucho nie wyłapało. Usłyszała natomiast, że Lenka jest już w pociągu do Łodzi. Ale kiedy miałyby tam dojechać – nie wychwyliła. Później próbowała jeszcze kilkakrotnie dzwonić do Lenki, ale ta była cały czas poza zasięgiem.

Cała ta historia na początku wytrąciła Adę z równowagi, na szczęście na krótko. Dość szybko wytłumaczyła sobie, że nie ma się czym martwić; Lenka była dorosła, jechała już we właściwym kierunku, teraz wystarczyło tylko zadzwonić do ludzi od mieszkania... Nagle zastanowiła się. A co, jeśli ta cała historia wydarzyła się po to, żeby Lenka minęła się z Oskarem? Może jednak nie byli sobie pisani? Może jednak nie powinny rezygnować z przeprowadzki.

Może trzeba zadzwonić do Brzóskego i poprosić, żeby wracał z trasy, że się rozmyśliły. Wzięła do ręki telefon i przez chwilę ważyła go w dłoni. Nie miała pojęcia, co zrobić. Co chwila przychodziły jej do głowy sprzeczne argumenty. Właściwie było ich po równo – tych za kontynuowaniem przeprowadzki i tych przeciw odwoływaniu Brzóskego. Po kwadransie podjęła decyzję: dzwoni do Oskara. Założyła okulary do czytania, spojrzała na klawiaturę. Wtedy uświadomiła sobie, że nie wzięła od niego numeru.

Czas płynął szybko, ale nie tak, jak kilometry na liczniku samochodu Oskara Brzóskego. Skoncentrowany tylko na tym, żeby dojechać do Łodzi przed Lenką, pokonywał trasę, niebezpiecznie balansując na granicy tego, co można jeszcze nazwać piractwem drogowym, a tym, co – gdyby miało nazwę – pewnie zawierałoby całą masę niecenzuralnych wykrzykników.

W każdym razie do Łodzi przyjechał przed pociągiem. Dworzec na szczęście nie był duży, trudno byłoby się na nim zgubić. Robił też wrażenie w miarę przyzwoitego miejsca, co podziałało na Oskara uspokajająco – nawet gdyby Lenka jakimś cudem miała się tu zjawić przed nim, nie musiałaby się kręcić wśród podejrzanych typów.

Lenki jednak nigdzie nie było. Zszedł dworzec wzdłuż i wszerz, ale nadaremno. Oczywiście szybko uświadomił sobie ze złością, że nie ma telefonu do Ady, nie może więc niczego z nią skonsultować. Przez głowę przemknęła mu też myśl, że cała ta wyprawa do Łodzi była mistyfikacją, że został specjalnie tu wysłany za karę albo dla śmiechu, albo z jeszcze innego, równie wkurzającego powodu... Tak zamyślony, szedł głównym holem, po raz ostatni przeczesując dworzec, gdy nagle usłyszał:

– ...mówił, że się w niej zakochał od pierwszego wejrzenia. Jakby piorun trzepnął – mówił jeden konduktor do drugiego. Stali przy wejściu do części

dla pracowników. – Dziewczyna jechała na Białystok, bo się pomyliła. Miała jechać do Łodzi.

– I co, przesiadła się?

– Taa. Sam ją wysadził w Małkini, a potem żałował. Miała się przesiąść w pociąg do Łodzi, ale jak już odjeżdżał, zobaczył, że wsiadła w pociąg do Koluszek. No i mam dzwonić do kumpla, żeby ją tam wyczał. Edek strasznie chce od niej ten numer.

Oskar zatrzymał się. Poczuł, że robi mu się gorąco. Oczywiście, to mógł być zbieg okoliczności, ale równie dobrze mogło chodzić właśnie o Lenkę. Konduktorzy tymczasem zniknęli w korytarzu dla pracowników. Brzóska rzucił się za nimi. W drzwiach wpadł na jakąś kobietę.

– Panie, tu nie wolno!

Brzóska nawet się nie odwrócił, za to konduktorzy zareagowali od razu. Spojrzeli na niego wrogo.

– Tu jest wstęp wzbroniony – powiedział jeden. – Mam wezwać ochronę?

– A może pan zadzwonić do kolegi z Białegostoku?

Konduktorzy spojrzeli na Oskara jak na wariata.

Kobieta na recepcji obrzuciła Pasażera dziwnym wzrokiem.

– Korycki już tu nie pracuje. Jest na emeryturze, nie wiedział pan?

– Nie. Byłem długo za granicą.

Recepcjonistka wzruszyła ramionami.

– Co ja poradzę. Nie mogę dać panu do niego numeru, nie wolno mi.

– Ale to jest wyjątkowa sytuacja – naciskał Pasażer. – Nie mogę dłużej czekać.

Kobieta splotła palce.

– To niech pan powie, o co chodzi, skoro to takie ważne.

Pasażer energicznie potrząsnął głową.

– Nie mogę.

Recepcjonistka westchnęła i otworzyła jakiś zeszyt.

– Panie, mam pracę. Do widzenia.

– To dla mnie bardzo ważne!

– Chyba nie będzie pan tu rozrabiał, co? – powiedziała ze złośliwym uśmiechem. – Żegnam.

Kobieta spojrzała na Pasażera stalowym wzrokiem. Westchnął i skinął głową.

– Rozumiem. Do widzenia.

Ruszył wolno do drzwi, wystukując obcasami rytm bardzo melancholijnego fado. Gorączkowo zastanawiał się, jak załatwić tę sprawę i skąd wziąć kontakt do Koryckiego. Popchnął szklane skrzydło obrotowych drzwi. Mimochodem zerknął na osobę, która szła w przeciwnym kierunku. Ich spojrzenia nagle się spotkały. Pasażera zmroziło.

– Agatka?

Pociąg był średnio zatłoczony. W przedziale, do którego wsiadła, o dziwo zajęte było tylko jedno miejsce. Rozparta na fotelu kobieta wydała się Lence znajoma. Gdy już zajęła swoje miejsce i wyjęła książkę, kilkakrotnie ukradkiem zerknęła na współpasażerkę. Odniosła wrażenie, że zna skądś jej twarz, ale mimo wysiłków nie potrafiła sobie przypomnieć skąd. Poczowała się trochę tak, jakby w jej głowie ktoś z wielkim wysiłkiem zasunął zasłonkę, uprzednio wpychając za nią kopniakiem tę orlonosa dziewczynę, wkładającą

właśnie swój bagaż na najwyższą półkę. Nie mogła też pozbyć się surrealistycznego przeświadczenia, że ten ktoś ma wygląd przygarbionej staruszki.

Dziewczyna również odniosła wrażenie, że twarz Lenki jest jej znajoma. Niestety, jakiś czas wcześniej, w toalecie dworcowej, wypadła jej soczewka kontaktowa, drugą usunęła już sama – takie nierówne widzenie zawsze skutkowało w jej wypadku potwornym bólem głowy. Postanowiła więc, że gdy dojedzie na miejsce, zaraz poszuka salonu optycznego i uzupełni braki w oczach. Na razie jednak widziała jak przez mgłę.

Między innymi z tego powodu miała pewne problemy z ustawieniem torby, która wcześniej leżała na fotelu Lenki. Bagaż był nieforemny i cały czas zaczepiał się o metalowe pręciki, z których składała się półka, a dziewczyna na dodatek kiepsko go widziała. Lenka uśmiechnęła się do dziewczyny.

– Może pomóc?

Orlonosa dziewczyna spojrzała na nią z wyższością i odburknęła:

– Radzę sobie, nie widać?

Lenka wróciła na miejsce. Nigdy nie potrafiła rozmawiać z chamami i nie zamierzała na siłę tego zmieniać. W takich momentach najlepiej nie wdawać się w dyskusję, bo po co? Żeby stać się jednym z nich?

Chwilę później, gdy dziewczyna wreszcie wpakowała walizkę na półkę, pociągiem szarpnęło.

– A jeździć to nie umieją – syknęła orlonosa, zakładając nogę na nogę.

Przy okazji niechcący kopnęła Lenkę w kostkę, za co nie przeprosiła. Lenka subtelnie przesunęła nogi w bok i obiecała sobie, że za kilka minut pójdzie poszukać wagonu restauracyjnego, przynajmniej nie będzie musiała dłużej znosić impertynencji tej dziewczyny z garbem na nosie.

Oskar całkiem szybko wyjechał z Łodzi i wrócił na trasę. Postanowił dogonić ten pieprzony pociąg. Nie zamierzał czekać w Koluszkach jak jakiś uczeń. Chciał pokazać Lence, że mu na niej naprawdę zależało. W informacji na dworcu dostał wykaz trasy pociągu, którym prawdopodobnie jechała Lenka, z godzinami postojów rozpisanyymi co do minuty. Jeśli mu szczęście dopisze, wsiądzie na jednej ze stacji pośrednich. Jeśli nie zdąży – trudno, spotkają się w Koluszkach. O ile rzeczywiście jechała tym pociągiem.

Wagon restauracyjny był wypełniony po brzegi. Można by pomyśleć, że wszyscy ci ludzie – siedzący przy stołach, stojący przy wysokich stolikach, okupujący bar – mieli w swoich przedziałach równie antypatycznych współpasażerów i dlatego tak gremialnie ruszyli po kawę. Niedobrze. Wyglądało na to, że będzie musiała wrócić do tej paskudnej dziewczyny z garbatym nosem, która, chyba żeby dolać oliwy do ognia, zdjęła buty i oparła nogi na fotelu obok Lenki. Urocze.

Lenka postanowiła, że kupi kawę i zakwateruje się na rozkładanym krzeselku przed wejściem do przedziału. Będzie miała oko na swoją torebkę i żadnego kontaktu z orlonosą. Przecież, jak sobie szybko przypomniała, korytarz przed przedziałami był pusty, nawet jedno rozkładane krzeselko nie było zajęte.

Uspokojona, stanęła w liczącej kilkanaście osób kolejce do baru. Spojrzała na zegarek – jak ten czas wolno płynął!

Oficer Agata Rawicz ukryła twarz w dłoniach. Potem długo rozmasowywała sobie skronie. Wreszcie popatrzyła z bólem na Pasażera, siedzącego przed nią. Tu, w jej mieszkaniu, mógł czuć się jak w domu. Zresztą wkrótce naprawdę będzie w domu, obiecała sobie. Po tym, co przeszedł, należało mu się to jak psu kość.

– Przecież mogłam ci jakoś pomóc. Nie musiałeś tak długo być poza krajem.

– Myślałem... byłem pewien, że sobie poradzę. Radziłem sobie przez tyle lat.

Rawicz skinęła głową.

– Racja. Byłeś jednym z naszych najlepszych agentów. Bardzo lojalnym. Gotowym do poświęceń. Zawsze to docenialiśmy. Nigdy nie zawiodłeś.

Pasażer zamyślił się. Spojrzał przez okno na dachy stolicy.

– Poza jednym razem. Przeze mnie mógł paść cały plan, cały wasz system.

Kobieta dotknęła jego dłoni.

– Nie padł. Ale są ważniejsze rzeczy. Nie możesz pracować tak jak dotąd. Zasłużyłeś na tę przerwę. Zwłaszcza że teraz to ja dowodzę zespołem, więc ja decyduję, nie Korycki.

– Nie wiedziałem, że poszedł na emeryturę. Był moim szefem, ktoś z was mógł mnie zawiadomić.

– Miałeś się wkrótce dowiedzieć.

Pasażer zmarszczył czoło.

– Powinienem wiedzieć od razu.

Rawicz wstała i zdjęła z ognia gwizdzący czajnik. Potem zalała herbatę i przyniosła kubki na stół. Pasażer popatrzył na nią smutno.

– Mam nadzieję, że mnie rozumiesz. Agata, ja nie mam wyboru. Wcześniej wydawało mi się, że to wyciszyłem. To był taki mój prywatny celibat. Ale teraz nie mogłbym już pracować z takim poświęceniem jak kiedyś, a tylko takie poświęcenie ma sens. Nie po tym, co znalazłem.

Pasażer wyjął z kieszeni małe zdjęcie i położył je przed panią oficer. Wzięła je ostrożnie do ręki i przez chwilę na nie patrzyła.

– Obróć.

Spojrzała na niego kontrolnie. Kiwnął głową, potwierdzając słowa. Odwróciła zdjęcie.

– „Ada i Marcel, na zawsze razem. Jak małżeństwo, do grobowej deski. Albo razem, albo z nikim” – przeczytała.

Podniosła wzrok i spojrzała na Pasażera. Patrzył na nią jasnym niespokojnym wzrokiem. Westchnęła.

– W takim razie muszę powiedzieć coś, co w tej sytuacji każda szanująca się siostra powiedziała by swojemu bratu: a nie mówiłam, że to kobieta twojego życia?

Kawa parzyła w palce i była stanowczo za szczerze nalana. Lenka ostrożnie szła korytarzem w stronę swojego przedziału. Kiedy przeszła przez łącznik między wagonami, nagle stanęła jak zaczarowana. Gdyby coś mówiła w tej chwili, prawdopodobnie właśnie by zamilkła. A tak powiedziała tylko:

– O cholera.

Na korytarzu nie było ani jednego wolnego rozkładanego krzeselka. Nie wierzyła własnym oczom. Przecież jeszcze całkiem niedawno nikt na nich nie siedział! Zdyskomfortowana tym odkryciem, weszła do przedziału. Orlonosa dziewczyna rozmawiała właśnie przez komórkę, bardzo na kogoś zezłoszczona.

– Co to za jakieś pieprzone podejście, że się nie da?! – darła się bez skrępowania.

Lenka ostrożnie przeszła nad jej rozciągniętymi w poprzek nogami i zajęła swoje miejsce. Dziewczyna rzuciła jej takie spojrzenie, jakby Lenka co najmniej weszła jej bez pukania do łazienki.

– Myślisz, że ja tu tak mogę gadać o wszystkich szczegółach? Jestem w pociągu, ludzie podsłuchują – powiedziała z naciskiem.

Lenka odstawiła kubek na składany stolik i zanurzyła się w lekturze. Postanowiła całkowicie zlekceważyć orlonosą; może wtedy zrozumie, że nikt jej nie podsłuchiwał i nie zamierzał tego zrobić.

Orlonosa prychnęła.

– Że co?! – syknęła. – Jakie znowu castingi na uczelniach?

Ostatnia informacja wślizgnęła się do uszu Lenki, łechcąc ją od środka. Zaczęła gorączkowo się zastanawiać, czy nie widziała tej dziewczyny w telewizji podczas próby kamerowej. Przeczesała pamięć, żonglując twarzami, które zapamiętała. Bez powodzenia. No cóż, osobę z takim imponującym nosem musiałaby zapamiętać.

– On chce najlepszych, a nie jakichś debili. No dobra, co z tego, że się uczą. Jak wrócę do Warszawy, to się za to wezmę, więc daj sobie spokój, bo mi tylko bajzel robisz.

Lenka mimochodem westchnęła.

I wtedy pociąg zatrzymał się w szczerym polu.

Oskar mijął kolejne wioski, co chwilę sprawdzając na kartce, gdzie w danym momencie znajdował się pociąg. Wyraźnie zbliżał się do miejsca, w którym ich trasy miały się wkrótce przeciąć. Według kartki, za kwadrans powinien dotrzeć na stację, na której pociąg miał stanąć dwie minuty później. Idealnie – powinien zdążyć zaparkować, złapać oddech, zebrać myśli. Wcisnął gaz, samochód przyspieszył. Przed sobą zobaczył ostry zakręt, zredukował bieg, zwolnił. Nawet nie pisnął oponami. Zadowolony, wyprowadził samochód na prostą i znów przyspieszył. Silnik kaszlnął, Oskar zerknął na wskaźniki – wszystko w normie. Już miał odetchnąć z ulgą, kiedy silnik kaszlnął znów. Tym razem głośniej i z jakimś przydechem. Chwilę później zgasł.

Oskar przekręcał kluczyk kilka razy, ale samochód konsekwentnie go lekceważył. Zdenerwowany, wyskoczył na zewnątrz i rozejrzał się, desperacko próbując znaleźć cokolwiek, co mogłoby posłużyć za transport. Droga była pusta, najbliższe domy ledwo majaczyły za drzewami, oddalonymi od niego o przynajmniej kwadrans szybkiego sprintu.

– Za daleko, cholera!

Wkurzony, kopnął mały kamień, który z gracją podskoczył na asfalcie, po czym wpadł do rowu obok szosy. Coś zgrzytnęło. Zagruchało jak gołąb. Brzóska zamarł. Chrupnęło jeszcze raz, tym razem tak, jakby ktoś miażdżył zębami garść orzechów. Odgłosy wyraźnie dobiegały z rowu, do którego wpadł kamyk. Oskar zrobił kilka ostrożnych kroków, usiłując nie myśleć, co mogło wydawać tak ohydne dźwięki. Po chwili stanął na krawędzi szosy. Niepewnie spojrział w dół. Nie wierzył własnym oczom.

Orlonosa przez chwilę szarpała się z oknem, które w końcu udało się jej otworzyć.

– Co jest, cholera?! – wrzasnęła do konduktora. Stał na nasypie, paląc papierosa w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

– Remont torowiska. Będzie opóźnienie. Interkom popsuty i nie mogliśmy tego podać – odpowiedział bezbarwnym głosem.

Dziewczyna machnęła ręką.

– Prowincja!

I wtedy pociągiem szarpnęło. Stojąca na składanym stoliku kawa Lenki podskoczyła i wywróciła się prosto na orlonosa, oblewając jej przód spódnicy. Pociąg uspokoił się, a z zewnątrz dobiegł głos konduktora, który informował kolejnych pasażerów o przyczynie niespodziewanego postoju.

Lenka zerwała się z miejsca. Orlonosa gapiała się na plamę na spódnicy.

– Co mi pani zrobiła! – krzyknęła wreszcie. – Cały przód mokry!

– Przepraszam, tak nagle szarpnęło.

Lenka wyjęła z kieszeni chusteczkę i próbowała osuszać spódnice. Orlonosa cofnęła się gwałtownie.

– Zaraz! To zostawia włoski, do diabła!

W tym samym momencie pociąg powoli ruszył. Lenka gorączkowo myślała nad sposobem na szybkie wysuszenie spódnicy. Nagle przypomniała sobie, co Ada zrobiła kiedyś z bluzką, którą w pociągu pochlapała sobie wodą.

– Mam pomysł.

– Słucham.

– Pójdziemy do łazienki. Pani zdejmie spódnice i poda mi ją przez drzwi. Ja wrócę do przedziału i wystawię ją przez okno. Pęd powietrza powinien szybko to wysuszyć. Jest czarna, może nie będzie plamy.

Orlonosa zastanawiała się chwilę.

– Niech będzie. Tylko niech mi jej pani dodatkowo nie usyfi jakimś smarem z tych okien, bo pogadamy.

Lenka kiwnęła głową.

– Będę uważała, obiecuję. Nic się nie stanie.

Chwilę później wracała z łazienki, niosąc w ręku spódnice orlonosej, która, złorzeczając, została w łazience w bluzce i majtkach.

Pociąg na szczęście nie jechał zbyt szybko. Lenka otworzyła okno i wystawiła na zewnątrz spódnice, trzymając ją kurczowo obiema rękami. Pęd powietrza pięknie trzepotał tkaniną, formując ją w rozmaite kształty. Raz była gruszką, potem delfinem, a przez chwilę przypominała dużego ptaka. Lenka zaśmiała się cicho – zabawna historia. Dobrze, że Ada miała kiedyś podobne zdarzenie, sprawdziła przynajmniej, że ten sposób działa.

Agata Rawicz była solidną dziewczyną. Kobieta, znaczy. Konkretna, stanowcza, czasem chłodna i z dystansem. Zawsze lojalnie oddawała się pracy, inwestując w „fabrykę” (jak mówiła o ABW) cały swój czas, prywatny też. Nie miała męża, nie kupowała nowych mebli do mieszkania, na wakacje wyjeżdżała rzadko i tylko wtedy, kiedy zwierzchnicy wyraźnie sugerowali jej, że powinna odpocząć. Nie znosiła niesubordynacji, więc traktowała to jak służbowe polecenie; brała wolne i w ostatniej chwili wykupywała jakąś wycieczkę. Nigdy nikomu tego nie powiedziała, ale na wakacjach męczyła się bardziej niż w pracy – beczynność ją nużyła, zwiedzanie męczyło. Najchętniej zostawała w pokoju hotelowym, oglądając wiadomości – przynajmniej czuła, że ma rękę na pulsie.

Jej brat, Marcel, nie był do niej zbyt podobny. Przede wszystkim najbardziej interesowały go sprawy duszy, czytał uduchowione pisma, ćwiczył jogę i techniki oddechowe. Często medytował. Jako dzieci byli dziwnym rodzeństwem: Agata, starsza siostra, próbowała wychowywać Marcela, ale on każdą jej uwagę traktował w pewnym sensie z przymrużeniem oka. Trochę ją to denerwowało, bo podważało jej autorytet – dzieciak powinien się słuchać i nie patrzeć cały czas tym mądrym, pobłażliwym wzrokiem! Czasami próbowała go prowokować, robiąc mu na złość. Miała nadzieję, że się zapomni i zrobi coś głupiego, dzięki czemu będzie mogła zasypać go reprimendami. Wtedy musiałyby się posłuchać i kornie spuścić głowę. Marcel jednak nie dawał się sprowokować. Był chyba najbardziej opanowanym człowiekiem, jakiego znała.

W dorosłym wieku ich drogi się rozeszły. Agata, wielbicielka książek sensacyjnych i filmów z Bruce'em Willisem ze wszystkimi częściami „Szklanej pułapki” na czele, postanowiła służyć państwu polskiemu i znalazła pracę w agencji rządowej. Marcel natomiast zrobił uprawnienia nauczyciela

jogi, skończył kurs masażu, napisał książkę o technikach medytacyjnych (słabo się sprzedawała), by w końcu dostać pracę w ośrodku medycyny niekonwencjonalnej jako masażysta. Traktował to jako zajęcie bardzo tymczasowe – obiecywał sobie, że jak trochę odłoży, wyjedzie do Tybetu i tam zastanowi się, co dalej robić ze swoim życiem.

Zajęta pracą Agata przez jakiś czas bardzo rzadko widywała się z bratem. Na początku raz, dwa razy na rok, potem zdarzało się, że nie widzieli się nawet w Wigilię. Agata żyła pracą.

Szybko awansowała, wkrótce trafiając do komórki, która zajmowała się rozpracowywaniem grup terrorystycznych porywających Polaków za granicą. Praca była fascynująca, a wszystko, co się z nią wiązało, całkowicie utajnione. Oficjalnie Agata pracowała jako asystentka kierownika jednego z departamentów – to miała napisane na wizytówce i tak stało w umowie, którą podpisała z „fabryką”. Nawet rodzinie nie powiedziała, czym się faktycznie zajmuje.

Tamtego późnego czerwcowego wieczoru Agata z trudem oderwała się od papierów, które miała przeanalizować na następny dzień. Na progu jej mieszkania stał Marcel, niespodziewany, niezapowiedziany, bardzo czymś przejęty. Nie widzieli się ponad rok, więc początkowo myślała, że stało się coś najgorszego.

– Co się stało? – zapytała drżącym głosem, gdy blady jak ściana Marcel wszedł bez słowa do jej salonu.

Usiadł na kanapie i ukrył twarz w dłoniach.

– Straciłem kobietę swojego życia.

Na początku nie wiedziała, jak się zachować, i przez chwilę była nawet zła na brata, że zawracał jej głowę takimi głupotami, podczas gdy ona mogła wykorzystać ten czas na ratowanie czyjegoś życia. Kiedy zaczął opowiadać o

kobiecie, którą pokochał i która właśnie wyrzuciła go za drzwi, Agata przełamała się. Zrozumiała, że brat potrzebował jej w tej chwili nie mniej niż facet porwany w Syrii, nad którego sprawą właśnie pracowała.

Marcel opowiedział jej o Adzie. Dowiedziała się, w jakich okolicznościach się poznali i jak rozwijała się ich znajomość. Że Marcel, z natury ostrożny i wyważony, zachwycił się porywczą i szaloną Adą, która na życie zarabiała jako wróżka. Agata nawet nie próbowała udawać, że o takiej bratowej marzyła. Z drugiej strony, jeśli ktoś taki odpowiadał jej bratu, czemu miałyby się wtrącać? To jego życie i jego wybory, a ona, jako siostra, powinna go wspierać.

Kiedy Marcel doszedł do końca historii, Agata miała stuprocentową pewność, że Ada złamała mu serce. Po raz pierwszy jej opanowany brat mówił o czymś z takim bólem i desperacją. Próbowała go pocieszać, ale on poprosił tylko, żeby go przytuliła. Przez kilka minut siedzieli objęci na kanapie, nic nie mówiąc. Potem Marcel wstał i podał jej jakąś kartkę.

– Gdybym nie wrócił z Tybetu, zawieź to Adzie.

Agata zerwała się z kanapy. Jaki Tybet, o czym on mówi?! Marcel uśmiechnął się spokojnie i pogładził ją po policzku. Wy tłumaczył, że wyjeżdża na rok z grupą studentów sinologii, że chce wreszcie przemyśleć swoje życie. Poza tym, jak mówił, buddyści byli w Tybecie mile widziani, a on od wielu lat praktykował tę religię. Przed wyjściem obiecał jeszcze siostrze, że będzie się z nią regularnie kontaktował i że spotkają się za rok. Potem wyszedł.

Tamtego wieczoru Agata nie posiedziała już nad papierami. Zasnęła przy biurku, przeglądając zdjęcia z dzieciństwa. Marcel... Tak bardzo chciała wierzyć, że się jeszcze zobaczą!

Facet chrapał jak niemowlę. To znaczy, żadne niemowlę nie chrapie tak głośno, ale jakoś się Oskarowi skojarzył z niemowlęciem, bo leżał w rowie zwinięty w embrion i błogo uśmiechnięty. Odór alkoholu dosłownie zabarwiał powietrze na jakiś nie do końca przyjemny kolor, bo facet był zalany jak malowanie. W rękę trzymał zresztą w połowie opróżnioną butelkę wódki. Chyba miała czerwoną naklejkę, a może to różowe paluchy pijaka tak przebijały przez szkło.

Facet nie był specjalnie ciekawym obiektem obserwacyjnym. Uwagę Oskara przykuło coś innego. Otóż w rowie oprócz śpiącego leżał też skuter... albo coś, co, zakładając bogatą wyobraźnię patrzącego, można było określić takim mianem. Oskar szybko przeanalizował sytuację: zepsuty samochód nigdzie nie mógł już pojechać, skuter być może tak. Pijak wchodził właśnie w fazę REM i nie wyglądał na kogoś zainteresowanego przemieszczaniem się po drodze. Mało tego – biorąc pod uwagę odór wódki, jaki bezwstydnie emitował, powinno mu się wręcz tego zabronić!

– Odstawię ci go z powrotem – powiedział Oskar do pijaka, wyprowadzając jego skuter z rowu. Pijak mlasnął i chrapał jak traktor.

Chwilę później Oskar Brzóska, w drogiej marynarce, markowym pasku i spodniach z Mediolanu, ruszył w pościg za pociągiem, prując szosą na odrapanym skuterze, który z rury wydechowej zamiast małego dymku wypuszczał prawdziwą zasłonę dymną. Jego czerwony kabriolet mógł w tej chwili tylko pomarzyć o czymś takim.

Marcel bardzo długo się nie odzywał. Agata zaczęła się niepokoić. Oliwy do ognia dolewała matka, której co kilka dni śniło się, że Marcel nie żyje albo że postradał zmysły i mieszka w jakimś bardzo podejrzanym miejscu, z nie mniej podejrzanymi ludźmi.

Odezwał się dopiero po jedenastu miesiącach milczenia. Wyprawa dobiegała końca, a on nie chciał wracać. To znaczy nie zamierzał zostawać w Tybecie, ale myślał o kolejnej podróży. Polska kojarzyła mu się z Adą i straconymi złudzeniami, to znaczy kojarzyła mu się źle. Nie miał ochoty wracać. Przez tych kilkanaście miesięcy odłożył jakieś pieniądze, ale za mało, żeby myśleć o dalszej podróży. Dlatego poprosił Agatę o pożyczkę – chciał oddać, gdy tylko zaczepi się gdzieś na stałe. Myślał o statku, może handlu obwoźnym, czymkolwiek, byle tylko się ruszać, byle się działo, byle nie mieć czasu na wspomnienia i tęsknotę za Adą.

Agata w pierwszej chwili odmówiła. Marcel ją przestraszył, nie znała go od tej strony. Przecież w ich parze to zawsze ona grała rolę twardzielki. To Agata detonowała bombę, brat co najwyżej zbierał potem kawałki, na jakie rozpryskiwało się to, co wysadzała w powietrze.

Marcel nie dawał jednak za wygraną. Tłumaczył, że musi się w coś zaangażować, że chce działać i otaczać się ludźmi. Za granicą był przezroczysty. Nikomu z niczym się nie kojarzył, nikt nie miał pojęcia o jego prywatnej historii, nikt nie znał Ady ani nikogo, kto miałby z nią jakikolwiek związek. Egzotyczne kraje dawały mu złudzenie życia z sensem. Miał jakieś cele, codzienne rytuały, drobne problemy. Pilnował się, żeby nie myśleć o przyszłości, w przeciwnym razie zaczęłyby pojawiać się pytania: gdzie będzie za rok, co zrobi za dziesięć, z kim spędzi starość. Na ostatnie pytanie wciąż znał tylko jedną odpowiedź i to go irytowało. Zapominanie okazało się trudniejsze niż chwilowe niemyślenie.

Agata zamilkła przy słuchawce. Pomysł, jaki przyszedł jej do głowy, w pierwszej chwili wydał się jej kompletnie surrealistyczny. Nie do zrobienia. Ale postanowiła dać mu szansę. Poprosiła Marcela, żeby zadzwonił następnego dnia, tym razem na jej koszt. Postanowiła porozmawiać ze swoim

szefem. Gdyby się zgodził, wszyscy byliby zadowoleni. Ona, rodzice i Marcel. Oraz cała reszta Polaków, którzy znaleźli się w tarapatkach za granicą.

Następnego dnia decyzja została podjęta. Marcel, oficjalnie uznany za zmarłego w tragicznym wypadku, miał zostać kimś w rodzaju tajnego agenta. Jego zadaniem było pozyskiwanie informacji, których jako „fabryka” potrzebowali w razie kolejnego porwania Polaków za granicą. Zgodził się bez namysłu.

Miesiąc później dostał pierwsze zadanie. Miał wyjechać do Kolumbii, gdzie porwano polskiego biznesmena prowadzącego tam interesy. Na miejscu okazało się, że jest trudniej, niż myślał, a jego hiszpański pozostawia wiele do życzenia. Agata chciała nawet wycofać go z zadania, ale on się nie poddał. Zatrudnił się w gabinecie masażu, do którego przychodzili różni podejrzani ludzie. Zazwyczaj ostrożni i powściągliwi, przed Marcelem otwierali się zdumiewająco łatwo, niby nie wyjawiając żadnych sekretów, ale niechęć podając informacje, na jakich mu zależało. To było jak układanie puzzli. Miejsce, w którym trzymano biznesmena, zdradził mu biały, mączny ślad na bucie mężczyzny, którego podejrzewali o udział w porwaniu. Wcześniej „fabryka” wskazała kilka miejsc, w których biznesmen mógł być przetrzymywany. Gdy Marcel dostrzegł zabrudzenie na bucie, sprawy potoczyły się błyskawicznie. Kilka dni później biznesmen trafił na wolność, a ludzie z „fabryki” nie kryli zdumienia. Agata puchła z dumy.

Przez kilka kolejnych lat Marcel konsekwentnie się rozwijał, stając się w końcu jednym z bardziej cenionych współpracowników. Pracował od zadania do zadania. Za każdym razem zmieniał miejsce zamieszkania, dostawał nowe tożsamości. Po jakimś czasie zaczął wręcz tracić kontakt ze starym Marcelem Rawiczem, krok po kroku odcinając się od wszystkiego, co łączyło go z poprzednim życiem. Nie myślał o przeszłości, ale przyszłość też go nie

interesowała. Jedyne, co się dla niego liczyło, działo się w czasie teraźniejszym. Całą resztę wymazał.

Wyglądało na to, że spódnica była już prawie sucha. Jeszcze jedna maleńka plamka wilgoci dzielnie opierała się wiatrowi i Lenka postanowiła, że przytrzyma ją tak za oknem jeszcze przez chwilę. Mijali właśnie jakieś anonimowe wioski, kiedy zadzwonił telefon orlonosej. Wychodząc w zaaferowaniu, zostawiła go na fotelu. Lenka postanowiła go zlekceważyć. Później powie dziewczynie, żeby sprawdziła nieodebrane połączenia, chociaż taka spryciara jak ona na pewno od razu przejrzy historię kontaktów, czy Lenka przypadkiem nie zadzwoniła do Australii na przykład...

Po chwili telefon przestał dzwonić i Lenka uspokoiła się.

Sekundę później zawył znowu. Potem przestał tylko po to, żeby po chwili znów zadzwonić.

– Już dobrze, zaraz! – powiedziała do niego, jakby był histeryzującym zwierzątkiem.

Jedną ręką puściła spódnice i sięgnęła po telefon. Udało się, wszystko grało, zero strat w ludziach i dobrach trwałych. Spojrzała na ekranik. Pulsował tam duży napis: Babcia.

Lenka westchnęła. Powinna odebrać. Staruszce musiało bardzo zależeć, skoro dzwoniła tak raz za razem. Może martwiła się, czy wnuczka szczęśliwie dojechała?

Lenka nacisnęła klawisz z zieloną słuchawką.

– Halo?

Po drugiej stronie coś zaszumiało. Potem przez chwilę panowała cisza, wreszcie czyjś nieco łamiący się głos zapytał niepewnie:

– Czego mało?

Lenka powtórzyła głośniej:

– POWIEDZIAŁAM: HALO.

Głos po drugiej stronie kabla jakby się rozpromienił:

– O, jak miło, witaj, Lena. Jest tam gdzieś Letycja? Moja prawnuczka, znaczy się.

Lenka gwałtownie odsunęła słuchawkę od ucha. Patrzyła na komórkę takim wzrokiem, że gdyby była bohaterką kreskówki, pewnie wypaliłby w niej dziurę wielkości orzecha włoskiego. Potem znów przytknęła ją do ucha.

– PANI... PANI...

– Babcia – poinformowała uprzejmie słuchawka. – Tak na mnie mówią, co zrobić.

– SKĄD PANI WIEDZIAŁA, ŻE TO JA ODEBRAŁAM?

Babcia westchnęła.

– Taka moja skaza. Zapamiętuję ludzkie głosy. Jakbym je sobie w głowie nagrywała. Zresztą, kto wie, może i tak rzeczywiście jest, do licha. To co, dasz moją prawnuczkę?

Zamarła.

Prawnuczka Babci! Przecież to ona przestawiła świece podczas rytuału! To przez nią Lenka przetoczyła się przez własne życie jak czołg, odwracając je do góry nogami, żeby tylko spełnić marzenie Oskara! Gdyby nie ta dziewczyna, wszystko przebiegłoby tak spokojnie... Ręka odruchowo puściła spódnicę, która poszybowała w świat, w kierunku, z którego z całą pewnością nie zamierzała i nie mogła wrócić.

Cholera jasna! Spódnica!

– Nie przejmuj się, zasłużyła sobie – usłyszała nagle uspokajający głos Babci.

Słuchawkę cały czas kurczowo trzymała przy uchu.

– CO TERAZ? – zapytała, przerażona. Dosłownie widziała, jak Babcia wzrusza ramionami.

– Wsiadaj. A Letycja i tak miała jeszcze chwilę zostać w tej łazience.

– ALE JA MUSZĘ... DO ŁODZI...

Babcia mlasnęła.

– Wcale nie musisz. Poza tym to nie jest pociąg do Łodzi.

–SŁUCHAM?!

– To jest pociąg do Koluszek.

Rozmowa nagle urwała się. Metaliczny głos poinformował ją, że straciła zasięg. Lenka nerwowo wyjrzała przez okno – pociąg właśnie zatrzymywał się na jakiejś stacji. Rzuciła komórkę na fotel, chwyciła torebkę i wybiegła z przedziału. Po chwili wyskoczyła na peron. Rozejrzała się: pusto, odludnie i żółto. Jajecznie wręcz. Za plecami usłyszała syk, potem pisk gwizdka. Pociąg ruszył. Serce łomotało jej jak oszalałe, miała przyśpieszony oddech, wciąż poruszona historią, która się właśnie wydarzyła.

Prawnuczka Babci!

Spódnica!

Telefon!

Skąd Babcia wiedziała?... Brr.

Pociąg zniknął za zakrętem, nikt z niego nie rzucił się za Lenką, żadna orlonosa nie zamierzała na razie egzekwować swoich praw do spódnicy. Lenka poprawiła torebkę, która zaczęła zjeżdżać jej z ramienia, i poszła prosto przed siebie w stronę drogi, tnącej na pół żółte pole. Coś błyskało na końcu szosy – jakby słońce odbijało się na szybie samochodu. Zmrużyła oczy – to był samochód. Chyba czerwony.

Oskar szedł korytarzem, zaglądając po kolei do wszystkich przedziałów. Lenki nie było. Mimo że zostały mu jeszcze dwa wagony do sprawdzenia,

zaczął się niepokoić. Na dodatek pewna bardzo nieprzyjemna myśl próbowała wbić mu się do świadomości.

Dziecinada.

Farsa.

Plus mocne zamroczenie umysłu. Albo raczej: Cha. Cha. Cha.

Dwa wagony dalej miał już pewność, że go zaćmiło. Lenki nie znalazł, za to bardzo zdenerwował się na siebie. Gonił jakiś pociąg, porwał czyjś skuter, szarpał się z konduktorami – i po co to wszystko? Co chciał w ten sposób udowodnić? Co zamierzał osiągnąć?

Próbował trzasnąć drzwiami między wagonami. Były wahadłowe, więc uderzyły go tylko lekko w plecy.

Idiota! Kretyn! Głupek normalnie!

Żaden poważny facet tak by się nie zachował. Mężczyźni w jego wieku zazwyczaj mieli inne sposoby na kobiety. Jeśli nawet je krzywdzili i próbowali potem naprawić swój błąd, nie zachowywali się jak dzieciaki z serialu dla nastolatków! Przynajmniej nie powinni się zachowywać...

Zdenerwowany na siebie, stanął przy drzwiach wyjściowych, postanawiając, że wysiadzie na najbliższej stacji. Posmutniał.

On, Oskar Brzóska, zawsze rozrywany przez kobiety, w rzeczywistości nie miał pojęcia, jak z nimi postępować. Był zielony i nieporadny. Działał według jakichś pierwotnych odruchów, które w wydaniu współczesnego faceta zahaczały o śmieszność. Dobrze, że się przynajmniej nie zabił, goniąc tak za Lenką przez Polskę.

Zagapił się smętnie przez okno. Żółte pola radośnie mrugały do niego, jakby próbowały poprawić mu humor.

„Oskar”, zdawały się mówić, „czym ty się przejmujesz, stary. To miłość tak ogłupia”.

Brzóska zagryzł wargi.

W tym sęk, pomyślał.

„Sęk? W tym całe szczęście, chłopie”.

Lenka szła drogą przecinającą żółte pole. Pogoda była bardzo ładna. Można powiedzieć – złośliwie ładna, biorąc pod uwagę jej samopoczucie. Spotkała dziewczynę, która przestawiła świece! Która tak bardzo namieszała w jej życiu! Kopnęła przypadkowy kamyczek. Prawnuczka Babci wciąż siedziała pewnie w łazience, czekając na wysuszoną spódnice. Cóż, stało się, pomyślała, wyzuta nagle z jakichkolwiek wyrzutów sumienia. Jak widać, życie lubi płać figle. Gburowata orlonosa wkrótce miała przekonać się o tym osobiście.

Zatrzaśnięta w myślach, nie zwracała uwagi na drogę, nie rozglądała się. Na ziemię wróciła dopiero wtedy, gdy do buta wpadł jej mały ostry kamyczek. Zatrzymała się. Zapinany na kostce pantofel nie chciał zejść bez rozpinania, uklękła więc, żeby otworzyć sprzączkę. Na chwilę przestała myśleć o orlonosej, bardziej skupiając się na wysupływaniu z buta męczącego kamyczka. Potem zapięła pantofel i podniosła się.

Czerwony kabriolet z otwartymi drzwiami bardzo malowniczo wkomponowywał się w tło, składające się z kwitnącego na żółto pola i skrobiącego się po głowie czerwonego na twarzy pijaczka, który w zadumie przyglądał się autu.

Lenka poczuła się tak, jakby coś uniosło ją nad ziemię.

Stała kilka kroków od samochodu Oskara Brzóska.

– I co chcesz teraz zrobić? – zapytała oficer Rawicz, patrząc z niepokojem na przejętą twarz brata.

Marcel odchrząknął.

– Pojadę do niej. Jeśli nie będziesz miała nic przeciwko... Jeśli w fabryce się zgodzą.

– Nie ma o czym mówić – ucięła stanowczo. – Nie podpisywałeś z nami żadnego cyrografu. Masz prawo w każdej chwili zrezygnować. Znajdziemy kogoś innego na to miejsce, nie przejmuj się.

Marcel skinął głową. Agata nie potrafiła ocenić, na czym polegała różnica, ale jego twarz nagle jakby wyładniała, rysy rozprężyły się, nabierając miękkości. Brat wyglądał na szczęśliwego człowieka. Bardzo dawno nie widziała go w takim stanie.

– To zdjęcie... Odebrałem je jako znak. – Zawiesił głos i zapatrzył się w przestrzeń. – Jezu, ale ze mnie idiota. Wyobrażasz sobie? Nawet o nią nie powalczyłem, jak się pokłóciliśmy, po prostu zwinąłem rzeczy i zwiąłem do tego cholernego Tybetu. Potem jeszcze dalej. Jak dzieciak jakiś.

Agata westchnęła. Bo co mu mogła powiedzieć? Że niby taka mądra, a nie miała żadnego doświadczenia w tych sprawach?

– Nasi rodzice – zaczęła niepewnie – też się tak rozchodzili bez sensu. Pamiętasz? Mama opowiadała, że przed ślubem dwa razy zrywała, bo ojciec działał jej na nerwy, ale wracała do niego, pewnie z przyzwyczajenia.

– Nie, nie – wszedł jej w słowo. – Musiałaś źle zrozumieć. Wracała do niego z miłości.

Zamilkli na chwilę. Agata poczuła, że się czerwieni ze wstydu. Miłość jakoś kompletnie nie przyszła jej do głowy.

– Mama nie była pewna, czy to facet jej życia – powiedział wreszcie Marcel. – Mówiła mi, że miała taki sen: wychodzą z kościoła po ślubie i

podchodzą do nich ludzie, składać życzenia. I wtedy przed mamą staje mężczyzna jej życia. Nikt konkretny, po prostu w tym śnie wiedziała, że popełniła błąd, że powinna była jeszcze chwilę poczekać.

Agata chrząknęła.

– Ale tego się przecież nigdy nie wie – powiedziała cicho. – Po prostu kiedyś trzeba się zdecydować.

Marcel zamyślił się.

– Podobno zakochała się w ojcu od pierwszego wejrzenia, ale miała dylemat, bo nie przypominał facetów, z jakimi wiązały się jej koleżanki. Był biedniejszy. Nie miał studiów. Nie lubił imprez. Mówiła, że był dla niej za spokojny.

– To dlaczego w końcu za niego wyszła?

– Przez miłość. Na co jej bogaty, wykształcony imprezowicz, skoro by go i tak nie pokochała?

Agata spojrzała bratu w oczy.

– Twoja Ada wtedy też się pewnie po prostu tylko wahała. Ale ty nie dałeś jej szansy. Gdyby ojciec zachował się tak samo, nie byłoby nas tutaj.

Wstała od stołu.

– Jedź już do niej. Żeby tym razem to ona ci nie uciekła.

Pijaczek był zakłopotany sytuacją. Jego skurczony od wódki mózg powoli analizował fakty, wysyłając mu na razie bardzo skąpe informacje.

Otóż jakiś czas temu jechał sobie fajnie skuterem, wracając do domu po nocnej zmianie na stróżówce w hurtowni niemieckiej firmy, której nazwy – mimo że pracował tam już drugi miesiąc – za żadne skarby nie mógł zapamiętać. Ba, on tej nazwy nie umiał nawet przeczytać. Za dużo spółgłosek

i za długi wyraz, przecież nie był jakimś cholernym literatem, żeby łamać sobie język!

Z hurtowni do domu był kawałek. Z dziesięć kilometrów. A że człowiek nie wielbłąd, za długo bez wody nie pociągnie, zajechał po drodze do znajomej knajpy, gdzie z nawiązką uzupełnił niedobory płynów, decydując się jednak na wodę (z ortografią zawsze był na bakier).

Z tego, co wydarzyło się potem, pamiętał jakby mniej. To znaczy, jak przez mgłę widział siebie odbijającego się od dwóch żółtych ścian (kto by pomyślał, że pola takie wysokie wyrosną!), a następnie otulającego się jakąś zieloną, mechata kołdrą o zapachu trawy. Być może przy okazji zwymiotował.

Potem zasnął. Jak długo spał, nie potrafił ocenić. Zmęczony mózg zatrzymał się, dysząc ciężko. W głowie pijaczka zapadła cisza, podkreślana dodatkowo przez ciszę panującą na zewnątrz.

Dopiero po kilku minutach, kiedy mózg z trudem wrócił do przerwanej czynności, pijaczek zrozumiał, obok czego stoi. Otóż stał obok czerwonego samochodu z otwartymi drzwiami i kluczami w stacyjce.

Zajęło kolejną chwilę, zanim pijaczek rozważył, jakich emocji powinien doświadczyć w tej wyjątkowej chwili.

Wybrał umiarkowane zadowolenie.

Ponieważ w samochodzie nikogo nie było, nikt nie powinien mieć pretensji, jeśli pijaczek usiądzie sobie na chwilę za kierownicą. Mógłby nawet spróbować ruszyć z miejsca, najlepiej jak najszybciej. Potem wjechać w jakiś las albo do stodoły sąsiada, w której od czasu do czasu stały podobne cacka, tylko na obcych rejestracjach.

Właśnie tak zamierzał zrobić.

I wtedy stało się coś strasznego. Mózg pijaczka wyprodukował bowiem kolejną myśl, zupełnie nie bacząc na konsekwencje.

Pijaczek rozejrzał się, po czym śmiertelnie obraził się na cały świat. Podarowano mu czerwony kabriolet, pięknie dziękuje, ale dlaczego, do cholery, zapłacono sobie jego skuterem? Oparł ręce o czerwone auto, bliski płaczu. Łzy nie zdążyły się jednak nawet zorganizować w kącikach jego oczu, bo nagle usłyszał delikatne szuranie. Podniósł swój mętny wzrok.

Na drodze stała śliczna dziewczyna. Patrzyła na niego tak, jakby zobaczyła ducha. Pijaczek szybko klepnął się po tylnej kieszeni spodni, szukając grzebyka. Po chwili, uczesany, zrobił krok w stronę ślicznotki.

– Skuter. Zabrali mi skuter.

Po czym wpadł do rowu, gdzie sekundę później znów spał kamiennym snem chrapiącej krowy.

Lenka dopadła do samochodu. Kim był pijak, nie miała pojęcia i nie chciała wiedzieć. Grunt, że facet zasnął na amen, chrapiąc i ciamkając. Mogła go więc spokojnie skreślić z listy niepokojących obiektów.

Auto rzeczywiście należało do Oskara. Tego wnętrza nie pomyliłaby z żadnym innym. Przecież wiózł ją nieraz, zdążyła się więc wszystkiemu dokładnie przyjrzeć, pamiętała nawet, że na skórzanej tapicerce fotel pasażera miał ciemne, podłużne zabrudzenie, jakby komuś wylał tam długopis. Sprawdziła – zabrudzenie było na swoim miejscu. Znalazła też zapamiętane inne cechy charakterystyczne: nadpęknięte lustro wsteczne, sportowy pokrowiec na kierownicy, wyszczerbiona gałka zmiany biegów. Wszystko się zgadzało. Na szczęście nigdzie nie zauważyła śladów krwi albo innych niepokojących znaków, zamki nie były uszkodzone. Wyglądało na to, że nie wydarzyło się nic strasznego.

A jednak coś było nie tak. Bo niby jak w ogóle wyjaśnić obecność auta w tym miejscu? Na tej zapomnianej przez cywilizację drodze? Dlaczego drzwi

były otwarte, a kluczyki w stacyjce? I co, do diabła, robił obok ten chrapiący pijak?

Przestraszona, usiadła za kierownicą. Jeszcze raz rozejrzała się po wnętrzu.

I wtedy to zauważyła.

Na półce obok deski rozdzielczej leżała kartka z odręcznymi zapiskami. Wzięła ją ostrożnie do ręki i przebiegła wzrokiem. Oniemiała.

To była szczegółowa trasa pociągu, z którego właśnie wysiadła! Przewinęła myśli do tyłu, zatrzymując się na rozmowie telefonicznej z Babcią.

– Co teraz?

– Wsiadaj. A Letycja i tak miała jeszcze chwilę zostać w tej łazience.

– Ale ja muszę... Do Łodzi...

– Wcale nie musisz. Poza tym, to nie jest pociąg do Łodzi.

– Słucham?!

– To jest pociąg do Kuluszek".

Jeszcze raz spojrzała na kartkę. Zakreślona grubym kółkiem stacja docelowa – Kuluszki! Próbowała zebrać myśli: Oskar dowiedział się, że jechała tym pociągiem, chciał ją dogonić, ale z jakichś względów w tym miejscu porzucił samochód... Co bełkotał ten pijak? Że zabrali mu... Skuter! Oskar przesiadł się na jego skuter i pojechał do Kuluszek.

Zamarła. To nie miało sensu. Po co przesiadałby się na skuter?

– Teraz musisz mnie podwieźć – usłyszała nagle. Pijak obudził się i gramolił się właśnie z rowu.

– Musisz mnie, panna, zawieźć do chaty.

Palce Lenki same znalazły kluczyk. Przekreśliła go. Samochód kaszlnął. Pijak uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Nie uciekaj, bo jak cię dogonię, to zobaczysz...

Nie zobaczyła, on zobaczył. Chmurę piachu, którą wznieciły koła samochodu tuż po tym, jak Lence udało się nagle uruchomić silnik i gwałtownie odjechać do tyłu. Potem z piskiem opon ruszyła szosą w stronę Koluszek, bo tam, jak założyła, zmierzał Oskar. Próbowwała nie słuchać myśli, jakie usiłowały dojść do głosu w jej głowie: skąd pewność, że to on zabrał skuter? I że pojechał właśnie do Koluszek?! I dlaczego, do cholery, jechała tak za nim na złamanie karku, skoro go nienawidziła? Skoro jej w ogóle na nim nie zależało? Może dlatego, że go wciąż kochała?

To miał być przedostatni przystanek, potem już Koluszki. Gdy pociąg zaczął zwalniać, na korytarzu zaroilo się od ludzi. Oskar cofnął się pod drzwi toalety, ustępując miejsca jakimś bardzo zasapanym babom w chustach na głowie i z koszami w rękach. Miał dziwne wrażenie, że pasażerowie się nagle rozmnożyli – mógł się założyć, że kiedy zaglądał do przedziałów w poszukiwaniu Lenki, nie widział tylu osób! Mało tego, wydawało mu się nawet, że pociąg był w miarę pusty. Aż tak go zamroczyło?

Pociąg zatrzymał się. Baby przeciskały się do drzwi. Oskar cierpliwie czekał w kolejce. Przypomniawszy sobie o samochodzie zostawionym w szczerym polu z kluczykami w stacyjce, ale machnął na to ręką. Co ma być, to będzie. Pomału zaczynał się przyzwyczajać do myśli, że zwroty akcji stały się nieodłącznym elementem jego życia. Taki model, jak widać.

Usłyszał pisk. I syk. Otrząsnął się z zamyślenia. Po babach nie było śladu, a pociąg właśnie ruszał ze stacji. Wkurzony, rzucił się do drzwi. Wskoczy, nie będzie dalej jechał tak bez sensu! Klamka nie zamierzała jednak ustąpić, szarpał się z nią, naciskał, prawie wieszał się na niej – bez powodzenia. Westchnął ciężko. Zwroty akcji, tak? Nie ma sprawy. Wsiądzie w Koluszkach i kupi bilet na pociąg do Warszawy. A jeśli nie zapomni, zadzwoni po pomoc drogową.

Chyba że znów coś się zdarzy.

Ada niespokojnie kręciła się po mieszkaniu. Niby wytłumaczyła sobie, że nie powinna martwić się o Lenkę, ale coś ją cały czas niepokoiło. Miała nadzieję, że siostrzenica zadzwoni, jak tylko znajdzie zasięg. Wciąż przecież nie zdecydowała, co z tą przewodzątką. Zostawiać wszystko po staremu? Odwoływać? Wkrótce mieli się pojawić klienci zainteresowani jej mieszkaniem. Co miała im powiedzieć?

Chwilę po tym, jak zaczęła wykopywać z jednego z pudeł swoją szklaną kulę, której zamierzała się poradzić, ktoś zapukał do drzwi. Ada zastygła. Zrobiło się jej gorąco, potem nagle bardzo zmarzła. Po chwili jednak uspokoiła się.

Co z tego, że właśnie w ten sposób Marcel zawsze dawał jej znać, że to on stoi za progiem.

Puk puk puk

Chwila przerwy.

Puk puk

Przerwa.

Puk

Zwykły zbieg okoliczności.

Zerknęła na zegarek. Klienci mieli tu być za kwadrans, może pomylili godziny.

Podniosła się i ruszyła w stronę drzwi, śmiejąc się z siebie. Co jej tak nagle wróciło z tym Marcelem? Przecież on nie żyje.

Puk puk puk .

Chwila przerwy.

Puk puk

Przerwa. –

Puk

Dotarła do drzwi.

– Ada – usłyszała miękki, ciepły głos mężczyzny, stojącego za drzwiami. – Adusia, to ja.

Poczuła, że traci czucie w nogach. Zakręciło się jej w głowie, a przed oczami zrobiło się ciemno.

Lenka bez trudu znalazła dworzec. Koluszki to małe miasto, choć węzeł kolejowy mają imponujący. Zaparkowała byle jak i rzuciła się biegiem w stronę peronów. Na trzech torach stały pociągi, ludzie kręcili się między nimi. W ogóle, jak na złość, na peronach był straszny tłok – jakieś wycieczki z plecakami, zaaferowane rodziny; wypatrzyła nawet grupę zakonników z tobołkami. I jak w tym tłumie znaleźć kogokolwiek?

Rozejrzała się gorączkowo. Nad torami rozciągnięto kładkę, która prowadziła do poszczególnych peronów. Rzuciła się w jej stronę i wskakując po dwa schodki, popędziła na górę. Stamtąd, jak szybko wywnioskowała, będzie miała doskonały widok na wszystkie perony.

Oskar w zamyśleniu wchodził po schodkach, prowadzących na kładkę. Był bardzo spokojny. Przestał się denerwować na siebie. W ogóle odeszła mu ochota na jakiegokolwiek skrajne emocje. Trudno, zawalił. Znów się nie popisał. Lenka najprawdopodobniej podpisywała właśnie umowę na wynajem mieszkania. Dojeżdżając do Koluszek, przemógł się i do niej zadzwonił, ryzykując, że znów nie będzie chciała z nim rozmawiać. Nie dodzwonił się, co w pewnym sensie przyjął z ulgą. Może to mu było przeznaczone? Może miał zostać ukarany za wszystkie serca, jakie w życiu złamał? Zawstydził się. Jezu, jak mu było głupio. Nie miał pojęcia, jak czuje się człowiek nieszczęśliwy w

miłości. Nie przypuszczał, że to takie... kompleksowe uczucie. Że się człowiek czuje fatalnie w każdym sensie. Że się czuje przegrany na każdym polu.

W myślach przeprosił dziewczyny, które skrzywdził. To było jedyne, co mógł zrobić: przyznać się sam przed sobą, że zawalił. W każdej z tych dziewczyn widział cechy swojej matki; dlatego tak je rzucał. Trochę się mścił. Trochę krzyczał o pomoc. Trochę się gubił w tym wszystkim.

Ostatnich kilka stopni, wreszcie góra kładki. Zrobił krok.

– Lena?...

Marcel trzymał Adę w objęciach. Delikatnie gładził ją po policzku.

– Kochanie... kochanie...

Ada otworzyła oczy. Gdy usłyszała jego głos, dobiegający zza drzwi, straciła przytomność. Potraçała stojące obok pudełka, które sypnęły książkami, notatkami, kopertami z korespondencją, przy okazji strasznie hałasując. Usłyszawszy to, Marcel złapał za klamkę – drzwi na szczęście nie były zamknięte na klucz. Wpadł do mieszkania i od razu rzucił się do Ady, która leżała na podłodze.

– Kochanie... przepraszam.

Spośród wszystkich dziwnych spotkań, wszystkich podróży Ady do światów alternatywnych i ingerencji magii w jej życie to wydarzenie było najbardziej niesamowite. Przyćmiło całą resztę.

– Marcel... – szepnęła, wciąż nie do końca przytomna. Świadomość wracała powoli, smakując jak zardzewiała łyżka. – Ja umarłam?

Marcel uśmiechnął się łagodnie. Miał łzy w oczach.

– Nie. To ja nie umarłem.

– Ale jak...

Przytulił ją. Najmocniej jak potrafił, czulej niż kiedykolwiek.

– Kocham cię.

Ada żałowała, że leży. W przeciwnym razie mogłaby sobie właśnie znów zemdleć. To była jedyna reakcja, jaką jej organizm przewidywał w tej chwili.

– Oskar!

– Lena!

Podbiegli do siebie.

– Myślałem, że ty...

– Wiedziałam, że tu będziesz!

Oskar chwycił Lenkę w objęcia. Drżała. On zresztą też, tylko próbował to po męsku zamaskować.

– Jechałem po ciebie...

– Znalazłam twój samochód...

– Nie musisz się wyprowadzać...

– Nie gniewam się...

Przytulili się do siebie jeszcze mocniej. Najchętniej przeniknęliby sobie nawzajem, wymieszali się, stopili tak na stałe. Ale nie wyszło, więc po prostu się pocałowali. Bardzo namiętnie.

Kiedy wreszcie oderwali się od siebie, Lenka, zupełnie nie panując nad sobą, nagle wybuchnęła śmiechem. Oskar spojrział na nią rozbawiony.

– Tak pomyślałam... Kładka w Koluszkach! Kurczę, żeby to chociaż było molo w Sopocie, a nie taki rupieć nad torami.

Oskar rozejrzał się.

– Serio, rupieć? – Podniósł brew, po czym chrząknął i powiedział głosem specjalisty: – Bo ja na przykład widzę w tej kładce wyraźne

nawiązania do rozwiązań, jakie zastosowano przy budowie tego słynnego mostu w San Francisco.

– Golden Gate?

Wybuchnęli śmiechem. Oskar dotknął palcem czubka nosa Lenki.

–Co?

– Kocham cię, królowno śmieszko.

– Nawet na kładce w Koluszkach?

– Nawet tu.

Uśmiechnęła się i otworzyła torebkę, z której po chwili wyjęła mały notesik. Napisała coś na kartce, wyrwała ją i położyła na barierce.

– Masz jakiś sznurek przy sobie?

Oskar pogmerał w kieszeniach.

– Tylko smycz od komórki.

Szybkim ruchem ściągnęła z włosów gumkę, pozwalając im rozsypać się po ramionach. Oskar patrzył na nią, zachwycony.

– Mam te włosy na nagraniu.

Lenka zaśmiała się, mocując kartkę do barierki rozerwaną gumką. Oskar podszedł bliżej.

– „Kładka Spełnionych Marzeń” – przeczytał. – Ładnie. Przydałyby się jeszcze jakieś kwiatki i szampan.

Lenka nieśmiało wzięła Oskara za rękę. Spletli palce.

– Zawsze można to nadrobić.

Babcia od rana była bardzo zajęta. Krzątała się zaaferowana po domu, jakby przygotowywała się do wielkiej podróży. Co zresztą właśnie miało miejsce.

Wypakowała z szaf wszystkie swoje najbardziej niezbędne rzeczy, w tym scyzoryk po mężu, zapakowany w mały woreczek pukiel jego włosów, książkę, którą uwielbiał i którą przeczytał kilkanaście razy, oraz zaplamiony krawat z czasów, kiedy jeszcze byli narzeczeństwem.

Potem spakowała wszystko do niewielkiej walizki, dokładając do niej jeszcze swój sweter, zapasową spódnicę i grube skarpety. Chciała też wziąć wełniany beret, ale przypomniała sobie, że mąż nie znosił, kiedy go zakładała.

Wczesnym południem zjadła jeszcze skromny obiad, po czym zabrała się do sprzątanania kuchni. To była jej filozofia życiowa: dobrze miało się dziać tylko tam, gdzie było wysprzątane, gdzie energia mogła krążyć sobie bez przeszkód.

Tuż po czwartej ktoś zadzwonił. Babcia przymknęła oczy i po chwili doskonale wiedziała, kto stał za drzwiami, nerwowo skubiąc palcami szew swojej spódnicy. Poprawiła włosy i ruszyła do przedpokoju. Cóż, potrzebującym się nie odmawia.

Pierwsza do pokoju weszła Basia. Wrażliwa Ania, która adres Babci dostała od swojej mamy, szła za nią. Babcia i wzdychający pies, który przyszedł przywitać gości, zamykali pochód.

– Siadajcie, dziewczynki – powiedziała Babcia, wskazując kanapę. – Napijcie się czegoś? Wody, soku? Napojów gazowanych niestety nie mam.

Dziewczyny wydukały grzeczną zgodę na sok i lekko przestraszone rozejrzały się po pokoju. Wyszepały coś do siebie. Wzdychający pies westchnął i ułożył się na dywanie, gdzie spróbował zasnąć. Co jakiś czas kontrolnie otwierał jednak jedno oko.

– Oczywiście, powrózę wam za darmo – powiedziała Babcia, wracając z kuchni. Niosła karton soku i dwie szklanki. –Twoja mama, Aniu, płaci mi za dwoje.

Basia nerwowo się zaśmiała. Ania z kolei tak mocno spłotła palce, że momentalnie zbieleły jej kostki.

Babcia podeszła do szafki, skąd wyjęła szklaną kulę, starym zwyczajem zawiniętą we frotowy ręcznik. Odpakowała ją ostrożnie i postawiła na stole. Usiadła obok.

– To która pierwsza?

Dziewczyny wymieniły się spojrzeniami. Basia przełknęła ślinę i wstała z kanapy. – Ja mogę.

Ada wpatrywała się w twarz Marcela jak wierny w święty obrazek. Była zachwycona i przerażona zarazem, podekscytowana i gotowa do ucieczki, gdyby tylko nadarzyła się ku temu okazja.

Przecież Marcel nie żył!

Ten człowiek, który właśnie trzymał ją w objęciach, bez wątplenia pachniał jak Marcel, miał jego oczy, jego timbre głosu i całą jego resztę też miał, no ale bądźmy rozsądni, nie mógł być Marcelem! A przynajmniej nie w tym świecie, nie w tym wymiarze!

Próbowała wyswobodzić się z jego ramion, ale nie chciał jej puścić.

– Nie bój się. Wszystko ci wytłumaczę – powiedział miękko. Ada zebrała się w sobie i wyrwała się z objęć Marcela. Wstała z podłogi i odeszła na bezpieczną, w jej odczuciu, odległość.

– Kim jesteś? – zapytała słabym głosem. Potem chrząknęła i już pewniejszym tonem oznajmiła: – Znam się na czarach, jeśli mnie zaatakujesz, będę się bronić.

Marcel pokiwał głową, zaśmiał się cicho.

– Nic się nie zmieniałaś.

Podniósł się i ruszył w jej stronę. Ada cofnęła się i wyciągnęła rękę przed siebie.

– Znam czar, który cię zatrzyma. Stój, bo nie zawaham się go użyć.

Marcel posłusznie zatrzymał się.

– Wiem, że to dla ciebie szok, rozumiem... Ale to naprawdę ja. Sama zobacz – wyciągnął dłoń w jej kierunku. – Jest ciepła, ma tętno. Duchy chyba inaczej wyglądają.

Ada spojrzała krytycznie na rękę Marcela.

– Zależy które. – Zastanowiła się. – Okej, duchem nie jesteś. Ale za to marną kopią mojego Marcela. Nie wiem, o co ci chodzi, ale powiem ci, że kiepski z ciebie sobowtór. Marcel, na przykład, miał jaśniejszą cerę.

– Mieszkalem w Portugalii. Opaliłem się.

– Włosy miał ciemniejsze.

– Słońce mi rozjaśniło.

Przyjrzała się jego twarzy.

– Marcel miał szare oczy, ty masz brązowe.

– Noszę soczewki.

– Marcel nigdy nie założyłby kolorowych soczewek.

Marcel westchnął.

– U optyka na rogu skończyły się zwykłe, a nie miałem czasu i musiałem jakieś kupić.

Ada wzruszyła ramionami.

– Słuchaj, ja ci i tak nie uwierzę. Marcel nigdy by mnie tak nie oszukał. To nie był człowiek, który upozorowałby własną śmierć. On po prostu nie chciał się ze mną wiązać, więc wyjechał do Tybetu. I tam zginął. Dla mnie on nie żyje.

Marcel zagryzł wargi.

– To bardziej skomplikowane, niż myślisz. Jeśli tylko dasz mi szansę, wszystko ci wytłumaczę.

Włożył rękę do kieszeni i wyjął zdjęcie. Podał je Adzie. Ostrożnie wzięła je do ręki – to była ta sama fotografia, którą trzymała w portfelu! Tym samym, który jakiś czas temu jej ukradziono! Podniosła wzrok. Marcel patrzył na nią w pełnym napięcia oczekiwaniu. Energicznie potrząsnęła głową.

– Nie wiem, skąd wzięłeś to zdjęcie, i nie chcę wiedzieć – powiedziała suchym głosem, oddając mu zdjęcie. – Wyjdiesz sam, czy mam dzwonić na policję?

– Ada, posłuchaj...

– Okej – przerwała mu, zdenerwowana, jednocześnie sięgając po telefon. – Dzwonię na sto dwanaście.

– Poczekaj! – powiedział stanowczo i szybkim krokiem podszedł do Ady, po czym wziął ją za rękę.

– Wierzysz w miłość?

– A co to ma do rzeczy, w co ja wierzę?

– Pytam, bo ja kiedyś nie wierzyłem. I wcale nie było mi z tym dobrze, chociaż sobie tego nie uzmysławiałem. Ale ty to zmieniłaś, Ada. Pojawiłaś się w moim życiu jak jakiś anioł.

Ada nagle zamarła. Zakotłowało się jej w głowie. Te słowa... Właśnie takich użył Oskar, kiedy przekonywał ją o swojej miłości do Lenki! I gdy po wyjeździe Brzóskego zaparzyła sobie miłosne zioła, w duszy wypowiedziała słowa zaklęcia: prosiła energie, by sprawiły, żeby i ją tak ktoś kiedyś pokochał, żeby i ona doświadczyła czegoś takiego. Czar się spełnił! Spojrzała na Marcela, przestraszona. Patrzył na nią smutnymi oczami. Wokół jego tęczywek zauważyła bladą, ledwie dostrzegalną obwódkę – on rzeczywiście nosił soczewki!

Marcel ostrożnie dotknął policzka Ady.

– Kocham cię i chcę cię odzyskać. Wiem, że to może być trudne, ale to nie ma znaczenia. Najważniejsze, że zrozumiałem, gdzie jest moje miejsce. Już cię nigdy nie opuszczę, Ada. Obiecuję.

Przymknęła oczy. Jediną rzeczą, jakiej nikt nigdy nie byłby w stanie skopiować, był ten dotyk. Oskar miał coś podobnego w dłoniach, ale jego skóra nie mogła równać się z tą, którą właśnie poczuła na swoim policzku. Takiego ciepła, takiej niezwyklej delikatności nie miał nikt poza Marcelem.

Otworzyła oczy. Przed nią stała miłość jej życia.

Klienci, którzy kilka minut później pojawili się na progu mieszkania Ady, nie bardzo wiedzieli, jak się zachować w tej sytuacji. Drzwi były otwarte i z klatki schodowej doskonale było widać parę, która stała w przedpokoju, całując się jak oszalała. Na podłodze leżała cała masa drobiazgów – książki, papiery, zeszyty, notatniki, koperty na listy. Jedna z książek leżała blisko progu. Niedoszły klient schylił się po nią.

– „Spełnione życzenia. Niedokończona powieść”, Truman Capote – przeczytał.

Żona chrząknęła porozumiewawczo, wskazując na splecioną w uścisku parę, która nic sobie nie robiła z ich obecności.

– Raczej dokończona.

Wzięła męża pod ramię.

– Przyjdziemy innym razem.

Ostrożnie zamknęli drzwi i, uśmiechnięci, odeszli w stronę schodów.

Babcia przesunęła dłonią nad kulą. Szkło jakby zmętniało, potem coś w nim rozbłysło. Basia patrzyła na kulę z mieszaniną szacunku i trwogi. Drgnęła, przestraszona, gdy nagle coś miękkiego otarło się jej o nogi.

Spojrzała pod stół. Na dywaniku siedział mały rudy kotek, do złudzenia podobny do tego, którego miała Lenka Lipowska. Basia spojrzała pytająco na Babcię, która nie zwróciła jednak na nią żadnej uwagi, intensywnie wpatrując się w kulę.

– Niezłe z ciebie ziółko – powiedziała wreszcie Babcia, marszcząc czoło.

Basia poczuła, że robi jej się słabo. Po co w ogóle dała się tu wyciągnąć? Anka tak nalegała, że niby wróżka świetna, że na pewno wywróży, kiedy znajdą sobie chłopaków, że jej matka była zawsze bardzo zadowolona. Nie lepiej było iść do kina, zamiast siedzieć teraz w tym przerażającym domu?

– Hmm... – Babcia uśmiechnęła się. – Oczywiście, że lepiej. Ale wtedy myślałabyś, że twoje zadanie jest skończone. A to nieprawda.

Basia zamrugała oczami. O dziwo, nagle przestała się bać, słowa Babci za bardzo ją zaintrygowały, żeby tracić czas na jakieś pierwotne lęki.

– To znaczy?

– Słucham?

Ania poprawiła się na kanapie.

– Mów głośniej, Basia. Mama mówiła, że do Babci trzeba głośno.

Basia skinęła głową.

– JAKIE ZADANIE?

Babcia znów popatrzyła w kulę.

– Dotyczące pewnego małego chłopca o imieniu Filip.

Basia spojrzała podejrzliwie na Babcię.

– NIE ZNAM ŻADNEGO FILIPA.

Czarownica uśmiechnęła się.

– Oczywiście. Bo on się jeszcze nie urodził. Twoim zadaniem będzie dopilnować, żeby do pierwszych urodzin nie dotknął szklanej kuli. Jeśli to zrobi, wydarzy się katastrofa. Większa niż możemy to sobie wyobrazić.

Basia zaśmiała się nerwowo.

– TYLKO ŻE... WIE PANI... MYŚMY TU PRZYSZŁY DOWIEDZIEĆ SIĘ, KIEDY ZNAJDZIEMY SOBIE CHŁOPAKÓW. – Obejrzała się szybko na Anię. –I... CHYBA NIE CHCE PANI POWIEDZIEĆ, ŻE MAM NA NIEGO CZEKAĆ DWADZIEŚCIA LAT JAK JAKAŚ DEMI MOORE?

Babcia przesunęła dłoń nad kulą. Szkło z powrotem zrobiło się krystalicznie przezroczyste.

– Oczywiście, że nie. Zakochasz się całkiem niedługo i to z wzajemnością. Ale jeśli nie dopilnujesz Filipa, twój ukochany odejdzie. To znaczy... – oczy Babci pociemniały – my wszyscy odejdziemy. Wszystko się skończy.

Basia wzruszyła ramionami.

– TO CHYBA NIE BĘDZIE JAKIEŚ BARDZO TRUDNE.

W KOŃCU JAKIE JEST PRAWDOPODOBIENSTWO, ŻE NIEMOWLAK DOSTANIE DO ZABAWY SZKLANĄ KULĘ? JAK JEDEN DO MILIONA?

Parsknęła śmiechem. Nieśmiała Ania ostrożnie jej zawtórowała. Babcia popatrzyła na nie surowo.

– Owszem. Chyba że jest się dzieckiem wróżki.

Oskar nie mógł uwierzyć własnym oczom. Uszom zresztą też niespecjalnie ufał w tej sytuacji.

– Znalazłaś mój samochód! Ale jak...

Lenka wzruszyła ramionami i roześmiała się.

– Magia?

Podawała mu kluczyki. Otworzył jej drzwi, wszedł.

– Byłem przekonany, że się zepsuł – powiedział Oskar, z niedowierzaniem wkładając kluczyk do stacyjki.

Przekręcił, silnik odpalił, z lekkim co prawda kasznięciem, ale bez marudzenia. Oskar spojrzał na Lenkę.

– Jesteś niesamowita.

– Spróbuję nie zaprzeczać.

Roześmiali się.

– To gdzie jedziemy?

Lenka delikatnie dotknęła dłoni Oskara. Uśmiechnął się.

Spojrzeli sobie w oczy.

– Gdziekolwiek. Byle razem.

Nie pojechali prosto do Warszawy. Kilka razy zboczyli z drogi, zatrzymując się na krótkie spacerunki. Cały czas rozmawiali. Lenka wybaczyła Oskarowi to, jak zachował się na imprezie, ale sama nie miała dość odwagi, żeby przyznać się do pocałunku z Guttmanem, który przecież sprawił jej tyle zmysłowej przyjemności... Była pod wrażeniem, gdy opowiedział o swoim filmie dokumentalnym, zachwyciło ją, że inspirację znalazł właśnie w jednym z jej tekstów.

Zmartwiła się, że musiał odejść z redakcji, ale z drugiej strony przyjęła to też z pewną ulgą – tamto miejsce raczej nie najlepiej na niego działało. Na dodatek Rembiewska... Oskar nie chciał o niej słyszeć, uznając tę znajomość za ostatecznie skończoną.

Do Warszawy dojechali wczesnym wieczorem. Po drodze Lence udało się dodzwonić do Ady. Głos ciotki dosłownie iskrzył z emocji. Szczęście było kompletne, los się dopełnił. Obie znalazły miłość. Przeznaczenie, jak to

przeznaczenie, po raz kolejny udowodniło, że jest bardzo trudnym partnerem w interesach.

Basia Brzóska prawie całą noc telepała się po pokoju. Myślała o spotkaniu z Babcią, analizowała jej wróżbę, gadała do siebie na głos. Przed oczami cały czas wyświetlało jej się imię Filip, pomału traciła już do niego cierpliwość. Obiecała sobie w końcu, że będzie unikała jakichkolwiek Filipów, nie da się wciągnąć w jakieś podejrzaną sprawę. Wróżka bredziła – tak, w to należało uwierzyć i to całą sobą. Ale od męczącego ją Filipa gorsze było coś innego.

Otóż kiedy diabelnie zmęczona położyła się w końcu do łóżka i zasnęła, przyśnił się jej rudy kot Lenki Lipowskiej. Chodził po jej łóżku i drapał w policzek. Kiedy próbowała go zrzucić, dziabnął ją w rękę i oznajmił oskarżycielsko:

– Może byście mi wreszcie dali spokój, co?

Nie mając pojęcia, co myśleć o tym śnie, zmęczona Basia poczłapała rano do kuchni i wypila duszkiem pół litra zimnego mleka. Dziwne. Nigdy go przecież nie lubiła.

Kilkanaście godzin wcześniej, a dokładnie w momencie, w którym Lenka znalazła porzucony przy drodze samochód Oskara, w pociągu relacji Warszawa – Białystok ktoś ostrożnie uchylił drzwi łazienki.

– Jest pani tam? – szepnął damski głos.

Nikt nie odpowiedział. Właścicielka głosu, to jest Letycja Metz, zatrudniona w telewizji jako asystentka do spraw castingów, niepewnie wychyliła głowę przez szparę w drzwiach i rozejrzała się niespokojnie. Potem zrobiła krok w stronę korytarza. Następnie cofnęła nogę i znów zamknęła się

w łazience. Niespełna minutę później ponownie otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Do przedziału miała kilka metrów. Zrobiła ostrożny krok.

I wtedy oberwała w nos drzwiami wahadłowymi, w których nagle pojawił się młody, kędzierzawy mężczyzna z plecakiem w dłoni.

– Jezu, przepraszam, nic się pani nie stało? Zamyśliłem się i nie zauważyłem, że...

Mężczyzna nagle zamilkł, oczy zrobiły się mu okrągłe. Letycja poczuła, że za chwilę z uszu pójdzie jej para.

– No co, lato jest – warknęła, odbiegając w stronę przedziału. Papier toaletowy, którym obwiązała nagie biodra, lekko zsunął się jej na udo i odsłonił pośladki opięte różowymi majtasami w serduszka, na których umieszczono intrygujący napis:

Spełnię twoje marzenie

Mężczyzna prychnął śmiechem i ruszył za Letycją. Podróż zapowiadała się wyjątkowo ciekawie.

Następny dzień zaczął się burzowo. Ciemne, niepokojące chmury nadciągnęły z dwóch stron, ścierając się dokładnie nad centrum. Wyładowania były imponujące, niektórzy zarzekali się nawet, że takich piorunów nie widzieli w stolicy od wielu lat. Stołeczna prasa opisywała później dziwny przypadek pewnej pani z Ursusa, która siedząc podczas burzy w fotelu, nagle zauważyła, jak z gniazdka wystrzela świetlisty wąż, pnie się następnie po ścianach i pali wszystko, co spotkał na swojej drodze. Zniszczył na przykład zdjęcie ślubne, dyplom córki i nadpalił paprotkę. A co, gdyby dosięgnął nieszczęsną panią? Lepiej nie myśleć.

Burza skończyła się około południa, zostawiając w mieście niezły bałagan. Wszędzie wałały się śmieci.

Babcia, która podczas burzy pakowała małą walizkę, tuż po tym, jak na niebie ponownie pojawiło się słońce, wyszła dziarskim krokiem na podwórko w towarzystwie swojego wzdychającego psa i małego ryżego kota, który parę tygodni wcześniej się do niej przyplątał. Babcia doskonale wiedziała, czyj to był kot, i dlatego potraktowała go jak bardzo dobrego znajomego. Wzdychający pies na jego widok westchnął. Przeczuwał, zresztą całkiem słusznie, że to małe, wkurzone i rude zostanie z nimi na dłużej. Nie byłby szczery, mówiąc, że taka sytuacja w pełni mu odpowiadała.

Wnikliwy obserwator od razu zauważyłby, że Babcia wygląda inaczej niż zwykle. To znaczy była wyjściowo ubrana, na głowie miała kapelusz (najlepszy z trzech, jakie posiadała), na dłoniach białe koronkowe rękawiczki. W rękę trzymała walizkę.

Gdy wyszła na podwórko, dach domu jakby cicho warknął. Babcia obrzuciła go karcącym spojrzeniem.

– Jeszcze chwila.

Potem pstryknęła palcami na miotłę, która właśnie zamiatała podwórko. Miotła stanęła dęba, a następnie posłusznie ułożyła się na ławce. Babcia ogarnęła podwórko czujnym spojrzeniem. Nagle klasnęła w dłonie, jakby sobie o czymś przypominając.

– No przecież!

Wpadła do domu, skąd wróciła po chwili, niosąc butelkę koniaku. Wsunęła ją do walizki i pstrykając na psa i kota, ruszyła w stronę furtki. Kiedy wyszli na chodnik, Babcia odwróciła się, przez chwilę spoglądając smutno na dom.

– Będzie mi ciebie brakowało – powiedziała.

Wzdychający pies spojrzał na nią poważnym wzrokiem. Potem jęknął, bo Ryży dziabnął go pazurem w łapę. Babcia pogłaskała psa.

– No to co, komu w drogę, temu czas.

Ruszyli przed siebie.

Dom warknął. Po czym zawalił się. Tak po prostu. Jak to stary dom. Runął, jakby był zbudowany z zapalek albo kart.

Babcia, pies i kot szli przed siebie, nie oglądając się. Kiedy weszli na szutrową drogę, biegnącą przez stare ogródki działkowe, położone tuż obok posiadłości Babci, coś śmignęło jak strzała i potoczyło się za nimi. Potem ich wyprzedziło, zatrzymując się przed nimi jak zmęczony szczeniak, który chce, żeby go nieść. Babcia schyliła się i podniosła z ziemi swoją owiniętą frotowym ręcznikiem szklaną kulę. Pogłaskała ją.

– Oczywiście, że o tobie nie zapomniałam, nie krzycz – powiedziała czule do kuli.

Przez ręcznik przebiło światło, którym rozjaśniło się szkło. Babcia kiwnęła głową.

– Wiem. Wszystko się dobrze skończyło. Widzisz? – Zapukała palcem w kulę. – Miłość wszystko pokonała. – Odwróciła się i spojrzała na Ryżego, który dostojnie kroczył kilka kroków za nią. – Nawet twoją magię, Asyrielu.

Kot podniósł na Babcie swoje żółte oczy i ziewnął. Wzdychający pies, który szedł za Ryżym, zauważył, że sierść kota nagle jakby naelektryzowała się, a z ogona strzeliły w powietrze białe iskry. Ryży, udając niewzruszonego, ze stoickim spokojem zapolował sobie na świerszcza.

Babcia uśmiechnęła się pod nosem: czas rozpocząć nowe życie, ahoj przygodo! Miała przy sobie wszystko, czego potrzebowała do szczęścia: zwierzęta, kulę i kilka drobiazgów. Miała też trochę chleba i butelkę z sokiem wiśniowym. Księgę czarów wykuła na pamięć wiele lat temu, więc nie musiała obciążać nią walizki; na jej dnie spoczęło natomiast kilka kartek zapisanych gęstym drukiem. Pokiwała głową do własnych myśli: Lenka

Lipowska ma talent. I to nie tylko literacki. Opowiadanie, które wypadło z torby Lenki podczas wizyty, było historią dwudziestokilkuletniej wówczas Babcia, choć umieszczoną we współczesnych realiach. Ale najdziwniejsza nie była zbieżność wymyślonej fabuły z życiem staruszki. Znacznie dziwniejsze było coś innego.

– Przecież nikomu nie mówiłam, że tak naprawdę mam na imię Justyna.

Pies szczeknął, Babcia westchnęła. Zajęty polowaniem Ryży jedynie machnął ogonem. Gdy po chwili cała trójka zniknęła za zakrętem, niebo rozpruła gruba, świetlista gałąź. Takie błyskawice zazwyczaj nie wróżyły niczego dobrego. Znow zanosilo się na burzę.

*DZIŚ RANO SPOTKAŁAM ELVISA, A ON MI POWIEDZIAŁ.
OPOWIADANIE MAGICZNE. Napisane przez Lenkę Lipowską*

Czy to gołębie tak biegały po parapecie?

Dźwięk był wyrazisty i jednostajny – może któryś ptak podskakiwał w miejscu, porażony prądem?

Ale nawet kiedy hałas dobiegający z za okna nasilił się jeszcze bardziej, Justyna nie podniosła się z łóżka.

Zasnęła znowu i przyśniło się jej, że siedzi na półce skalnej i patrzy w niebo. Gwiazdy poruszały się, rozbłyskiwały białym światłem i ślizgały z prawa w lewo, zostawiając za sobą jasne ślady. Całe niebo pokryła wkrótce pajęczyna cienkich, migotliwych nitek, zupełnie jakby jego sklepienie było wnętrzem dłoni, a świetliste ślady wyraźnie wyżłobionymi liniami papilarnymi. W swoim śnie Justyna siedziała tak i siedziała, i wpatrywała się w to niezwykle niebo, a czas stał w miejscu, nieruchomy i na bezdechu. A może go po prostu już nie było?

Czy to gołębie wciąż tak hałasowały?

Justyna otworzyła oczy i zobaczyła popękany sufit, upstrzony gdzieś nabrzmiałymi pęcherzami łuszczącej się farby. Wszystkie ściany w mieszkaniu wyglądały podobnie, wszystko niszczało.

Justyna zacisnęła powieki i zadrżała. Przecież przed chwilą zamiast sufitu było tańczące niebo!

Codzienny rytuał był taki: Justyna budziła się i liczyła pęknięcia i drobne dziurki na suficie; tak mijало kilka minut, zanim decydowała się wreszcie wysunąć spod kołdry. Potem podchodziła do okna, rozsuwała zasłony i kładła dłonie na drewnianej framudze. Świat po drugiej stronie szyby niespecjalnie ją zajmował: widziała zawinięte wokół podwórka drugie skrzydło kamienicy, prężące się anteny radiowe, czerwone pelargonie w plastikowych doniczkach. Latem otwierała okno na oścież i opierając się na łokciach, spoglądała w dół na czekające psy i śmiejące się dzieci, na siedzących pod drzewem pijanych mężczyzn, na chłopaków w za dużych spodniach z niskim krokiem, którzy, zdawałoby się, mieli na stałe przyklejone do ust na wpół wypalone papierosy.

Czasami Justynie wydawało się, że wszystko, co działo się za jej oknem, było tylko złudzeniem – w rzeczywistości żadne podwórko nie istniało, nie było betonu ani histerycznie ujadających psów, a ludzie stanowili po prostu zmyślną projekcję wielobarwnych plam... Świat przyjmował wtedy postać okrągłej tacy z przedziałkami na przezrocza, które po naciśnięciu guzika bezszelestnie wysuwały się przed soczewkę rzutnika. Im dłużej Justyna patrzyła przez to swoje okno, tym silniejsze rodziło się w niej przekonanie, że jedynym twórcą kolorowych obrazów, jedynym projektorem i mechanizmem, który wszystko napędzał i nadawał mu kształt, były jej własne, zmęczone oczy.

Tamtego dnia dziurek na suficie było dokładnie trzydzieści trzy. Justyna nie miała ochoty wstawać z łóżka – zrzuciła z siebie tylko kołdrę, sięgnęła po leżącą na nocnej szafce paczkę papierosów, wyjęła jednego i zapaliła. Chwilę później powietrze przesiąknęło mlecznym dymem.

Podniosła się dopiero dwie godziny później. Podeszła do okna i rozsunała zasłony, wpuszczając do tonącego pokoju trochę dziennego światła, które wtargnęło energicznie, oblizując wszystkie kąty. Na rozgrzanej lipcowym słońcem szybie dokładnie na wysokości oczu Justyny siedziała turkusowa ważka. Przezroczyste podwójne skrzydełka szczepiły się ze sobą, a długi na kilka centymetrów odwłok drgał delikatnie. Głowa owada praktycznie w całości składała się z olbrzymich, wypukłych oczu – i oczy te patrzyły zuchwale na Justynę, i zdawały się mówić: Wiemy o tobie wszystko.

Justyna stuknęła palcem w szybę i ważka odleciała.

Tego dnia upał był tak silny, że uszczelniające okienną framugę gumowe listewki skleiły się ze sobą i zassały, niemalże tworząc jedną całość. Kiedy po kilku minutach walki z oporem materii nareszcie udało się otworzyć okno, z zewnątrz buchnęło jak z pieca i Justyna pomyślała, że świat coraz bardziej przypomina piekło.

Na podwórku nie było nikogo. Ludzie jakby puciekali przed tą straszną pogodą i nawet przyroda zdawała się trwać w stanie hibernacji – rachityczne krzaki stały nieruchomo, a ptaki posnęły. Justyna odchyliła głowę, przymknęła powieki i wyobraziła sobie, że świat za oknem rozplywa się w gęstej, nieprzeniknionej, bezdennej *nebuli*, i odtąd blaszany parapet jej okna miał wyznaczać granicę między dwiema krainami. W krainie Justyny było bezpiecznie i ciepło, łóżko nadal niezasałane, a na suficie wciąż i niezmiennie trzydzieści trzy dziury. I Justynie jest dobrze w tym maleńkim,

klaustrofobicznym królestwie pękających ścian i petów wdeptanych w parkiet, i Justyna postanowiła zapuścić w nim korzenie.

– Halo! Dzień dobry! – krzyknął ktoś i Justyna gwałtownie otworzyła oczy.

Świat za oknem zdążył wrócić do swojej zwyczajnej formy.

Kamienica, w której mieszkała Justyna, miała kształt przerwanego pierścienia – owijała się wokół betonowego podwórka w taki sposób, że między jej szczytowymi ścianami widniał prześwit o szerokości kilku metrów. Tamtędy poprowadzono chodnik i właśnie stamtąd dobiegało wołanie. Na dole stała niewysoka, pulchna kobieta.

– Halo, dzień dobry! – powtórzyła nieznajoma, przystawiając dłoń do czoła, dzięki czemu osłoniła oczy przed prażącym słońcem. – Paprotka pani zleciała.

Na ziemi, dokładnie pod oknem Justyny, leżała roztrzaskana doniczka. Spojrzała na nią zdziwiona – nie pamiętała takiego kwiatka w swojej kolekcji. Mówiąc dokładnie, w jej kolekcji nie było żadnego kwiatka. Justyna przeniosła wzrok na kobietę. Nieznajoma pomachała do niej życzliwie.

– Do widzenia! Miłego dnia! – krzyknęła i odeszła w swoją stronę.

Następnego dnia Justyna odkryła rzecz zdumiewającą: otóż liczba dziurek w suficie zmniejszyła się o połowę. Początkowo nie mogła w to uwierzyć – przeliczała je kilkanaście razy, ale wynik niezmiennie pozostawał ten sam. Wreszcie wstała z łóżka i w łazience włożyła głowę pod kran. Kiedy kilka minut później wróciła do pokoju, sufit był jedwabście gładki i lśniący, zupełnie jakby w międzyczasie ktoś pokrył go śnieżnobiałą farbą.

Nogi Justyny momentalnie zrobiły się ciężkie i obce, a żołądek zwinął się w kłębek. Usiadła szybko na łóżku i nerwowo zacisnęła powieki,

podejrzewając jednocześnie, że kiedy je na powrót otworzy, sufit po prostu zniknie.

– Sąsiadko!

Pod powiekami Justyny trwał szatański taniec różnokolorowych plam, wirowały złociste kręgi, migotały różańce świetlistych punktów.

– Halo, sąsiadko, jest pani tam?

Głos dobiegał wprawdzie zza okna, ale był tak wyraźny, jakby wydobywał się z krtani kogoś zaczajonego pod łóżkiem lub ukrytego między fałdami zasłony.

– Żyje pani?

Justyna otworzyła oczy i skierowała wzrok w stronę okna. Zza framugi wystawała wielka, pulchna, zaróżowiona gęba o ustach nieumiejętnie umalowanych wiśniową pomadką. Cała uwaga Justyny ześrodkowała się właśnie na tych mięsistych, rybich wargach w rozmiarze XL, które komicznie rozpanoszyły się na talerzykowatej twarzy.

– Ach, kiedy któregoś razu tłumaczyłam coś jednemu Murzynowi – wysapały usta – czułam się zupełnie tak, jak teraz. Tamten też tylko strzelał oczami i też był tak cholernie nieprzytomny, jak pani. Pewnie jakieś dragi wciągał.

Wielka głowa skinęła kilkakrotnie, a czerwone usta zesnurowały klasyczny ciup. Justyna zebrała się w sobie i rozciągnąwszy wzrok na całą tę twarz, zdołała wreszcie oderwać go od obleśnych warg.

Zauważyła małe skośnawe oczy o rozbieganych źrenicach i ledwo obecnych rzęsach, mięsisty nos o zaczerwienionej końcówce i napiętych nozdrzach, nadmuchane policzki oraz obły podbródek, z którego sterczały pojedyncze ciemne włoski. Równo przystrzyżona gęsta grzywka opadała na czoło jak przyduży hełm.

– Osobiście uważam – wymęły usta – że sąsiadów znać trzeba. Ja tam wolę wiedzieć, czy za ścianą nie mieszka przypadkiem jakiś wariat. Och, nie, cha, cha, nie panią miałam na myśli, chociaż właściwie kto to może wiedzieć, czasy takie, że... Więc, prawda, wołałam sprawdzić. Pani taka cichutka i tylko czasami w oknie wysiaduje, niby nic nadzwyczajnego, ale! – Do twarzy dołączył spiczasty palec. – Ja tam lubię mieć na wszystko oko.

Czerwone wargi kobiety rozciągnęły się w wymuszonym uśmiechu.

– Bogu dzięki, że mi balkon tak blisko pani okna zamontowali, przynajmniej nie miałam problemu...

Chociaż łóżko, na którym siedziała, oddalone było od okna o dobre trzy metry, Justyna doskonale czuła smród karbidu przepleciony gorzką wonią kawy, którym bezczelnie zionęły wiśniowe usta sąsiadki. Ogromna głowa z podbródkiem Buddy i krwistymi ustami, osadzona na nieproporcjonalnie chudej, wręcz ptasiej szyi, dyndała za oknem jak policyjny lizak.

Sąsiadka uśmiechnęła się z przymusem, a jej skośnawe oczy zaczęły łapczywie sondować pokój. Po chwili wyskubane łukowate brwi sąsiadki wspięły się po zmarszczkach czoła, docierając w końcu do krawędzi popielatej grzywki.

– A pani, kochana, sama tu mieszka? Bo chyba nie mężatka... No bo mężowi to trzeba dużo czasu poświęcać, a pani nic tylko w oknie ślęczy. Od tego można gripę złapać.

Justyna nie wiedziała, co odpowiedzieć. Popatrzyła więc tylko na sąsiadkę, która wydłubywała coś właśnie językiem z zębów. Po chwili cmoknęła.

– Ale, ale – zaskrzeczała, a jej słowa uderzyły Justynę jak silny, lodowaty prysznic. – Pani się wystawi bliżej słońca... O, w mordę jeża, jest dokładnie tak, jak myślałam! Aura cienka, no dosłownie opłatek. Niedobrze,

fatalnie... Z czymś takim żyć nie można! Jeśli pani chce, mogę pomóc, chętnie spróbuję podreperować tę aurę... Za symboliczną sumkę, ma się rozumieć – zniżyła głos i rozejrzała się podejrzliwie. – Załatwimy to po sąsiedzku, wie pani, po znajomości.

W zasadzie Justyna unikała ludzi. Wychodziła z domu tylko raz w tygodniu, kiedy chlebak jałowiał, a po papierosach zostawały wciśnięte w posadzkę pety i kopczyki pustych pudełek. Zbiegała po schodach tak szybko, jakby goniła ją sfora wściekłych psów, ale z klatki wychylała się powoli, niepewnie. Kiedy już była na zewnątrz, wlepiła wzrok w jeden punkt i szła przed siebie, w myślach licząc stawiane kroki. Między kamienicą a pobliskim sklepem było ich dokładnie siedemset pięćdziesiąt dziewięć, nie więcej, nie mniej.

W spożywczym Justyna kupowała dwa długie bochenki chleba, kilka konserw, dwa kartony mleka i zapas papierosów.

Kasjerki znały ją doskonale i czasami próbowały zagadywać, jednak rozmowa zazwyczaj się nie kleiła – Justyna zaciskała usta i patrzyła na kasjerki okrągłymi oczami, wyłuskiwała z kieszeni zgnieciony banknot, ciskała go na ladę i jak oparzona wybiegała ze sklepu.

Bo czy z tymi drobnymi głowami na chudych, giętkich szyjach kasjerki nie wyglądały jak ważki? Albo jak świerszcze?

Ktoś kiedyś krzyknął za Justyną: „Pieprzona świruska” i dodał coś jeszcze bardziej obraźliwego, ale ona na szczęście była już za daleko, żeby słyszeć.

W pierwszą niedzielę miesiąca na wycieraczce przed drzwiami wejściowymi mieszkania Justyny pojawiały się dwie koperty. W jednej nieodmiennie znajdowała plik banknotów, w drugiej pokryty ciemnym tatuażem chybotliwych liter jednostronicowy list od matki. Wszystkie jej listy

były niemal identyczne – rozpoczynały się grzecznościowymi zwrotami (zupełnie jakby Justyna była urzędem albo naczelnym działu), natomiast ich zakończenie zawsze składało się z serii zdań, od których Justynie robiło się ciemno przed oczami.

Bo Justyna miała być chłopcem, ale na złość matce urodziła się dziewczynką. Na dodatek nie do końca udaną. I teraz ją za to karano, zasłużyła przecież.

Sąsiadka przekrzywiła głowę, a kąciki jej ust zadrgały w przymilnym uśmiechu.

– To jak? – zapytała. – Zgadza się pani? Taka oferta może się nieprędko powtórzyć.

Trochę wbrew sobie i jak zahipnotyzowana Justyna podniosła się i podeszła do okna. Błada, ulana twarz sąsiadki zamajaczyła przed nią jak znak drogowy, nagle wyłowiony z ciemności przez światła reflektorów.

– A ja na pewno pomogę – dorzucił znak, bębniąc szponiastymi paznokciami o metalowy parapet. – Ja mam dar. Rok temu, na samym środku rynku, spotkałam Elvisa. Niech się pani tylko nie dziwi, to najświętsza prawda. Poznałam go po fryzurze. Poza mną nikt go nie widział. Miał na sobie taki biały, połyskliwy kombinezon z wypchanymi ramionami i buty z krokodylej skóry. A może to był aligator, nie wiem. Elvis wziął mnie pod rękę i powiedział: „Zostałaś wybrana. Podarowano ci wielką moc. Idź, skarbie (właśnie tak mnie nazwał), ludzie cię potrzebują”. A zaraz potem dosłownie rozpląnął się w powietrzu. – Westchnęła. – Oj, taki przystojny mężczyzna... I po polsku jak ładnie mówił.

Justyna stanęła przy parapecie. Sąsiadka jakby cofnęła się odrobinę.

– To było jak piorun, co tego aktora, co grał Chrystusa, w głowę trzepnął. Olśnienie! – kontynuowała. – Kupiłam trochę literatury, uszyłam

sobie płaszcz z kolorowej gazy i dałam ogłoszenie do prasy. „Promocja! Salon Astrochirurga i Maga Najwyższego Wtajemniczenia. Cudotwórstwo gwarantowane”. Ten piękny Elvis miał rację. Ludzie mnie cholernie potrzebowali. Od razu zaczęli walić drzwiami, a teraz to mi dosłownie pod oknem koczują. Bo ja się ogłosiłam: „Powiedz, czego ci trzeba, a u mnie to na pewno dostaniesz”. Taka wielobranżowa jestem, a co, trzeba iść z duchem czasu. Elvis by to na pewno zrozumiał.

Sąsiadka zamyśliła się i spojrzała gdzieś przed siebie. Potem znów zerknęła na Justynę i kiwnęła do niej palcem.

– Wie pani, mam w mieszkaniu trzy pokoje i w każdym przyjmuję innych klientów – powiedziała ściszym głosem. – Jak przychodzi elegancka babka w szpilach za kilka tysięcy, to ja ją, myk! do salonu zapraszam. A tam skórzana sofa, szklane stoliki. Takie babki są zachwycone. Biznesmenów pod krawatem przyjmuję w pokoju z pergaminowymi drzwiami i lampami z papieru. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby któremuś nie spodobał się mój oryginalny japoński stolik z laki.

Sąsiadka uśmiechnęła się, zachwycona sama sobą.

– W trzecim pokoju – ciągnęła – ustawiłam szezlong, parawan w półksiężycy i okrągły stół ze szklaną kulą. Na parapecie stoją świece z wosku, gliniane aniołki, mosiężne żaby, figurki śmiejącego się Buddy, drewniane koty... To dla wzmocnienia energii, którą wysyłam, wie pani.

Sąsiadka na chwilę przerwała. Justyna spojrzała za okno. Topole gestykulowały nerwowo, a jaskółki klóciły się o coś zawzięcie. Przeniosła wzrok na niebo. Pocerowane perłowymi cumulusami, delikatnie gładziło dach kamienicy.

Zamyśliła się. O czym gadała ta ogromna głowa o talerzykowatej twarzy? Justyna próbowała skoncentrować się, zbierając w jedno miejsce

wszystkie zasłyszane zdania. Ułożyły się w jej myślach kaskadowo, jedno pod drugim – przewijała je jak film, idąc naprzód lub cofając się, przy niektórych zdaniach zatrzymywała się na dłużej, w skupieniu obracając je we wszystkie strony, inne pomijała lub od razu wymazywała z pamięci.

W końcu w jej głowie został tylko jeden wyraz.

Pomogę. Sześć liter zrosło się ze sobą, przeobrażając w laskę z rączką w kształcie papuziej główki. Na takiej lasce mogłaby wspierać się przez całe życie.

Odtąd spotykały się każdego dnia w południe. Justyna policzyła, że między drzwiami wejściowymi obu mieszkań było dokładnie trzysta siedemdziesiąt kroków, nie więcej, nie mniej.

Sąsiadka przyjmowała ją w pokoju z parawanem w półksiężycu. Poza mocno sfatygowanym szezlongiem (na nim siadali pacjenci), okrągłym stolikiem i rozstawionymi na parapecie pseudomagicznymi gadżetami w pokoju znajdowała się wypełniona ziemią olbrzymia gliniana donica, do której podczas seansu załatwiał się kot sąsiadki.

Gdy Justyna kładła się na szezlongu, sąsiadka stawała nad nią, zamykała oczy i kreśliła rękami jakieś znaki w powietrzu.

– Zamykamy oczy i rozluźniamy się – szeleściły rybie usta cudotwórczym. – Jesteśmy na łące... Ommmm – wydobywało się z jej gardła. – Ommmm, taaak, dobrzeeee, rewelacyjnieeee – beczała. – Leżymy wygodnieeee, om.

Ostatniego dnia terapii seans trwał krócej niż zwykle.

– Słuchamy moich słów, uważnieeee. Dzisiaj skończymy wcześnieeeej – wyjęczała sąsiadka, wijąc się jak wij nad rozplaszczoną na szezlongu Justyną. – Bo mam umówioną kosmetyczkęęę. Dziś cię ulecę, wszystko się

zmieniiii, i stanie się cudddd – zapała, po czym złapała się za pierś i, wyraźnie niezadowolona, czknęła głośno.

Sąsiadka dotknęła palcami skroni Justyny. Emanowała dziwnym ciepłem. Justyna odruchowo szarpnęła głową.

– No, spokojnie, spokojnie – usłyszała. – To tylko część terapii, przecież głowy nie urwę.

Miękkie palce sąsiadki przebiegły następnie również po twarzy Justyny, kreśląc na jej policzkach i podbródku niewielkie koła.

– Widzę twoją duszę – oznajmiło medium. – Teraz połączę się z moimi braćmi ze Świata Cieni... Ommmmm... Ommmmm... Są! Przybyli! Widzę ich dokładnie. Stoją wokół i przesyłają mi swoją energię... Aargh! – zawyła teatralnie. – Argh!. Ależ to wielka siła, aaalezzz moc!... Widzę twoją duszę... Bracia, jak uleczyć tę istotę, jak jej pomóc? Uuu... Fiuuu... – zagwizdała. – Ena, dias, trias, *tesera, pende...* Fiuuu... *eksi, echta, ochto, enea, deka...* Ufff.

Sąsiadka nagle puściła głowę Justyny i cofnęła się.

– Przebaczenie i miłość – rzekła nagle. – Oto twój cud.

Następnie klasnęła w dłonie i zgrzytnęła zębami. Justyna otworzyła oczy i uniosła się na łokciach. Ujrzała sąsiadkę skracającą się w dziwacznym, konwulsyjnym tańcu – jej mięsiste wargi rozchyłały się, powieki trzepotały, a podbródek podrygiwał. Tłuste ramiona kręciły młynki, nogi zapamiętały tupły.

– Arghh, guuggg, buła buła – kwiliło medium. – Ding dong... już!

W jednej chwili sąsiadka przemieniła się z nawiedzonej tancerki w całkiem trzeźwą księgową:

– Za cud należy się stówa dopłaty. Ale w dwóch banknotach proszę.

Po powrocie do domu Justyna położyła się na łóżku i aby dobrze widzieć cały sufit, pod głowę położyła wałek z koszuli złożonej na czworo.

– Przebaczam ci, mammo.

W odpowiedzi sufit zaśnił bielą jeszcze intensywniejszą.

– Tato, wybaczam ci. To samo.

– Nie chcę być już sama. Jestem gotowa na miłość.

Sufit nie zareagował.

Justyna zasnęła bez kolacji i przyśniło się jej, że jest wielkim śrubokrętem z szylkretową rączką, który, tańcząc po suficie, wydłubuje w nim maleńkie dziurki, i wreszcie wszystko się zgadza, a Justyna odnajduje utracone bezpieczeństwo – na suficie trzydzieści trzy dziurki niczym gwiazdne konstelacje w bezchmurną noc, w pokoju niezasłane łóżko, pety wdeptane w posadzkę i siedemset pięćdziesiąt dziewięć kroków stąd do sklepu, nie więcej, nie mniej.

Sąsiadka znów odpowiedziała rechothem:

– Przecież to byłby, cha, cha, cha, piąty cykl! No to się pani uzależniła, skarbie, cha, cha, cha, terapia za terapią, co pani, świętą chce zostać, cha, cha. Ale ja już na dziś skończyłam, pani przyjdzie za miesiąc, ja już mam urlop.

Justyna stała na progu mieszkania sąsiadki, zdyszana i spocona. Na piętro wbiegła, przeskakując po dwa stopnie.

– Właśnie zaczęłam pakować pierwszą walizkę. – Sąsiadka oparła się biodrem o framugę. – Jutro mam samolot.

– Proszę – szepnęła Justyna. – Ten jeden, ostatni raz.

W tej samej chwili na schodach pojawił się wysoki, barczysty mężczyzna. Pod nogami plątał mu się nieduży pies o sierści koloru kawy z mlekiem.

– No tak – powiedziała kwaśno sąsiadka. – Widzę, że po dobroci się nie da... Panie Antoni! – krzyknęła do mężczyzny. – Pomóż mi pan wygonić tę dziewczuchę... Bredzi coś, chyba stuknięta...

Mężczyzna zatrzymał się i odwrócił głowę w ich stronę.

– Świadek Jehowy? – zapytał podejrzliwie.

Justyna odruchowo cofnęła się o krok, uderzając plecami o rurę biegnącą wzdłuż ściany.

– Bo ja wiem? – Sąsiadka wzruszyła ramionami. – Takie coś na ten kształt.

Jasnobrązowy piesek zamiótł ogonem.

– Idź sobie – wymamrotał Antoni. – No, idź, bo będę musiał zejść do ciebie.

Justyna przywarła plecami do ściany i przesunęła się w stronę medium, cały czas nie spuszczać wzroku ze stojącego na schodach mężczyzny. W głowie zaczęło jej szumieć, żołądek skurczył się do wielkości orzeszka, a dłonie momentalnie zmarzły.

– No, no, no, stójżeż, kurczę blade. – Antoni machnął pięścią.

– Eće, pęce, ommmmmm – wrzasnęła nagle sąsiadka. Mężczyzna z psem zbaraniał, a Justyna zamarła.

– Oommmmm, ech, ach, bummmmm. Świat Cieni przesyła mi energię, mam moc, ach! jejjj, ommmmmm.

Justyna zamknęła oczy, przekrzywiając przy tym głowę jak pies, który bardzo chce zrozumieć, ale nie zna języka, jakim do niego mówią.

– Oto cud, cud staje się teraz! – wrzeszczało medium. Antoni z pieskiem czmychnęli na górę.

– Zmiana, zmiana, ommmm! Spełniają się wszystkie twoje marzenia, wydarzy się wszystko, czego sobie zażyczysz! Zmiana, zmiana, wielka zmiana! Aargh!. – jęknęła sąsiadka. – Buła buła, klops. – Strzepnęła ręce. – No, wystarczy. A teraz niechże już pani idzie, żegnam.

Justyna otworzyła oczy i spojrzała na sąsiadkę.

– No, czego pani jeszcze chce! – zdenerwowało się medium. – Przecież dałam pani cud, przecież po to pani przyszła, nie? A teraz...

Nagle sąsiadka urwała. Oczy zrobiły jej się okrągłe jak guziki. Zadygotała, zęby szczęknęły. Wysunęła przed siebie rękę i drżącym palcem wskazała na coś.

– To, to... Widzisz to?!

Justyna powiodła oczami za jej ręką. Schody, na które medium patrzyło przerażonym wzrokiem, były puste, choć jedna rzecz Justynę zastanowiła – na ścianie obok nich pięknie przeżyła się konstelacja niewielkich dziurek.

Sąsiadka nagle złapała Justynę za rękę, zatraskując zimne palce wokół jej chudego nadgarstka, zupełnie tak, jakby zakładała jej kajdanki.

– Witaj – powiedziała nagle, wyraźnie zdziwiona własnymi słowami. – Witaj, Justynko.

Justyna próbowała wyrwać rękę z nieprzyjemnego uścisku, ale palce sąsiadki trwały na jej skórze jak metalowa obręcz. Medium uśmiechnęło się i był to osobliwy uśmiech – śmiały się bowiem tylko usta, resztę twarzy spinało śmiertelne przerażenie.

– Żeby stał się cud, musisz zrobić krok. Daj życiu szansę. Odwagi. Czasem trzeba iść pod prąd. Czasem trzeba zrobić coś, czego nie robią inni – oznajmiło medium.

Justyna wstrzymała oddech. Sąsiadka, dysząc ciężko, kontynuowała:

– Przebaczenie i miłość. Są koniecznością. Bez tego nic się nie liczy, nic nie ma sensu.

Przez korytarz przeleciała mucha. Słońce błysnęło na jej tęczowych skrzydełkach. Sąsiadka zamrugnęła oczami i zaczęła dziwnie chrząkać, jakby chciała wyrzucić z siebie połkniętą właśnie rybią ość.

– Szczęście... – wycharczała nagle. – Szczęście jest wtedy, gdy czujemy się spełnieni. Bez względu na to, co myślą inni. Grube z chudym? Ładne z brzydkim? Jasne z ciemnym? Proszę bardzo. Byle szczęśliwie, byle z miłością.

Sąsiadka puściła nagle rękę Justyny i opadła na kolana, łapiąc się za gardło. Trwała tak chwilę. Potem podniosła wzrok. Jej talerzykowata twarz pulsowała czerwienią, oczy były zapuchnięte, rybie usta miały spierzchnięte wargi.

Justyna odruchowo cofnęła się.

– Idź już – powiedziała cicho sąsiadka. – Wynocha.

Justyna wróciła do domu. Z wrażenia zapomniała policzyć kroki między mieszkaniami.

Weszła do pokoju. Rozejrzała się. Bałagan, zaduch, mało światła. Podwinęła rękawy i podeszła do okna. Rozsunęła zasłony, otworzyła lufciki, wpuszczając do pokoju rześkie powietrze. Potem przyniosła z kuchni szczotkę i zaczęła zmiatać podłogę. Gdy skończyła, wdrapała się jeszcze na krzesło, żeby zdjąć zwisającą z sufitu starą pajęczynę.

Trzydzieści trzy dziury nie zrobiły na niej wrażenia.

Buła, buła, klops! Drugiej nocy po wyjeździe medium ktoś włamał się do jej mieszkania, wynosząc zeń wszystko z wyjątkiem niziutkiego japońskiego stolika z laki. Na jego błyszczącym blacie złodzieje zostawili pustą butelkę po wódce, opróżniony słoik po ogórkach i przeżuty listek bobkowy. Pół roku po włamaniu sąsiadka sprzedała mieszkanie i na czas nieokreślony wprowadziła się do przyjaciółki.

– To ta mała suka ich nadała – łkała koleżance w rękaw. – Dziś rano spotkałam Elvisa, a on mi powiedział, że wcale nie trzeba się było tak nad nią

litować. Niby bidulka, samotnica, takie cięły przestraszone, a proszę, ze złodziejami trzyma.

Niech ją szlag, tę Justynę, niech ją szlag. A człowiek naiwny –jęczało medium. – Z czystego serca, za kilka groszy jej chciałam pomóc. Za kilka nędznych groszy! Elvis powiedział, że teraz powinnam otworzyć nowy gabinet, a stawkę podwoić albo potroić. Wszędzie sami oszuści i złodzieje, a ja na emeryturę muszę zarobić. No tak.

Arghh, guuggg, buła buła. Ding dong.

Epilog

Swój pierwszy okrzyk wydał dokładnie o północy. Poród nie trwał długo, od pierwszych skurczy do rozwiązania nie minęło więcej niż trzy godziny

Położna podała Lence syna i wyszła z sali. Dziecko machało rączkami i wydawało się, że na jego twarzy pojawił się uśmiech. Oskar pogładził Lenkę po włosach.

– Podobny do ciebie. Ale ma mój nos.

– I kształt uszu.

Lenka pocałowała synka w czoło. Było ciepłe i trochę się lepilo.

– Masz pomysł na imię? – zapytała.

Oskar podniósł ręce.

– Bez adwokata nie powiem.

Zaśmiali się.

– Może Teoś?

Oskar skrzywił się.

– Mało męskie.

– Kazimierz? Konstanty?

– Za poważne. Coś innego.

– Tomek?

– Domek. Może lepiej... – Oskar zawiesił głos.

Lenka spojrzała na synka. Coś zaszeleściło, zaszemrało. Na policzku poczuła delikatny powiew wiatru, najwyraźniej gdzieś zrobił się przeciąg.

I nagle – stało się. Już wiedziała.

– Filip – powiedziała, podnosząc wzrok na Oskara. – Nazwiemy go Filip.

Oskar uśmiechnął się niepewnie.

– Z ust mi to wyjęłaś. Przed chwilą właśnie Filip przyszedł mi do głowy.

Lenka pogłaskała synka po rączce. Odruchowo zacisnął piąstkę na jej kciuku. Coś błysnęło za oknem. Oskar odruchowo zerknął w tamtą stronę. Przez chwilę miał wrażenie, że za szybą dostrzegł czyjś poruszający się cień, co było jednak dość nieprawdopodobne, zważywszy, że sala, w której się znajdowali, leżała na czwartym piętrze. Wziął głębszy oddech i rozbawiony pomyślał, że chyba się starzeje.

– W takim razie postanowione. Witaj na świecie, Filipie.